

Prószński i S-ka

TERRY PRATCHETT BOGOWIE, HONOR, ANKH-MORPORK

ŚWIAT DYSKU



Terry Pratchett

Bogowie, honor, Ankh-Morpork

Jingo

Przełożył: Piotr W. Cholewa

Wydanie oryginalne: 1997



Wydanie polskie: 2005

Noc była bezksiężycowa – dobra z punktu widzenia Twardziela Jacksona.

Łowił ciekawe mątwy, nazywane tak dlatego, że były mątwami, a oprócz tego były ciekawe. Inaczej mówiąc, ich ciekawość była ich najciekawszą cechą.

Wkrótce po tym, jak zaciekawiała je latarnia, którą Twardziel zawiesił na rufie swej łodzi, zaczęło je ciekawić to, w jaki sposób niektóre spośród nich znikają nagle z pluskiem w górze.

Niektóre nawet zaciekawiał – choć na krótko – ten ostry, haczykowaty przedmiot, który zbliżał się do nich bardzo szybko.

Ciekawe mątwy były niezwykle wręcz ciekawe. Niestety, niezbyt dobrze radziły sobie z kojarzeniem.

Do terenów rybackich Twardziela Jacksona prowadziła daleka droga, jednak wyprawa zwykle się opłacała. Ciekawe mątwy były niewielkie, nieszkodliwe, trudne do znalezienia i uznawane przez koneserów za stworzenia o najpaskudniejszym smaku na świecie. Co sprawiało, że cieszyły się popularnością w pewnej kategorii restauracji, gdzie wytrawni kucharze przygotowywali dania bez absolutnie żadnego śladu mątwy.

Kłopot Twardziela Jacksona polegał na tym, że dzisiaj, w bezksiężycową noc w okresie tarła, kiedy mątwy były wyjątkowo ciekawe praktycznie wszystkiego, zdawało się, że któryś z tych kucharzy przygotował samo morze.

W polu widzenia nie pojawiło się ani jedno zaciekawione oko. Nie było też ryb, a zwykle sporo ich ściągało do światła. Zauważył tylko jedną. Płynęła pod wodą bardzo szybko i w linii prostej.

Odłożył trójzab i przeszedł na drugi koniec łodzi, gdzie jego syn Les także w skupieniu wpatrywał się w oświetloną latarnią powierzchnię morza.

– Całkiem nic, już od pół godziny – stwierdził Twardziel.

– Na pewno jesteśmy we właściwym miejscu, tato?

Twardziel zbadał wzrokiem horyzont. Na niebie dostrzegł słaby blask, wskazujący miasto Al-Khali na kłatchiańskim wybrzeżu. Obejrzał się. Po przeciwnej stronie horyzont także się jarzył – tym razem światłami Ankh-Morpork. Łódź kołysała się łagodnie w połowie drogi między nimi.

– Pewno, że we właściwym – oświadczył, ale pewność opuściła dyskretnie jego słowa.

Bo na morzu panowała cisza. Nie wyglądało jak należy. Łódź kołysała się trochę, ale tylko od ich poruszeń, nie od ruchu fal. Uczucie było takie, jakby zaraz miał nadejść sztorm. Lecz gwiazdy mrugały delikatnie, a na niebie nie było nawet chmurki.

Gwiazdy mrugały też na powierzchni wody. A czegoś takiego nie widuje się często.

– Chyba powinniśmy się stąd wynieść – uznał Twardziel.

Les wskazał ręką obwisły żagiel.

– A czego użyjemy zamiast wiatru, tato?

I wtedy właśnie usłyszeli plusk wiosła.

Wyteżając wzrok, Twardziel ledwie dostrzegał kształt innej, zmierzającej ku nim łodzi. Złapał za bosak.

– Wiem, że to ty, złodziejski cudzoziemski draniu!

Wiosła znieruchomiały. Ponad wodą jakiś głos zaśpiewał:

– Obyś pochłanian był przez tysiąc demonów, przeklęta osobo!

Obca łódź podpłynęła bliżej. Wyglądała obco, z oczami wymalowanymi na dziobie.

– Wszystkie wyłowileś, co? Poczęstuję cię swoim trójzębem, ty dupożerny śmieciu, ot co!

– Mój krzywy miecz dotknie twojej szyi, ty nieczysty synu psa żeńskiej proweniencji!

Les wyrzał przez burtę. Na powierzchnię wody wypływały małe bańki.

– Tato... – odezwał się.

– Ten tam to Lepki Arif! – rzucił ze złością ojciec. – Przyjrzyj mu się uważnie! Od lat tu przypływa i kradnie nasze mątwy, kłamliwy mały demon!

– Tato, na morzu...

– Bierz się do wiosła, to powybijam mu te jego czarne zęby!

Les słyszał dobiegający z drugiej łodzi głos.

– ...widzisz, synu, jak ten podstępny złodziej ryb...

– Wiosłuj! – wrzasnął jego ojciec.

– Do wiosła! – wrzasnął ktoś w drugiej łodzi.

– A czyje są te mątwy, tato? – zainteresował się Les.

– Nasze!

– Jak to? Zanim je jeszcze złowiliśmy?

– Nie pyskuj, tylko wiosłuj!

– Łódź się nie rusza, tato. Utknęliśmy na czymś.

– Tu jest głębina na sto sążni, chłopcze! Na czym moglibyśmy utknąć?

Les usiłował odczepić wiosło od obiektu, który unosił się z wolna ponad spienioną wodą.

– Wygląda jak...jak kura, tato!

Spod wody rozległ się dźwięk. Brzmiał jak kołyszący się powoli dzwon czy gong.

– Kury nie pływają!

– Ona jest z żelaza, tato!

Twardziel przeszedł na rufę łodzi.

To rzeczywiście była kura. Żelazna kura. Pokrywały ją muszle i wodorosty; ociekała wodą, kiedy wznosiła się coraz wyżej, ku gwiazdom. Stała na grzędzie w kształcie krzyża. Na końcu każdego z czterech ramion krzyża tkwiło coś, co wyglądało jak litera.

Twardziel przysunął latarnię.

– Co jest, do...

A potem uwolnił wiosło i zajął miejsce obok syna.

– Wiosłuj, jakby nas demon gonił, Les!

– Co się dzieje, tato?

– Zamknij się i wiosłuj! Jak najdalej od tego!

– Czy to potwór, tato?

– Gorzej niż potwór, synu! – zawołał Twardziel, gdy wiosła zanurzyły się w wodzie.

Obiekt wyrastał już dość wysoko nad powierzchnią. Stał na czymś w rodzaju wieży...

– Ale co to jest, tato? Co to takiego?

– To jakiś przeklęty kurek na dachu!

Ogólnie rzecz biorąc, nie wystąpiły poważniejsze komplikacje natury geologicznej. Tonięciu kontynentów zwykle towarzyszą wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi i armady małych łódek niosących starszych mężczyzn, którzy nie mogą się doczekać, by wznosić piramidy i mistyczne kamienne kręgi na nowych lądach, gdzie można oczekiwać, że posiadanie prawdziwie starożytnej wiedzy okultystycznej przyciągnie dziewczęta. Ale wynurzenie tego konkretnego lądu wywołało ledwie zmarszczkę w czysto fizycznej płaszczyźnie rzeczywistości. Można uznać, że wkradł się z powrotem – jak kot, który znikł na parę dni i wie, że człowiek się o niego martwił.

Wokół brzegów Okrągłego Morza wielka fala, wysoka już tylko na pięć czy sześć stóp, gdy do nich dotarła, wzbudziła liczne komentarze. A w pewnych bardzo nisko położonych obszarach mokradeł woda zmoczyła parę wiosek, gdzie żyli ludzie, którymi nikt się specjalnie nie przejmował. Jednak w czysto geologicznym sensie nic wielkiego się nie wydarzyło.

W czysto geologicznym sensie...

– To jest miasto, tato! Patrz, widać okna i...

– Mówiłem ci, nie gadaj, tylko wiosłuj!

Strumienie morskiej wody płynęły ulicami. Po obu stronach wynurzały się z piany wielkie, obwieszone wodorostami budynki.

Ojciec i syn z całych sił starali się uniknąć zderzenia z nimi, gdy łódź sunęła naprzód. A że – jak mówi pierwsza lekcja sztuki wiosłowania – robi się to, patrząc w przeciwną stronę, nie zauważyli drugiej łodzi...

– Ty idioto!

– Głupku!

– Nie dotykaj tego domu! Ta ziemia należy do Ankh-Morpork!

Obie łodzie kręciły się wokół siebie w chwilowym wirze.

– Obejmuję tę ziemię w posiadanie w imieniu szeryfa Al-Khali!

– My pierwsi ją zobaczyliśmy! Les, powiedz mu, że widzieliśmy ją pierwsi!

– My ją zobaczyliśmy pierwsi, zanim wy ją zobaczyliście pierwsi!

– Les, widziałeś? Chciał mnie uderzyć wiosłem!

– Ale tato, wymachujesz trójzębem...

– Widzisz, jak niegodnie nas atakuje, Akhanie!

Zgrzytnęły oba kile, a łodzie zaczęły się przechylać, osiadając w dennym mule.

– Spójrz, ojczy, jaki ciekawy posąg...

– Postawił stopę na klatchiańskim gruncie! Złodziej matw!

– Zabieraj swoje brudne sandały z terytorium Ankh-Morpork!

– Och, tato...

Dwaj rybacy przestali na siebie krzyczeć, głównie dlatego, że musieli nabrać tchu. Kraby umykały na boki. Woda spływała między kępami zielska, ryjąc wąwozy w szarym mule.

– Ojczy, popatrz! Przetrwały kolorowe mozaiki na...

– Moje!

– Moje!

Les pochwycił wzrok Akhana. Wymienili krótkie spojrzenia, modulowane jednak sporą ilością informacji. Przekaz rozpoczynał się od czystego, galaktycznych rozmiarów zakłopotania faktem posiadania rodziców i rozwijał tę kwestię dalej.

– Tato, przecież nie musimy... – zaczął Les.

– Zamknij się! Myślę o twojej przyszłości, chłopcze...

– Tak, ale kogo obchodzi, kto zobaczył tę ziemię pierwszy, tato? Obaj jesteście setki mil od domu! Znaczący, kto w ogóle się dowie?

Dwaj poławiacze mątw spoglądali na siebie wrogo. Nad nimi wyrastały ociekające wodą budynki. W ścianach były dziury, które mogły być drzwiami, i puste otwory, które zapewne kiedyś służyły za okna. Jednak wewnątrz panowała ciemność. Od czasu do czasu Lesowi wydawało się, że coś pełźnie w mule. Twardziel Jackson odchrząknął.

– Chłopak ma rację – wymruczał. – Nie warto się spierać. Tylko nas czterech...

– W samej rzeczy – zgodził się Arif.

Odstąpili ostrożnie, cały czas obserwując się nawzajem. Potem, niemal równocześnie, aż zabrzmiało to jak chór, wrzasnęli:

– Bierz łódź!

Przez kilka chwil trwało zamieszanie, po czym obie pary, każda dźwigając nad głowami swoją łódź, ruszyły biegiem, ślizgając się po zabłoconych ulicach.

Musieli zatrzymać się i zawrócić, przy wtórze okrzyków „Aha! Do tego jeszcze porywacz, co?”, by zabrać właściwych synów.

Jak wie nawet początkujący odkrywca, nagroda przypada nie temu, kto pierwszy postawi stopę na dziewiczym lądzie, ale temu, kto pierwszy dostarczy ową stopę do domu. Jeśli wciąż jest umocowana do nogi, można to uznać za dodatkową premię.

Kurki na dachach w Ankh-Morpork obracały się ze zgrzytem na wietrze. Bardzo niewiele z nich było rzeczywiście reprezentacjami *Avis domestica*.

Przedstawiały smoki, ryby i najrozmaitsze inne zwierzęta. Na dachu budynku Gildii Skrytobójców ze skrzypieniem ustawiła się w nowej pozycji sylwetka jednego z członków w płaszczu i ze sztyletem w gotowości. Na Gildii Żebraków blaszana ręka prosiła wiatr o miedziaka. Na Gildii Rzeźników wachała powietrze miedziana świnia. Na dachu Gildii Złodziei prawdziwy, choć martwy nielicencjonowany złodziej zakręcił się powoli, co dowodzi, do czego człowiek jest zdolny, jeśli naprawdę spróbuje – a przynajmniej jeśli spróbuje kraść bez licencji.

Kurek na kopule biblioteki Niewidocznego Uniwersytetu się spóźniał. Miało minąć jeszcze pół godziny, nim pokaże zmianę – ale zapach morza już teraz dryfował nad miastem.

Istniała tradycja, że na placu Sator mówcy stawali na pustych skrzynkach i wygłaszali swoje tyrady. „Mówcy” jest zresztą określeniem mocno naciągniętym, by objąć rzucających gromy, wygłaszających kazania, a z rzadka także osobników zajętych tylko sobą i do siebie mamroczących, którzy pojawiali się w tłumie. Tradycyjnie ludzie mówili, co tylko leżało im na sercu, możliwie jak najgłośniej. Patrycjusz, jak głosiła plotka, spoglądał na ten zwyczaj pobłażliwym okiem. To prawda. Ale też bardzo uważnym. Prawdopodobnie wysyłał tam kogoś, kto wszystko notował.

Podobnie jak Straż Miejska.

To nie jest szpiegowanie, powtarzał sobie komendant Vimes. Szpiegowanie polega na skradaniu się i zaglądaniu w okna. Nie jest szpiegowaniem sytuacja, kiedy człowiek musi się trochę cofnąć, żeby nie stracić słuchu.

Nie patrząc, wyciągnął rękę i zapalił zapalniczkę o sierżanta Detrytusa.

– To żem był ja, sir – oznajmił z wyrzutem troll.

– Przepraszam, sierżancie. – Vimes przypalił sobie cygaro.

– Żaden problem.

Znowu zaczęli słuchać mów.

To ten wiatr, myślał Vimes. Niesie coś nowego...

Zwykle mówcy roztrząsali najróżniejsze tematy, wiele z nich na granicy obłądu albo gdzieś w spokojnych dolinach po drugiej stronie. Teraz jednak zachowywali się jak monomaniacy.

– ...najwyższy czas dać im lekcję! – wrzeszczał najbliższy. – Dlaczego nasi tak zwani rządzący nie słuchają głosu ludu? Ankh-Morpork ma już dość tych zadufanych opryszków! Odbierają nam ryby, odbierają nam handel, a teraz jeszcze kradną naszą ziemię!

Byłoby lepiej, gdyby ludzie wiwatowali, myślał Vimes. Ludzie wiwatowali wszystkim mówcom bez różnicy, żeby ich zachęcić. Ale teraz, stłoczeni wokół, tylko kiwali głowami. Oni naprawdę myślą tak, jak on mówi, stwierdził w duchu.

– Ukradli mój towar! – krzyknął mówca naprzeciwko. – To przekłete pirackie imperium! Zaatakowali mnie! Na wodach Ankh-Morpork!

Odpowiedzią był ogólny pomruk słusznego oburzenia.

– A co ukradli, panie Jenkins? – odezwał się głos spośród tłumu.

– Ładunek kosztownych jedwabi!

Słuchający syknęli wzburzeni.

– Ach, zatem nie suszone rybie podroby i gnijące mięso? O ile pamiętam, to pańskie zwykłe ładunki.

Jenkins usiłował wypatrzeć mówiącego.

– Cenne jedwabie! – powtórzył. – Ale czy miasto to obchodzi? Nic a nic!

– Skandal! – zabrzmiały okrzyki.

– A czy miasto zostało powiadomione? – pytał głos.

Ludzie zaczęli wyciągać szyje. Po chwili tłum rozstał się nieco,

odslaniając postać komendanta Vimesa ze Straży Miejskiej.

– No więc... ja... – zaczął Jenkins. – No... tego...

– Mnie to obchodzi – zapewnił spokojnie Vimes. – Wytropienie ładunku cennych jedwabi cuchnących rybimi flakami nie powinno być zbyt trudne.

Rozległy się śmiechy. Mieszkańcy Ankh-Morpork lubili pewne urozmaicenie w swym ulicznym teatrze.

Vimes mówił pozornie do sierżanta Detrytusa, lecz cały czas patrzył na Jenkinsa.

– Detrytus, pójdziesz z tym oto panem Jenkinsem, dobrze? Jego łódź to „Milka”, o ile pamiętam. Pan Jenkins pokaże ci listy ładunkowe, manifesty, pokwitowania i całą resztę. Potem załatwimy tę sprawę raz-dwa.

Brzdęknięło, gdy potężna dłoń Detrytusa uderzyła o hełm.

– Tajest!

– Ale... no... nie możecie – tłumaczył pospiesznie Jenkins. – Oni... tego... Oni ukradli też wszystkie papiery.

– Doprawdy? Żeby mogli zwrócić towar, gdyby im nie pasował?

– No bo... Zresztą statek wypłynął. Tak. Wypłynął. Wie pan, muszę jakoś odrobić straty.

– Odpłynął? Bez kapitana? – zdziwił się Vimes. – Czyli dowodzi pan Scoplett? Pierwszy oficer?

– Tak, tak...

– A niech to! – Vimes teatralnym gestem pstryknął palcami. – Ten człowiek, którego wsadziliśmy do celi pod zarzutem Hałaśliwej Nietrzeźwości wczoraj w nocy... Będziemy musieli oskarżyć go też o podszywanie się. Znowu papierkowa robota, normalnie nie można nadążyć...

Jenkins usiłował odwrócić wzrok, ale spojrzenie Vimesa ściągało go z powrotem. Chwilowe drżenie wargi sugerowało, że szykuje ripostę, ale miał dość rozumu, by zauważyć, że uśmiech komendanta jest tak wesoły jak ten, który płynie bardzo szybko w stronę tonącego człowieka. I ma u góry płetwę.

Podjął więc rozsądną decyzję i zrezygnował.

– Ja już... no... pójdę uporządkować... Lepiej pójdę i... tego... – tłumaczył, przepychając się przez tłum.

Ludzie czekali jeszcze chwilę, by sprawdzić, czy nie wydarzy się coś ciekawego. Potem, rozczarowani, ruszyli szukać innych rozrywek.

– Mam iść i obejrzeć mu łódź? – spytał Detrytus.

– Nie, sierżancie. Nie będzie tam żadnego jedwabiu ani żadnych papierów. Niczego nie będzie oprócz aromatu rybich flaków.

– O żeż, ci Klatchianie kradną wszystko, czego się nie przybije, co?

Vimes pokręcił głową i ruszył przed siebie.

– W Klatchu nie mają trolli, prawda? – zapytał.

– Nie, sir. To przez upał. Trollowe mózgi w upale nie działają. – Dłonie Detrytusa postukiwały cicho, kiedy ciągnął je po bruku. – Gdybym żem pojechał do Klatchu, tobym był naprawdę gupi.

– Detrytus...

– Tajest.

– Nigdy nie wybieraj się do Klatchu.

– Tajest!

Kolejny mówca ściągnął więcej słuchających. Stał przed wielkim transparentem głoszącym: BRUDNE CUDOZIMSKIE ŁAPSKA PRECZ OD LESHPU.

– Leshp – rzekł Detrytus. – To jest taka nazwa, co się nie wgryzie.

– To wyspa, która w zeszłym tygodniu wynurzyła się z morza – wyjaśnił przygnębiony Vimes.

Słuchali, jak mówca oznajmia, że Ankh-Morpork ma obowiązek chronić swych mieszkańców i obywateli na nowej ziemi.

– Jak to jest, że mają tam mieszkańców, i jeszcze obywateli, jak ona dopiero co się wynurzyła spod wody? – zdziwił się Detrytus.

– Dobre pytanie.

– Wstrzymywali oddech czy co?

– Wątpię.

W powietrzu unosi się coś więcej niż tylko słony zapach morza, myślał Vimes. Krążyły też inne prądy. Wyczuwał je. Nagle głównym problemem okazał się Klatch.

Już od prawie stu lat między Ankh-Morpork i Klatchem panował pokój – a przynajmniej stan niewojny. W końcu były to sąsiednie państwa.

Sąsiedzi... ha! Ale co to oznacza? Straż mogłaby opowiedzieć to i owo o sąsiadach. Tak samo jak prawnicy, zwłaszcza ci naprawdę bogaci, dla których słowo „sąsiad” znaczyło kogoś, kto będzie się przez dwadzieścia lat procesował o pasek ogrodu szerokości dwóch cali. Ludzie żyją obok siebie całe lata, codziennie w drodze do pracy przyjaźnie kiwają sobie głowami, a potem zdarza się jakiś drobiazg i ktoś musi wyciągać sobie z ucha widły.

A teraz jakaś przeklęta skała wynurzyła się z morza i wszyscy zachowują się tak, jakby Klatch pozwolił swoim psom szczekać przez całą noc.

– *Aagragaah* – powiedział smętnie Detrytus.

– Nie przejmuj się mną, tylko nie pluj mi na buty – odparł Vimes.

– Znaczy... – Detrytus machnął wielką dłonią. – Takie... rzeczy, co one źle

pachną... – Urwał, myśląc intensywnie. – *Aagragaah*. Znaczy, tak jakby, taki czas, jak się widzi te takie kamyki i się zwyczajnie wie, że zaraz spadnie wielka lawina i już za późno, coby uciekać. Taka chwila to *aagragaah*.

Vimes poruszył wargami.

– Złe przeczucia?

– Trafiony.

– A skąd się wzięło to słowo?

Detrytus wzruszył ramionami.

– Może się nazywają od głosu, co się go wydaje, kiedy kogoś trafi tysiąc ton skały.

– Złe przeczucia... – Vimes potarł podbródek. – Tak... Mnie ich też nie brakuje.

Lawiny, myślał. Śnieżne płatki opadają, lekkie jak piórka, i nagle całe zbocze góry się rusza...

Detrytus zerknął na niego chytrze.

– Wiem, co wszyscy mówią – oświadczył. – Weź trzonek noża, to będzie tępy jak Detrytus. Ale ja tam wiem, skąd wiatr wieje.

Vimes z nowym szacunkiem popatrzył na sierżanta.

– Zauważyłeś?

Troll z przebiegłą miną stuknął palcem w hełm.

– To całkiem proste. Widzi pan, komendancie, na dachach wszystkie te małe kuraki, smoki i różne? I tego biedaka na Gildii Złodziejów? Wystarczy na nie popatrzeć. One wiedzą. Nie mam pojęcia, jak to robią, że zawsze pokazują w dobrą stronę.

Vimes uspokoił się nieco. Inteligencja Detrytusa wcale nie była taka niska – jak na trolla. Mieścił się gdzieś pomiędzy głowonogiem a linoskoczkiem. Można jednak mieć pewność, że nie pozwoli, by mu to w czymkolwiek przeszkodziło.

Detrytus mrugnął porozumiewawczo.

– I to mi wygląda jak ten czas, kiedy się idzie i znajduje taką wielką, solidną maczugę, a potem słucha taty, co opowiada, jak to kiedyś pobił krasnoludy, jak jeszcze był mały – powiedział. – Coś krąży w powietrzu, nie?

– Eee... tak – przyznał Vimes.

Coś zatrzepotało mu nad głową. Westchnął ciężko. Przybywała wiadomość.

Gołębiem.

Próbowali wszystkiego innego. Smoki bagienne miały skłonność do wybuchania w powietrzu, chochliki zjadały wiadomości, a semaforowe hełmy nie okazały się skuteczne, zwłaszcza przy silnym wietrze. Wtedy kapral Tyłeczek zauważyła, że gołębie w Ankh-Morpork – z powodu wielu stuleci tępienia przez miejską populację gargulców – są znacznie bardziej inteligentne od większości gołębi. Co prawda, zdaniem Vimesa, nie była to wielka sztuka, ponieważ istnieją rzeczy wyrastające na starym wilgotnym chlebie, które są bardziej inteligentne od większości gołębi.

Wyjął z kieszeni garść ziarna. Gołąb, posłuszny starannej tresurze, usiadł mu na ramieniu. Posłuszny wewnętrznym naciskom, wypróżnił się.

– Wiesz co? Musimy znaleźć coś lepszego – oświadczył Vimes, rozwijając karteczkę. – Za każdym razem, kiedy wysyłamy wiadomość do funkcjonariusza Rzygacza, on ją zjada.

– No, przecie jest gargulcem – przypomniał Detrytus. – Myśli, że przyleciał obiad.

– Och – mruknął Vimes. – Jego lordowska mość oczekuje mojego

przybycia. Jak miło.

Lord Vetinari słuchał w skupieniu, ponieważ przekonał się, że pilne słuchanie zwykle zbija ludzi z tropu. A na spotkaniach takich jak dzisiejsze, kiedy gromadzili się przywódcy społeczności miasta, wsłuchiwał się w tym większym skupieniu. Gdyż to, co ludzie mówili, było tym, co chcieli, by usłyszał. Zwracał więc baczność uwagę na przerwy, chwile ciszy poza słowami. Tam kryło się to, o czym – mieli nadzieję – nic nie wie i woleliby, żeby tego nie odkrył.

W tej chwili zwracał uwagę na kwestie, których lord Downey z Gildii Skrytobójców jakoś nie poruszał w swej długiej opowieści o wysokim poziomie szkolenia w gildii i jej wartości dla miasta. W końcu zamilkł, uciszony agresywną koncentracją Patrycjusza.

– Dziękuję, lordzie Downey – powiedział Vetinari. – Jestem przekonany, że wiedząc to wszystko, będziemy spać o wiele mniej spokojnie. Jest tylko jeden drobiazg. O ile pamiętam, skrytobójcy nazywali się kiedyś asasynami, a słowo to pochodzi z klatchiańskiego?

– No... w samej rzeczy.

– Mam też wrażenie, że wielu waszych studentów pochodzi, jak się okazuje, z Klatchu i krain z nim sąsiadujących?

– Niedościgniony poziom naszej edukacji...

– Oczywiście. Zatem mówi mi pan, jeśli dobrze się zastanowić, że ich asasyni zajmują się tym dłużej, znają dobrze nasze miasto, a także dzięki wam udoskonalili swój tradycyjny kunszt?

– Eee...

Patrycjusz zwrócił się do pana Burleigha.

– Z pewnością jednak dysponujemy przewagą uzbrojenia, panie Burleigh?

– Ależ tak. Można mówić co się chce o krasnoludach, ale i my produkujemy ostatnio znakomity sprzęt – zapewnił przewodniczący Gildii Zbrojmistrzów.

– No tak. Przynajmniej to daje pewną pociechę.

– Tak – zgodził się Burleigh. Minę miał smętną. – Jednakże w produkcji broni ważny jest pewien fakt... dość istotny fakt...

– Jak sądzę, chce nam pan powiedzieć, że istotny fakt w interesie z produkcją broni to ten, że jest to interes.

Burleigh wyglądał, jakby zerwał się z haka tylko po to, by nadzieć się na większy.

– No... tak.

– Że, ściśle mówiąc, broń jest na sprzedaż.

– No... właśnie.

– Dla każdego, kto zechce ją kupić.

– No... tak.

– Niezależnie od celów, dla jakich zechce jej użyć?

Producent sprzętu bojowego zrobił urażoną minę.

– Słucham? Oczywiście. Przecież to jest broń.

– I podejrzewam, że w ostatnich latach bardzo lukratywnym rynkiem był Klatch?

– W zasadzie... Szeryf potrzebuje jej do pacyfikacji odległych regionów...

Patrycjusz wyciągnął rękę. Drumknott, sekretarz, wręczył mu kartkę papieru.

– Wielki Wyrównywacz, samojezdna dziesięciorzędowa 500-funtowa kusza – przeczytał. – I jeszcze, niech znajdzie... Meteor, automatyczny miotacz gwiazdek do rzutów, dekapituje na dwadzieścia kroków, zwrot pieniędzy w przypadku niepełnej dekapitacji.

– Słyszałeś kiedy o D'regach, panie? – zapytał Burleigh. – Mówią, że jedyna metoda pacyfikacji któregoś z nich to walić go po wielokroć toporem, a to, co zostanie, zakopać pod kamieniem. I nawet wtedy lepiej wybrać ciężki kamień.

Patrycjusz sprawiał wrażenie, że przygląda się rysunkowi Derwisza MK III, bolas z drutu kolczastego. Zapadła bolesna cisza. Burleigh spróbował ją wypełnić, co zawsze jest poważnym błędem.

– Poza tym tworzymy tak potrzebne w Ankh-Morpork miejsca pracy – wymamrotał.

– Eksportując broń do innych krajów – dokończył Vetinari.

Oddał sekretarzowi papier i przeszył Burleigha przyjaznym uśmiechem.

– Bardzo się cieszę, że ta gałąź przemysłu tak znakomicie sobie radzi – zapewnił. – Będę o tym szczególnie dobrze pamiętał.

Złożył dłonie.

– Sytuacja jest ciężka, panowie – rzekł.

– Czyja? – spytał Burleigh.

– Słucham?

– Co? Och, przepraszam, panie. Myślałem o czymś innym.

– Chodziło mi o to, że pewna liczba naszych obywateli popłynęła na tę nieszczęsną wyspę. Podobnie, o ile mi wiadomo, jak pewna liczba Klatchian.

– Ale dlaczego nasi ludzie tam wyruszają? – wtrącił pan Boggis z Gildii Złodziei.

– Ponieważ demonstrują tym mocnego ducha pionierów, a także szukają bogactw i... dodatkowych bogactw na nowych terytoriach.

– A co mają z tego Klatchianie? – spytał Downey.

– Och, oni tam docierają, ponieważ są bandą pozbawionych zasad oportunistów, zawsze gotowych ukraść coś bez ryzyka – wyjaśnił Vetinari.

– Mistrzowskie podsumowanie, jeśli wolno zauważyć – pochwalił Burleigh, uznając, że powinien poprawić swoją pozycję.

Patrycjusz znów zajrzał do notatek.

– Och, najmocniej panów przepraszam – powiedział. – Zdaje się, że odczytałem te zdania w odwrotnym porządku... Panie Slant, chyba ma pan coś do powiedzenia w tej kwestii?

Przewodniczący Gildii Prawników odchrząknął. Dźwięk przypominał śmiertelny kaszel i formalnie biorąc nim był, gdyż pan Slant od kilkuset lat był zombi. Co prawda zapisy historyczne stwierdzały, że jedyna różnica, jaka pojawiła się od chwili śmierci, polegała na tym, że zaczął pracować też w czasie przerwy śniadaniowej.

– Istotnie – zgodził się i otworzył gruby tom. – Historia miasta Leshp i otaczających go ziem jest nieco mglista. Wiadomo jednak, że znajdowało się nad powierzchnią morza prawie tysiąc lat temu. Zapisy sugerują, że uznawane było za część imperium ankhmorporskiego...

– Jaka jest natura owych zapisów i czy wyjaśniają, kto zajmował się tym uznawaniem? – spytał Patrycjusz. Drzwi otworzyły się i wszedł Vimes. – Ach, to pan, komendancie. Proszę usiąść. Niech pan kontynuuje, panie Slant.

Zombi nie lubił, kiedy mu przerywano. Odchrząknął ponownie.

– Zapisy dotyczące zaginionej krainy pochodzą sprzed kilkuset lat, panie. I oczywiście są to nasze zapisy.

– Tylko nasze?

– Nie bardzo widzę, jakie jeszcze mogłyby mieć zastosowanie – odparł surowo pan Slant.

– Klatchiańskie, na przykład? – wtrącił Vimes siedzący po przeciwnej stronie stołu.

– Sir Samuelu, język klatchiański nie ma nawet słowa oznaczającego prawnika.

– Naprawdę? To szczęściarze.

– Uważamy – oznajmił Slant, odwracając nieco krzesło tak, by nie musiał patrzeć na Vimesa – że nowa ziemia należy do nas prawem Wspaniałego Królestwa, prawem Eksterytorialności, a co najważniejsze, *Acquiris Quodcumque Rapis*. Jak mnie poinformowano, tym razem to jeden z naszych rybaków pierwszy postawił na niej stopę.

– Słyszałem, że według Klatchian był to jeden z ich rybaków – zauważył Vetinari.

Przy końcu stołu Vimes bezgłośnie poruszał wargami. Zaraz, jak to będzie... *Acquiris*...

– „Dostajesz, co złapiesz”? – powiedział na głos.

– Nie uwierzymy im chyba na słowo – rzekł Slant, ostentacyjnie ignorując komendanta. – Proszę wybaczyć, panie, ale nie uwierzę, by dumne Ankh-Morpork słuchało poleceń bandy złodziei w ręcznikach na głowach.

– Nie, na honor! Najwyższy czas, żeby dać lekcję Rysiowi Klatchysiowi – odezwał się lord Selachii. – Pamiętacie tę zeszłoroczną historię z kapustą? Nie przyjęli ładunku z dziesięciu statków!

– A przecież wszyscy wiedzą, że robaki poprawiają smak – dokończył Vimes, jakby do siebie.

Patrycjusz rzucił mu uważne spojrzenie.

– Otóż to – zgodził się Selachii. – Dobrze, uczciwe białko. A pamiętacie,

jakie kłopoty miał kapitan Jenkins z transportem baraniny? Chcieli go zamknąć! W klatchiańskim więzieniu!

– To chyba niemożliwe! Mięso jest przecież najlepsze, kiedy zielenieje – rzekł Vimes.

– Zresztą smakowałoby tak samo pod tym całym curry – wtrącił Burleigh.
– Byłem kiedyś na bankiecie w ich ambasadzie i wiecie, co mi kazali jeść? Owcze...

– Bardzo przepraszam, panowie. – Komendant wstał. – Muszę pilnie załatwić pewne sprawy.

Skinął głową Patrycjuszowi i szybko wyszedł. Zamknął za sobą drzwi i nabrął do płuc świeżego powietrza, choć w tej chwili z radością odetchnąłby głęboko nawet w garbarni.

Kapral Tyłeczek wstała i spojrzała na niego pytająco. Obok niej leżała gruchająca łagodnie skrzynka.

– Coś się dzieje. Biegnij... to znaczy poślij gołębia do Yardu – polecił Vimes.

– Tak?

– Od tej chwili odwołuję wszystkie przepustki, a wszystkich funkcjonariuszy, ale naprawdę wszystkich, chcę widzieć w Yardzie o... powiedzmy, o szóstej.

– Tak jest. Potrzebny będzie drugi gołąb, chyba że napiszę bardzo małymi literami.

Tyłeczek odeszła.

Vimes wyjrzał przez okno. Przed pałacem zawsze krążyli ludzie, ale dzisiaj był tam... właściwie nie tłum, raczej tylko więcej ludzi, niż się zwykle widziało. Kręcili się. Jakby na coś czekali.

Klatch!

Wszyscy wiedzą.

Pocziwy Detrytus miał rację. Człowiek niemal słyszał, jak spadają kamyki. To nie paru rybaków się pokłóciło, tu chodzi o całe wieki... czego? Coś jakby dwóch potężnych mężczyzn próbowało się zmieścić w małym pomieszczeniu; starają się być uprzejmi, aż pewnego dnia jeden z nich musi się przeciągnąć, a wkrótce potem obaj rozwalają meble.

Ale to przecież nie może się zdarzyć, prawda? Z tego, co słyszał, obecny szeryf jest władcą kompetentnym, zajęтым głównie pacyfikacją awanturniczych rubieży swojego imperium. Wielkie nieba, przecież Klatchianie żyją w Ankh-Morpork! Są Klatchianie, którzy urodzili się w Ankh-Morpork! Człowiek widzi chłopaka, który na całej twarzy ma wypisane wielbłądy, a kiedy otworzy usta, okazuje się, że ma ankhijski akcent, tak ciężki, że skały mogłyby kruszyć. Pewnie, opowiada się dowcipy o dziwnym jedzeniu i cudzoziemcach, ale na pewno...

Niezbyt śmieszne dowcipy, jeśli się chwilę zastanowić.

Kiedy się słyszy wybuch, nie ma już czasu na zastanawianie się, jak długo skwierczał lont.

Wracał do Sali Szczurów, kiedy usłyszał podniesione głosy.

– Ponieważ, lordzie Selachii – tłumaczył Patrycjusz – to nie są już dawne czasy. Nie uznaje się za... uprzejmość wysyłanie okrętu, żeby, jak pan to określił, pokazać Rysiovi Klatchysiovi, że zbłądził. Przede wszystkim nie mamy już żadnych okrętów, od dnia kiedy czterysta lat temu zatонуła „Mary-Jane”. I czasy się zmieniły. Dzisiaj cały świat obserwuje. W dodatku, lordzie, nie możemy już powiedzieć „Na co się gapicie?” i podbić im oka. – Oparł się na krzesło. – Jest Chimeria, Khanli, Efeb i Tsort. A ostatnio także Muntab. I Omnia. Część z nich to potężne narody, panowie. Wielu nie podoba się obecna, ekspansjonistyczna polityka Klatchu, ale nas także zbytnio nie lubią.

– A czemuż to? – zdziwił się lord Selachii.

– Cóż... Albowiem w naszej historii z tymi, których nie okupowaliśmy, prowadziliśmy zwykle wojny. A z jakichś powodów rzeź tysięcy ludzi na

ogół tkwi w pamięci.

– Och, historia... To przeszłość.

– Dobre miejsce dla historii, przyznaję – zgodził się z powagą Patrycjusz.

– Chciałem powiedzieć: dlaczego nas teraz nie lubią? Czy jesteśmy im winni pieniądze?

– Nie. W większości przypadków to oni są nam winni. Co oczywiście stanowi o wiele lepszy powód dla braku sympatii.

– A co ze Sto Lat, Pseudopolis i innymi miastami? – zapytał lord Downey.

– Też nas specjalnie nie lubią.

– Czemu? Przecież łączy nas wspólne dziedzictwo! – obruszył się lord Selachii.

– Owszem, ale to wspólne dziedzictwo składa się głównie z wojen toczonych ze sobą nawzajem – przypomniał Vetinari. – Trudno oczekiwać mocnego wsparcia. To dość pechowa sytuacja, albowiem tak się składa, że nie mamy armii. Oczywiście, nie jestem specjalistą w dziedzinach militarnych, ale wydaje mi się, że w prowadzeniu wojny jest ona elementem kluczowym. – Rozejrzał się po zebranych. – Faktem jest, że Ankh-Morpork stanowczo się sprzeciwia utrzymywaniu stałej armii.

– Wszyscy wiemy, dlaczego ludzie nie ufają armii – stwierdził lord Downey. – Duża liczba uzbrojonych ludzi, którzy nie mają nic do roboty... Różne rzeczy przychodzą im do głowy.

Vimes zauważył, że wszystkie spojrzenia kierują się ku niemu.

– Coś podobnego – odezwał się z nieszczerym ożywieniem. – Czyżby była to aluzja do „Kamiennej Gęby” Vimesa, który poprowadził miejską milicję do buntu przeciwko tyranowi, by zaprowadzić jakiś rodzaj sprawiedliwości i swobody? Wydaje mi się, że tak! A czy był wtedy komendantem Straży Miejskiej? Wielkie nieba, rzeczywiście! Czy został

powieszony, poćwiartowany i pochowany w pięciu grobach? I czy jest dalekim przodkiem obecnego komendanta? Coś takiego, tyle zbiegów okoliczności naraz, prawda? – Z jego głosu znikł ton maniakalnej wesołości, zastąpiony gniewnym warknięciem. – Zgadza się! A kiedy już mamy to za sobą, czy ktoś chciałby zgłosić jakąś rzeczową uwagę?

Nastąpiła ogólna zmiana pozycji i grupowe chrząkanie.

– Co z najemnikami? – zapytał Boggis.

– Kłopot z najemnikami polega na tym – odparł Patrycjusz – że trzeba im zapłacić, by zaczęli walkę. I jeśli nie ma się wyjątkowego szczęścia, w rezultacie trzeba im zapłacić jeszcze więcej, żeby jej zaprzestali...

Selachii uderzył pięścią w stół.

– Trudno! Będziemy walczyć sami! Za naszych bogów, honor i Ankh-Morpork!

– Może by się przydało – przyznał Vetinari. – Bo za pieniądze to raczej niemożliwe. Właśnie chciałem powiedzieć, że nie stać nas na najemników.

– Jak to możliwe? – zdumiał się lord Downey. – Czyż nie płacimy podatków?

– Ach... Domyślałem się, że ta kwestia zostanie podniesiona. – Vetinari uniósł rękę i na ten znak sekretarz wsunął mu w dłoń arkusz papieru. – Niech no znajdę... O, jest. Gildia Skrytobójców... Przychody brutto w zeszłym roku: 13 207 048 AM\$. Podatki odprowadzone za zeszły rok: czterdzieści siedem dolarów, dwadzieścia dwa pensy i coś, co po zbadaniu okazało się hershebiańskim półdongiem, wartym jedną ósmą pensa.

– Wszystko całkowicie zgodnie z prawem! Gildia Księgowych...

– A właśnie, Gildia Księgowych. Przychody brutto 7 999 011 AM\$. Odprowadzony podatek: zero. Ale tak, widzę, że złożyli wniosek o zwrot 200 000 AM\$.

– A to, co otrzymaliśmy, chcę zaznaczyć, zawierało także

hershebiańskiego półdonga.

– Co wychodzi, to wraca – wyjaśnił chłodno Patrycjusz. Rzucił papier na stół. – Zbieranie podatków, panowie, przypomina hodowlę krów. Chodzi o to, by uzyskać jak najwięcej mleka przy minimalnym muczeniu. Lękam się powiedzieć to wprost, ale ostatnio dostajemy wyłącznie „muu”.

– Czy sugeruje pan, że Ankh-Morpork jest w stanie bankructwa? – upewnił się Downey.

– Oczywiście. Lecz równocześnie pełne jest ludzi bogatych. Mam nadzieję, że swoje fortuny wydają na miecze.

– I pozwolił pan na tak powszechne unikanie podatków? – nie dowierzał Selachii.

– Ależ podatki nie są unikane. Nie są też omijane. Po prostu nie są płacone.

– Obrzydliwy stan rzeczy.

Patrycjusz zmarszczył brwi.

– Komendancie...

– Tak, sir?

– Zechce pan uprzejmie sformować zespół swoich najbardziej doświadczonych ludzi, porozumieć się z poborcami i odebrać zaległe podatki? Mój sekretarz przekaże panu listę największych dłużników.

– Tak jest, sir. A gdyby się opierali? – Vimes uśmiechnął się złośliwie.

– Ależ jak mogliby się opierać, komendancie? To przecież zgodna wola przywódców naszego społeczeństwa. – Wziął od sekretarza kolejny dokument. – Spójrzmy tylko... Na szczycie listy...

Lord Selachii zakaszał nerwowo.

– Już o wiele za późno na takie nonsensy – oświadczył.

– Mleko się rozlało – zgodził się Downey.

– Martwe i pogrzebane – dodał Slant.

– Ja swoje zapłaciłem – rzucił Vimes.

– Podsumujmy zatem – rzekł Vetinari. – Nie sądzę, by ktokolwiek uważał, że dwa dorosłe narody powinny walczyć o kawałek skały. Nie chcemy walczyć, ale...

– Jeśli nas zmuszą, na bogów, honor i Ankh-Morpork, pokażemy tym... – zaczął lord Selachii.

– Nie mamy okrętów. Nie mamy ludzi. Pieniądzy też nie mamy. Nie ma kto w pierwszym szeregu podążyć na bój. Tym bardziej w następnych. Naturalnie, posiadamy sztukę dyplomacji. Zdziwiające, czego można dokonać właściwymi słowami.

– Niestety, właściwe słowa chętniej bywają słuchane, jeśli ma się również solidny kij – zauważył lord Downey.

Selachii uderzył w stół.

– Wcale nie musimy z nimi rozmawiać! Panowie, od nas zależy, czy im pokażemy, że nie mogą nami pomiatać. Musimy formować regimenty!

– Aha, prywatne armie? – mruknął Vimes. – Pod dowództwem kogoś, kogo jedyną kwalifikacją jest to, że może zapłacić za tysiąc śmiesznych hełmów?

Ktoś siedzący w połowie długości stołu pochylił się nagle. Aż do tej chwili Vimes sądził, że śpi, i kiedy lord Rust przemówił, rzeczywiście przypominało to ziewnięcie.

– Których kwalifikacje, panie Vimes, pochodzą z tysiąca lat wychowywania na przywódców – powiedział.

Ten „pan” zakłuł Vimesa w piersi. Wiedział, że jest panem Vimesem, zawsze będzie, prawdopodobnie jest wręcz schematem pana; ale prędzej go demony porwą, niż przestanie być sir Samuelem dla kogoś, kto „których” wymawiał jak „któryh”.

– Ach, wychowanie – rzekł. – Przykro mi, tym nie dysponuję, jeśli ono właśnie jest wymagane, żeby posłać swoich ludzi na śmierć dla zwykłego...

– Proszę, panowie – przerwał mu Patrycjusz. Potrząsnął głową. – Unikajmy konfliktów, jeśli można. To w końcu narada wojenna. A co do formowania regimentów, oczywiście, jest to wasze odwieczne prawo. Wystawienie oddziałów zbrojnych w godzinie największej potrzeby należy wręcz do obowiązków dżentelmena. Historia jest po waszej stronie. Precedensy są oczywiste i nie mogą stanąć im wbrew. Muszę też dodać, że mnie na to nie stać.

– Pozwoli im pan bawić się w żołnierzy? – spytał Vimes.

– Ależ komendancie... – uśmiechnął się Burleigh. – Jako człowiek wojskowy musi pan...

Czasami ludzie ściągają na siebie uwagę krzykiem. Mogą próbować wałnąć pięścią w stół czy nawet kogoś uderzyć. Ale Vimes osiągnął ten sam skutek, zamierając w bezruchu. Nie zrobił nic. Twarz mu skamieniała. Aż bił od niego chłód.

– Nie jestem wojskowym.

I wtedy Burleigh popełnił błąd, próbując uśmiechnąć się rozbrajająco.

– No cóż, komendancie, ten hełm, pancerz i cała reszta... W rezultacie wychodzi na to samo, prawda?

– Nie. Wcale nie.

– Panowie... – Vetinari położył dłonie płasko na blacie: znak, że narada dobiegła końca. – Mogę tylko powtórzyć, że jutro chcę przedyskutować sprawę z księciem Khufurahem...

– Słyszałem o nim wiele dobrego – przyznał lord Rust. – Surowy, ale sprawiedliwy. Można tylko podziwiać jego dokonania w tych zacofanych regionach. Niezwykłe...

– Nie, lordzie Rust. Myśli pan o księciu Cadramie – sprostował Vetinari.
– Khufurah to jego młodszy brat. Przybywa do nas jako specjalny wysłannik swojego brata.

– Jak to? On? Ten człowiek to utracjusz! Oszust! Kłamca! Mówią, że bierze ła...

– Dziękuję za tę dyplomatyczną pomoc, lordzie Rust – przerwał mu Patrycjusz. – Musimy godzić się z faktami. Zawsze istnieje metoda. Nasze kraje mają wiele wspólnych interesów. I naturalnie fakt, że Cadram wysłała własnego brata, by rozwiązać problem, wiele mówi o powadze, z jaką traktuje tę kwestię. To ukłon w stronę społeczności międzynarodowej.

– Przyjeżdża klatchiańska gruba ryba? – zdumiał się Vimes. – Nikt mnie nie uprzedził!

– Choć może się to wydać dziwne, sir Samuelu, od czasu do czasu potrafię rządzić tym miastem nawet kilka minut bez przerwy, nie szukając pańskiej rady ani przewodnictwa.

– Chodzi mi o to, że panują antyklatchiańskie nastroje...

– Paskudna sytuacja – szepnął lord Rust do pana Boggisa tym specjalnym arystokratycznym szeptem, który jest słyszalny aż po krokwie dachu. – To obraza, przysyłać go tutaj.

– Jestem pewien, Vimes, że dopilnuje pan, by można bezpiecznie chodzić po ulicach – rzekł ostrym tonem Patrycjusz. – Wiem, że szczyli się pan takimi osiągnięciami. Oficjalnie książę przybywa tu, ponieważ magowie zaprosili go na tę swoją wielką ceremonię. Mają mu dać doktorat honorowy czy coś w tym rodzaju. A potem idą z nim na jeden z tych swoich obiadów. Lubię negocjować z ludźmi po tym, jak grono profesorskie Niewidocznego Uniwersytetu gościło ich na obiedzie. Mało się wtedy poruszają i zgadzają się praktycznie na wszystko, jeśli tylko uznają, że pojawi się szansa zdobycia

proszku na zagę i szklaneczki wody. A teraz, panowie... zechcecie mi wybaczyć...

Lordowie i liderzy gildii wyszli pojedynczo i dwójkami, rozmawiając cicho po drodze.

Patrycjusz ułożył swoje papiery, przesuwając szczupłym palcem wzdłuż każdej z czterech krawędzi pliku, po czym uniósł wzrok.

– Mam wrażenie, że rzuca pan cień, komendancie.

– Chyba nie pozwoli im pan naprawdę formować regimentów, co?

– Wie pan, Vimes, absolutnie żadne prawo tego nie zakazuje. A przynajmniej będą mieli jakieś zajęcie. Oficjalnie każdy dżentelmen ma takie prawo. Więcej nawet, o ile wiem, jest zobowiązany wystawić własny oddział, gdy miasto tego potrzebuje. I oczywiście każdy obywatel ma prawo nosić broń. Proszę o tym pamiętać.

– Noszenie broni to jedna sprawa, ale wymachiwanie nią i zabawa w żołnierzy to całkiem coś innego. – Vimes pochylił się, opierając pięści o blat.
– Nie mogę się pozbyć myśli, że gdzieś w Klatchu banda idiotów robi dokładnie to samo. Tłumaczą szeryfowi: „Czas już policzyć się z tymi demonami w Ankh-Morpork, offendi”. A kiedy wielu ludzi biega dookoła z bronią i wygaduje głupoty o wojnie, zdarzają się wypadki. Był pan kiedyś w gospodzie, gdzie wszyscy są uzbrojeni? Och, na początku są dość grzeczni, przyznaję. Ale w końcu jakiś tuman napije się z cudzego kufla albo przez pomyłkę weźmie cudzą resztę, a pięć minut później trzeba wybierać nosy z orzeszków...

Patrycjusz spojrział na zaciśnięte pięści Vimesa i wpatrywał się w nie nieruchomo, aż Vimes cofnął ręce.

– Vimes, będzie pan jutro na tym uniwersyteckim Convivium. Posłałem panu notkę na ten temat.

– Nie do... – W umyśle Vimesa pojawiła się zdradziecka wizja stosów nieprzeczytanych dokumentów na biurku. – Aha – rzekł.

– Komendant Straży Miejskiej prowadzi procesję w pełnym galowym mundurze. To pradowny zwyczaj.

– Ja? Mam iść przed wszystkimi?

– Tak właśnie. To bardzo... obywatelskie. Demonstruje przyjazny układ między uniwersytetem a władzami miasta, który to układ, jeśli mogę ocenić, stwierdza, że oni obiecują zrobić wszystko, o co poprosimy, pod warunkiem że my obiecujemy o nic ich nie prosić. Zresztą to pański obowiązek. Tak nakazuje tradycja. A lady Sybil zgodziła się dopilnować, żeby zjawił się pan z twarzą jasną, promienną i pogodną.

Vimes odetchnął głęboko.

– Prosił pan moją żonę?

– Oczywiście. Jest z pana bardzo dumna. Wierzy, że jest pan zdolny do wielkich czynów, Vimes. Ma pan w niej silne wsparcie.

– Ale ja... To znaczy, ja... Tak...

– Doskonale. Aha, Vimes, jeszcze coś. Zawarłem umowę ze skrytobójcami i złodziejami, ale żeby zabezpieczyć się ze wszystkich stron... Wyświadczy mi pan przysługę, jeśli dopilnuje pan, żeby nikt nie rzucał w księcia jajkami ani niczym podobnym. Takie zdarzenia zawsze irytują...

Przeciwnicy obserwowali się czujnie. Byli starymi wrogami. Wiele już razy próbowali swych sił, poznali smak klęski i zwycięstwa, często stawali na ubitej ziemi. Tym razem na pewno się nie cofną.

Pobierały kostki palców. Buty niecierpliwie drapały ziemię.

Kapitan Marchewa raz czy dwa odbił piłkę.

– Dobra, chłopcy, spróbujemy znowu. Ale tym razem bez brutalnych zagrań. William, co jesz?

Przemysłny Szturchacz się skrzywił. Nikt nie znał jego imienia. Dzieciaki, z którymi dorastał, nie miały pojęcia, jak ma na imię. Jego własna matka, gdyby kiedyś odkrył, kim jest, nie wiedziałaby, jakie imię nosi jej syn. Ale Marchewa jakoś to odkrył. Gdyby ktokolwiek inny nazwał go Williamem, musiałby zaraz szukać własnego ucha. We własnym gardle.

– Żuję gumę, pszepana.

– A przyniosłeś dla wszystkich?

– Nie, pszepana.

– Więc odłóż ją na bok. Zuch. A teraz... Gavin, co ty tam masz w rękawie?

Chłopak zwany Gavem Śmieciarzem nie próbował nawet zaprzeczać.

– Nóż, panie Marchewa.

– I założę się, że wystarczy go dla wszystkich, co?

– Zgadza się, pszepana. – Śmieciarz wyszczerzył zęby. Miał dziesięć lat.

– No już, odłóż go na stos, tam gdzie pozostali...

Funkcjonariusz Shoe patrzył ze zgrozą zza muru. W szerokim zaułku zebrało się około pięćdziesięciu chłopców. Średnia wieku w latach: około jedenastu. Średnia wieku w cynizmie i złośliwym okrucieństwie: około stu sześćdziesięciu trzech. Wprawdzie w ankhmorporskim futbolu zwykle nie ma bramek w normalnym sensie, jednak tutaj ustawiono dwie, po obu końcach zaułka. Użyto uświęconej tradycją metody układania stosu przedmiotów w miejscach, gdzie powinny być słupki.

Dwa stosy: jeden noży, drugi tępych narzędzi.

Pośrodku grupy chłopców, którzy nosili barwy co paskudniejszych gangów ulicznych, kapitan Marchewa odbijał o ziemię napompowany świński pęcherz.

Funkcjonariusz Shoe zastanowił się, czy nie powinien iść po pomoc, ale wydawało się, że Marchewa nie czuje się zagrożony.

– Ehm, kapitanie... – spróbował.

– O, witaj, Reg. Właśnie mamy tu przyjacielski mecz piłki nożnej. To jest funkcjonariusz Shoe, chłopcy.

Pięćdziesiąt par oczu powiedziało: Zapamiętamy twoją gębę, glino.

Reg wysunął się zza muru i oczy zauważyły strzałę, która przebiła mu półpancerz i wystawała na kilka cali z pleców.

– Mam drobne kłopoty, sir – zameldował Reg. – Pomyślałem, że lepiej pana sprowadzę. Wzięli zakładnika...

– Dobrze, już biegnę. W porządku, chłopaki, bardzo przepraszam. Zagrajcie sami, dobra? Mam nadzieję, że zobaczymy się we wtorek. Pośpiewamy trochę i upieczemy kielbaski.

– Tak, pszešana – zapewnił Przemysłny Szturchacz.

– A kapral Angua postara się was nauczyć zewu ogniskowego.

– Jasne. Pewno – rzekł Śmieciarz.

– A co robimy, zanim się rozstaniemy? – zapytał Marchewa znacząco.

Doborowe grupy Skatów i Irocków z zawstydzeniem spoglądały na siebie nawzajem. Zwykle nie lękali się niczego – okazanie strachu w dowolnych okolicznościach groziło wykluczeniem. Ale kiedy w rozmaity sposób ustalali klanowe reguły, nikt nawet nie pomyślał, że pojawi się ktoś taki jak Marchewa.

Rzucając spode łba spojrzenia „Pozabijamy was, jeśli komuś o tym powiecie”, unieśli palce wskazujące obu dłoni na wysokość uszu i krzyknęli chórem:

– Czuj, czuj, czuj!

– Czaj, czaj, czaj! – odpowiedział z satysfakcją Marchewa. – W porządku. Reg, idziemy.

– Jak pan to robi, kapitanie? – zapytał funkcjonariusz Shoe, kiedy oddalali się szybkim krokiem.

– Och, trzeba tylko podnieść oba palce, o tak... – wyjaśnił Marchewa. – Ale będę zobowiązany, jeśli nie będziecie o tym mówić, bo to powinien być tajny...

– Przecież to chuligani, kapitanie! Młodociani mordercy! Rabusie!

– No, są trochę krnąbrni, ale w gruncie rzeczy to mili chłopcy. Trzeba tylko poświęcić trochę czasu, żeby zrozumieć...

– Słyszałem, że nikomu nie dają dość czasu na rozumienie! Czy pan Vimes wie, co pan tu robi?

– Owszem, tak jakby. Powiedziałem, że chciałbym założyć klub dla chłopców z ulicy, a on na to, że proszę bardzo, pod warunkiem że zabiorę ich na biwak na krawędź jakiejś naprawdę głębokiej przepaści przy silnym wietrze. Ale on zawsze tak mówi. Na pewno nie chcielibyśmy, żeby nagle się zmienił. Do rzeczy. Gdzie są ci zakładnicy?

– U Vortina, kapitanie. Ale to... no, to coś gorszego...

Za nimi Skaci i Irockowie spoglądali na siebie czujnie. Potem zabrali swoją broń i wycofali się ostrożnie. Nie o to chodzi, że nie chcemy walczyć, mówiła ich postawa. Po prostu mamy w tej chwili ważniejsze sprawy do załatwienia, dlatego pójdziemy sobie stąd i sprawdzimy, co to za sprawy.

Jak rzadko kiedy w dokach, nie słyhać było krzyków i ogólnego gwaru. Ludzie byli zbyt zajęci myśleniem o pieniądzach.

Sierżant Colon i kapral Nobbs stali oparci o pryzmę drewna i obserwowali, jak ktoś bardzo starannie maluje na dziobie kutra nazwę „Chluba Ankh-Morpork”. W pewnym momencie musi sobie uświadomić, że

opuścił pierwsze „h”, więc spokojnie czekali na tę prostą rozrywkę.

– Był pan kiedy na morzu, sierżancie? – zapytał Nobby.

– Ha! Nigdy w życiu! – zapewnił sierżant. – Nie bawi mnie chłostanie bałwanów, mój chłopcze.

– Ja też nie. Nigdy nie wychłostałem żadnego bałwana. Przez całe życie nie wychłostałem bałwana.

– Otóż to.

– Zawsze miałem czyste konto pod tym względem.

– Pewnie w ogóle nie wiesz, co to znaczy chłostać bałwany?

– Nie, sierżancie.

– To znaczy wyruszać na morze. Morzu w ogóle nie można ufać. Kiedy byłem jeszcze mały, miałem książeczkę o chłopczyku, który się zmienił w syrenę, rozumiesz, i mieszkał na dnie morza...

– ...bałwan...

– No i tam były takie miłe gadające ryby, różowe muszle i różne takie, a potem pojechaliśmy na wakacje do Quirmu i zobaczyłem morze, i pomyślałem: no to jest. I gdyby mama nie była szybka, to nie wiem, jak by się to skończyło. Rozumiesz, ten dzieciak z książeczki mógł oddychać pod wodą, więc niby skąd miałem wiedzieć? Wszystko, co piszą o morzu, to same kłamstwa. Tam jest tylko muł z homarami w środku.

– Wujek mojej mamy był marynarzem – przypomniał sobie Nobby. – Ale po wielkiej zarazie go zwinęli. Banda farmerów go upiła i rano obudził się przykuty do pługa.

Stali chwilę w milczeniu.

– Wygląda na to, że będzie walka, sierżancie – odezwał się Nobby, kiedy malarz bardzo starannie zaczął „k”.

– Długo nie potrwa. Banda tchórzów, ci Klatchianie. Jak tylko posmakują zimnej stali, zaraz uciekają po piasku.

Sierżant Colon odebrał rozległe wykształcenie. Ukończył Szkołę „Mój Tato Zawsze Powtarzał”, College „To Przecież Rozsądne”, a obecnie był studentem podyplomowym Uniwersytetu „Co Mi Powiedział Jeden Facet w Pubie”.

– Czyli nie powinno być żadnych kłopotów, nie? – upewnił się Nobby.

– I oczywiście nie są tego samego koloru co my – oznajmił Colon. – No... przynajmniej nie tego co ja – dodał, uwzględniając rozmaite odcienie kaprała Nobbsa. Prawdopodobnie nie istniał żywy człowiek, który byłby tego samego koloru co kapral Nobbs.

– Funkcjonariusz Wizytuj jest dość brązowy – zauważył Nobby. – I nigdy nie widziałem, żeby uciekał. Jeśli tylko jest okazja, żeby wręczyć komuś pamflet religijny, stary Kocioł nie odpuści. Jak terier.

– Tak, ale Omnianie są podobni do nas. Trochę dziwni, lecz w zasadzie całkiem tacy sami. Nie. Sposób, żeby poznać Klatchianina, to przypilnować, czy nie używa masy słów zaczynających się na „al”. Jasne? Bo to ich zawsze zdradza. To oni wynaleźli wszystkie słowa zaczynające się od „al”. Po tym poznajesz, że to Klatchianie. Jak al-kohol. Rozumiesz?

– Wynaleźli piwo?

– Tak.

– Sprytne.

– To wcale nie spryt – odparł Colon, zbyt późno sobie uświadamiając, że popełnił błąd taktyczny. – Raczej szczęście, moim zdaniem.

– I co jeszcze zrobili?

– No, jest też... – Colon wysilił pamięć. – Jest al-gebra. Takie niby sumy, ale z literami. Dla... dla ludzi, którzy nie mają dość rozumu na liczby.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Więcej – ciągnął sierżant, nieco bardziej asertywny, gdyż zobaczył przed sobą wyraźny szlak. – Słyszałem, jak jeden mag na uniwersytecie mówił, że Klatchianie nic nie wynaleźli. Ścisłej, to wynaleźli nic, ale to na jedno wychodzi. To był ich wielki wkład w rozwój matematyki. Tak mówił. „Co?”, spytałem, a on na to, że wprowadzili zero.

– Nie wydaje mi się to strasznie mądre – uznał Nobby. – Każdy może wynaleźć nic. Ja sam nic nie wynalazłem... bo to na jedno wychodzi.

– No właśnie. Powiadam mu: ludzie, którzy wynaleźli liczby, takie jak cztery albo... albo...

– ...siedem...

– ...właśnie, to oni byli geniuszami. Nic nie wymaga wynajdowania. Jest i tyle. Pewnie zwyczajnie je znaleźli.

– To przez tę całą pustynię – zasugerował Nobby.

– Zgadza się! Słuszna uwaga! Pustynia. Która, jak wszyscy wiedzą, to w zasadzie nic. Nic jest dla nich surowcem naturalnym. To rozsądne. My za to jesteśmy bardziej cywilizowani, rozumiesz, i mamy więcej rzeczy do liczenia, więc wynaleźliśmy liczby. To jakby... Wiesz, mówią, że Klatchianie wynaleźli astronomię...

– Al-tronomię – poprawił usłużnie Nobby.

– Nie, nie... myślę, że w tym czasie odkryli już asy. Pewnie nam je zwinęli. W każdym razie musieli wymyślić astronomię, bo nie mają się na co gapić. Tylko na niebo. Każdy może popatrzeć na gwiazdy i nadać im imiona, więc trochę naciągane jest nazywanie tego „wynalezieniem”. My tam nie biegamy w kółko i nie powtarzamy, że coś wynaleźliśmy tylko dlatego, żeśmy się na to popatrzyli.

– Słyszałem, że mają kupę dziwnych bogów – oświadczył Nobby.

– Tak. I obłąkanych kapłanów – zgodził się Colon. – Połowa z pianą na

ustach. Wierzą w najróżniejsze bezsensowne rzeczy.

Przez chwilę w milczeniu obserwowali malarza. Colon obawiał się pytania, które w końcu musiało paść.

– No to czym właściwie różnią się od naszych? – spytał Nobby. – W końcu niektórzy kapłani u nas są...

– Mam nadzieję, że nie jesteś niepatriotyczny – przerwał mu surowo Colon.

– Nie, jasne, że nie. Tylko pytałem. Przecież rozumiem, czemu są o wiele gorsi od naszych, bo przecież są zagraniczni i w ogóle.

– I oczywiście wszyscy są prawdziwymi szaleńcami w bitwie – dodał Colon. – Wściekłe dranie z tymi swoimi krzywymi mieczami.

– Znaczy się... wściekłe atakują, a jednocześnie tchórzliwie uciekają, jak tylko pokosztują zimnej stali? – upewnił się Nobby, który czasami przejawiał zdradziecko dobrą pamięć do szczegółów.

– Nie można im wierzyć, to chciałem powiedzieć. I jeszcze odbija im się po jedzeniu.

– No... to tak jak panu, sierżancie.

– Tak, Nobby, ale ja nie udaję, że to grzecznie.

– Naprawdę dobrze, że jest pan tutaj, żeby wytłumaczyć różne rzeczy, sierżancie – zapewnił Nobby. – Niesamowite, ile pan wie.

– Sam siebie czasem zaskakuję – odparł skromnie Colon.

Malarz przy kutrze cofnął się, by podziwiać swe dzieło. Usłyszeli głęboki jęk i obaj z satysfakcją pokiwali głowami.

Negocjacje z przestępcami, którzy wzięli zakładników, zawsze są trudne.

Marchewa wiedział to dobrze. Pośpiech nie był tu wskazany. Niech druga strona zacznie mówić, kiedy już będzie gotowa.

Dlatego – by zabić jakoś czas – siedział teraz za przewróconym wózkiem, którego użyli jako osłony przed lecącymi z rzadka przypadkowymi strzałami, i pisał list do domu. Czynność ta wiązała się z częstym marszczeniem czoła, gryzieniem ołówka oraz tym, co komendant Vimes nazywał balistycznym podejściem do ortografii i interpunkcji.

Kochani mamó i tato!

Mam nadzieję że ten list zastanie was w dobrym zdrowiu, jak i ja jestem. Dziękuję za dużą paczkę chleba krasnoludów. Podzieliłem ją z innymi krasnoludami ze Straży i mówią, że nawet lepszy niż ten od Staloskurki („Chleb na ostro”) i nic nie pszebiję w smaku kutego w domu bochenka czyli, dobra robota mamó.

Dobrze się wszystko układa z Wilczym Stadem co wam o nim opowiadałem ale kom. Vimes nie jest zadowolony mówiłem mu że to w głębi serca dobre chłopaki i dobrze im robi jak poznają życie w Naurze i na Pustkowiach a on powiedział że już poznali ale, dał mi 5 dolarów na piłkę co pokazuje że tak naprawdę, mu zależy.

W Straży widzi się nowe tważe i dobrze z powodu tych kłopotów z Klatchem wszystko Groźnie wygląda, czuję że to Sza pszed Burzą nie ma co. Muszę jusz kończyć bo jacyś złodzieje się włamali do Składu Diamentów Vortina i wzięli na zakładnika kapral Angę. Obawiam się że nastąpi, straszliwy rozlew krwi zatem

Pozostaję

Waszym kochającym synem
Marchewa Żelaznywładsson (kapitan).

Ps. Jutro napiszę znowu.

Marchewa starannie złożył list i wsunął go pod pancerz.

– Myślę, że mieli dość czasu, by przemyśleć nasze sugestie. Co jest następne na liście?

Funkcjonariusz Shoe przejrzał gruby plik przybrudzonych kartek i wyciągnął kolejną.

– No, doszliśmy już do wykroczeń polegających na wykradaniu miedziaków ślepym żebrakom – powiedział. – A nie, tutaj jest coś lepszego...

Marchewa wziął od niego kartkę, a w drugą rękę ujął megafon. Potem ostrożnie wysunął głowę ponad krawędź wózka.

– Witam znowu! – powiedział wesoło. – Znaleźliśmy jeszcze coś. Kradzież biżuterii z...

– Tak! Tak! My to zrobiliśmy! – wykrzyknął głos z budynku.

– Naprawdę? Przecież jeszcze nie powiedziałem, kiedy to było...

– Nie szkodzi, to my! Czy teraz możemy już wyjść?

W tle słów rozbrzmiewał inny dźwięk. Przypominał cichy, nieustający warkot.

– Myślę, że powinniście wiedzieć, co ukradliście – oświadczył Marchewa.

– Eee... pierścienie? Złote pierścienie?

– Przykro mi, nie ma ani słowa o pierścieniach.

– Perłowy naszyjnik? Tak, to był...

– Ciepłej, ale nie.

– Kolczyki?

– Ooo, jesteście blisko – zachęcił rozmówcę Marchewa.

– Korona, prawda? Albo diadem?

Marchewa pochylił się do Rega Shoe.

– Tutaj jest napisane, że tiara, Reg. Możemy im... – Wyprostował się. – Jesteśmy skłonni uznać diadem. Brawo!

Raz jeszcze obejrzał się na Shoe.

– To na pewno w porządku, Reg? Żaden przymus, prawda?

– Wykluczone, kapitanie. Przecież to oni się włamali, oni wzięli zakładnika...

– Chyba masz rację...

– Błagam! Nie! Dobry piesek! Leżeć!

– To chyba byłoby wszystko, kapitanie. – Reg Shoe wyjrzał zza wózka. – Przyznali się do wszystkiego oprócz sprawy kieszonkowca z Rajd Parku...

– To my! – krzyknął ktoś.

– ...a to była kobieta...

– To my! – Tym razem głos był bardziej piskliwy. – Czy możemy wyjść? Proszę!

Marchewa wstał i uniósł megafon.

- Gdyby panowie zechcieli wyjść z rękami w górze...
- Chyba żartujesz... – jęknął ktoś do wtóru kolejnego warknięcia.
- A przynajmniej z rękami tak, żebym je widział.
- Jasna sprawa, szefie!

Czterech mężczyzn chwiejnym krokiem wyszło na ulicę. Poszarpane ubrania trzepotały na wietrze. Kiedy Marchewa ruszył w ich stronę, przywódca oskarżycielsko wskazał palcem drzwi.

– Właściciel tego lokalu powinien być ukarany! – zawołał. – Jak można trzymać takie dzikie zwierzę w skarbcu? To skandal! Włamaliśmy się absolutnie spokojnie, a to nas zaatakowało! Bez żadnego powodu!

– Strzeliliście do obecnego tu funkcjonariusza Shoe – przypomniał Marchewa.

- Tak żeby chybić! Na postrach!

Funkcjonariusz Shoe wskazał sterczącą z półpancerza strzałę.

– Całkiem z przodu! – poskarżył się. – Trzeba będzie spawać, a musimy sami płacić za naprawy zbroi. I zawsze już zostanie ślad, widzicie, choćby nie wiem co.

Ich przerażony wzrok wędrował od śladów szycia na szyi do rąk. Zaczynali sobie uświadamiać, że choć przedstawiciele ludzkiej rasy pojawiali się w rozmaitych kolorach, bardzo niewielu żyjących miało skórę szarą z odcieniem zieleni.

- Zaraz! Ty jesteś zombi!

– Jasne, kopcie człowieka tylko dlatego, że jest martwy – rzucił ostro funkcjonariusz Shoe.

– Wzięliście kapral Anguę jako zakładniczkę. Dame – powiedział Marchewa tym samym spokojnym głosem. Bardzo grzecznym tonem. Ale ów

ton sugerował, że gdzieś tam pali się lont i nierozsądnie byłoby czekać, aż płomień dotrze do beczki.

– No... tak jakby... ale musiała uciec, kiedy pojawił się ten potwór...

– Czyli ją tam zostawiliście? – zapytał Marchewa, wciąż bardzo spokojny.

Mężczyźni padli na kolana. Ich przywódca błagalnie wyciągnął rękę.

– Proszę! Jesteśmy zwykłymi złodziejami i rabusiami! Nie jesteśmy złymi ludźmi!

Marchewa skinął funkcjonariuszowi Shoe.

– Zabierzcie ich do Yardu.

– Tak jest! – Reg spoglądał wrogo na więźniów. Załadował kuszę. – Przez was jestem dziesięć dolarów do tyłu. Więc lepiej nie próbujcie uciekać.

– Nie, proszę pana. My nie z tych...

Marchewa zanurzył się w półmroku wnętrza budynku. Przerażone twarze wyglądały zza drzwi w korytarzu. Uśmiechnął się do nich uspokajająco i pomaszerował do skarbca.

Kapral Angua poprawiała mundur.

– Zanim jeszcze zaczniesz: nikogo nie ugryzłam – powiedziała, gdy stanął w drzwiach. – Nawet zadrapań. Szarpałam ich tylko za spodnie. A nie był to różany ogród, chcę zaznaczyć.

Handlarz diamentów spoglądał na niego zdumiony.

– Przecież mieli zakładnika...

– Zrozumieli, że błędą – odparł kapitan.

– I... i słyszałem jakieś warczenie... Brzmiało jak wilcze...

– A tak... Wie pan, kiedy złodzieje się pokłócą...

Nie było to żadne wyjaśnienie, ale ponieważ ton głosu sugerował, że jest, pan Vortin wierzył w nie jeszcze całe pięć minut po wyjściu Marchewy z Anguą.

– Przyjemnie się zaczął ten dzień – stwierdził Marchewa.

– Dziękuję ci. Nie, nic mi się nie stało – odparła Angua.

– Człowiek ma takie uczucie, że warto się starać.

– Tylko włosy mam potargane i następną koszulę do wyrzucenia.

– Dobra robota.

– Czasami mogłabym podejrzewać, że w ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię – oświadczyła Angua.

– Miło mi to słyszeć – zapewnił Marchewa.

Cała straż zjawiała się na komendzie. Vimes spoglądał na morze twarzy.

O bogowie, myślał. Ilu już mamy? Parę lat temu można było wszystkich strażników policzyć na palcach ręki ślepego rzeźnika, a dzisiaj...

Jeszcze więcej ich wchodzi!

Pochylił się do kapitana Marchewy.

– Kim są ci wszyscy ludzie?

– To strażnicy, sir. Sam ich pan przyjął.

– Naprawdę? Przecież niektórych nawet nie widziałem!

– Podpisał pan dokumenty, sir. I co miesiąc podpisuje pan listę wypłat...

w końcu.

W głosie zabrzmiała delikatna krytyka. Podejście Vimesa do papierów polegało na tym, żeby niczego nie dotykać, dopóki ktoś nie krzyczy, a wtedy przynajmniej ma kogoś do pomocy przy układaniu tych stosów.

– Ale jak wstąpili do straży?

– W zwykły sposób, sir. Zaprzysięgłem ich, wydałem każdemu hełm...

– Zaraz! Przecież to Reg Shoe! Zombi! Stale rozpada się na kawałki!

– To ważna osoba w społeczności nieumarłych, sir – wyjaśnił Marchewa.

– Jakim cudem znalazł się w straży?

– Przyszedł w zeszłym tygodniu złożyć skargę na strażników, którzy podobno prześladują jakieś strachy. Był bardzo, hm... wzburzony. Przekonałem go, że straży niezbędny jest ktoś z odpowiednim doświadczeniem, więc wstąpił.

– I skargi się skończyły?

– Dostajemy dwa razy więcej, sir. Wszystkie od nieumarłych, sir, i wszystkie dotyczą pana Shoe. Zabawne.

Vimes spojrzał na kapitana z ukosa.

– Bardzo go to rani, sir – dodał Marchewa. – Mówi, że przekonał się, iż nieumarli zwyczajnie nie rozumieją trudności pracy policyjnej w multizyciowym społeczeństwie.

Na bogów, pomyślał Vimes, tak właśnie ja bym postąpił. Ale zrobiłbym to, bo nie jestem miłą osobą. Marchewa jest miły, praktycznie dostaje za to medale, z pewnością by nie...

I wiedział, że nigdy się nie dowie. Gdzieś za niewinnym spojrzeniem Marchewy kryły się żelazne drzwi.

– Ty go wciągnąłeś, prawda?

– Nie, sir. To pan, sir. Pan podpisał rozkaz jego przyjęcia, wydania ekwipunku i jego przydział.

Vimes znowu zobaczył wizję zbyt wielu w pośpiechu podpisywanych dokumentów. Ale przecież musiał je podpisać, i naprawdę potrzebowali ludzi. Po prostu to raczej on sam powinien...

– Każdy od stopnia sierżanta ma prawo przyjmować ochotników do Straży Miejskiej, sir – przypomniał Marchewa, jakby czytał mu w myślach. – To Zasady Ogólne. Strona dwudziesta druga, sir. Tuż pod płamą z herbaty.

– A ty przyjąłeś... ilu?

– Och, jednego czy dwóch. Wciąż brakuje nam rąk do pracy, sir.

– Mamy Rega. Ręce stale mu odpadają.

– Czy przemówi pan do ludzi, sir?

Vimes przyjrzał się zebranym... no, rzeszy. Nie było na to innego określenia. A właściwie było wiele, ale żadne nie oddawało im sprawiedliwości.

Duzi, niscy, grubi, trolle wciąż porośnięte mchem, brodate krasnoludy, groźna gliniana postać funkcjonariusza Dorfla, golema, nieumarli... Nawet w tej chwili nie był pewien, czy powinien do nich zaliczać kapral Anguę, inteligentną dziewczynę i bardzo pożytecznego wilka, kiedy było to potrzebne. Bezdomni i zagubieni, powiedział kiedyś Colon. Bezdomni i diablo zagubieni, bo normalni ludzie nie zostaliby glinami.

Formalnie wszyscy byli umundurowani, tyle że w większości nie nosili takich samych mundurów jak ktokolwiek inny. Każdego z nich posłano po prostu do zbrojowni, żeby wybrał sobie to, co pasuje. W rezultacie przypominali ruchomą wystawę historyczną Śmieszne Hełmy przez Wiek.

– Ehm... Panie i panowie...

– Proszę o ciszę! – huknął Marchewa. – Słuchać komendanta Vimesa!

Vimes dostrzegł spojrzenie Angui, która stała oparta o ścianę. Bezradnie przewróciła oczami.

– Tak, tak. Dziękuję, kapitanie – wymamrotał. Zwrócił się do zgromadzonej przed nim mieszaniny najlepszych ludzi w Ankh-Morpork. Wytrzeszczył oczy. A potem zamknął usta, z wyjątkiem jednego kącika. I wymruczał tym kącikiem: – Co to jest ten mały wzgórek na głowie funkcjonariusza Flinta?

– To Buggy Swires, funkcjonariusz w okresie próbnym. Lubi mieć dobry widok.

– Jest gnomem!

– Świetna obserwacja, sir.

– Jeszcze jeden z twoich?

– Z naszych, sir. – Marchewa znów użył tonu wyrzutu. – Tak jest, sir. Od zeszłego tygodnia przydzielony do komisariatu na Flaku, sir.

– O bogowie... – szepnął Vimes.

Buggy Swires zauważył, że komendant mu się przygląda, i zasalutował. Miał pięć cali wzrostu.

Vimes odzyskał równowagę psychiczną. Wysocy, grubi i chudsi... bezdomni i zagubieni, wszyscy.

– Nie zatrzymam was długo – powiedział. – Znacie mnie... No, większość z was mnie zna – dodał, zerkając z ukosa na Marchewę. – Nie lubię przemawiać. Ale z pewnością zauważyliście, jak ta historia z Leshpem wzburzyła ludzi. Słyszysz się wiele rozmów o wojnie. No więc wojna to nie nasza sprawa. Wojna to sprawa żołnierzy. Naszą sprawą, jak mi się wydaje, jest utrzymywanie spokoju. Coś wam pokażę...

Cofnął się i zamaszystym gestem sięgnął po coś z kieszeni. Przynajmniej

taki miał zamiar. Rozległ się odgłos prutego materiału, gdy jakiś przedmiot przestał być wplątany w podszewkę.

– A niech to... Aha...

Zademonstrował lśniąca laskę z czarnego drewna. Miała na końcu dużą srebrną gałkę. Strażnicy wyciągnęli szyje, by lepiej widzieć.

– Ten... no... ten... – zająknął się Vimes. – Ten staruszek przyniósł to z pałacu kilka tygodni temu. I oddał mi. Miała karteczkę „Regalia komend. Straży Miejskiej, Miasto Ankh-Morporke”. Wiecie, w pałacu nigdy niczego nie wyrzucają.

Machnął laską. Była zaskakująco ciężka.

– Ma herb na gałce, widzicie?

Trzydziestu strażników usiłowało coś dostrzec.

– Pomyślałem wtedy... pomyślałem: na miłość bogów, mam nosić coś takiego? A potem zastanowiłem się i pomyślałem: nie, dobrze, przynajmniej raz ktoś zrozumiał, na czym to polega. To nawet nie jest broń, to przedmiot. Nie należy tego używać, należy to mieć. O to właśnie chodzi. To samo dotyczy mundurów. Widzicie, mundur żołnierza ma go uczynić elementem tłumu innych, w takich samych mundurach, ale mundur gliniarza powinien...

Vimes urwał. Zdumione spojrzenia przed nim mówiły wyraźnie, że buduje domek z kart, mając za mało kart u podstawy. Odchrząknął.

– W każdym razie – podjął tonem sugerującym wszystkim, że powinni zapomnieć o poprzednich dwudziestu sekundach – nasza praca to nie dopuszczać do walk między ludźmi. Wiele dzieje się na ulicach. Pewnie słyszeliście, że znowu mają formować prywatne regimenty. No cóż, jeśli chcą, mają prawo rekrutować żołnierzy. Ale nie pozwolimy na żadne rozruchy. Panują dość paskudne nastroje. Nie wiem, co może się zdarzyć, ale jeśli się zdarzy, musimy być na miejscu. – Rozejrzał się po sali. – I jeszcze coś. Jutro przybywa nowy klatchiański poseł czy kto tam jeszcze. Nie wydaje mi się, żeby Gildia Skrytobójców coś zaplanowała, ale jeszcze dziś

wieczorem sprawdzimy całą trasę, którą przejdzie procesja magów. Sympatyczna robótka dla nocnej zmiany. A dziś wieczorem wszyscy jesteśmy na nocnej zmianie.

Straż jęknęła chórem.

– Jak mawiał mój dawny sierżant, jeśli nie znacie się na żartach, nie powinniście się zaciągać – powiedział Vimes. – Grzeczna i delikatna inspekcja, od drzwi do drzwi, ściskanie klamek, przewietrzenie mundurów. Solidna staroświecka robota policyjna. Jakies pytania? Dobrze. Dziękuję wszystkim.

Rozległ się przyciszony gwar, oznaka ogólnego odprężenia, kiedy strażnicy uświadomili sobie, że mogą już iść.

Marchewa zaczął klaskać.

Nie było to klaskanie, jakiego używają ci na średnich stanowiskach, by zachęcić podwładnych do oklaskiwania zwierzchników*. Wyrażało szczery entuzjazm, co robiło chyba jeszcze gorsze wrażenie. Kilku naiwnych nowych funkcjonariuszy zareagowało, a wtedy – tak jak drobne kamyczki prowadzą lawinę – salę wypełnił grzmot bijących o siebie dłoni humanoidów.

Vimes patrzył ponuro.

– Porywająca mowa, sir! – oświadczył Marchewa, gdy grzmot oklasków zmienił się w prawdziwą burzę.

Deszcz padał na Ankh-Morpork. Wypełniał rynny i przelewał się, a wtedy porywał go wiatr. Smakował solą. Gargulce wypełzły ze swych dziennych kryjówek w cieniu i teraz tkwiły na każdym gzymsie i wieży, z rozczapierzonymi uszami i skrzydłami, by odcedzić z wody wszystko, co jadalne. Zadziwiające, co czasem spadało na Ankh-Morpork. Deszcze niedużych rybek i żab były dość częste, choć ramy łóżek wzbudziły wiele komentarzy.

Pęknięta rynna chlusnęła strumieniem wody na okno Ossiego Brunta, który siedział na łóżku, gdyż w pokoju nie było krzeseł – ani zresztą żadnych innych mebli. Za minutę czy dwie może się bardzo rozzłościć. Choć z drugiej strony, może i nie.

Nie chodzi o to, że Ossie był szaleńcem w jakimkolwiek sensie. Przyjaciele określiliby go jako człowieka spokojnego, raczej zamkniętego w sobie – jednak nie określali go tak, ponieważ nie miał przyjaciół. Owszem, było paru ludzi, którzy przychodzili ćwiczyć na strzelnicy łuczniczej we wtorki wieczorami, a on czasami chodził potem z nimi do pubu, siedział i słuchał, jak rozmawiają. Raz zaoszczędził i postawił kolejkę, choć pewnie nie pamiętali, a może by powiedzieli „A... tak, Ossie”. Ludzie tak mówili. Ludzie mieli skłonność usuwania go z myśli w taki sam sposób, w jaki nie poświęca się szczególnej uwagi pustej przestrzeni.

Nie był głupi. Myślał o wielu sprawach. Czasami całymi godzinami siedział i myślał, wpatrzony w przeciwległą ścianę, na której w wilgotne noce pojawiały się mokre plamy i tworzyły mapę Klatchu.

Ktoś zastukał głośno do drzwi.

– Panie Brunt? Mogę wejść?

– Jestem trochę zajęty, pani Spent – odpowiedział, wsuwając swój łuk pod łóżko.

– Chodzi o czynsz!

– Tak, pani Spent?

– Zna pan zasady!

– Jutro zapłacę, pani Spent – zapewnił Ossie, spoglądając na okno.

– Do południa gotówka do ręki albo wynocha!

– Tak, pani Spent.

Słyszał, jak tupiąc, schodzi na dół.

Policzył do pięćdziesięciu, bardzo powoli, a potem sięgnął pod łóżko i znowu wyjął łuk.

Angua patrolowała ulice z Nobbym. Nie był to idealny układ, ale Marchewa prowadził dozór patroli, a w nocie takie jak ta Fred Colon – który pilnował grafiku dyżurów – miał niezwykły talent trafiania na służbę za biurkiem, w cieple. Zatem wolni partnerzy zostali połączeni razem. To była przerażająca myśl.

– Mogę zamienić słówko, panienko? – zapytał Nobby, kiedy szarpali za klamki i machali latarniami w zaułkach.

– Słucham, Nobby.

– To osobiste.

– Och.

– Zapytałbym się Freda, ale on nie zrozumie i myślę sobie, że panienka zrozumie z powodu tego, że jest kobietą. Zwykle. Bez urazy.

– O co ci chodzi, Nobby?

– To sprawa mojej... natury seksualnej, panienko.

Angua milczała. Deszcz bębnił o źle dopasowany hełm Nobby'ego.

– Myślę, że czas już, żebym spojrzał jej prosto w twarz, panienko.

Angua znowu przeklęła w myślach swoją obrazową wyobraźnię.

– A... jak właściwie chcesz to zrobić, Nobby?

– Znaczy, posłałem po różne rzeczy. Kremy i takie tam.

– Kremy – powtórzyła Angua.

- Takie, co się je wciera – wyjaśnił usłużnie Nobby.
- Wciera.
- I takie coś do ćwiczeń...
- O bogowie...
- Słucham, panienko?
- Co? Och, ja... myślałam o czymś innym. Mów dalej. Do ćwiczeń?
- Tak. Żeby rozwinąć bicepsy i w ogóle.
- Aha, ćwiczenia... naprawdę?

Wydawało się, że Nobby w ogóle nie ma wartych uwagi bicepsów. Właściwie nie było niczego, na czym mogłyby występować. Technicznie rzecz biorąc, miał ramiona, bo jego ręce były umocowane do tułowia, ale to chyba wszystko, co dało się powiedzieć.

Pełna zgrozy ciekawość opanowała ją całkowicie.

- Dlaczego, Nobby?

Nieśmiało spuścił wzrok.

- No... znaczy się... wie panienka... dziewczęta i w ogóle...

Ku swemu zdumieniu zauważyła, że Nobby się rumieni.

– Nie chodzi mi tylko o... Znaczy, jak się to chce załatwić jak należy... Znaczy nie – oświadczył Nobby z wyrzutem. – Chcę tylko powiedzieć, że kiedy człowiek się robi starszy, no wie panienka, to zaczyna myśleć, żeby się ustatkować, znaleźć kogoś, kto pójdzie z nim ręką w rękę po wyboistym gościńcu życia... Dlaczego panienka ma otwarte usta?

Angua zamknęła je gwałtownie.

– Tylko że jakoś nie spotykam dziewcząt – poskarżył się Nobby. – A właściwie to spotykam, ale one zaraz uciekają.

– Mimo kremu?

– Właśnie.

– I ćwiczeń?

– Tak.

– No cóż, wydaje mi się, że zadbałeś o wszystko. Naprawdę nie wiem, czemu ci nie wychodzi. – Angua westchnęła. – A co ze Staminą Thrum z ulicy Wiązów?

– Ma drewnianą nogę.

– No to... Verity Pushpram, miła dziewczyna, na Szronowej sprzedaje z wózka małże i ślimaki.

– Młot? Cały czas cuchnie rybami. I ma zezą.

– Ale prowadzi własny interes i robi znakomitą zupę rybną.

– I ma zezą.

– Właściwie to nie jest zez, Nobby.

– No tak, ale panienka wie, o co mi chodzi.

Musiała przyznać, że wie. Verity miała przeciwieństwo zezą. Jakby starała się spojrzeć każdym z oczu na przyległe ucho. Kiedy się z nią rozmawiało, trzeba było walczyć z wrażeniem, że chce odejść w dwóch przeciwnych kierunkach. Ale po mistrzowsku umiała oprawiać ryby.

Angua westchnęła znowu. Znała te objawy. Mówią, że zależy im na pokrewieństwie duchowym, na towarzyszcze, ale wcześniej czy później okazywało się, że lista wymagań zawiera jedwabistą skórę i piersi odpowiednie dla stada krów.

Wszyscy są tacy. Oprócz Marchewy. Była to niemal... niemal jedna z jego irytujących cech. Angua podejrzewała, że nie przeszkadzałoby mu, gdyby ogoliła głowę albo zapuściła brodę. Nie to, żeby nie zauważył... ale by mu to nie przeszkadzało. Z jakiegoś powodu było to bardzo denerwujące.

– Jedyne, co mogę zasugerować – powiedziała – to że dla kobiet często pociągający są mężczyźni, którzy potrafią je rozśmieszyć.

Nobby poweselał.

– Naprawdę? No to powinienem sobie poradzić.

– To dobrze.

– Ludzie bez przerwy się ze mnie śmieją.

Wysoko nad nimi, nie zwracając uwagi na deszcz, który przemoczył go już do nitki, Ossie Brunt sprawdził ceratowy pokrowiec łuku. Usadowił się wygodnie. Miał czekać jeszcze długo...

Deszcz jest przyjacielem gliniarza. W taką noc ludzie zadowolają się przestępstwami pod dachem. Vimes stał pod osłoną jednej z fontann na placu Sator. Fontanna nie działała od lat, ale był tak mokry, jakby pracowała pełną mocą. Nigdy jeszcze nie widział całkowicie horyzontalnego deszczu.

Wokół nie było nikogo. Rozpryski kropli deszczu sunęły po placu niby... niby armia...

To jedno ze wspomnień z dzieciństwa. Zabawne, jak czają się w zakamarkach umysłu, a potem nagle wyskakują...

Deszcz padający na wodę...

No tak. Kiedy był małym chłopcem, wyobrażał sobie, że krople deszczu, rozpryskujące się na powierzchni wody, to żołnierze. Miliony piechurów. A bąbelki, które czasem przepływały, to jeźdźcy.

W tej chwili nie mógł sobie przypomnieć, czym był płynący niekiedy w wodzie zdechły pies. Możliwe, że jakąś machiną obłąniczą.

Woda tworzyła wiry wokół jego butów i ściekała z peleryny. Kiedy spróbował zapalić cygaro, wiatr zdmuchnął mu zapalkę, a deszcz polał się z hełmu i przemoczył je zupełnie.

Vimes uśmiechnął się w ciemności.

Był – chwilowo – człowiekiem szczęśliwym. Przemarznięty, przemoczony i samotny, próbował chronić się przed deszczem i chłodem o trzeciej nad ranem w paskudną noc. Kilka najpiękniejszych nocy przeżył w takich właśnie okolicznościach. Można wtedy... przygarbić ramiona, o tak, i opuścić głowę, o tak... Człowiek stawał się małym kłębkim ciepła i spokoju, deszcz bębnił o hełm, umysł tykał rytmicznie, analizując świat...

Tak było za dawnych czasów, kiedy nikt się nie przejmował strażą i tak naprawdę wystarczyło unikać kłopotów. To były dni, kiedy nie mieli zbyt wiele do roboty.

Ale przecież mieli wiele do roboty, odpowiedział mu wewnętrzny głos. Tyle że tego nie robili.

Czuł oficjalną pałkę, ciężącą mocno w specjalnej kieszeni, którą Sybil osobiście wszyła mu do spodni. Dlaczego to tylko kawałek drewna? – zapytał sam siebie, kiedy ją rozpakował. Czemu nie miecz? Miecz to symbol władzy.

I wtedy uświadomił sobie, dlaczego to nie może być miecz...

– Hej, dobry obywatelu! Czy wolno spytać, co porabiacie tutaj w ten rzeński ranek?

Westchnął. W mroku zajaśniała latarnia otoczona aureolą podświetlonej wody.

Hej, dobry obywatelu... W tym mieście była tylko jedna osoba, która mogła powiedzieć coś takiego całkiem poważnie.

– To ja, kapitanie.

Plama blasku zbliżyła się, oświetlając mokrą twarz kapitana Marchewy. Młody człowiek zaszalutował tak dziarsko – o przeklętej trzeciej nad ranem, pomyślał Vimes – że łązy szczęścia stanęłyby w oczach najbardziej nawet psychotycznego instruktora musztry.

– Co pan robi na dworze, sir?

– Chciałem tylko... sprawdzić to i owo – wyjaśnił Vimes.

– Mógł pan wszystko zostawić mnie, sir – zapewnił Marchewa. – Podział obowiązków to klucz sprawnego dowodzenia.

– Doprawdy? Właśnie on? – mruknął kwaśno Vimes. – Słowo daję, człowiek się uczy przez całe życie.

A ty z pewnością się uczysz, dodał w ciszy umysłu. I był prawie pewien, że reaguje podle i głupio.

– Praktycznie skończyliśmy, sir. Sprawdziliśmy wszystkie puste budynki. Dodatkowa grupa funkcjonariuszy obstawi trasę. Gargulce zajmą pozycje możliwie najwyżej. Wie pan, sir, jak znakomicie obserwują.

– Gargulce? Myślałem, że mamy tylko funkcjonariusza Rzygacza...

– Ostatnio również funkcjonariusza Frontona, sir.

– Jeden z waszych?

– Jeden z naszych, sir. Pan osobiście podpisał...

– Tak, tak, jestem pewien, że podpisałem. A niech to!

Poryw wiatru pochwycił ciekący z przepełnionej rynny strumień wody i zrzucił go na kark Vimesa.

– Mówią, że ta nowa wyspa zakłóca obieg prądów powietrznych – poinformował Marchewa.

– Nie tylko powietrznych. Straszne zamieszanie z powodu paru mil kwadratowych mułu i starych ruin! Kogo one obchodzą?

– Podobno ma bardzo strategicznie istotne położenie. – Marchewa zrównał krok z komendantem.

– Niby jak? Z nikim nie prowadzimy wojny. Ha! Ale może trzeba będzie ruszyć na wojnę, żeby zachować jakąś piekielną wyspę, która okaże się pożyteczna tylko wtedy, kiedy będzie trzeba iść na wojnę. Tak?

– Jego lordowska mość z pewnością dzisiaj wszystko ułoży. Jestem pewien, że kiedy dwaj spokojni ludzie dobrej woli siądą do stołu, nie ma takiego problemu, którego nie zdołaliby rozwiązać – oświadczył z przekonaniem Marchewa.

Jest pewien, uświadomił sobie ponuro Vimes. Naprawdę jest pewien.

– Co wiecie o Klatchu, kapitanie? – zapytał.

– Trochę czytałem, sir.

– Podobno bardzo piaszczysty kraj.

– Tak jest, sir. Najwyraźniej.

Gdzieś przed nimi rozległ się trzask, a potem krzyk. Gliniarze uczą się dobrze rozpoznawać krzyki. Dla konesera istniała nieprzebyta otchłań pomiędzy „Jestem pijany, właśnie nadepnałem sobie na palce i nie mogę wstać!” a „Uwaga! On ma nóż!”.

Obaj ruszyli biegiem.

Światło nie docierało na wąską uliczkę. Ciężkie kroki ucichły w ciemnościach.

Płomienie migotały za wybitą szybą lokalu. Vimes potknął się w progu, wpadł do wnętrza, zdarł z siebie przemoczoną pelerynę i rzucił ją na płonący pośrodku podłogi ogień. Zasyczało i rozszedł się zapach gorącej skóry.

Vimes odstąpił i spróbował się zorientować, gdzie, u demona, trafił.

Przyglądali mu się jacyś ludzie. Jego umysł w otępieniu zestawiał wskazówki: turban, broda, kobieca biżuteria...

– Skąd się tu wziął ten człowiek? Co to za jeden?

– Eee... dobry wieczór... – powiedział. – Wydaje się, że miał miejsce jakiś wypadek...

Ostrożnie uniósł pelerynę.

Słuczona butelka leżała w kałuży skwierczącego oleju. Pozostałe dwie osoby okazały się chłopcem, prawie tak wysokim jak ojciec, i małą dziewczynką próbującą chować się za matką. Vimes poczuł, jak żołądek wypełnia mu się ołowiem. W drzwiach wejściowych stanął Marchewa.

– Zgubiłem ich – wysapał. – Chyba było trzech. Niczego nie widać w tym deszczu... O, to pan, panie Goriff. Co się tu stało?

– Kapitan Marchewa! Ktoś wrzucił tu przez okno zapaloną butelkę, a potem ten żebrak wpadł do środka i ją zgasił!

– Co on powiedział? I co wyście powiedzieli? – zdumiał się Vimes. – Znacie klatchiański?

– Nie za dobrze – odparł skromnie Marchewa. – Nie mogę opanować tego gardłowego dźwięku...

– Ale... ale rozumiecie, co on mówi?

– Tak. Przy okazji, właśnie bardzo panu podziękował, sir. *Wszystko w porządku, panie Gozill. To strażnik.*

– Przecież mówicie...

Marchewa przyklęknął i obejrzał rozbitą butelkę.

– Och, wie pan, jak to jest, sir. Człowiek zagląda tutaj na nocnej zmianie,

żeby zjeść kminkową bułkę, no i zaczyna gawędzić. Pan też na pewno nauczył się kilku słów, sir.

– No... może vindaloo, ale...

– To ładunek zapalający, sir.

– Wiem, kapitanie.

– Niedobrze. Kto mógłby zrobić coś takiego?

– W tej chwili? – mruknął Vimes. – Myślę, że połowa miasta.

Spojrzał bezradnie na Goriffa. Mgliście rozpoznawał jego twarz. Mgliście rozpoznawał twarz jego żony. Byli tylko... twarzami. Znajdowały się zwykle na drugim końcu jakichś rąk, które trzymały porcję curry albo kebab. Czasami za ladą stał chłopak. Bar otwierali bardzo wcześnie rano i bardzo późno wieczorem, kiedy na ulicach panowali piekarze, złodzieje i strażnicy.

Pamiętał, że lokal nazywa się Posiłki Pospolite. Nobby Nobbs mówił, że Goriff szukał słowa oznaczającego zwyczajne, codzienne, proste... Pytał wszystkich, aż trafił na takie, którego brzmienie mu się spodobało.

– Ehm... powiedz mu... powiedzcie mu, kapitanie, że zostanieie tutaj, a ja wrócę na komendę i przyślę wam kogoś na zmianę – powiedział.

– Dziękuję – odezwał się Goriff.

– Och, rozumie pan... – Vimes poczuł się jak idiota. – Oczywiście, że tak, przecież mieszka pan tutaj... Ile to już? Pięć lat? Sześć?

– Dziesięć, proszę pana.

– Naprawdę? Tak długo? Coś podobnego... – mamrotał zakłopotany Vimes. – No ale lepiej już pójdę. Spokojnej nocy.

Wymaszerował na deszcz.

Musiałem tu zaglądać od lat, myślał, człapiąc po mokrym bruku. I wiem,

jak powiedzieć „vindaloo”. I jeszcze... „korma”. Marchewa jest tu od pięciu minut, a już gada ich językiem, jakby się tam urodził.

Niech mnie... Potrafię się dogadać w krasnoludzim, umiem powiedzieć „Odłóż ten kamień, jesteś aresztowany” po trollicku, ale...

Tupiąc, wszedł na komendę straży; woda ściekała z niego na podłogę. Fred Colon drzemał spokojnie za biurkiem. Z szacunku dla wielu lat znajomości, Vimes postarał się wyjątkowo hałaśliwie zdejmować pelerynę.

Kiedy oficjalnie się odwrócił, sierżant siedział wyprostowany.

– Nie wiedziałem, że dzisiaj jest pan na służbie, panie Vimes...

– Nieoficjalnie, Fred. – Od pewnych ludzi przyjmował to „panie Vimes”. W pewien trudny do wytłumaczenia sposób zasłużyli sobie na to. – Poślij kogoś do Posiłków Pospolitych w Zaułku Skandalu, dobrze? Drobne problemy.

Dotarł do schodów.

– Zostaje pan, sir? – spytał Colon.

– Tak – odparł ponuro Vimes. – Muszę nadgonić z papierami.

Na Leshp padał deszcz tak gęsty, że wyspa mogła sobie oszczędzić kłopotów i darować wynurzenie się z dna morza.

Większość badaczy spała teraz w swoich łodziach. Owszem, na wyspie były budynki, ale...

...ale nie całkiem takie, jak należy.

Twardziel Jackson wyjrzał spod płachty, którą rozciągnął nad pokładem. Z przesiąkniętego wodą gruntu wstawała mgła rozjaśniana częstymi błyskawicami.

Miasto w blasku sztormu sprawiało złowrogie wrażenie. Były tam obiekty, które wydawały się znajome: kolumny, stopnie, bramy i tak dalej. Ale były też inne... Zadrżał. Wyglądało to, jakby mieszkańcy próbowali kiedyś nadać bardziej ludzki wygląd strukturom już wtedy pradawnym...

To z powodu jego syna wszyscy nocowali na łodziach.

Rybacy z Ankh-Morpork zeszli rankiem na brzeg, by szukać stosów kosztowności – przecież każdy wie, że zalegają morskie dno. Trafili na mozaikową podłogę, do czysta wymytą deszczem. Błyszczące białe i niebieskie kafelki przedstawiały deseń morskich fal i muszli, a w samym środku mątwę.

– Wygląda na strasznie wielką, tato – powiedział Les.

Wszyscy zaczęli się rozglądać wśród pokrytych wodorostami budynków; równocześnie nawiedziła ich Myśl, która pozostała niewypowiedziana, ale była stworzona z mnóstwa przelotnych myśli – takich jak czasem zmarszczki na powierzchni jeziora albo cichy plusk wody w piwnicy, skłaniające umysł do przywoływania wizji szczypiec przeczesujących głębiny i tych dziwnych rzeczy, które woda wyrzuca niekiedy na brzeg albo które wplątują się w sieci. Czasami człowiek wciąga przez burtę coś takiego, co może zniechęcić do ryb na całe życie.

I nagle nikt nie chciał już przeszukiwać wyspy – bo mógłby coś znaleźć.

Twardziel Jackson schował głowę pod płachtę.

– Czemu nie wracamy do domu, tato? – zapytał jego syn. – Mówiłeś, że tutaj ciarki cię przechodzą.

– Racja, ale to ankhmorporskie ciarki. Jasne? I żaden cudzoziemiec nie dostanie ich w łapy.

– Tato...

– Słucham.

– Kto to był pan Hong?

– Skąd mam wiedzieć?

– No bo kiedy wszyscy wracali do łodzi, ktoś z tamtych powiedział: „Wszyscy wiemy, co się zdarzyło panu Hongowi, kiedy otworzył Potrójnie Szczęśliwy Traf – Bar Rybny, Dania na Wynos, w miejscu starej świątyni boga ryb przy ulicy Dagona w noc pełni księżyca, prawda?”. No więc ja nie wiem.

– Hm... – Twardziel Jackson się zawahał, ale Les był już dużym chłopcem. – On... zamknął i wyjechał, dość pośpiesznie, mój mały. Tak prędko, że zostawił po sobie to i owo.

– Co na przykład?

– Jeśli już musisz wiedzieć... pół ucha i jedną nerkę.

– Nieźle!

Łódź zakołysała się gwałtownie; trzasnęło pękające drewno. Jackson szarpnął płachtę i natychmiast zmoczył go wodny pył. Gdzieś niedaleko w wilgotnej ciemności zabrzmiał krzyk:

– Dlaczego światła nie palisz, ty drugi kuzynie szakala?

Jackson chwycił latarnię i uniósł ją wysoko.

– Co robisz na wodach terytorialnych Ankh-Morpork, ty wielbłądożerny demonie?

– Te wody należą do nas!

– My tu byliśmy pierwsi!

– Tak? To my tu byliśmy pierwsi z pierwszych!

– Uszkodziłeś mi łódź! To czyste piractwo, ot co!

Wokół rozbrzmiewały kolejne krzyki. Dwie flotylle zderzyły się ze sobą

w ciemności. Bukszpryty wyrywały takielunek. Huczały kadłuby. Kontrolowana panika, jaką zwykle stanowi żeglowanie, stała się paniką gorączkową, złożoną z ciemności, deszczu i zbyt dużej ilości rozlinowanego olinowania.

W takich chwilach prastare morskie tradycje, które jednoczą ludzi morza, powinny teraz zadziałać i skłonić wszystkich do połączenia swych sił wobec wspólnego przeciwnika – drapieżnego, nieustępliwego oceanu.

Jednakże w tej właśnie chwili pan Arif uderzył pana Jacksona wiosłem w głowę.

– Hnnh? Uch?

Vimes otworzył jedyne oko, które jakoś reagowało. Zobaczył straszliwy widok.

...pszczytałem mu jego prawa na co, on powiedział wsadź to, sobie glino. Sierż. Detrytus wtedy, upomniał go, a on wtedy rzekł, auć...

Jest może wiele zajęć, z którymi nie radzę sobie zbyt dobrze, pomyślał Vimes, ale przynajmniej nie traktuję interpunkcji w zdaniu jak gry w pchełki...

Przetoczył głowę, odwracając wzrok od łamanej pisowni Marchewy. Zaszeleściła góra papierów.

Biurko Vimesa stawało się znane. Kiedyś leżały na nim stosy papierów, ale papiery ześlizgiwały się – jak to ze stosów – tworząc równą, ubitą warstwę, podobną do torfu. Podobno gdzieś pod nią tkwiły talerze i niedokończone posiłki. Nikt nie chciał sprawdzać. Niektórzy zapewniali, że słyszeli jakieś poruszenia.

Zabrzmiało delikatne chrząknięcie. Vimes znowu przekręcił głowę i spojrzał w górę, na szeroką różową twarz Willikinsa, kamerdynera lady Sybil. Jego kamerdynera również, ale nie cierpiał myśleć o nim w taki sposób.

– Sądzę, że winniśmy żwawo wziąć się do działania, sir Samuelu. Przyniosłem pański galowy mundur, a narzędzia do golenia leżą koło miski.

– Co? Co?

– Za pół godziny ma pan być obecny na Niewidocznym Uniwersytecie, sir Samuelu. Lady Sybil przekazała mi, że jeśli pana tam nie będzie, wykorzysta pańskie wnętrzności na akcesoria pończosznicze.

– Uśmiechała się? – spytał Vimes. Wstał niepewnie i poczłapał w stronę parującej na stojaku miski.

– Tylko odrobinę, sir.

– O bogowie...

– Tak jest, sir.

Vimes usiłował się golić, gdy tymczasem za nim Willikins pilnie czyścił i polerował. Na zewnątrz miejskie zegary zaczęły wybijać dziesiątą.

Musiała być prawie czwarta, kiedy tu przyszedłem, myślał Vimes. Wiem, że słyszałem zmianę służby o ósmej, a potem musiałem posortować wydatki służbowe Nobby’ego, to wyższa matematyka, jeśli już o tym...

Spróbował ziewnąć, nie przerywając golenia, co nigdy nie jest dobrym pomysłem.

– A niech to szlag!

– Natychmiast przyniosę serwetkę – powiedział, nie oglądając się, Willikins. Kiedy Vimes osuszał sobie brodę, kamerdyner ciągnął dalej: – Chciałbym wykorzystać tę okazję, sir Samuelu, by poruszyć pewną istotną

kwestię.

– Słucham.

Vimes wpatrywał się tępo w czerwone rajtuzy, które zdawały się kluczowym elementem jego galowego munduru.

– Z głębokim żalem muszę prosić o zgodę na przekazanie swojego wypowiedzenia, sir. Postanowiłem przywdziać Barwy.

– A jakież to barwy, Willikins? – Vimes podniósł koszulę z bufiastymi rękawami. Dopiero wtedy mózg doścignął uszy. – Chcesz zostać... żołnierzem?

– Mówią, że trzeba udzielić surowej lekcji Klatchowi, sir. Żaden Willikins się nie ociągał, gdy ojczyzna wzywała. Pomyślałem, że odpowiednia dla mnie będzie Ciężka Piechota lorda Venturiego. Mają wyjątkowo atrakcyjne mundury w czerwieni i bieli, sir. Ze złotymi obszyciami.

Vimes wciągnął buty.

– Masz jakieś doświadczenie wojskowe?

– Och, nie, sir Samuelu. Ale szybko się uczę. I sędzę, że posiadam pewną wprawę w operowaniu nożem do krojenia.

Twarz kamerdynera wyrażała patriotyczną gotowość.

– Operowaniu na indykach i...

– Tak, sir Samuelu. – Willikins pucował ceremonialny hełm.

– A chcesz ruszyć do walki z wyjąciymi hordami w Klatchu, tak?

– Jeśli zajdzie konieczność. Myślę, że jest należycie wypolerowany.

– Mówią, że to bardzo piaszczysta okolica.

– W samej rzeczy, sir. – Willikins poprawił Vimesowi hełm pod brodą.

– I kamienista. Bardzo kamienista. Mnóstwo głazów. I pył.

– Niektóre tereny są całkiem wysuszone, sir. Istotnie, ma pan rację.

– I w tej krainie pyłu barwy piasku, skał barwy piasku i piasku barwy piasku ty, Willikins, będziesz maszerował, wprawny w operowaniu sztućcami i w swoim czerwono-białym uniformie?

– Ze złotymi obszyciami, sir. – Willikins dumnie wysunął podbródek. – Tak, sir. Jeśli zajdzie potrzeba.

– I nie dostrzegasz w tym obrazie niczego niepokojącego?

– Sir?

– Mniejsza z tym. – Vimes ziewnął. – Będzie nam ciebie brakowało, Willikins. Nie wiem, czy potrafimy cokolwiek załatwić.

Ale inni potrafią... ciebie. Zwłaszcza jeśli będą mieli dość czasu na drugi strzał.

– Och, lord Venturi uważa, że wszystko skończy się przed Nocą Strzeżenia Wiedźm, sir.

– Doprawdy? Nie wiedziałem, że cokolwiek się zaczęło.

Vimes zbiegł po schodach w chmurę aromatu curry.

– Zachowaliśmy trochę dla pana, sir – oznajmił sierżant Colon. – Spał pan, kiedy chłopak to przyniósł.

– To był dzieciak Goriffa – wyjaśnił Nobby, ścigając po cynowym talerzu ziarnko ryżu. – Dość dla połowy zmiany.

– Nagroda dla wypełniających obowiązki – stwierdził Vimes, idąc szybko do drzwi.

– Chleb, marynowane mango i wszystko – mówił z zadowoloną miną Colon. – Zawsze powtarzałem, że Goriff nie jest taki zły jak na jednego z tych szmacianych łbów.

Kałuża skwierczącego oleju... Vimes znieruchomiał w drzwiach. Skulona rodzina... Wyjął zegarek – było dwadzieścia po dziesiątej. Jeśli pobiegnie...

– Fred, mógłbyś zajrzeć do mnie do gabinetu? – powiedział. – Tylko na moment.

– Tak jest, sir.

Na schodach Vimes przepuścił sierżanta przed sobą i zamknął drzwi.

Nobby i pozostali strażnicy usiłowali coś usłyszeć, jednak na zewnątrz nie dobiegały żadne słowa, jedynie ciche mamrotanie, które trwało przez jakiś czas.

Drzwi otworzyły się znowu. Vimes zbiegł na dół.

– Nobby, za pięć minut idź na uniwersytet, dobrze? Chcę mieć kontakt, ale niech mnie demony porwą, jeśli w tym mundurze przyjmę gołębia.

– Tajest.

Vimes wyszedł.

Kilka chwil później sierżant Colon powoli wkroczył do głównej sali. Spojrzenie miał nieco szkliste i podszedł do swojego biurka z nonszalancją, jaką próbują demonstrować tylko ludzie wyjątkowo wzburzeni. Przez moment bawił się jakimś papierem.

– Nie przejmujesz się tym, jak ludzie cię nazywają, prawda, Nobby? – zapytał w końcu.

– Cały czas musiałbym się denerwować, gdyby mnie to denerwowało, sierżancie – zapewnił uprzejmie kapral Nobbs.

– Właśnie. Właśnie! I ja też się nie przejmuję, jak mnie nazywają. – Colon

poskrobał się po głowie. – To właściwie bez sensu. Mam wrażenie, że sir Sam ostatnio za mało sypia.

– Jest bardzo zapracowany, Fred.

– Próbuje sam wszystko załatwić, na tym polega cały kłopot. Aha... Nobby...

– Tak?

– Sierżant... sierżant Colon, jeśli można. Będę wdzięczny.

Było sherry. Przy takich okazjach zawsze podawali sherry. Sam Vimes mógł zachować obojętność, ponieważ ostatnio pijał tylko soki owocowe. Słyszał, że sherry robi się, pozwalając, by wino się zepsuło. Nie widział w tym żadnego sensu.

– I postarasz się wyglądać godnie, dobrze? – Lady Sybil poprawiła mu płaszcz.

– Tak, kochanie.

– Jak postarasz się wyglądać?

– Godnie, kochanie.

– I naprawdę proszę, zachowuj się dyplomatycznie.

– Tak, kochanie.

– Jak masz się zachowywać?

– Dyplomatycznie, kochanie.

– Mówisz swoim głosem pantoflarza, Sam.

– Tak, kochanie.

– Wiesz, że to nieuczciwe.

– Wiem, kochanie. – Vimes uniósł dłoń w teatralnym geście kapitulacji. – Dobrze, dobrze. To przez te pióra. I te rajtuzy. – Skrzywił się, usiłując dokonać dyskretnej rearanżacji, by nie zostać pierwszym w Ankh-Morpork garbusem z garbem w kroczu. – No bo gdyby mnie tak ludzie zobaczyli...

– Naturalnie, że cię zobaczą, Sam. Prowadzisz całą procesję. Jestem z ciebie taka dumna.

Strzepnęła mu z ramienia jakiś pyłek*.

Pióra na hełmie, myślał ponuro Vimes. I te dziwaczne rajtuzy. I błyszczący półpancerz. Pancierz nie powinien błyszczeć. Powinien być za bardzo powgniatany, żeby dało się go porządnie wypolerować. A te dyplomatyczne rozmowy? Skąd niby mam wiedzieć, jak się rozmawia dyplomatycznie?

– A teraz muszę iść i zamienić słówko z lady Selachii – powiedziała lady Sybil. – Dasz sobie radę, prawda? Ciągłe ziewasz.

– Oczywiście. Ostatniej nocy mało spałem, to wszystko.

– Obiecujesz, że nie uciekniesz?

– Ja? Nigdy nie uciekam...

– Uciekłeś przed wielkim *soirée* dla ambasadora Genoi. Wszyscy widzieli.

– Właśnie dostałem wiadomość, że gang d’Olomita okrada skarbiec Vortina.

– Przecież nie musisz osobiście wszystkich ścigać. Zatrudniasz do tego ludzi.

– Ale ich dorwaliśmy – stwierdził z satysfakcją Vimes.

Czuł się wtedy znakomicie. Nie tylko pościg tak go ożywiał – aksamitny płaszczyk zostawiony na drzewie, kapelusz rzucony gdzieś w kałużę... lecz także świadomość, że biegnąc, nie jadł bardzo małych kanapek i nie rozmawiał o jeszcze mniejszych drobiazgach.

Kiedy Sybil zniknęła w tłumie, znalazł sobie kąt w wygodnym cieniu i tam się przyczaił. Ze swego miejsca widział prawie cały główny hol Niewidocznego Uniwersytetu.

Lubił magów. Nie popełniali przestępstw. A w każdym razie przestępstw interesujących dla komendanta Straży Miejskiej. Działania okultystyczne nie były jego sprawą. Magowie, owszem, mogli majstrować przy samej osnowie czasu i przestrzeni, ale nie zmuszali go do papierkowej roboty, więc nie narzekał.

Sporo ich zebrało się w sali, we wszystkich swych wspaniałościach. A nie istniało nic wspanialszego niż mag ubrany na oficjalną uroczystość, chyba że ktoś znalazłby sposób nadęcia rajskiego ptaka, być może z użyciem gumowej taśmy i jakiegoś gazu. Ale magowie mieli silną konkurencję, ponieważ gośćmi byli albo arystokraci, albo przywódcy gildii, a taka okazja jak Convivium w każdym budzi pawia.

Przebiegał wzrokiem po twarzach przybyłych; zastanawiał się leniwie, czego są winne kolejne osoby*.

Dość licznie zjawili się także ambasadorowie. Łatwo było ich rozpoznać – nosili stroje narodowe, ale że owe stroje w większości były tym, co nosił przeciętny wieśniak, wyglądali w nich odrobinę nie na miejscu. Ich ciała przystrajały pióra i jedwabie, ale umysły uparcie nosiły garnitury.

Rozmawiali w małych grupkach. Jeden czy dwóch skinęło mu głowami i uśmiechnęło się, przechodząc.

Świat patrzy, myślał Vimes. Jeśli coś pójdzie nie tak i ta głupia sprawa z Leshpem doprowadzi do wojny, właśnie tacy ludzie będą się zastanawiać, jakie stosunki nawiązać ze zwycięzcą, kimkolwiek będzie. Nieważne, kto zaczął, nieważne, jak walczył – będą chcieli wiedzieć, jak prowadzić sprawy teraz, w danej chwili. Reprezentowali to, co zwykle nazywano

„społecznością międzynarodową”. I jak przy każdym użyciu słowa „społeczność”, człowiek nigdy nie był pewien, o co czy o kogo właściwie chodzi.

Wzruszył ramionami. Dzięki bogom, to nie był jego świat.

Przysunął się do kaprała Nobbsa, który stał przy głównych drzwiach, w pozycji nieco przekrzywionej i przygarbionej, ale najbliższej postawie „na baczność”, jaką mógłby przyjąć żywy Nobbs.

– Wszędzie spokój, Nobby? – zapytał Vimes samym kącikiem ust.

– Tajest.

– Nic się nie dzieje? Zupełnie?

– Nie, sir. Ani gołębia w polu widzenia.

– Jak to, nigdzie? Nic?

– Nic.

– Przecież wczoraj w całym mieście były kłopoty!

– Tajest.

– Przekazałeś Fredowi, że ma wysłać ptaka, gdyby cokolwiek się działo?

– Tajest.

– Mroki? Tam zawsze coś jest...

– Spokojnie jak w grobie, sir.

– Niech to!

Vimes pokręcił głową, myśląc o tak porażającej niewiarygodności przestępczego świata Ankh-Morpork.

– Może mógłbyś wziąć cegłę i...

– Lady Sybil specficznie zaznaczyła, że ma pan tutaj zostać – oświadczył kapral Nobbs, wpatrując się prosto przed siebie.

– Specficznie?

– Tak jest, sir. Przyszła tu i porozmawiała ze mną. Dała mi dolara.

– Ach, sir Samuelu! – zabrzmiał grzmiący głos za plecami Vimesa. – Chyba nie poznał pan jeszcze księcia Khufuraha, prawda?

Vimes obejrzał się i szybko przybrał oficjalny wyraz twarzy. Nadrektor Ridcully zmierzał w jego stronę, holując za sobą dwóch smagłych mężczyzn.

– To jest komendant Vimes, panowie. Sam, to... Nie, załatwiam to w odwrotnej kolejności, prawda? Całkiem mi się pomieszało z protokołem... Tyle do załatwienia, kwestor znowu zamknął się w sejfie, nie mamy pojęcia, jak mu się udaje zabierać ze sobą klucz, przecież tam od środka nie ma nawet dziurki...

Po czym Ridcully znowu gdzieś pobiegł; pierwszy z mężczyzn wyciągnął rękę.

– Księżę Khufurah – przedstawił się. – Mój dywan dotarł tu dopiero przed dwoma godzinami.

– Dywan? Ach, tak... przyleciał pan.

– Tak. Bardzo chłodno i oczywiście nie ma co liczyć na solidny posiłek. Czy złapał pan tego człowieka, sir Samuelu?

– Słucham? Nie bardzo...

– O ile pamiętam, nasz ambasador wspominał mi, że w zeszłym tygodniu musiał pan opuścić przyjęcie.

Księżę był wysokim mężczyzną, kiedyś zapewne całkiem atletycznie zbudowanym, dopóki nie zaczęły mu ciążyć solidne obiady. I miał brodę –

wszyscy Klatchianie nosili brody. Miał też inteligentne oczy. Niepokojąco inteligentne. Człowiek zaglądał w nie i widział, jak z wnętrza patrzą na niego kolejne warstwy osoby...

– Co? Aha... Tak. Tak, wyłapaliśmy ich.

– Brawo. Widzę, że stawiał opór.

Vimes zdziwił się. Księżę znacząco postukał się w szczękę. Vimes odruchowo uniósł dłoń i natrafił na strzępek serwetki na własnej brodzie.

– Aha... No tak...

– Komendant Vimes zawsze schwytą człowieka, którego ściga – oznajmił księżę.

– Cóż, nie powiedziałbym...

– Terier Vetinarię. Słyszałem, że tak pana nazywają. Zawsze gotów do pościgu i nigdy nie rezygnuje.

Vimes spoglądał w spokojne, mądre oczy.

– Przypuszczam, że kiedy już rozważy się wszystko należycie, każdy z nas okazuje się czymś psem – powiedział słabym głosem.

– To doprawdy szczęśliwy przypadek, że pana spotkałem, komendancie.

– Doprawdy?

– Zastanawiałem się nad znaczeniem frazy, idiomu zapewne, wykrzykiwanego w moją stronę, kiedy zmierzaliśmy tutaj. Czy mógłby pan?

– Eee... jeśli tylko...

– Było to, zdaje się... niech sobie przypomnę... A tak: szmaciany łeb. – Księżę nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

Vimes świadom był własnych, pędzących z wielką prędkością myśli.

Zdawało się, że same podjęły decyzję. Wy tłumaczmy później, oświadczyły. Teraz jesteś zbyt zmęczony na wyjaśnienia. W tej chwili, z tym człowiekiem, najlepszym rozwiązaniem jest szczerść.

– To... odnosi się do pańskiego nakrycia głowy – powiedział.

– Och... Zatem to jakiś niejasny żart?

Oczywiście, że on wie, pomyślał Vimes. I wie, że ja wiem...

– Nie. To obelga – przyznał.

– Ach, z pewnością nie możemy odpowiadać za bezmyślne wrzaski idiotów, komendancie. – Książę uśmiechnął się szeroko. – Muszę jednak pana pochwalić.

– Słucham?

– Za szeroki zakres pańskiej wiedzy. Dzisiejszego ranka zadałem to pytanie chyba kilkunastu osobom. Wie pan, ani jedna nie miała pojęcia, co to oznacza. I wszystkie nagle dostawały ataku kaszlu.

Nastąpiła chwila dyplomatycznego milczenia, ale w jej trakcie ktoś parsknął.

Vimes pozwolił, by jego spojrzenie przesunęło się w bok, do drugiego mężczyzny, który nie został przedstawiony. Był niższy i chudszy od księcia. Pod czarnym turbanem miał najbardziej... zatłoczoną twarz, jaką Vimes w życiu oglądał. Sieć blizn otaczała nos podobny do orlego dzioba. Było tam coś w rodzaju zarostu, ale z powodu blizn broda i wąsy sterczały w dziwacznych kępkach pod różnymi kątami. Mężczyzna wyglądał, jakby został uderzony w twarz jeżem. Mógł być w każdym wieku. Niektóre z blizn wyglądały na świeże.

Ogólnie rzecz biorąc, miał taką twarz, że każdy policjant aresztowałby go za sam wygląd. Nie istniała możliwość, by był niewinny.

Pochwycił wzrok Vimesa i uśmiechnął się – a Vimes nigdy jeszcze nie widział takiej ilości złota w jednych ustach. Nigdy jeszcze nie widział takiej

ilości złota w jednym miejscu...

Uświadomił sobie nagle, że się gapi, a powinien prowadzić uprzejmą i dyplomatyczną rozmowę.

– A więc... – zaczął. – Będziemy się kłócić z powodu tej sprawy Leshpu, czy jak?

Książę lekceważąco wzruszył ramionami.

– Phi! Parę mil kwadratowych niezamieszkaną i żyzną ziemi w niezrównanym strategicznie położeniu? Czyż z powodu takiego nieistotnego drobiazgu cywilizowani ludzie mają ruszać na wojnę?

I znowu Vimes poczuł na sobie wzrok księcia – wzrok czytający go. A co tam, do demona z tym wszystkim.

– Przepraszam – rzekł. – Nie jestem dobry w tym dyplomatycznym interesie. Czy naprawdę uważa pan tak, jak pan przed chwilą powiedział?

Znowu parsknięcie. Vimes obejrzał się i znowu spojrzał na wyszczerzoną twarz. I zdał sobie sprawę, że czuje zapach... nie, smród goździków.

Na bogów, on żuje to cuchnące paskudztwo...

– Och – rzucił książę. – Nie zna pan jeszcze 71-godzinnego Ahmeda.

Ahmed uśmiechnął się jeszcze szerzej i skłonił głowę.

– Offendi... – rzucił głosem jak żwirowa alejka.

I to było chyba wszystko. Żadne „To 71-godzinny Ahmed, attache kulturalny” albo „71-godzinny Ahmed, mój ochroniarz”, czy nawet „71-godzinny Ahmed, chodzący skarbiec i zabójca komarów”. Stało się oczywiste, że następny krok należy do Vimesa.

– To, hm... dość niezwykle imię – zauważył.

– Ależ skąd – odparł gładko książę. – W moim kraju Ahmed jest

imieniem bardzo popularnym.

Pochylił się, co Vimes rozpoznał jako preludium do konfidencyjnej wymiany zdań na stronie.

– Przy okazji... Czy ta piękna dama, którą przed chwilą widziałem, to pańska pierwsza żona?

– Eee... to wszystkie moje żony. To znaczy...

– Czy mógłbym zaproponować panu za nią dwadzieścia wielbłądów?

Vimes przez chwilę patrzył w ciemne oczy, potem zerknął na 24-karatowy uśmiech 71-godzinnego Ahmeda.

– To jeszcze jedna próba, tak? – zapytał.

Książę wyprostował się, wyraźnie zadowolony.

– Brawo, sir Samuelu. Jest pan w tym naprawdę dobry. Czy wie pan, że pan Boggis z Gildii Złodziei skłonny był przyjąć piętnaście?

– Za panią Boggis? – Vimes lekceważąco machnął ręką. – Nie... cztery wielbłądy, może cztery wielbłądy i koza przy dobrym oświetleniu. I kiedy się ogoli.

Krążący po sali goście odwrócili się, słysząc wybuch śmiechu księcia.

– Świetne! Doskonałe! Obawiam się, komendancie, że niektórzy z pańskich współobywateli zdają się wierzyć, że ponieważ to mój naród wymyślił wyższą matematykę i całodobowe biwaki, jesteśmy kompletnymi barbarzyńcami, którzy na skinienie, powiedzmy, turbana rzucą się kupować ich żony. Dziwię się, że przyznali mi honorowy tytuł naukowy, skoro tak bardzo jestem zacofany.

– A jakiż to tytuł? – zainteresował się Vimes.

Nic dziwnego, że ten człowiek jest dyplomatą, pomyślał. Nie można mu zaufać ani przez moment, jego myśli biegają zygzakami – a jednak nie da się

go nie lubić.

Księżę wyjął spod szaty list.

– Jak się zdaje, chodzi o *Doctorum Plectendi quasi Furnarius in Vexationibus...* Coś się stało, sir Samuelu?

Vimes zdołał jakoś zmienić zdradziecki śmiech w atak kaszlu.

– Nie. Nie, nic takiego. Nic.

Rozpaczliwie szukał innego tematu rozmowy. Na szczęście tuż obok znalazł coś, co dało mu świetną okazję.

– Dlaczego pan Ahmed ma umocowany na plecach taki wielki zakrzywiony miecz? – zapytał.

– Cóż, jest pan policjantem. Zauważa pan takie drobiazgi.

– Trudno to nazwać ukrytą bronią, prawda? Jest niemalże większy od niego. Praktycznie rzecz biorąc, pan Ahmed jest ukrytym właścicielem.

– To ceremonialna broń – wyjaśnił księżę. – A on strasznie się niepokoi, kiedy ją gdzieś zostawia.

– A jaką właściwie pełni...

– Ach, tu pan jest! – zawołał Ridcully. – Właściwie wszystko gotowe. Wiesz, że masz przejść na sam przód, Sam...

– Tak, wiem – potwierdził Vimes. – Właśnie pytałem jego wysokość, kim...

– ...a wasza wysokość i pan... No, no, ależ wielki miecz... Przejdziecie tedy i zajmiecie miejsca wśród honorowych gości. Za szejkundę zaczniemy...

Co to znaczy mieć umysł gliny, myślał Vimes, kiedy za jego plecami długa kolumna magów i ich gości starała się uformować dostojną i uporządkowaną formację. Tylko dlatego, że ktoś jest uprzejmy i

sympatyczny, człowiek zaczyna go podejrzewać. Z tego tylko powodu, że jeśli ktoś zadaje sobie trud, by być miłym dla gliniarza, musi coś knuć. Oczywiście, jest dyplomatą, ale jednak... Mam tylko nadzieję, że nie studiował języków starożytnych, naprawdę...

Ktoś klepnął go w ramię. Vimes odwrócił się i spojrzał prosto w uśmiech 71-godzinnego Ahmeda.

– Jeśli zmienić zdanie, *offendi*, dam ci dwadzieścia pięć wielbłądów, żaden kłopot – powiedział, wyjmując spomiędzy zębów goździk. – I niech twe lędźwia będą pełne owocu.

Mrugnął. Był to najbardziej dwuznaczny gest, jaki Vimes w życiu oglądał.

– Czy to kolejna... – zaczął, ale tamten zniknął już w tłumie. – Moje lędźwia pełne owocu? – powtórzył. – Na bogów...

71-godzinny Ahmed pojawił się znowu przy jego drugim ramieniu, otoczony chmurą zapachu goździków.

– Hja iść, hja wracać – zaburczał z satysfakcją. – Księżę powiedział, że ten tytuł to doktor Plecenia jak Piekarski na Mękach. Żarcik magów, co? Och, jakże się śmiejemy.

I zniknął.

Convivium uważano za Wielki Dzień dla Niewidocznego Uniwersytetu. Początkowo było po prostu ceremonią wręczania stopni naukowych, ale przez lata zmieniło się w rodzaj celebracji przyjaznych stosunków między uniwersytetem a miastem, w szczególności celebrację faktu, że obecnie ludzie rzadko kiedy zmieniali się w małże. Wobec braku innych uroczystości w rodzaju Dnia Burmistrza albo oficjalnego otwarcia Parlamentu, Convivium stało się jedną z nielicznych okazji, by mieszkańcy mogli sobie pokrzyczeć na stojących wyżej od siebie, a przynajmniej na takich, którzy noszą rajtuzy i śmieszne kostiumy.

Uroczystość ściągała tak licznych gości, że musiała się odbywać w gmachu Opery. Ludzie nieufni – inaczej mówiąc tacy jak komendant Vimes – uważali, że dzieje się tak dlatego, by mogła się odbyć procesja. Nie ma nic lepszego od zmasowanych szeregów magów kroczących z godnością przez miasto w duchu obywatelskiej przyjaźni i zrozumienia, by osobom skłonnym do zadumy delikatnie przypomnieć, że nie zawsze tak było. Patrzcie na nas, zdawali się mówić magowie. Patrzcie na nasze wielkie laski z gałkami na czubkach. Każda z nich mogłaby wyrządzić wiele szkód, gdyby znalazła się w niewłaściwych rękach. Bardzo dobrze więc się składa, że w tej chwili są w rękach właściwych, prawda? Czy to nie miło, że tak dobrze się nam układa?

I ktoś kiedyś zdecydował, że komendant Straży Miejskiej powinien maszerować na czele, z powodów symbolicznych. Przez całe lata nie miało to znaczenia, bo nie istniał komendant Straży Miejskiej, ale teraz się pojawił i był nim Sam Vimes. W czerwonej koszuli z idiotycznymi bufiastymi rękawami, w czerwonych rajtuzach i czymś w rodzaju bufiastych krótkich spodenek w stylu, który – sądząc na oko – wyszedł z mody, kiedy krzemienne ostrze było szczytem postępu technicznego. Miał też małeńki błyszczący napierśnik i hełm z piórami.

I był niewyspany.

I musiał nieść pałkę.

Wychodząc przez główną bramę uniwersytetu, wpatrywał się nieruchomo w ten nieszczęsny przedmiot. Nocny deszcz oczyścił niebo; miasto parowało.

Kiedy patrzył na pałkę, nie musiał widzieć, kto chichocze na jego widok.

Wadą było to, że musiał na nią patrzeć.

Napis – na małej tabliczce, tak zaśniedziałej, że trzeba było ją wyczyścić, zanim cokolwiek odczytał – głosił: *Obrońca Króla Attribut*.

To trochę poprawiło mu humor.

Pióra, ozdoby, złote szamerunki i futro...

Może dlatego że był zmęczony albo że usiłował odciąć się od świata, odruchowo zwolnił do tradycyjnego tempa strażnika, pogrążonego w tradycyjnym procesie bezmyślności.

Był to niemalże odruch Pawłowa^{*}. Nogi poruszały się wahadłowo, stopy pracowały, umysł zaczął działać w pewien szczególny sposób. Nie był to dokładnie stan snu czy uśpienia. Po prostu nos, uszy i oczy połączyły się bezpośrednio z ośrodkiem „podejrzliwego drania” w mózgu, pozostawiając wyższym funkcjom swobodę luźnych skojarzeń.

...Futro i rajtuzy... cóż to za ubiór dla strażnika? Powgniatany pancerz, brudne skórzane portki, wystrzępiona koszula z plamami krwi, w miarę możliwości cudzej... tak być powinno... mile nierówności bruku wyczuwane przez podeszwy... to by naprawdę było przyjemne...

Za nim, wśród lekkiego zamieszania w długiej kolumnie, procesja zwolniła, dostosowując się do jego kroku.

Ha, *Obrońca Króla Attribut*, dobre sobie... Powiedział do tego staruszka, który dostarczył pałkę: „A który królewski atrybut macie na myśli?”, ale słowa padły na kamienistą glebę... Głupia zabawka zresztą, pomyślał wtedy, kawałek drewna ze srebrną grudką na końcu... nawet zwykły funkcjonariusz dostaje przyzwoity miecz, a z tym niby co ma zrobić? Pomachać na kogoś? Bogowie, już chyba całe miesiące minęły, odkąd ostatni raz porządnie przespacerował się ulicami... Sporo ludzi dookoła... chyba jakaś parada, zgadza się...?

– Ojej – powiedział stojący wśród gapiów kapitan Marchewa. – Co on robi?

Obok niego agatejski turysta pracowicie pociągał za dźwignię swojego ikonografii.

Komendant Vimes przystanął i z zamyślonym wyrazem twarzy wsunął pałkę pod pachę. Sięgnął do hełmu.

Turysta spojrzał w górę na Marchewę i uprzejmie pociągnął go za koszulę.

– Proszę... co on teraz robi? – zapytał.

– Eee... no... wyjmuję...

– Och, nie... – jęknęła Angua.

– ...wyjmuję z hełmu ceremonialną paczkę cygar – wyjaśnił Marchewa. – Oj... a teraz... teraz zapala jedno z nich...

Turysta przesunął dźwignię kilka razy.

– Bardzo historyczna tradycja?

– Pamiętna – mruknęła Angua.

Tłum ucichł. Nikt nie chciał zakłócać koncentracji Vimesa. Zaległa głęboka, pełna napięcia cisza tysiąca wstrzymujących oddech ludzi.

– Co teraz robi? – spytał Marchewa.

– Nie widzisz? – zdziwiła się Angua.

– Nie, bo zasłaniam oczy rękami. Och, nieszczęsny...

– On... puścił kółko z dymu.

– ...pierwsze dzisiaj, zawsze tak robi...

– ...a teraz znowu ruszył... Teraz wyciągnął pałkę i rzuca ją w powietrze, a potem łapie, tak jak zawsze robi z mieczem, kiedy się zamyśli... Wygląda na całkiem zadowolonego.

– Myślę, że wkrótce będzie naprawdę cenił tę chwilę szczęścia – stwierdził Marchewa.

Zaczęły się pomruki. Procesja stanęła za Vimesem. Niektórzy co bardziej łatwowierni, a także ci, którzy zbyt obficie korzystali z całkiem dobrej uniwersyteckiej sherry, zaczęli szukać przy sobie czegoś, co mogliby podrzucać i łapać. W końcu była to Tradycyjna Ceremonia. Jeśli ktoś uważał,

że nie powinien robić pewnych rzeczy tylko dlatego, że wydają się bezsensowne, mógł od razu iść do domu.

– Jest zmęczony i tyle – stwierdził Marchewa. – Całymi dniami biega i pilnuje różnych spraw. Na dziennej i nocnej zmianie. Sama wiesz, że lubi do wszystkiego przyłożyć rękę.

– Miejmy nadzieję, że Patrycjusz pozostawi mu tę możliwość.

– Och, jego lordowska mość z pewnością by nie... Nie, prawda?

Tu i tam wybuchały śmiechy. Vimes zaczął przerzucać pałkę z jednej ręki do drugiej.

– Potrafi podrzucić miecz tak, że zakręci się trzy razy, a potem jeszcze go złapać...

Vimes odwrócił głowę. Spojrzał wyżej. Jego pałka stuknęła o bruk i potoczyła się do kałuży. Nie zwrócił na nią uwagi.

A potem ruszył biegiem.

Marchewa spoglądał za nim, a potem spróbował odgadnąć, na co patrzył komendant.

– Na szczycie Barbakanu... – powiedział. – W tamtym oknie... Czy to nie człowiek? Przepraszam, przepraszam, proszę się odsunąć, przepraszam...

Zaczął przeciskać się przez tłum.

Vimes był już tylko małą figurką w oddali. Czerwony płaszcz powiewał mu za plecami.

– I co? Wiele osób ogląda paradę z wysoka – zauważyła Angua. – Co w tym takiego dziwnego?

– Tam nie powinno być nikogo! – odpowiedział Marchewa. Wydostał się pomiędzy gapiów i ruszył biegiem. – Budynek jest zamknięty!

Angua rozejrzała się. Wszystkie twarze zwrócone były w kierunku ulicznego spektaklu, a niedaleko stał jakiś wózek. Westchnęła i przeszła za niego krokiem podejrzanie nonszalanckim. Potem zabrzmiało sapnięcie, cichy, ale wyraźnie organiczny dźwięk, stłumiony krzyk, a po chwili brzęk padającego na bruk pancerza.

Vimes nie wiedział, dlaczego biegnie. Zadziałał szósty zmysł. Bywało, że jakaś ukryta z tyłu część mózgu wychwytywała z eteru, że zdarzy się coś niedobrego, i nie miała już czasu na racjonalizację. Więc przejmowała po prostu rdzeń kręgowy.

Nikt nie mógł się dostać na szczyt Barbakanu. Barbakan stanowił ufortyfikowaną bramę jeszcze z czasów, kiedy Ankh-Morpork nie uznawało atakujących wojsk za cudowne możliwości komercyjne. Niektóre jego części wciąż były w użytku, jednak większość tworzyło sześć z siedmiu poziomów ruin, pozbawionych jakichkolwiek schodów, którym człowiek rozsądny by zaufał. Przez lata Barbakan wykorzystywano jako nieoficjalne źródło materiałów budowlanych dla reszty miasta. W wietrzne noce odpadały z niego kawałki muru. Nawet gargulce unikały tej budowli.

Vimes uświadamiał sobie, że gwar tłumu za jego plecami zmienił się w głośne krzyki. Jedna czy dwie osoby wrzasnęły rozdzierająco. Nie oglądał się. Cokolwiek się tam dzieje, Marchewa się tym zajmie.

Coś go wyprzedziło. Wyglądało tak, jak mógłby wyglądać wilk, gdyby miał wśród przodków długowłosego klatchistańskiego psa myśliwskiego, jedno z tych pełnych gracji stworzeń, pozornie zbudowanych tylko z nosa i sierści.

Zwierzę pomknęło naprzód i zniknęło w popękany łuk bramy.

Kiedy Vimes tam dotarł, nigdzie go nie zauważył. Ale ta nieobecność nie zwracała szczególnej uwagi, a to z powodu o wiele bardziej rzucającej się w oczy obecności leżącego wśród gruzów trupa.

Jak Vimes zawsze powtarzał (czy też, ściślej mówiąc, powtarzał, że

zawsze powtarza, a nikt przecież nie będzie się spierał z oficerem dowodzącym) – czasem drobne szczegóły, małe szczegóły, detale, jakich nikt by nie zauważył w normalnych okolicznościach, chwytają zmysły za gardło i krzyczą: „Zobacz mnie!”.

W powietrzu unosił się leciutki korzenny zapach. A w szczelinie między kamieniami bruku tkwił goździk.

Była piąta. Vimes z Marchewą siedzieli w poczekalni przed gabinetem Patrycjusza. Siedzieli w ciszy – jeśli nie liczyć nieregularnego tykania zegara.

Po chwili odezwał się Vimes:

– Daj mi jeszcze raz obejrzeć.

Marchewa posłusznie wyjął z kieszeni niewielki prostokąt papieru. Vimes przyjrzał się uważnie – nie można było się pomylić co do tego, co przedstawiał. Schował papier do własnej kieszeni.

– Ehm... Czemu chce go pan zatrzymać, sir?

– Co zatrzymać? – zdziwił się Vimes.

– Ikonogram, który pożyczyłem od turysty.

– Nie wiem, o czym mówicie, kapitanie.

– Ale przecież...

– Nie wyobrażam sobie, żebyście wysoko awansowali w straży, jeśli nadal będziecie widzieć coś, czego nie ma.

– Aha.

Zegar zdawał się tykać głośniejsze.

– Coś pan sobie myśli, sir. Prawda?

– To czynność, do jakiej niekiedy wykorzystuję swój mózg, kapitanie. Choć może się to wydać dziwne.

– A co pan sobie myśli, sir?

– Co chcieliby, żebym myślał.

– Jacy oni? – chciał wiedzieć Marchewa.

– Tego jeszcze nie wiem. Krok po kroku.

Zabrzęczał dzwonek. Vimes wstał.

– Wiecie, co zawsze powtarzam – rzekł.

Marchewa zdjął hełm i przetarł go rękawem.

– Tak jest, sir. „Każdy jest czegoś winny, a zwłaszcza ci, którzy nie są”, sir.

– Nie, nie to.

– Ehm... „Zawsze bierz pod uwagę fakt, że możesz się mylić”, sir?

– Nie, też nie.

– No... „Jakim cudem Nobby dostał robotę w straży?”, sir? Często pan to powtarza.

– Nie! Chodziło mi o „Zawsze udawaj głupiego”, Marchewa.

– Aha, sir. Racja. Od tej chwili będę pamiętał, że zawsze pan to powtarza, sir.

Chwycili hełmy pod pachy. Vimes zastukał do drzwi.

– Wejść! – usłyszeli.

Patrycjusz stał przy oknie.

W gabinecie stali lub siedzieli lord Rust i cała reszta. Vimes nigdy nie mógł zrozumieć, jak wybiera się przywódców społeczeństwa. Całkiem jakby po prostu się pojawiali, niczym pinezka w podeszwie buta.

– Ach, Vimes – powiedział Vetinari.

– Sir.

– Nie owijajmy w bawełnę, Vimes. Jak ten człowiek dostał się tam na górę, skoro wczoraj w nocy pańscy ludzie tak dokładnie wszystko sprawdzili? Magia?

– Trudno powiedzieć, sir.

Marchewa, patrzący wprost przed siebie, mrugnął nerwowo.

– Pańscy ludzie sprawdzili Barbakan, jak przypuszczam?

– Nie, sir.

– Nie sprawdzili?

– Nie, sir. Sam to zrobiłem.

– Fizycznie sprawdziłeś osobiście, Vimes? – odezwał się Boggis z Gildii Złodziei.

Kapitan Marchewa niemal wyczuwał w tej chwili myśli komendanta.

– To prawda... Boggis – odpowiedział Vimes, nie odwracając głowy. – Ale... sądzymy, że ktoś przedostał się przez okno zabite deskami, a potem przyciągnął te deski z powrotem. Została naruszona warstwa kurzu i...

– I nie zauważyłeś tego, Vimes?

Vimes westchnął.

– Nawet w świetle dziennym dostatecznie trudno byłoby zauważyć przybite z powrotem deski, Boggis, a co dopiero w środku nocy.

I nie zauważyliśmy, dodał już do siebie. Angua wyczuła na nich zapach.

Vetinari zajął miejsce za biurkiem.

– Sytuacja jest poważna, Vimes.

– Tak, sir.

– Jego wysokość został bardzo ciężko ranny. A księżę Cadram, jak nam doniesiono, wychodzi z siebie z wściekłości.

– Upierają się, żeby trzymać brata księcia w ich ambasadzie – wtrącił lord Rust. – To świadoma zniewaga. Jak byśmy w mieście nie mieli doskonałych chirurgów.

– To prawda, naturalnie – zgodził się Vimes. – A wielu z nich potrafiłoby go też całkiem dobrze ostrzec i ogolić.

– Kpisz sobie ze mnie, Vimes?

– Ależ skąd, lordzie. Moim zdaniem żadni chirurdzy na świecie nie mają na podłogach czyściejszych trocin niż w naszym mieście.

Rust rzucił mu gniewne spojrzenie.

Patrycjusz odchrząknął.

– Czy zidentyfikowaliście zamachowca? – zapytał.

Marchewa spodziewał się, że komendant odpowie „rzekomego zamachowca”, ale się mylił.

– Tak – potwierdził Vimes. – Nazywa się... Nazywał się Ossie Brunt. Nie wiemy, czy posługiwał się innymi nazwiskami. Mieszkał przy Targowej. Wykonywał rozmaite zajęcia. Trochę samotnik. Nie trafiliśmy na żadnych krewnych ani przyjaciół. Prowadzimy dochodzenie.

– I to wszystko, co wiecie? – spytał lord Downey.

– Trochę czasu zajęło nam zidentyfikowanie Brunta.

– A czemuż to?

– Nie udzielę panu technicznego wyjaśnienia, ale dla mnie to on wyglądał, jakby nie potrzebował trumny. Mogliby go pochować między dwoma skrzydłami wrót stodoły.

– Czy działał sam?

– Znaleźliśmy tylko jedno ciało. I sporo niedawno upadłych elementów muru. Wygląda więc, że...

– Chodziło mi o to, czy należał do jakiejś organizacji. Są jakieś sugestie jego antyklatchiańskich przekonań?

– Poza taką, że próbował zabić jednego z nich? Dochodzenie trwa.

– Czy pan traktuje tę sprawę poważnie, Vimes?

– Przydzieliłem do niej naszych najlepszych ludzi. – Kto wygląda na zaniepokojonego? – Sierżanta Colona i kaprała Nobbsa. – Kto okazuje ulgę? – Niezwykle wręcz doświadczeni. Ostoje straży.

– Colon i Nobbs? – powtórzył Vetinari. – Naprawdę?

– Tak jest, sir.

Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy.

– Docierają do nas bardzo groźne pomruki, Vimes – stwierdził Patrycjusz.

– Co mogę powiedzieć, sir? Zobaczyłem kogoś na wieży, pobiegłem, ktoś posłał księciu strzałę, a potem znalazłem tego człowieka na samym dole wieży, bardzo wyraźnie martwego, z połamanym łukiem i masą kamieni dookoła. Ta wczorajsza burza musiała tam wszystko obluzować. Nie mogę przecież wymyślać faktów, które nie zaistniały, sir.

Marchewa obserwował twarze wokół stołu. Ogólnie biorąc, wyrażały

ulgę.

– Samotny łucznik – stwierdził Vetinari. – Idiota żywiący jakąś obłąkaną urazę. Który zginął przy egzekucji, hm... zamierzonej egzekucji. I oczywiście mężna postawa naszych strażników prawdopodobnie zapobiegła oddaniu przez niego natychmiastowo śmiertelnego strzału.

– Mężna postawa? – zdziwił się Downey. – Wiem, że kapitan Marchewa biegł w stronę dostojników, a Vimes kierował się do wieży, ale powiem szczerze, Vimes, pańskie wcześniejsze dziwaczne zachowanie...

– Jest w tej chwili mało istotne – wszedł mu w słowo Patrycjusz. Znow zaczął mówić tonem lekko nieobecnym, jak gdyby zwracał się do kogoś innego. – Gdyby komendant Vimes nie spowolnił procesji, złoczyńca bez wątplenia zdołałby strzelić celniej. W tej sytuacji wpadł w panikę... Tak... Możliwe, że książę przyjmie tę wersję.

– Książę? – zdziwił się Vimes. – Przecież ten biedak...

– Jego brat – wyjaśnił Patrycjusz.

– Aha. Ten miły.

– Dziękuję panu, komendancie. Dziękuję wam także, panowie. Nie pozwólcie mi się zatrzymywać. Aha, Vimes... jeszcze słówko, jeśli pan pozwoli. Nie, nie pan, kapitanie Marchewa. Jestem przekonany, że właśnie ktoś gdzieś popełnia przestępstwo.

Vimes nieruchomo wpatrywał się w ścianę, czekając, aż pokój opustoszeje. Patrycjusz wstał i podszedł do okna.

– Doprawdy, niezwykle czasy, komendancie – powiedział.

– Sir.

– Na przykład, jak mi wiadomo, dziś po południu kapitan Marchewa zjawił się na dachu Opery i wypuszczał strzały w stronę strzelnicy.

– Niezwykle bystry chłopak, sir.

– Całkiem możliwe, że odległość między gmachem Opery i tarczami na strzelnicy jest mniej więcej taka, wie pan, jak między szczytem Barbakanu a miejscem, gdzie został trafiony książę.

– Coś podobnego, sir.

Vetinari westchnął.

– A z jakiej przyczyny to robił?

– To zabawna historia, sir, ale niedawno opowiadał mi, że formalnie nadal obowiązuje prawo nakazujące każdemu obywatelowi ćwiczenie strzelania z łuku przez jedną godzinę dziennie. Jak zrozumiałem, przepis ten wprowadzono w roku 1356 i nigdy nie...

– Wie pan, dlaczego przed chwilą odesłałem kapitana Marchewę, Vimes?

– Nie mam pojęcia, sir.

– Kapitan Marchewa to szczerzy i uczciwy młody człowiek.

– Tak jest, sir.

– Czy wiedział pan, Vimes, że krzywi się, kiedy słyszy, jak wypowiada pan ewidentne kłamstwo?

– Naprawdę, sir?

Szlag...

– Nie mogę patrzeć, jak jego twarz drga bez przerwy...

– To bardzo uprzejme z pana strony, sir.

– Gdzie był drugi strzelec, Vimes?

Szlag...

– Drugi strzelec, sir?

– Czy nie ciągnęło pana kiedyś na scenę, Vimes?

Tak, w tej chwili dałbym się pociągnąć absolutnie wszędzie...

– Nie, sir.

– Szkoda. Sądzę, że to wielka strata dla profesji aktorskiej. Mówił pan, o ile pamiętam, że ów człowiek wstawił deski za sobą.

– Tak, sir.

– I przybił je z powrotem?

Niech to demon...

– Tak, sir.

– Od zewnątrz?

Szlag...

– Tak, sir.

– Wyjątkowo pomysłowy samotny strzelec, Vimes.

Vimes nie próbował nawet odpowiadać. Vetinari usiadł za biurkiem, zetknął dłonie czubkami palców i uniósł je do twarzy. Ponad nimi spoglądał na Vimesa.

– Colon i Nobbs badają tę sprawę? Naprawdę?

– Tak, sir.

– Gdybym zapytał dlaczego, uda pan, że nie rozumie?

Vimes pozwolił, by czoło przecięła mu zmarszczka szczerzego zaskoczenia.

– Sir?

– Jeśli jeszcze raz powiesz „sir?” tym głosem durnia, Vimes, to przysięgam, że będą kłopoty.

– To dobrzy strażnicy, sir.

– Jednakże niektórzy mogliby ich uznać za pozbawionych wyobraźni, tępych oraz... jak by to ująć? Posiadających wrodzoną skłonność, by przyjąć pierwsze wyjaśnienie, jakie się pojawi, a potem zadekować się gdzieś, żeby w spokoju wypalić papierosa? Pewną niezdolność do szerszego spojrzenia? Umiejętność gubienia się w głębinach już na mokrym chodniku? Talent do nieumotywowanych osądów?

– Mam nadzieję, że nie kwestionuje pan zdolności moich ludzi.

– Vimes, nikt jeszcze nigdy nie zakwestionował braku zdolności Colona i Nobbsa.

– Sir?

– A jednak... Rzeczywiście nie trzeba nam komplikacji, Vimes. Pomysłowy samotny szaleniec... No cóż, wielu jest szaleńców. Godny pożalowania incydent.

– Tak jest, sir. – Patrycjusz wyglądał na udręczonego i Vimes uznał, że należy mu się odrobina współczucia. – Fred i Nobby także nie lubią komplikacji.

– Potrzebujemy prostych wyjaśnień, Vimes.

– Fred i Nobby dobrze sobie radzą z tym, co proste, sir.

Vetinari odwrócił się i spojrzał na miasto.

– Aha... – powiedział spokojniejszym tonem. – Prości ludzie, by dostrzegli proste prawdy?

– W samej rzeczy, sir.

– Szybko się pan uczy, Vimes.

- Trudno mi to oceniać, sir.
- A kiedy już znajdą tę prostą prawdę?
- Nie można się spierać z prawdą, sir.
- Doświadczenie mówi mi, Vimes, że pan może się spierać ze wszystkim.

Kiedy komendant straży wyszedł, Vetinari siedział jeszcze chwilę przy biurku, wpatrzony w pustkę. Potem wyjął z szuflady klucz, podszedł do ściany i przycisnął w pewnym szczególnym miejscu.

Zgrzytnęła przeciwwaga. Fragment ściany odsunął się w głąb.

Patrycjusz ruszył powoli wąskim korytarzem, który się za nią skrywał. Tu i tam rozjaśniało mrok bardzo słabe lśnienie wokół krawędzi niewielkich paneli, które – delikatnie odsunięte – pozwalały spojrzeć przez oczy wygodnie umieszczonego portretu.

Były pozostałością po poprzednim władcy. Vetinari nigdy z nich nie korzystał. Sztuka nie polegała na patrzeniu cudzymi oczami.

Szedł długo po mrocznych schodach i wzdłuż cuchnących stęchlizną korytarzy. Od czasu do czasu wykonywał ruchy, których sens nie był zbyt jasny. Przechodząc, pozornie odruchowo dotykał ściany... tutaj, a potem tutaj. W korytarzu wykładanym kamieniami, rozjaśnionym tylko szarą poświatą wpadającą oknem zapomnianym przez wszystkich oprócz najbardziej optymistycznych much, zaczął tak jakby grę w klasy; szata powiewała za nim, a łydki migotały, kiedy przeskakiwał z kamienia na kamień.

Te rozmaite działania nie sprawiały jakoś, by cokolwiek się wydarzyło. W końcu dotarł do drzwi, które otworzył kluczem. Uczynił to z niejaką ostrożnością.

Powietrze za progiem wypełniał gryzący dym, a jednostajne stukanie, które słyszał już w korytarzu, stało się teraz całkiem głośne. Rytm stuków

załamał się na chwilę, nastąpił o wiele głośniejszy huk, a potem kawałek gorącego metalu świsnął Patrycjuszowi koło ucha i wbił się w ścianę.

– Ojjoj... – odezwał się wśród kłębow dymu głos.

Nie wydawał się nieszczęśliwy. Był to raczej głos, jakiego ktoś mógłby użyć na widok słodkiego i przymilnego szczeniaczka, który – mimo nauk i tłumaczeń – siedzi właśnie przy rozszerzającej się mokrej plamie na dywanie.

Kiedy dym nieco się rozwiął, niewyraźna sylwetka mówiącego z bladym uśmiechem zwróciła się do przybysza.

– Tym razem pełne piętnaście sekund, panie! Nie ma wątpliwości, że zasada jest słuszna!

Było to typowe zachowanie Leonarda z Quirmu: podejmował rozmowę, jakby przerwał ją tylko na moment. Zakładał przy tym, że każdy jest przyjaźnie zainteresowany, i uznawał za oczywiste, że rozmówca jest równie inteligentny jak on.

Vetinari przyjrzał się niewielkiej kupce pogiętego, poszarpanego metalu.

– Co to było, Leonardzie? – zapytał.

– Eksperymentalne urządzenie zmieniające energię chemiczną w ruch obrotowy – wyjaśnił Leonard. – Widzisz, panie, cały kłopot polega na tym, żeby wrzucać te małe kuleczki czarnego prochu do komory spalania dokładnie z wyznaczoną prędkością i po jednej naraz. Jeśli nastąpi zapłon dwóch równocześnie, cóż, uzyskujemy wtedy silnik spalania zewnętrznego.

– A jaki jest cel tego urządzenia?

– Uważam, że mogłoby zastąpić konia – oświadczył z dumą konstruktor.

Popatrzyli na rozbity mechanizm.

– Jedną z zalet koni, na jaką ludzie często zwracają uwagę – rzekł po chwili namysłu Patrycjusz – jest ta, że konie bardzo rzadko wybuchają. O ile wiem, właściwie nigdy, jeśli nie liczyć tego nieszczęśliwego zdarzenia

podczas wielkich upałów kilka lat temu.

Długimi szczupłymi palcami wyciągnął coś spośród szczątków. Były to dwa sześciany wykonane z jakiegoś miękkiego białego futerka i związane sznurkiem. Na ściankach miały kropki.

– Kostki? – zdziwił się.

Leonard uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Tak. Sam nie wiem czemu, ale wydawało mi się, że mogą pomóc w działaniu. To był taki... no, pomysł. Wiesz, panie, jak to bywa.

Vetinari kiwnął głową. Wiedział, jak to bywa. Wiedział, jak to bywa, o wiele lepiej od Leonarda z Quirmu, i dlatego właśnie istniał tylko jeden klucz do tych drzwi – i to on go miał. Co nie znaczy, że Leonard był więźniem... chyba że według nudnych, pospolitych standardów. Wydawał się raczej wdzięczny, że został zamknięty na tym jasnym i przestronnym poddaszu, mając do dyspozycji tyle drewna, papieru, farb i kawałków węgla drzewnego, ile tylko zapragnął, za to bez konieczności płacenia za czynsz i robienia zakupów.

Zresztą i tak nie można by uwięzić kogoś takiego jak Leonard z Quirmu. Można co najwyżej zamknąć gdzieś jego ciało. Bogowie tylko wiedzieli, któredy wędrował jego umysł. I chociaż miał tyle mądrości, że stale z niego wyciekała, nie potrafiłby powiedzieć, skąd wieją polityczne wiatry – choćby wyposażyć go w żagle.

Niesamowity mózg Leonarda skwierczał niepokojąco i przepełniał patelnię na Piecu Życia. Nie dało się przewidzieć, o czym pomyśli, ponieważ był bezustannie reprogramowany przez cały wszechświat. Widok wodospadu albo szybującego po niebie ptaka popychał go w jakąś nową ścieżkę praktycznych spekulacji, która nieodmiennie prowadziła do stosu drutu i sprężyn oraz okrzyku „Chyba już wiem, co zrobiłem nie tak!”. Był kiedyś członkiem większości gildii rzemieślniczych w mieście, ale wyrzucano go za uzyskiwanie niemożliwie wysokich wyników na egzaminach albo – w kilku przypadkach – za poprawianie pytań. Podobno przypadkiem wysadził budynek Gildii Alchemików, nie używając niczego więcej niż szklanka

wody, łyżka kwasu, dwa kawałki drutu i piłeczka pingpongowa.

Każdy rozsądny władca kazałby zabić Leonarda, a lord Vetinari był wyjątkowo rozsądny i często się zastanawiał, dlaczego właściwie tego nie zrobił. Uznał, że przyczyną było to, iż uwięzione w bezcennym, ciekawym bursztynie potężnego umysłu Leonarda, pod całym tym błyskotliwym i badawczym geniuszem, tkwiło coś w rodzaju upartej niewinności, którą ludzie mniejsi duchem mogliby nazwać głupotą. Była ona istotą i duszą tej siły, która przez tysiąclecia nakazywała ludzkości wtykać palce do gniazdek elektrycznych wszechświata i bawić się wyłącznikiem, by sprawdzić, co się stanie – a potem dziwić się, kiedy rzeczywiście się stało.

Krótko mówiąc, była użyteczna. A jeśli Patrycjusza można do kogoś porównać, to do starszej pani, która przechowuje kawałki nici, bo nigdy nie wiadomo, do czego mogą się przydać.

W końcu trudno mieć plany na każdą ewentualność. To by wymagało wiedzy o tym, co się zdarzy, a jeśli ktoś wie, co się zdarzy, prawdopodobnie może dopilnować, żeby się nie zdarzyło lub zdarzyło się komuś innemu. Dlatego Patrycjusz nigdy nie planował. Plany często wchodzą człowiekowi w drogę.

I wreszcie trzymał tu Leonarda, ponieważ był on miłym rozmówcą. Nigdy nie rozumiał, o czym mówi Vetinari, miał pogląd na świat mniej więcej tak skomplikowany, jak kaczątko ze wstrząsem mózgu, a przede wszystkim nigdy nie uważał. Co czyniło go idealnym powiernikiem. Przecież jeśli człowiek prosi o radę, to z pewnością nie po to, by mu jej udzielono. Chce raczej, by ktoś był obok, kiedy mówi sam do siebie.

– Właśnie zaparzyłem herbatę – powiedział Leonard. – Napijesz się ze mną, panie?

Podążył spojrzeniem za wzrokiem Patrycjusza do brązowej plamy na jednej ze ścian. Kończyła się gwiazdą rozprysniętego na tynku roztopionego metalu.

– Obawiam się, że automatyczna machina do herbaty nie działała jak należy – wyjaśnił. – Będę musiał zaparzyć ręcznie.

– Jak to miło – zapewnił go Vetinari.

Usiadł między sztalugami i – gdy Leonard krzątał się przy kominku – przejrzał jego najnowsze szkice. Leonard szkicował tak odruchowo, jak inni drapia się po głowach; geniusz – pewien szczególny typ geniuszu – sypał się z niego niczym łupież.

Jeden rysunek przedstawiał rysującego człowieka – linie kreśliły postać tak dokładnie, że zdawała się wyrastać z kartki. A wokół niej – ponieważ Leonard nigdy nie marnował czystej powierzchni papieru – znajdowały się rozrzucone bezładnie inne szkice. Kciuk. Wazon z kwiatami. Urządzenie służące chyba do ostrzenia ołówków z wykorzystaniem energii wodnej...

Vetinari znalazł to, czego szukał, patrząc w lewy dolny róg, wciśnięte między szkic nowego typu śruby i narzędzia do otwierania ostryg. To – albo coś bardzo podobnego – zawsze gdzieś tam było.

Leonard był osobą tak cenną i wartą trzymania bezpiecznie pod kluczem między innymi dlatego, że tak naprawdę nie widział żadnej różnicy między kciukiem, różami, temperówką do ołówków... i tym.

– O, mój autoportret – zauważył Leonard, wracając z dwoma filiżankami.

– Tak, rzeczywiście – zgodził się Vetinari. – Ale mój wzrok przyciągnął raczej ten niewielki szkic, o tutaj. Machina wojenna...

– Ach, to... To głupstwo. Czy zauważyłeś, panie, w jaki sposób rosa na różanych płatkach...

– Ten kawałek tutaj... do czego służy? – Vetinari wskazał palcem.

– To? To tylko ramię miotające do kul z roztopioną siarką. – Leonard sięgnął po talerz ciasteczek. – Wyliczyłem, że powinno mieć zasięg około pół mili, jeśli zdejmie się ten pas transmisyjny z kół napędowych i użyje wołów do naciągania kołowrotu.

– Doprawdy? – Vetinari przyjrzał się starannie ponumerowanym częściom. – I można coś takiego zbudować?

– Co? Ależ tak. Makaronika? W teorii.

– W teorii?

– W rzeczywistości nikt by tego nie próbował. Wylewać deszcz niegasnącego ognia na inne ludzkie istoty? Ha! – Leonard rozsypał dookoła okruchy. – Nie znajdziesz, panie, rzemieślnika, który coś takiego zbuduje, ani żołnierza, który pociągnie za dźwignię... To część 3(b) na planie, o tutaj, spójrz...

– Istotnie – zgodził się Vetinari. – Zresztą – dodał – domyślam się, że te wielkie, potężne ramiona nie mogłyby zadziałać, boby się połamały...

– Dobrze wysuszone drewno jesionowe i cisowe, laminowane i mocowane razem przez specjalne stalowe sworznie – wyjaśnił natychmiast Leonard. – Wykonałem kilka obliczeń, o tutaj, pod szkicem światła odbijającego się od kropli deszczu. Ćwiczenie intelektualne, oczywiście.

Vetinari przebiegł wzrokiem kilka linii pajęczego, lustrzanego pisma Leonarda.

– Oczywiście – zgodził się posępnie i odłożył kartkę. – Wspominałem ci, że sytuacja w Klatchu jest politycznie napięta? Księżę Cadram usiłuje zrobić bardzo wiele bardzo szybko. Musi umocnić swoją pozycję. Jest uzależniony od wsparcia, które wydaje się odrobinę niestabilne. Jak rozumiem, wielu spiskuje przeciwko niemu.

– Doprawdy? No cóż, ludzie robią takie rzeczy – stwierdził Leonard. – A przy okazji, badałem ostatnio pajęczyny. Wiem, że cię to zacieka, panie. Otóż ich wytrzymałość w stosunku do ciężaru jest o wiele wyższa niż drutu z naszej najlepszej stali. Czy to nie fascynujące?

– A jaki typ broni zamierzasz z nich wykonać?

– Słucham?

– Nie, nic. Tylko głośno myślałem.

– Nie skosztowałeś nawet herbaty...

Patrycjusz rozejrzał się. Pokój był pełen... obiektów. Rury, dziwaczne papierowe latawce i rzeczy, które wyglądały jak szkielety pradawnych bestii. Jedną ze zbawiennych cech Leonarda – i to w bardzo realnym sensie, z punktu widzenia Vetinariego – był jego niezwykle okres skupienia uwagi. Nie chodzi o to, że szybko się czymś nudził. Wydawało się raczej, że nigdy nie nudził się niczym. Ale że interesowało go absolutnie wszystko we wszechświecie, rezultatem było to, że na przykład machina do wypruwania ludziom flaków na odległość stawiała się aparatem do plecenia powrozów, a kończyła jako instrument mierzący specyficzną grawitację sera.

Przenosił swoją uwagę błyskawicznie, jak kociak. Choćby ta historia z machiną latającą... Jeszcze teraz z sufitu wisały wielkie nietoperze skrzydła. Patrycjusz z wielkim zadowoleniem pozwolił mu marnować czas na ten pomysł, ponieważ było oczywiste, że żadna ludzka istota nie potrafi machać nimi dostatecznie mocno.

Nie musiał się martwić. Leonard sam dla siebie bywał przeszkodą. W efekcie spędził całe wieki, projektując specjalną tacę, z której ludzie mogliby jeść posiłki w powietrzu.

To człowiek prawdziwie niewinny. A jednak zawsze jakaś część umysłu kazała mu szkicować te nieszczęsne i fascynujące maszyny z kłębam dymu i starannie ponumerowanymi schematami konstrukcyjnymi...

– Co to takiego? – Vetinari wskazał inny szkic. Ukazywał człowieka trzymającego dużą metalową kulę.

– To? Och, to coś w rodzaju zabawki, szczerze mówiąc. Wykorzystuje niezwykłą właściwość pewnych, poza tym całkiem bezużytecznych metali. Nie lubią być ściskane. Więc wybuchają. Z niezwykłą ochotą.

– Jeszcze jedna broń...

– Ależ nie, panie! To byłoby całkiem bezużyteczne jako broń! Ale pomyślałem sobie, że mogłoby się przydać w przemyśle wydobywczym.

– Doprawdy...

- Na sytuację, kiedy trzeba odsunąć z drogi górę.
- Powiedz – zaczął Vetinari, odkładając na bok również tę kartkę – nie masz żadnych krewnych w Klatchu, co?
- Nie wydaje mi się. Moja rodzina mieszka w Quirmie od pokoleń.
- Aha. To dobrze. Ale... bardzo sprytni są ci Klatchianie, prawda?
- Tak. W wielu dyscyplinach praktycznie to oni tworzyli podstawy. Na przykład precyzyjnej obróbki metali.
- Obróbka metali... – Patrycjusz westchnął.
- I alchemii, oczywiście. „Principia Explosia” Affira Al-chemy to już od ponad stu lat główne dzieło w tej dziedzinie.
- Alchemia – powtórzył zasmucony Patrycjusz. – Siarka i tak dalej...
- W samej rzeczy.
- Ale tak o tym mówisz, jakby te wielkie osiągnięcia miały miejsce bardzo dawno temu... – Vetinari mówił tonem człowieka, który za wszelką cenę usiłuje dostrzec światło na końcu tunelu.
- Naturalnie! Byłbym naprawdę zdumiony, gdyby przez te lata nie dokonali znacznego postępu – odparł z zadowoleniem Leonard z Quirmu.
- Tak? – Patrycjusz przygarbił się trochę na krześle. Okazało się, że koniec tunelu stoi w ogniu.
- Wspaniali ludzie, mający wiele zalet – zapewnił Leonard. – Zawsze uważałem, że to przez pustynię. Pustynia prowadzi do niejakiego pośpiechu myśli. Uświadamia człowiekowi ulotność życia.

Patrycjusz obejrzał kolejny arkusz. Pomiędzy szkicem ptasiego skrzydła i starannym diagramem przegubu kulowego zauważył nabazgrany niewielki obrazek czegoś z kolczastymi kołami i wirującymi ostrzami. No i było też urządzenie do odsuwania gór...

– Pustynia nie jest konieczna – stwierdził. Westchnął znowu i odsunął papiery na bok. – Słyszałeś o zaginionej wyspie Leshp? – zapytał.

– Ależ tak. Kilka lat temu zrobiłem tam parę szkiców – odparł Leonard. – Pewne interesujące aspekty, o ile sobie przypominam. Jeszcze herbaty? Pozwoliłeś, panie, żeby ci całkiem wystygła. Czy chciałeś czegoś konkretnego?

Patrycjusz ścisnął palcami grzbiet nosa.

– Nie jestem pewien. Pojawił się niewielki problem. Myślałem, że może będziesz mógł pomóc. Niestety... – Jeszcze raz zerknął na szkice. – Podejrzewam, że możesz.

Wstał, poprawił szatę i uśmiechnął się z przymusem.

– Niczego ci nie brakuje?

– Przydałoby się więcej drutu. I skończyła mi się umbra palona.

– Natychmiast każę ci ich dostarczyć – obiecał Vetinari. – A teraz, jeśli wybaczysz... – Po czym opuścił pokój.

Leonard z uśmiechem pokiwał głową, sprzątając filiżanki. Silnik piekielnego spalania został przeniesiony na stos pogiętego metalu obok niedużego paleniska. Potem uczony przysunął drabinę i wydłubał tłok z sufitu.

Właśnie rozstawił sztalugi, by zacząć pracę nad nowym projektem, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że słyszy odległy tupot. Brzmiał tak, jakby ktoś biegł szybko, ale od czasu do czasu przystawał, żeby na jednej nodze skoczyć w bok.

Potem nastąpiła chwila ciszy, którą mógłby spowodować ktoś, kto poprawia ubranie i odzyskuje oddech.

Drzwi otworzyły się i ponownie wszedł Patrycjusz. Usiadł i spojrzał na Leonarda z Quirmu z powagą.

– Co zrobiłeś? – zapytał.

Vimes obracał goździk pod szkłem powiększającym.

– Widzę ślady zębów – stwierdził.

– Tak jest, sir – zgodziła się Tyłeczek, która reprezentowała cały wydział kryminologiczny straży. – Wygląda, jakby ktoś go żuł. Jak wykałaczkę.

Vimes wyprostował się.

– Powiedziałbym – rzekł – że jako ostatni dotykał tego goździka smagły mężczyzna mniej więcej mojego wzrostu. Ma kilka złotych zębów. I brodę. I jeszcze lekkiego zęza w jednym oku. Blizny. Nosi duży element uzbrojenia. Zakrzywiony, jeśli się nie mylę. A to, co ma na głowie, należałoby nazwać turbanem, bo nie rusza się dość szybko, żeby to uznać za borsuka.

Tyłeczek była oszołomiona.

– Detektowanie jest jak hazard – wyjaśnił Vimes, odkładając goździk. – Sztuczka polega na tym, żeby z góry znać zwycięzcę. Dziękuję, kapralu. Zanotujcie ten opis i dopilnujcie, żeby każdy dostał kopię. Posługuje się imieniem 71-godzinny Ahmed, niebiosą wiedzą czemu. A potem idźcie i odpocznijcie trochę.

Do maleńkiego pokoiku wcisnęli się Marchewa i Angua. Vimes skinął na dziewczynę.

– Podążałam za zapachem goździków aż do portu – powiedziała.

– A potem?

– A potem go zgubiłam, sir. – Angua była wyraźnie zakłopotana. – Nie miałam żadnych trudności na targu rybnym, sir. Ani w dzielnicy rzeźni. Ale gdy wszedł na targ przypraw...

– Rozumiem. I już nie wyszedł?

– W pewnym sensie, sir. Albo wyszedł pięćdziesięcioma różnymi drogami. Przykro mi.

– Nic nie poradzimy. Marchewa?

– Zrobiłem, co pan kazał, sir. Dach gmachu Opery jest mniej więcej w odpowiedniej odległości od tarcz na strzelnicy. Wziąłem taki łuk, jakiego on użył...

Vimes uniósł palec. Marchewa popatrzył i powiedział wolno:

– ...jaki... znaleźliśmy przy jego zwłokach...

– Tak jest. I...?

– To Pewnylotte Pięc, Burleigh i Wręcemocny, sir. Łuk dla ekspertów. Nie jestem wybitnym łucznikiem, choć potrafiłbym przynajmniej trafić w cel przy tym przewyższeniu. Ale...

– Wyprzedzę cię w rozumowaniu – przerwał mu Vimes. – Jesteś dużym chłopcem, Marchewa. A nasz zmarły Ossie miał ramiona jak Nobby. Mógłbym je objąć palcami.

– Tak jest, sir. Ten łuk ma stufuntowy naciąg. Wątpię, czy Ossie by potrafił chociaż napiąć cięciwę.

– Nie chciałbym patrzeć, jak próbuje. Wielkie nieba... Jedyne, w co z pewnością trafiłby z takiego łuku, to własna stopa. Przy okazji, myślicie, że ktoś was tam zauważył?

– Wątpię, sir. Stałem akurat między kominami i wywietrznikami.

Vimes westchnął.

– Przypuszczam, kapitanie, że gdybyście robili to o północy w piwnicy, następnego ranka jego lordowska mość by zapytał: „Czy nie było tam raczej ciemno?”.

Wyjął dość już pognieciony obrazek. Był na nim Marchewa – a

przynajmniej jego ramię i ucho – biegnący w stronę procesji. Dalej, wśród ludzi biorących udział w procesji, odwracających się właśnie, by spojrzeć na Marchewę, twarz księcia. Ani śladu 71-godzinnego Ahmeda. A przecież był na *soirée*, prawda? Ale potem nastąpiło ogólne zamieszanie przed drzwiami, ludzie przechodzili z miejsca na miejsce, przydeptywali sobie szaty, wyskakiwali na chwilę do wygodki, zderzali się ze sobą... Mógł odejść dokądkolwiek...

– I książę upadł, kiedy do niego dobiegłeś? Ze strzałą w plecach? Wciąż twarzą w twoją stronę?

– Tak jest, sir. Jestem całkiem pewny. Oczywiście, wszyscy kręcili się dookoła...

– Czyli został postrzelony w plecy przez człowieka będącego przed nim, który w dodatku nie mógłby użyć łuku, z którego go nie postrzelił z niewłaściwego kierunku...

Ktoś zastukał w okno.

– To pewnie Rzygacz – stwierdził Vimes, nie oglądając się nawet. – Posłałem go z pewnym zadaniem...

Rzygacz nigdy właściwie się nie dopasował. Nie chodzi o to, że nie nawiązywał kontaktów z ludźmi, ponieważ rzadko kiedy w ogóle spotykał ludzi – z wyjątkiem tych, których działalność doprowadzała powyżej poziomu mniej więcej drugiego piętra. Funkcjonariusz Rzygacz patrolował dachy. Bardzo powoli. Zszedł na dół na strzeżeniowiedźmowe przyjęcie na komendzie i nalał sobie sosu do uszu, żeby wykazać dobre chęci, lecz gargulce źle się czują w zamkniętych pomieszczeniach i na poziomie gruntu, więc wkrótce wyniósł się przez komin. Jego papierowa trąbka przez całą noc popiskiwała smętnie wśród ośnieżonych dachów.

Ale gargulce znakomicie się sprawdzają, jeśli chodzi o obserwację. I zapamiętywanie. I wielką cierpliwość.

Vimes otworzył okno. W pokoju Rzygacz rozwinął się szarpanymi ruchami, po czym szybko wdrapał się na róg biurka Vimesa, gdzie czuł się

bardziej swojsko.

Angua i Marchewa wpatrywali się w strzałę, którą gargulec ścisnął w rękę.

– Dobra robota – powiedział Vimes tym samym obojętnym tonem. – Gdzie ją znaleźliście, Rzygacz?

Rzygacz wypluł serię gardłowych sylab, wymawialnych tylko dla kogoś, kto ma usta ukształtowane jak rura.

– W murze na drugim piętrze sklepu z odzieżą przy placu Pękniętych Księżyców – przetłumaczył Marchewa.

– ...ahk – potwierdził Rzygacz.

– To ledwie połowa dystansu do placu Sator, sir.

– Tak – mruknął Vimes. – Mały człowieczek, który usiłuje napiąć ciężki łuk, strzala drży mu i przesuwa się z boku na bok... Dziękuję wam, Rzygacz. W tym tygodniu należy się wam dodatkowy gołąb.

– ...kujrrę – odpowiedział Rzygacz i wygramolił się przez okno.

– Jeśli wolno, sir... – Angua wzięła strzałę, zamknęła oczy i obwąchała ją uważnie. – Tak... to Ossie – stwierdziła. – Na całej długości.

– Dziękuję wam, kapralu. Zawsze lepiej się upewnić.

Marchewa odebrał wilkołakowi strzałę i przyjrzał się jej krytycznie.

– Hm... Pawie pióra i platerowany grot. Coś takiego kupują amatorzy, bo wierzą, że magicznie poprawi im to skuteczność. Na pokaz.

– Zgadza się – powiedział Vimes. – Ty, Marchewa, i ty, Anguo... Przydzielam wam tę sprawę.

– Sir, nie rozumiem – oświadczył Marchewa. – Jestem zakłopotany. Miałem wrażenie, że mówił pan o Fredzie i Nobbym jako prowadzących

dochodzenie.

– Tak – przyznał Vimes.

– Ale...

– Sierżant Colon i kapral Nobbs mają odkryć, dlaczego nieżyjący Ossie usiłował zabić księcia. I wiecie co? Znajdą mnóstwo tropów. Po prostu to wiem. Czuję to w swojej wodzie.

– Przecież wiemy, że nie mógł... – zaczął Marchewa.

– Niezła zabawa, prawda? W każdym razie nie chcę, żebyście wchodzili Fredowi w drogę. Zwyczajnie, popytajcie tu i tam. Spróbujcie Załatwione Duncana... albo Krzywego Sidneya, ha, to jest człowiek, który wie, co w trawie piszczy. Albo u Ciotek Cierpienia czy też Lili Dobryubaw. Albo pana Śliskiego, nie widziałem go co prawda od jakiegoś czasu, ale...

– Nie żyje, sir – poinformował Marchewa.

– Jak to? Śmierdziel Śliski? Kiedy?

– W zeszłym miesiącu. Został trafiony spadającym łóżkiem. Nietypowy wypadek.

– Nikt mi nie powiedział!

– Był pan bardzo zapracowany, sir. Ale włożył pan pieniądze do koperty, kiedy Fred robił składkę. Dziesięć dolarów, jak Fred zauważył. Bardzo wielkoduszny gest.

Vimes westchnął raz jeszcze. Tak, koperty... Ostatnio Fred stale krążył po komendzie z kopertą. Stale ktoś odchodził albo jakiś przyjaciel straży miał kłopoty, albo organizowali loterię, albo znowu kończyły się pieniądze na herbatę czy jakieś inne skomplikowane wytłumaczenie... No więc Vimes po prostu wkładał do niej pieniądze. Najprostsze rozwiązanie.

Stary Śmierdziel Śliski...

- Powinieneś chociaż wspomnieć – stwierdził z wyrzutem.
- Bardzo ciężko pan pracował, sir.
- Czy może jeszcze jakieś wieści z ulicy, o jakich nie wspomnieliście, kapitanie?
- Nic mi nie przychodzi do głowy, sir.
- No dobrze. Czyli... rozejrzyjcie się, skąd wiatr wieje. Bardzo ostrożnie. I jeszcze... nikomu nie ufajcie.

Marchewa zaniepokoił się.

- Ehm... Mogę chyba ufać Angui, prawda? – zapytał.
- No oczywiście, że...
- I panu zapewne?
- Mnie tak, naturalnie, to się rozumie...
- Kapral Tyłeczek? Jest bardzo pomocna...
- Cudo? Oczywiście, możecie ufać...
- Sierżant Detrytus? Zawsze uważałem go za godnego...
- Detrytus tak, on...
- Nobby? Mogę...
- Marchewa, ja rozumiem, o co mu chodzi – wtrąciła Angua.

Marchewa wydawał się strapiiony.

- Nigdy nie lubiłem różnych podstępów... – wymamrotał.
- Nie chcę żadnych raportów na piśmie – ciągnął Vimes, wdzięczny za tę

niewielką łaskę. – To... nieoficjalne. Ale oficjalnie nieoficjalne, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

Angua skinęła głową. Marchewa ciągle miał ponurą minę.

Jest wilkołakiem, pomyślał Vimes. Oczywiście, że rozumie. Ale można by sądzić, że człowiek, który jest formalnie krasnoludem, potrafi zaakceptować taki wybieg...

– Macie tylko... słuchać ulic – powiedział. – Ulice wiedzą wszystko. Pogadajcie... ze Ślepym Hughiem...

– Obawiam się, że zszedł w zeszłym miesiącu, sir.

– Naprawdę? Nikt mi nie powiedział.

– Chyba posłałem panu notatkę, sir.

Zmieszany Vimes obejrzał się na swoje zawalone papierami biurko, po czym wzruszył ramionami.

– Rozglądajcie się dyskretnie. Dotrzyjcie do dna sprawy. I nie ufajcie... no, praktycznie nikomu. Z wyjątkiem osób godnych zaufania.

– Szybciej, otwierać! W imieniu Straży Miejskiej!

Kapral Nobbs pociągnął sierżanta Colona za rękaw i szepnął mu coś do ucha.

– Wcale nie w imieniu straży! – poprawił się Colon, dobijając się do drzwi. – Nie mamy absolutnie nic wspólnego ze strażą! Jesteśmy zwykłymi cywilami, jasne?

Drzwi uchyliły się odrobinę.

– Tak? – odezwał się głos, który brzmiał, jakby liczył drobne.

– Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

– Jesteście ze straży? – zapytał głos.

– Nie! Chyba wyraźnie zaznaczyłem...

– Zjeżdżaj stąd, glino!

Trzasnęły drzwi.

– To na pewno ten dom, sierżancie?

– Harry Kasztan mówił, że widział, jak Ossie tu wchodził. Hej tam, otwierać!

– Wszyscy na nas patrzą, sierżancie – zauważył Nobby.

Na całej ulicy otwierały się drzwi i okna.

– Nie nazywaj mnie sierżantem, kiedy jesteśmy po cywilnemu.

– Jasna sprawa, Fred.

– Dla ciebie... – Colon zawahał się, przygnębiony niepewnością statusu. – No, dla ciebie Frederick, Nobby.

– I chichoczą, Fred... eee... ricku.

– Nie możemy zawalić tej sprawy, Nobby.

– Racja, Fredericku. I jestem Cecil, dziękuję uprzejmie.

– Cecil?

– Tak mam na imię – odparł lodowato Nobby.

– Jak sobie życzysz – mruknął Colon. – Tylko staraj się pamiętać, kto tu jest cywilem dowodzącym.

Znowu załomotał do drzwi.

– Słyszeliśmy, że ma tu pani pokój do wynajęcia! – wrzasnął.

– Genialne, Fredericku. Naprawdę genialne – przyznał Nobby.

– W końcu jestem sierżantem, nie? – szepnął Colon.

– Nie.

– E... no... no tak, faktycznie. Ale lepiej o tym nie zapominaj, jasne?

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Kobieta w progu miała jedną z takich twarzy, które osiadają z wiekiem, jakby były zrobione z masła, a potem zostawione na słońcu. Ale wiek niczego nie zdołał zrobić z jej włosami. Miały jadowity kolor imbiru i były spiętrzone do góry jak groźna burzowa chmura.

– Pokój? Trza było od razu – powiedziała. – Dwa dolary na tydzień, żadnych zwierzaków, żadnego gotowania, żadnych kobit po szóstej rano, a jak się nie podoba, to są tysiące chętnych, czy jesteście z cyrku? Bo wyglądacie jak z cyrku^{*}.

– Jesteśmy... – zaczął Colon i urwał. Z pewnością oprócz policjantów istniało wiele funkcji, jakie mogliby pełnić, ale wtedy i w tamtym miejscu jakoś żadna nie przychodziła mu do głowy.

– ...aktorami – dokończył Nobby.

– W takim razie zapłata za tydzień z góry – zastrzegła kobieta. – I żadnych obrzydliwych cudzoziemskich zwyczajów. To porządny dom – dodała wbrew zaobserwowanym dotychczas faktom.

– Powinniśmy najpierw obejrzeć ten pokój – zauważył Colon.

– A, tacy wybredni, co?

Poprowadziła ich na górę.

Pokój, opuszczony przez Ossiego w sposób tak ostateczny, był mały i pusty. Kilka elementów odzieży wisiało na wbitych w ścianę gwoździach, a stos opakowań i tłustych papierowych toreb sugerował, że Ossie był człowiekiem, którego żywiła ulica.

– Czyje to rzeczy? – zapytał sierżant Colon.

– Już się wyniósł. Mówiłam mu, że jak nie zapłaci, to wynocha. Wyrzucę to wszystko, zanim się wprowadzisz.

– Załatwimy to za panią. – Colon pogrzebał w sakiewce i wyjął dwa dolary. – Proszę, panno...

– Pani Spent – poprawiła pani Spent. Spojrzała na nich podejrzliwie. – Obaj tu zostajecie czy jak?

– Nie, przyszedłem tylko jako jego przyzwoitka – odparł Colon, uśmiechając się przyjaźnie. – Musi się bronić przed kobietami, kiedy już się dowiedzą o jego seksualnym magnetyzmie.

Pani Spent obrzuciła zaszokowanego Nobby'ego surowym wzrokiem, po czym wymaszerowała z pokoju.

– Niby po co jej to powiedziałeś? – oburzył się Nobby.

– Poszła sobie, prawda?

– Nabijałeś się ze mnie, nie próbuj nawet zaprzeczać! Tylko dlatego, że przechodzę przez taki emocjonalny jak mu tam, tak?

– To był żart, Nobby. Zwykły żarcik.

Nobby zajrzał pod wąskie łóżko.

– O rany! – zawołał, zapominając o swoich emocjonalnych jak im tam.

– Co tam jest? Co znalazłeś? – dopytywał się Colon.

– Wygląda jak komplet roczników „Łuków i amunicji”! I jeszcze... –

Nobby wyciągnął na światło dzienne kolejny stos marnie odbitych magazynów. – Mam tu „Wojownika fortuny”, spójrz! I „Praktykę machin oblężniczych”...

Colon przejrzał kolejne strony. Przedstawiały bardzo podobnie wyglądających osobników, trzymających bardzo podobnie wyglądającą broń osobistego zniszczenia.

– Trzeba być dziwakiem, żeby siedzieć tu całymi dniami i czytać takie rzeczy – stwierdził.

– Pewnie – zgodził się Nobby. – Nie, tego nie odkładaj, to numer z ostatniego sierpnia, nie mam go. Chwileczkę! Z tyłu jest jakaś skrzynka...

Wysunął się spod łóżka, ciągnąc za sobą niedużą szkatułkę. Była zamknięta na klucz, ale tanie okucie ustąpiło, kiedy przypadkiem podważył wieko.

Zaśniły srebrne monety. Mnóstwo srebrnych monet.

– O żeż... – mruknął. – Teraz mamy kłopot.

– To klatchiańskie pieniądze, na pewno! – oświadczył Colon. – Czasami ludzie wciskają ci coś takiego przy wydawaniu reszty zamiast półdolarówki. Patrz, jakie zakręcone napisy.

– Mamy wielki kłopot – stwierdził Nobby.

– Nie, nie. Skąd. To jest Ślad, który odkryliśmy poprzez cierpliwe detektowanie. Dostaniemy po piórze do hełmu, nie ma co! Niech tylko pan Vimes się o tym dowie!

– Myślisz, że ile tego jest?

– Na pewno setki, setki dolarów. A to dużo pieniędzy dla Klatchianina. Pewnie za dolara można u nich w Klatchu przez rok żyć jak król.

– To nie było specjalnie cierpliwe detektowanie – zauważył z powątpiewaniem Nobby. – Zajrzałem tylko pod łóżko.

– Bo jesteś wyszkolony – wyjaśnił Colon. – Taki typowy cywil nawet by o tym nie pomyślał. Mam rację? Ha, wszystko zaczyna nabierać sensu!

– Poważnie? A dlaczego Klatchianie dali mu pieniądze, żeby zastrzelił Klatchianina?

Colon postukał się palcem w bok nosa.

– Polityka – powiedział.

– Aha, polityka... – powiedział Nobby. – No tak, polityka. Rozumiem. Polityka. Jasne. No więc dlaczego?

– Aha – odparł Colon, pukając się w nos z drugiej strony.

– Dlaczego pan dłubie w nosie, sierżancie?

– Stukam w nos – odparł surowo Colon. – W ten sposób chcę pokazać, że wiem, co w trawie piszczy.

– W nosie – poprawił uprzejmie Nobby.

– To właśnie takie podstępne i chytre działanie, jakiego można się po nich spodziewać.

– Płacenie nam za to, że ich zabijamy?

– No bo pomyśl, jakaś klatchiańska gruba ryba zostaje załatwiona tutaj, a wtedy oni mogą nam przysłać bezczelną notę: „Zabiliście naszego ważniaka, wy cudzoziemscy bratankowie psów, a to oznacza wojnę”. Rozumiesz? Idealny pretekst.

– A czy w ogóle potrzebny jest pretekst, żeby zacząć wojnę? Znaczy się: dla kogo? Nie można zwyczajnie powiedzieć: „Wy macie dużo gotówki i ziemi, ale ja mam wielki miecz, więc dzielcie się, ale już, ciach-ciach”? Tak ja bym zrobił – oświadczył kapral Nobbs, wybitny strateg militarny. – A nawet to bym powiedział, dopiero kiedy już zaatakuję.

– Dlatego że się nie znasz na polityce – wyjaśnił Colon. – Nie można już

robić takich rzeczy. Zapamiętaj moje słowa: ta sprawa śmierdzi polityką na milę. Dlatego stary Vimes przydzielił ją właśnie mnie, jasna sprawa. Polityka. Młody Marchewa nieźle sobie radzi, ale w takich delikatnych sytuacjach politycznych potrzebny jest człowiek doświadczony.

– No, to stukanie w nos rzeczywiście wyszło świetnie – pochwalił Nobby.
– Ja zwykle chybiam.

Czuł jednak niepokój, jeśli już nie w nosie, to w jakimś niedużym organie, który pompował krew przez jego ciało. Coś tu nie wyglądało tak, jak powinno. Niewiele w życiu Nobby’ego wyglądało tak, jak powinno, więc dobrze znał to uczucie.

Popatrzył na nagie ściany i na nierówne deski podłogi.

– Jest trochę piasku na podłodze – zauważył.

– Czyli następny Ślad – stwierdził zachwycony Colon. – Był tu Klatchianin. Nic tam nie mają oprócz piasku w tym Klatchu. Wciąż trochę mu zostało na sandałach.

Nobby otworzył okno. Wychodziło na lekko pochylony dach. Człowiek łatwo mógłby się tędy przedostać i zniknąć w labiryncie kominów.

– Mógł wchodzić tędy i wychodzić, sierzancie – zauważył.

– Słuszna uwaga, Nobby. Zapisz to. Dowód spiskowania i ukrywania się.

Nobby wyjrzał.

– Fred, tu na zewnątrz jest jakieś szkło.

Sierżant Colon doszedł do okna. Jedna z niewielkich szybek została wybita. Na dachówkach połyskiwały odłamki szkła.

– To może być ślad, prawda? – zapytał z nadzieją Nobby.

– Z całą pewnością – potwierdził sierżant Colon. – Widzisz, że szkło jest na zewnątrz okna? Każdy wie, że trzeba patrzeć, w którą stronę takie szkło

wypada. Myślę sobie, że chciał wypróbować załadowany łuk, a on mu wystrzelił.

– Chytre, sierżancie.

– To właśnie detektowanie. Nie wystarczy tylko patrzeć na różne rzeczy. Trzeba też myśleć, Nobby, i zmierzać myślami prosto do celu.

– Cecil, sierżancie.

– Frederick, Cecilu. Idziemy. Chyba wyjaśniliśmy wszystko elegancko. Vimes mówi, że chce dostać raport natychmiast.

Nobby przez rozbite okno zobaczył, że dach styka się ze szczytową ścianą o wiele wyższego budynku, służącego za skład. Przez chwilę zdawało mu się, że jego myśli biegną zygzakami, zamiast prostą drogą. Uznał jednak, że to myślenie jest tylko myśleniem kaprałskim, w przeliczeniu na jedną myśl wartym o wiele mniej od myślenia sierżanckiego. Dlatego zachował swoje myśli dla siebie.

Kiedy schodzili na dół, pani Spent obserwowała ich podejrzliwie zza ledwie uchylonych drzwi na końcu korytarza, najwyraźniej gotowa zatrzęsnać je przy pierwszej sugestii seksualnego magnetyzmu.

– Ja przecież nie wiem, skąd wziąć taki seksualny magnes – mruknął pod nosem Nobby. – A ona nawet się nie zaśmiała.

Także, udaliśmy się do sklepów łuczniczych przy ulicy Chytrych Rzemieślników i pokazaliśmy ikonogram człowiekowi u Burleigha i Wręcemocnego, który to potwierdził, że to on, tzn. chodziło mu o Denata...

– A niech mnie...

Vimes poruszał lekko wargami, przebiegając wzrokiem tam i z powrotem po kartce.

...także, obok klatchiańskich pieniędzy, można stwierdzić, że jeden z nich był na miejscu z powodu Śladów, tzn. piasku na podłodze...

– Ciągłe miał piasek w sandałach? – mruknął Vimes. – Wielkie nieba...

– Sam?

Podniósł wzrok znad lektury.

– Zupa ci wystygnie – powiedziała lady Sybil z przeciwnego końca stołu.
– Trzymasz tę łyżkę w powietrzu już od pięciu minut, z zegarkiem w ręku.

– Przepraszam, kochanie.

– Co czytasz?

– Och, to małe arcydzieło. – Vimes odsunął raport Freda Colona.

– Interesujące zapewne – stwierdziła lady Sybil nieco skwaszonym tonem.

– Praktycznie niezrównane. Jedyne, czego nie znaleźli, to kiści daktyli i wielbłąda pod poduszką...

Jego małżeński radar z opóźnieniem wykrył pewne ochłodzenie z drugiej strony zestawu przypraw.

– Czy... eee... coś się stało, kochanie?

– Pamiętasz, Sam, kiedy ostatnim razem jedliśmy razem kolację?

– We wtorek, tak?

– To był doroczny bankiet Gildii Kupców, Sam.

Vimes zmarszczył czoło.

– Ale ty też tam byłeś, prawda?

Dalsza subtelna zmiana prądów termicznych zdradziła mu, że nie była to dobrze dobrana odpowiedź.

– A zaraz potem wybiegłeś, z powodu tej sprawy z fryzjerem na Błyskotnej.

– Sweeney Jones – przypomniał sobie Vimes. – On naprawdę zabijał ludzi, Sybil. Jedyne, co można powiedzieć na jego obronę, to to że nie chciał. Po prostu fatalnie sobie radził z goleniem.

– Ale jestem pewna, że nie musiałeś tam iść osobiście.

– Dla policjanta praca trwa dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Tylko dla ciebie. Twoi strażnicy odrabiają po dziesięć godzin i tyle. Natomiast ty zawsze pracujesz. To cię wykańcza. Biegasz cały dzień, a kiedy budzę się w nocy, obok mnie jest zimne miejsce w łóżku...

Kropki zawisły w powietrzu – widma słów niedopowiedzianych. Drobiazgi, pomyślał Vimes. Od nich wybuchają wojny.

– Mamy bardzo dużo pracy, Sybil – powiedział najłagodniej, jak potrafił.

– Zawsze jest bardzo dużo pracy. Im liczniejsza jest straż, tym tej pracy ma więcej. Zauważyłeś?

Pokiwał głową – miała rację. Grafiki służb, pokwitowania, notatki, raporty... Straż mogła, ale nie musiała wpływać na życie miasta, jednak z całą pewnością przerażała bardzo wiele drzew.

– Powinieneś przekazać komuś część obowiązków – stwierdziła Sybil.

– On też mi to mówi – mruknął.

– Słucham?

– Nic takiego, kochanie. Głośno myślałem. – Vimes odsunął papiery na bok. – Coś ci powiem... Dzisiejszy wieczór spędzimy w domu. W gabinecie na kominku miło pali się ogień...

– Ehm... Nie, Sam. Nie pali się.

– Czy młody Forthright nie napalił?

Forthright był chłopcem. Vimes zdziwił się, że jest takie oficjalne stanowisko wśród służby, ale do zadań chłopca należało rozpalanie ognia, czyszczenie wychodków, pomaganie ogrodnikowi i branie na siebie winy.

– Odszedł, żeby zostać doboszem w regimencie diuka Eorle.

– On też? A wyglądał na inteligentnego chłopaka. Nie jest trochę za młody?

– Powiedział, że zamierza skłamać w kwestii swojego wieku.

– Mam nadzieję, że skłamię też w kwestii swoich zdolności muzycznych. Słyszałem, jak gwizdże. – Vimes pokręcił głową. – Ale co go opętało, żeby zrobić coś tak głupiego?

– Uważa, że mundur robi wrażenie na dziewczętach.

Sybil uśmiechnęła się delikatnie. Wieczór w domu zaczął wydawać się bardzo kuszący.

– Wiesz, nie trzeba chyba geniuszu, żeby znaleźć drewnutnię – uznał Vimes. – Potem zaryglujemy drzwi i...

Jedne ze wzmiankowanych drzwi zadygotały od gorączkowego stukania. Vimes spojrzał niepewnie na żonę.

– No idź. Otwórz. – Westchnęła i usiadła wygodniej.

W drzwiach stanęła zmęczona i zdyszana sierżant Tyłeczek.

– Musi... pan zaraz iść... sir. Tym... razem mamy... zabójstwo!

Vimes obejrzał się bezradnie.

– Oczywiście, że musisz iść – zgodziła się lady Sybil.

Angua poprawiła sobie włosy przed lustrem.

– Nie podoba mi się to – oświadczył Marchewa. – Nie tak powinniśmy się zachowywać.

Poklepała go po ramieniu.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Vimes tłumaczył ci przecież. A ty reagujesz, jakbyśmy robili coś złego.

– Lubię być strażnikiem – wyjaśnił wciąż smętny Marchewa. – I trzeba do tego nosić mundur. Bo jak nie nosisz munduru, to tak jakbyś szpiegowała ludzi. On wie, że tak uważam.

Angua spojrzała na krótkie rude włosy i szczere uszy.

– Zdjąłem mu z barków wiele obowiązków – ciągnął. – W ogóle nie musi już chodzić na patrole, ale ciągle próbuje sam wszystko robić.

– Może nie chce, żebyś był aż tak pomocny? – rzuciła Angua możliwie taktownie.

– No i przecież nie robi się coraz młodszy. Próbowałem mu o tym wspomnieć.

– To bardzo miłe z twojej strony.

– Nigdy nie nosiłem zwyczajnego ubrania.

– Na tobie nigdy nie będzie zwyczajne – odparła Angua, wciągając płaszcz. To była prawdziwa ulga, pozbyć się pancerza.

Co do Marchewy, nie sposób było go zamaskować. Wzrost, uszy, rude włosy, wyraz muskularnej dobroćliwości...

– Kiedy się dobrze zastanowić, wychodzi na to, że wilkołak cały czas chodzi po cywilnemu – zauważył Marchewa.

– Dzięki, Marchewa. Owszem, masz całkowitą rację.

– Po prostu nie czuję się dobrze, żyjąc w kłamstwie.

– Przejdź milę na tych łapach...

– Słucham?

– Nie... nic.

Janil, syn Goriffa, był zagniewany. Nie wiedział czemu. Gniew miał wiele przyczyn. Ważną była ta ogniowa bomba wczoraj w nocy. Podobnie jak pewne słowa, które słyszał na ulicy. Dziś rano pokłócił się z ojcem, czy posyłać całe to jedzenie na komendę straży. Strażnicy stanowili oficjalną reprezentację miasta. Mieli te swoje głupie odznaki. Mieli mundury.

Złościło go bardzo wiele rzeczy, w tym fakt, że miał trzynaście lat.

Dlatego, kiedy o dziewiątej wieczorem, gdy jego ojciec piekł chleb, drzwi odskoczyły z trzaskiem i do środka wpadł jakiś człowiek, Janil wyrwał spod lady starą kuszę ojca, wymierzył tam, gdzie sądził, że znajduje się serce, i pociągnął za spust.

Marchewa raz czy dwa tupnął nogą i rozejrzał się.

– Tutaj – stwierdził. – Stałem tutaj. A księżę był... z tamtej strony.

Angua posłusznie ruszyła przez plac. Kilka osób zatrzymało się, żeby z zaciekawieniem popatrzeć na Marchewę.

– Dobrze... Stój! Nie, jeszcze kawałek... Stój... Odwróć się trochę w lewo... Nie, w moje lewo... Cofnij się... Teraz wyrzuć ręce w górę...

Podszedł i spojrzał, na co patrzy.

– Strzelili do niego z uniwersytetu?

– Wygląda na budynek biblioteki – zauważyła Angua. – Ale przecież żaden mag by tego nie zrobił! Trzymają się z dala od takich spraw.

– Nietrudno się tam dostać, nawet po zamknięciu bram – wyjaśnił Marchewa. – Spróbujmy nieoficjalnej drogi, dobrze?

– Zgoda. Marchewa...

– Tak?

– Te sztuczne wąsy... Żle w nich wyglądasz, wiesz? A nos jest o wiele za różowy.

– Ale dzięki temu mniej się rzucam w oczy.

– No nie. I kapelusz... Kapelusza też bym się pozbyła. Owszem, to dobry kapelusz – dodała szybko. – Ale brązowy melonik... To nie w twoim stylu. Nie pasuje ci.

– No właśnie! – zawołał Marchewa. – Gdyby był w moim stylu, ludzie by poznali, że to ja. Prawda?

– Chciałam powiedzieć, że wyglądasz w nim jak głupek.

– A czy normalnie wyglądam jak głupek?

– No nie...

– Właśnie! – Marchewa sięgnął do kieszeni swego luźnego brązowego płaszcza. – Mam tu książkę o przebraniach ze sklepu artykułów zabawnych przy Drodze Fedry. Popatrz. I wiesz, dziwna historia, Nobby też tam kupuje. Spytałem go dlaczego, a on powiedział, że to środki ostateczne. Jak myślisz,

o co mu chodziło?

– Nie mam pojęcia – zapewniła Angua.

– Niesamowite, co oni tam mają. Sztuczne włosy, sztuczne nosy, sztuczne brody, a nawet sztuczne... – Zawahał się i zaczerwienił. – Nawet sztuczne... no wiesz, piersi. Dla pań. Chociaż nigdy nie zrozumieć, dlaczego chciałyby je zamaskować.

Chyba nie zrozumiesz, pomyślała Angua. Wzięła od Marchewy małą broszurkę i przejrzała szybko. Westchnęła.

– Marchewa, te przebrania są przeznaczone dla ziemniaka.

– Tak?

– Patrz, wszystkie są na ziemniakach, prawda?

– Myślałem, że tylko dla ilustracji...

– Marchewa, tu jest napisane: Pan Bulwa.

Za gęstym czarnym wąsem Marchewa zrobił minę urażoną i zakłopotaną.

– Po co ziemniak miałby się przebierać?

Dotarli do zaułka przy uniwersytecie, od tyłu stuleci znanego nieoficjalnie jako Wejście Uczonych, że obecnie miał tabliczkę z tą nazwą na murze. Minęło ich kilku studentów.

Nieoficjalne wejście na uniwersytet zawsze znane było wyłącznie studentom. Jednak większość studentów nie pamiętała, że członkowie grona profesorskiego także kiedyś studiowali i także lubili wymykać się na miasto po oficjalnym zamknięciu bram. W naturalny sposób prowadziło to do pewnych kłopotliwych sytuacji i rozwijało dyplomatyczne talenty, zwłaszcza w ciemne wieczory.

Marchewa i Angua poczekali uprzejmie, aż przez mur przejdzie jeszcze kilku studentów, a po nich dziekan.

– Dobry wieczór panu – powitał go grzecznie Marchewa.

– I tobie dobry wieczór, Kartosiu – odparł dziekan i odszedł w mrok.

– Widzisz?

– Ale nie nazwał mnie Marchewą – oświadczył Marchewa. – Czyli zasada jest słuszna.

Zeskoczyli z muru na akademicki trawnik i skierowali się do biblioteki.

– Będzie zamknięta – zauważyła Angua.

– Pamiętaj, że mamy wewnątrz swojego człowieka – przypomniał jej Marchewa i zastukał.

Drzwi uchyliły się odrobinę.

– Uuk?

Marchewa uniósł swój paskudny okrągły kapelusik.

– Dobry wieczór panu. Chciałbym spytać, czy możemy wejść. To sprawa straży.

– Uuk iik uuk?

– Eee...

– Co on powiedział? – spytała Angua.

– Jeśli już musisz wiedzieć, to powiedział: „A niech mnie, chodzący ziemniak”.

Bibliotekarz zmarszczył nos, gdy wyczuł Anguę. Nie lubił zapachu wilkołaków. Wpuścił ich jednak, po czym zostawił przy drzwiach, a sam przeszedł do biurka i zaczął grzebać w szufladzie. Po chwili wyjął odznakę Specjalnego Funkcjonariusza Straży na sznurku. Zawiesił ją sobie mniej więcej w miejscu, gdzie powinna się znajdować szyja, po czym stanął tak

bardzo na baczność, jak to tylko możliwe dla orangutana, czyli nie za bardzo. Małpa centralna rozumiała samą ideę, ale obszary zewnętrzne trochę nie nadążały.

– Uuk uuk!

– Czy to znaczy: „W czym mogę być pomocny, kapitanie Bulwa?” – spytała Angua.

– Chcielibyśmy obejrzeć piąte piętro, tam gdzie okna wychodzą na plac – wyjaśnił Marchewa dość chłodno.

– Uuk uuuk... uuk.

– Mówi, że to tylko stare magazyny – przetłumaczył Marchewa.

– A to ostatnie „uuk”?

– Panie Okropny Kapelusz.

– Ale mimo wszystko nie domyślił się, kim jesteś, nie?

Na piątym piętrze znaleźli ciąg niewietrzonych pomieszczeń pachnących smutnie starymi, niechcianymi książkami. Książki nie stały na półkach, ale powiązane sznurkiem leżały na szerokich regałach. Wiele było podartych i pozbawionych okładek. Sądząc po tym, co z nich zostało, były to stare podręczniki, których nawet najbardziej zagorzały bibliofil by nie docenił.

Marchewa wziął do ręki „Elementarz okultyzmu” Woddeleya. Z książki wypadło kilka luźnych kartek. Angua podniosła jedną.

– „Rozdział piętnasty: Nekromancja elementarna” – przeczytała głośno. – „Lekcja pierwsza: Właściwe użycie łopaty”...

Odłożyła kartkę i wciągnęła powietrze. Obecność bibliotekarza wypełniała nosową przestrzeń niczym słoń w pudełku zapalek, ale...

– Ktoś jeszcze tu był – oznajmiła. – W ciągu ostatnich kilku dni. Czy mógłby nas pan zostawić? Jeśli chodzi o zapachy, jest pan nieco...

dominujący.

– Uuk?

Orangutan skinął głową Marchewie, wzruszył ramionami w stronę Angui i wyszedł.

– Zostań na miejscu, Marchewa – poleciła Angua. – Ani kroku. Nie poruszaj powietrza...

Ostrożnie przesunęła się naprzód.

Uszy mówiły jej, że bibliotekarz jest na korytarzu, ponieważ słyszała trzeszczenie desek podłogi. A nos upierał się, że nadal jest tutaj. Trochę rozmyty, ale...

– Będę musiała się zmienić – ostrzegła. – W taki sposób nie zdołam uchwycić obrazu. Jest zbyt odmienny...

Marchewa posłusznie zamknął oczy. Zakazała mu patrzeć na siebie podczas przejścia od człowieka do wilka, a to ze względu na niemiłą naturę kształtów przyjmowanych pomiędzy. W Uberwaldzie wszyscy zmieniali formę z jednej na drugą tak naturalnie, jak zwykle ludzkie istoty zmieniają płaszcze, ale nawet tam uznawano, że uprzejmość wymaga, by robić to gdzieś za krzakiem.

Kiedy znów otworzył oczy, Angua sunęła przed siebie. Cała jej istota koncentrowała się na nosie.

Olfaktoryczna obecność bibliotekarza była złożonym kształtem: ledwie fioletową plamą tam, gdzie się poruszał, ale niemal dotykálną sylwetką w miejscu, gdzie stał nieruchomo. Ręce, twarz, wargi... Za kilka godzin staną się ośrodkiem rozpraszającej się chmury, lecz w tej chwili jeszcze potrafiła je wyeliminować.

Tutaj poruszają się chyba tylko najdelikatniejsze prądy powietrza. Nawet muchy nie brzęczą w martwej atmosferze i nie wzbudzają zmarszczek zakłóceń.

Przysunęła się bliżej do okna. Wzrok dawał jedynie cienistą wizję, szkic węglem całego pokoju. Na tym szkicu zapachy malowały swe cudowne kolory.

Przy oknie... przy oknie...

Tak! Stał tu człowiek, a sądząc po zapachu, stał przez dłuższy czas. Zapach falował w powietrzu na samej granicy jej węchowej sprawności. Skręcone, skłębione ślady mówiły, że okno zostało otwarte, a potem znowu zamknięte, była też leciutka, delikatna sugestia, że człowiek trzymał wyciągnięte przed siebie ramię...

Nos szalał, próbując uformować oryginalne kształty z deseni wiszących w powietrzu jak nieruchomy dym...

Kiedy skończyła, wróciła do stosu swoich rzeczy. Chrząknęła uprzejmie, gdy wciągała buty.

– Przy oknie stał jakiś człowiek – powiedziała. – Długie włosy, trochę suche, pachniał drogim szamponem. To ten sam, który przybił z powrotem deski, kiedy Ossie wszedł do Barbakanu.

– Jesteś pewna?

– Czy ten nos kiedyś się pomylił?

– Przepraszam. Mów dalej.

– Powiedziałabym, że jest krępej budowy, trochę za tęgi jak na swój wzrost. Nie myje się zbyt często, ale jeśli już, używa mydła Windpike’a, tania marka. Za to szampon z tych drogich. Dziwne. Całkiem nowe buty. I zielony płaszcz.

– Potrafisz wyczuć kolor?

– Nie. Farbę. Ta pochodzi chyba ze Sto Lat. I jeszcze... Wydaje mi się, że strzelał z łuku. Kosztownego łuku. W powietrzu jest ślad aromatu jedwabiu. Z niego robi się najmocniejsze cięciwy, prawda? A przecież nie zakładałbyś takiej na tani łuk.

Marchewa wyjrzał przez okno.

– Miał stąd dobry widok – zauważył. Obejrzał podłogę. Potem parapet. I półki obok. – Jak długo tu był?

– Sądzę, że dwie do trzech godzin.

– Nie poruszał się zbytnio.

– Nie.

– Nie palił, nie pluł. Tylko stał i czekał. Profesjonalista. Vimes miał rację.

– O wiele bardziej profesjonalny niż Ossie – przyznała Angua.

– Zielony płaszcz – mruknął Marchewa, jakby głośno myślał. – Zielony płaszcz, zielony płaszcz...

– Aha, i paskudny łupież – dodała Angua, wstając.

– Śnieżny Stock! – wykrzyknął Marchewa.

– Co?

– Naprawdę paskudny łupież?

– Tak, szczerze mówię...

– Dlatego nazywają go Śnieżny – wyjaśnił Marchewa. – Daceyville Stock, człowiek ze wzmacnianym grzebieniem. Ale słyszałem, że wyniósł się do Sto Lat...

– ...skąd pochodzi farba! – dokończyli chórem.

– Dobrze strzela z łuku? – spytała Angua.

– Bardzo dobrze. Dobrze też mu wychodzi zabijanie ludzi, których nigdy wcześniej nie widział.

– Jest skrytobójcą, tak?

– Nie, nie. Po prostu zabija ludzi za pieniądze. Bez stylu. Ledwie umie czytać i pisać.

Marchewa poskrobał się po głowie, wspominając dawne wypadki.

– On nawet nie patrzy na skomplikowane obrazki. Złapałibyśmy go w zeszłym roku, ale mocno potrząsnął głową i uciekł, kiedy usiłowaliśmy wygrzebać Nobby’ego. No, no... ciekawe, gdzie się zatrzymał.

– Tylko nie proś, żebym go tropiła po ulicach. Tysiące ludzi musiało przejść po jego śladach.

– Och, są tacy, którzy będą wiedzieli. W tym mieście ktoś widzi wszystko.

PAN STOCK?

Śnieżny Stock ostrożnie pomacał szyję, a przynajmniej szyję swojej duszy. Ludzka dusza przez pewien czas po śmierci ma tendencję do zachowywania kształtu oryginalnego ciała. Przyzwyczajenie to cudowna rzecz.

– Kim on był, u demona? – zapytał.

NIE ZNAŁ GO PAN? – zdziwił się Śmierć.

– No nie! Nie znam wielu ludzi, którzy odcinają mi głowę!

Padając, ciało Śnieżnego Stoka zaczepiło o stół. Kilka buteleczek leczniczego szamponu wyciekało teraz, a ich zawartość mieszała się z bardziej naturalnymi płynami ze zwłok.

– Ten szampon ze specjalnym olejkiem w środku kosztował mnie prawie cztery dolary – poskarżył się Śnieżny.

Jednak w obecnej chwili wszystko to wydawało mu się jakoś... nieistotne. Śmierć przytrafia się innym – a tym innym obecnie był on sam. To znaczy ten leżący na podłodze. Nie ten, który stał i patrzył. Za życia Śnieżny nie potrafiłby nawet przeliterować słowa „metafizyczny”, ale zaczynał już spoglądać na to życie w całkiem inny sposób. Przede wszystkim z zewnątrz.

– Cztery dolary – powtórzył. – I nawet nie zdążyłem go wypróbować!

I TAK BY NIE POSKUTKOWAŁ. Śmierć pocieszająco poklepał go po rozwiewającym się ramieniu. ALE, JEŚLI MOGĘ ZASUGEROWAĆ BARDZIEJ OPTYMISTYCZNE PODEJŚCIE, NIE BĘDZIE WIĘCEJ POTRZEBNY.

– Koniec z łupieżem? – upewnił się Śnieżny, całkiem już przejrzysty i znikający szybko.

NA ZAWSZE, zapewnił Śmierć. MOŻE MI PAN WIERZYĆ.

Komendant Vimes pędził przez ciemne ulice, usiłując w biegu dopiąć pancerz.

– No dobra, Cudo, co się stało?

– Mówią, że Klatchianin kogoś zabił, sir. Tłum zebrał się w zaułku Skandalu i nie wygląda to dobrze. Miałam służbę w komendzie i pomyślałam, że powinien pan wiedzieć, sir.

– Słusznie.

– Zresztą i tak nie mogłam znaleźć kapitana Marchewy, sir.

Odrobina żrącego atramentu wypisała swoją dyskretną notkę w księdze duszy Vimesa.

– O bogowie! Więc kto tam dowodzi?

– Sierżant Detrytus, sir.

Krasnoludce wydało się, że nagle stanęła w miejscu. Komendant Vimes zmienił się w znikającą gwałtownie, rozmazaną smugę.

Ze spokojną twarzą kogoś, kto metodycznie wykonuje swoje obowiązki, Detrytus złapał jakiegoś człowieka i wykorzystał go, by uderzyć nim kilku innych. Kiedy miał już wokół siebie krąg wolnego miejsca i jęczący stos byłych uczestników zamieszek, wszedł na ten stos i przyłożył dłonie do ust.

– Słuchajcie mnie, ludzie!

Troll krzyczący ile sił jest łatwo słyszalny mimo gwaru wzburzonego tłumu. Gdy uznał, że zwrócił już na siebie ich uwagę, wyjął zza półpancerza zwój papieru i pomachał nim nad głową.

– To Dekret o Zamieszkach. Wiecie, co to znaczy? Znaczy, że jak wam go przeczytam, a wy się nie rozprosi... rozpry... rozejdziecie, to straż może użyć przemocy. Zrozumiano?

– A czego przed chwilą użyłeś? – jęknął ktoś pod jego stopą.

– To żeś był ty, jak żeś pomagał straży – wyjaśnił Detrytus, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę.

Rozwinął zwój.

Chociaż nadal trwały przepychania i słychać było okrzyki z sąsiedniej ulicy, wokół trolla narastał krąg ciszy. Niemal genetyczną cechą mieszkańców Ankh-Morpork była ich umiejętność wyczuwania okazji do rozrywki.

Detrytus spojrział na dokument na odległość wyciągniętej ręki. A potem przysunął go na kilka cali do oczu. Parę razy spróbował obrócić. Poruszał wargami z wysiłkiem. Wreszcie pochylił się do funkcjonariusza Wizytuja.

– Jakie to słowo?

– „Niniejszym”, sierżancie.

– Żem wiedział.

Wyprostował się.

– „Niniejszym ogłasza się, że...” – Na czole Detrytusa zaczęły się formować krople trollowego odpowiednika potu. – „...w razie... zast... nie... nia...”

– Zaistnienia – szepnął funkcjonariusz Wizytuj.

– Żem wiedział. – Detrytus raz jeszcze spojrzał na dokument i zrezygnował. – Nie będziecie przecież stać tu i mnie słuchać cały dzień! – huknął. – To jest Dekret o Zamieszkach i wszyscy go macie przeczytać! Jasne? Podawać jeden drugiemu!

– A jak nie przeczytamy? – odezwał się głos z tłumu.

– Musicie. Takie jest prawo.

– A wtedy co się stanie?

– Wtedy was zastrzelę – poinformował Detrytus.

– Tak nie wolno! – zaprotestował inny głos. – Musisz najpierw zawołać „Stać! Straż! Stać, bo użyję broni!”.

– Pewno. Mnie to pasuje. – Detrytus potrząsnął potężnym ramieniem i wsunął kuszę pod pachę. Była to oblężnicza balista, przeznaczona do montowania na wozie. Wyrzucała bełty długie na sześć stóp. – Trudniej trafić w biegnące cele.

Zwolnił bezpiecznik.

– Ktoś już skończył czytanie?

– Sierzancie!

Vimes przecisnął się przez tłum gapiów. Bo teraz to byli gapie – mieszkańcy Ankh-Morpork zawsze tworzyli dobrą publiczność.

Brzęknęło, gdy Detrytus zasalutował.

– Mieliście zamiar z zimną krwią strzelać do tych ludzi?

– Nie, sir. Tylko ostrzegawczy strzał w głowę, sir.

– Naprawdę? Dajcie mi chwilę z nimi porozmawiać.

Vimes popatrzył na stojącego obok mężczyznę. Człowiek ten trzymał w jednej ręce płonąca pochodnię, a w drugiej długi kij. Rzucił komendantowi nerwowo wyzywające spojrzenie kogoś, kto właśnie poczuł, że grunt osuwa mu się spod nóg.

Vimes przyciągnął bliżej pochodnię i odpalił cygaro.

– O co tu chodzi, przyjacielu?

– Klatchianie strzelają do ludzi, panie Vimes! Niesprowokowany atak!

– Doprawdy?

– Gina ludzie!

– A kto?

– Ja... no więc... Wszyscy wiedzą, że zabijali ludzi! – Psychiczenie stopy mężczyzny natrafiły na pewniejszy grunt. – Niby za kogo się uważają? Przypływają tutaj i...

– Wystarczy – przerwał mu Vimes. Podniósł głos. – Poznaję większość z was! – zawołał. – I wiem, że macie domy, do których powinniście wrócić. Widzicie to? – Wyjął z kieszeni urzędową pałkę. – Tu jest napisane, że mam utrzymywać spokój. Zatem za dziesięć sekund pójde sobie poszukać gdzieś spokoju do utrzymywania, ale Detrytus tu zostanie. Mam tylko nadzieję, że nie zrobi nic, co mogłoby splamić jego mundur. A przynajmniej zbytnio go pobrudzić.

Słuchacze nie mieliby szans na stopnie naukowe z ironii, ale co inteligentniejsi rozpoznali wyraz twarzy komendanta. Zdradzał, że jego

właściciel ostatkiem sił zachowuje cierpliwość.

Tłum się rozproszył; najpierw wystrzepił się na brzegach, kiedy ludzie znikali w bocznych zaułkach, odrzucali zaimprovizowaną broń i wychodzili na drugim końcu poważnym, stanowczym krokiem uczciwych obywateli.

– No dobrze. Co się tu stało? – zapytał trolla Vimes.

– Żeśmy słyszeli, że tamten chłopak strzelił do tego gościa, sir – wyjaśnił Detrytus. – Żeśmy tu przybiegli, a zaraz potem ludzie zaczęli się złazić ze wszystkich stron. Krzyczeli.

– Poraził go jak Hudrun nierządnicę w Ur – ocenił funkcjonariusz Wizytuj*.

– Poraził? – zdziwił się Vimes. – Zabił kogoś?

– Nie, po tym, jak żeśmy słyszeli, jak ten gość klnie, sir – stwierdził Detrytus. – Trafił go w ramię. Kumple przyprowadzili go na komendę, żeby się poskarżyć. To był piekarz z nocnej zmiany. Mówi, że spóźnił się do roboty, wpadł biegiem, coby zabrać kolację, a zaraz potem leżał na podłodze.

Vimes przeszedł przez ulicę i sprawdził drzwi lokalu. Otworzyły się kawałek, a potem oparły o coś, co było chyba barykadą. Za oknem też zwalono meble.

– Ilu ludzi tu było, funkcjonariuszu?

– Bez liku, sir.

I czworo w środku, myślał Vimes. Rodzina.

Drzwi poruszyły się trochę i Vimes uświadomił sobie, że pochyła się, zanim jeszcze zobaczył wysuniętą kuszę.

Brzęknęła cięciwa. Bełt wypadł raczej, niż wystrzelił, dziką spiralą przefrunął przez zaułek i poruszał się niemal w bok, kiedy uderzył o mur po drugiej stronie.

– No tak – rzekł Vimes, wciąż nisko pochylony, ale podnosząc głos. – Jeśli ktokolwiek został czymś takim trafiony, to musiał być wypadek. Tu straż! Otwórzcie drzwi! W przeciwnym razie Detrytus je otworzy. A kiedy on otwiera drzwi, to już zostają otwarte. Rozumiecie, co mam na myśli?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Jak chcecie. Detrytus, pozwól tutaj...

Z wnętrza dobiegła szeptana dyskusja, a potem zgrzyty odsuwanych mebli.

Sprawdził drzwi. Uchyliły się do środka.

Rodzina była wewnątrz, pod przeciwległą ścianą. Vimes czuł na sobie spojrzenia ósemki oczu. Atmosfera była niepokojąca i duszna, doprawiona zapachem przypalonego jedzenia.

Pan Goriff delikatnie trzymał kuszę; z wyrazu twarzy jego syna Vimes wyczytał wszystko, co chciał wiedzieć.

– No dobrze – rzekł. – A teraz mnie posłuchajcie. W tej chwili nikogo nie aresztuję, jasne? Wygląda mi to jak jedno z tych zdarzeń, które u jego lordowskiej mości wywołują ziewanie. Ale lepiej zrobicie, jeśli resztę nocy spędzicie na komendzie. Nie mam dość ludzi, żeby pilnowali lokalu. Rozumiecie? Mógłbym was aresztować. Ale to tylko propozycja.

Pan Goriff odchrząknął.

– Ten człowiek, do którego strzeliłem... – zaczął, pozostawiając pytanie i kłamstwo zawieszone w powietrzu.

Vimes zmusił się, by nie zerkać na chłopaka.

– Dość lekko ranny.

– On... wbiegł nagle – tłumaczył pan Goriff. – A po wczorajszej nocy...

– Myśleliście, że to znów napad, więc ktoś chwycił za kuszę...

– Tak – oświadczył wyzywająco chłopiec, zanim ojciec zdążył się odezwać.

Nastąpiła krótka dyskusja po klatchiańsku. Potem zabrał głos pan Goriff.

– Musimy opuścić dom?

– Dla waszego dobra. Postaram się, żeby ktoś go pilnował. A teraz weźcie jakieś rzeczy i ruszajcie z sierżantem. I proszę mi oddać kuszę.

Goriff wręczył mu ją z wyrazem ulgi. Była to typowa Okazja Tygodnia, tak marnie wykonana i nieprecyzyjna, że w chwili strzału bezpiecznie było tylko bezpośrednio za nią, a i tak człowiek sporo ryzykował. Najwyraźniej nikt też nie powiedział właścicielowi, że nie należy trzymać jej napiętej pod ladą, w zaparowanym lokalu, pod nieustającym deszczem tłuszczu. Ciężka była luźna. Prawdopodobnie jedyną metodą, by tą kuszą poważnie kogoś zranić, byłoby walić go nią po głowie.

Vimes odczekał, aż rodzina Goriffów wyjdzie, po czym rozejrzał się raz jeszcze. Lokal nie był duży. W kuchni za salą coś mocno przyprawionego wygotowywało się w kotle na piecu. Kilka razy parząc palce, zdołał w końcu przechylić naczynie i zalać ogień. Potem, niejasno pamiętając, że tak robiła jego matka, z pompy nalał wody do kotła, żeby odmaknąć.

Następnie jak najlepiej potrafił zabarykadował okna i wyszedł, zamykając drzwi na klucz. Dyskretnie wyraźna plakietka Gildii Złodziei nad wejściem oznajmiała światu, że pan Goriff sumiennie uiszczał roczną opłatę*, jednak świat krył wiele mniej formalnych zagrożeń, więc Vimes wyjął z kieszeni kawałek kredy i wypisał na drzwiach:

POD OCHRONĄ STRAŻY

A po namyśle podpisał:

SIERŻ. DETRYTUS

W wyobraźni tych o mniej obywatelskiej postawie majestat rządów prawa nie miał nawet w przybliżeniu takiej wagi jak groźba Detrytusa.

Dekret o Zamieszkach... Skąd, u demona, on go wygrzebał? Pewnie od Marchewy. Nie korzystano z niego za pamięci Vimesa, i trudno się dziwić, jeśli człowiek wiedział, na czym to naprawdę polega. Nawet Vetinari by się zawahał przed skorzystaniem z tego dekretu. Teraz był on już właściwie tylko frazą bez znaczenia. Dzięki bogom za analfabetyzm trolli...

I kiedy Vimes odstąpił na krok, by podziwiać swoje dzieło, zauważył blask nad aleją Parkową. I niemal równocześnie usłyszał stukot żelaznych butów po kamieniach.

– Witaj, Tyłeczek. Co znowu? Nie, nie mów... Ktoś podłożył ogień pod ambasadę klatchiańską.

– Zgadza się, sir – potwierdziła krasnoludka.

Stała niepewnie na środku ulicy, wyraźnie zmartwiona.

– No? – spytał Vimes.

– Eee... Przecież pan powiedział...

Vimesowi zamarło serce. Przypomniawszy sobie, że wrodzonym talentom krasnoludów do obróbki żelaza dorównuje jedynie ich żelazne niezrozumienie ironii.

– Ambasada klatchiańska naprawdę się pali?

– Tak jest, sir!

Pani Spent uchyliła drzwi.

– Słucham.

– Jestem przyjacielem... – Marchewa zawahał się, niepewny, czy Fred podał swoje prawdziwe nazwisko. – No... Duży, tęgi mężczyzna, za ciasny garnitur...

– To ten, co łązi po mieście z maniakiem seksualnym?

– Przepraszam...?

– Mały chudy pętaś, ubiera się jak klaun?

– Powiedzieli, że ma pani pokój. – Marchewa desperacko usiłował zmienić temat.

– Wynajęli go. – Pani Spent spróbowała zamknąć drzwi.

– Powiedzieli, że mogę z niego korzystać...

– Żadnego podnajmowania!

– Powiedzieli, że mam pani zapłacić dwa dolary!

– Oprócz tego co oni zapłacili? – upewniła się pani Spent.

– Oczywiście.

– No... – Obejrzała Marchewę od stóp do głów i pociągnęła nosem. – Niech będzie. Na jakiej zmianie pracujesz?

– Słucham?

– Jesteś strażnikiem, zgadza się?

– E... – Marchewa zająknął się, po czym podniósł głos. – Nie, nie jestem strażnikiem. Cha, cha, myśli pani, że jestem? Czy ja wyglądam jak strażnik?

– Tak, wyglądasz – potwierdziła kobieta. – Jesteś kapitan Marchewa. Widziałam, jak chodzisz po mieście. No ale myślę, że nawet gliny muszą gdzieś sypiać.

Na dachu Angua przewróciła oczami.

– Żadnych kobit, żadnego gotowania, żadnej muzyki, żadnych zwierzaków – uprzedziła pani Spent, prowadząc Marchewę skrzypiącymi schodami na górę.

Angua czekała w ciemności, aż usłyszała otwierane okno.

– Poszła sobie – szepnął Marchewa.

– Tu na dachówkach jest szkło, tak jak raportował Fred – powiedziała Angua.

Przesunęła się nad parapetem. Już wewnątrz nabrała tchu i zamknęła oczy.

Przede wszystkim musiała zapomnieć zapach Marchewy – niepokój, odrobina potu, mydło, lekka sugestia pasty do polerowania zbroi...

...i Fred Colon, prawie sam pot z lekkim odcieniem piwa, i jeszcze te dziwne maści, których Nobby używa do skóry, zapachy stóp, ciał, ubrań, pasty, paznokci...

Po godzinie nosowe oko widziało jeszcze, jak przez pokój ktoś przeszedł zastygły zapachem w czasie. Ale kiedy minął dzień, zapachy przecinały się i płątały. Trzeba je było rozdzielać, usuwać znajome fragmenty, a to, co zostało...

– Strasznie są pomieszane!

– Dobrze, dobrze – odpowiedział uspokajająco Marchewa.

– Co najmniej trzech ludzi... Ale wydaje mi się, że jednym z nich był Ossie... Zapach jest silniejszy koło łóżka... i...

Szeroko otworzyła oczy i spojrzała na podłogę.

– Gdzieś tutaj!

– Co? Co tutaj?

Przykucnęła z nosem tuż nad podłogą.

– Czuję to, ale nic nie widzę!

Tuż przed nią pojawił się nóż. Marchewa przyklęknął i przesunął ostrze wzdłuż pełnej kurzu szczeliny między deskami.

Wyskoczyło coś przełamanego i brązowego. Było rozdeptane i przetoczone pod butem, ale z tej odległości nawet Marchewa wyczuwał ślady aromatu goździków.

– Myślisz, że Ossie często piekł szarlotkę? – szepnął.

– Żadnego gotowania, zapomniałeś? – uśmiechnęła się Angua.

– Tam jest coś jeszcze...

Wydłubał jeszcze trochę brudu i kurzu. I coś błyszczącego.

– Fred mówił, że całe szkło jest na zewnątrz, prawda?

– Tak.

– Ale przypuśćmy, że ktoś nie pozbiierał wszystkich kawałków, kiedy się tu włamał?

– Wiesz, Marchewa, jak na kogoś, kto tak nie lubi kłamstwa, jesteś zaskakująco przebiegły.

– Tylko logiczny. Rzeczywiście jest szkło za oknem, ale to oznacza jedynie tyle, że jest szkło za oknem. Komendant Vimes zawsze powtarza, że nie ma czegoś takiego jak wskazówki. Wszystko zależy od tego, jak na nie patrzymy.

– Myślisz, że ktoś się włamał, a potem starannie przeniósł szkło na zewnątrz?

– Możliwe.

– Dlaczego mówimy szeptem?

– Żadnych kobit. Zapomniałaś?

– I żadnych zwierzaków – uzupełniła Angua. – Załatwiła mnie z obu stron. Nie rób takich min – dodała. – To nieeleganckie tylko wtedy, kiedy ktoś inny tak mówi. Mnie wolno.

Marchewa wygrzebał ze szczeliny jeszcze kilka odłamków szkła. Angua zajrzała pod łóżko i wyciągnęła pomięte magazyny.

– Na bogów, ludzie naprawdę czytają takie rzeczy? – zdziwiła się, przerzucając stronicę „Łuków i amunicji”. – „Test Refleksa Locksleya: Solidny kawał łuku”... „Chroń stopy! Testujemy dziesięć najlepszych kolczatek!”. A co to za pismo? „Wojownik fortuny”...

– Zawsze gdzieś się toczą jakieś wojenki – stwierdził Marchewa, wydając skrzynkę z pieniędzmi.

– Spójrz tylko na rozmiar tego topora! „Nie trać głowy, wybierz Wymiatacza od Burleigha i Wręcemocnego! I wygraj o głowę!”. To musi być prawda, co mówią o mężczyznach noszących wielką broń...

– A co takiego mówią? – spytał Marchewa, unosząc wieko.

Popatrzyła na czubek jego głowy. Jak zawsze, promieniował niewinnością niby małe słońce. Ale przecież... bo jakże... na pewno...

– Oni, no... są raczej mali – odpowiedziała.

– Tak, to prawda – zgodził się Marchewa, biorąc w rękę kilka klatchiańskich monet. – Popatrz na krasnoludów. Są zadowoleni, dopiero kiedy mają topór wielki jak oni sami. Nobby też fascynuje się bronią, a jest praktycznie rozmiarów krasnoluda.

– Ehm...

Technicznie rzecz biorąc, Angua była pewna, że zna Marchewę lepiej niż ktokolwiek inny. I była całkiem pewna, że mu na niej zależy. Rzadko o tym mówił, po prostu zakładał, że ona wie. Znała innych mężczyzn, choć przemiana w wilka na kilka dni w miesiącu była jedną z tych drobnych skaz, które mogą zniechęcić normalnego mężczyznę – i aż do Marchewy zawsze zniechęcała. Wiedziała, co mężczyźni mówią w – można to tak określić – gorączce chwili, a potem zapominają. Ale kiedy Marchewa coś mówił, wiedziała, że jest przekonany, iż wszystko zostało załatwione do kolejnego komunikatu. Gdyby więc wygłosiła jakiś komentarz, byłby szczerze zaskoczony, że zapomniała, co powiedział. Prawdopodobnie podałyby nawet datę i godzinę tej wypowiedzi.

A jednak przez cały czas miała uczucie, że większa jego część zawsze pozostaje ukryta gdzieś bardzo, bardzo głęboko i wygląda stamtąd na zewnątrz. Nikt nie mógłby być tak prosty, tak kreatywnie tępy, gdyby nie był bardzo inteligentny. To jak w pracy aktora. Tylko znakomity aktor da sobie radę z rolą marnego aktora.

– Dość samotny jest ten nasz Nobby – zauważył Marchewa.

– No, fakt...

– Ale jestem przekonany, że znajdzie odpowiednią dla siebie osobę – dodał dobrodusznie.

Pewnie w butelce, powiedziała do siebie Angua. Pamiętała tę rozmowę z Nobbym. Nieładnie było tak sądzić, ale coś jej doskwierało na samą myśl, że Nobby zostanie dopuszczony do puli genowej ludzkości, nawet tam gdzie gra idzie o niskie stawki.

– Wiesz... te monety są jakieś dziwne – stwierdził Marchewa.

– W jakim sensie? – spytała, wdzięczna za zmianę tematu.

– Dlaczego mieliby mu płacić w klatchiańskich wolach? Nie mógłby ich tutaj wydać, a w kantorach nie mają dobrego kursu. – Podrzucił monetę do góry i złapał pewnie. – Kiedy wychodziliśmy, Vimes powiedział mi: „Tylko dopilnuj, żebyście znaleźli schowane pod poduszką kiść daktyli i wielbłąda”.

Chyba wiem, o co mu chodziło.

– Piasek na podłodze – przypomniała Angua. – Czy to nie oczywista wskazówka? Poznajemy, że to byli Klatchianie, ponieważ mieli piasek na sandałach.

– Ale te goździki... – Marchewa trącił niewielki pączek. – To w końcu nie jest powszechny zwyczaj, nawet wśród Klatchian. A zatem i wskazówka nie całkiem oczywista, prawda?

– Pachnie bardziej świeżo. Powiedziałabym, że był tu zeszłej nocy.

– Już po śmierci Ossiego?

– Tak.

– Po co?

– Skąd mogę wiedzieć? W ogóle co to za imię: 71-godzinny Ahmed?

Marchewa wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Myślę, że w opinii komendanta ktoś w Ankh-Morpork chce, byśmy uwierzyli, że Klatchianie zapłacili za zabójstwo księcia. To brzmi... paskudnie, ale logicznie. Tylko nie rozumiem, czemu prawdziwy Klatchianin miałby się w to mieszać...

Spojrzeli sobie w oczy.

– Polityka? – powiedzieli chórem.

– Za odpowiednią cenę wielu ludzi robi praktycznie wszystko – stwierdziła Angua.

Nagle rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi.

– Masz tam kogoś?! – zawołała pani Spent.

– Wyskakuj oknem – szepnął Marchewa.

– A może jednak zostanę i rozerwę jej gardło? – zaproponowała Angua. – Dobrze już, dobrze, to był żart, jasne? – zapewniła, przerzucając nogi przez parapet.

Ankh-Morpork nie miało straży pożarnej. Obywatele przejawiali czasami irytująco bezpośredni sposób myślenia i nie zajęło im wiele czasu dostrzeżenie zasadniczego błędu w idei płacenia grupie ludzi według liczby ugaszonych pożarów. Zupa się wreszcie rozlała wkrótce po Węglowym Wtorku.

Od tego czasu mieszkańcy polegali na starej, dobrej zasadzie oświeconego egoizmu. Mieszkający w pobliżu płonącego budynku starali się co sił ugasić ogień, ponieważ strzecha, którą w ten sposób ocalili, mogła być ich własna.

Ale ci, którzy patrzyli na płonącą ambasadę, mieli puste, nieobecne spojrzenia, jakby wszystko działo się na odległej planecie.

Odsuwali się odruchowo, gdy pomagając sobie łokciami, Vimes przecisnął się przed bramę. Płomienie strzelały już ze wszystkich okien na parterze, a w migotliwym blasku widać było przebiegające sylwetki.

Komendant Straży Miejskiej odwrócił się do tłumu gapiów.

– No, dalej! Co się z wami dzieje? Ustawić się w linię i dawać wiadra!

– To ta ich piekielna ambasada – odpowiedział mu ktoś.

– Właśnie. Klatchiański grunt, nie?

– Nie można wchodzić na klatchiański grunt.

– To by była inwazja, jak nic.

– Nie chcą nas wpuścić – powiedział chłopczyk trzymający wiadro.

Vimes zerknął na bramę ambasady. Pilnowało jej dwóch gwardzistów. Spoglądali niespokojnie to na pożar za sobą, to na zebrany przed nimi tłum.

Byli ludźmi zdenerwowanymi, ale to nie wszystko – sytuacja wyglądała o wiele gorzej. Byli bowiem ludźmi zdenerwowanymi, ściskającymi wielkie miecze.

Podszedł do nich. Starał się uśmiechać i trzymał przed sobą odznakę. Miała wyrytą tarczę. Nie była to duża tarcza.

– Komendant Vimes, Straż Miejska Ankh-Morpork – powiedział głosem, który, miał nadzieję, brzmiał pomocnie i przyjaźnie.

Gwardzista machnął na niego.

– *Hruszaj* stąd!

– Aha...

Gdzieś w płomieniach ktoś krzyczał. Vimes przyjrzał się kamieniom bruku w bramie, po czym popatrzył na gwardzistę.

– Ty! Chodź no tutaj! Widzisz to? – Wskazał w dół.

Gwardzista z wahaniem zbliżył się o krok.

– To jest grunt Ankh-Morpork, przyjacielu – poinformował go Vimes. – A ty na nim stoisz i utrudniasz mi wykonywanie... – z całej siły wbił pięść w żołądek gwardzisty – ...obowiązków.

Wyprowadzał już kopnięcie, kiedy rzucił się ku niemu drugi gwardzista. Vimes trafił go w kolano. Coś kliknęło – podejrzewał, że to jego własna stopa.

Klnąc i kulejąc trochę, wbiegł do ambasady i chwycił przebiegającego człowieka za rękaw.

– Czy są tam jeszcze jacyś ludzie? Czy są tam ludzie?!

Zatrzymany rzucił Vimesowi spojrzenie pełne paniki. Naręcze papierów, jakie niośł, rozsypało się na ziemię. Ktoś inny chwycił komendanta za ramię.

– Umie się pan wspinać, panie Vimes?

– Kim ty...

Nowo przybyły podszedł do skulonego nosiciela dokumentów i uderzył go w twarz.

– Ratownik papieru!

Kiedy tamten upadał na plecy, przybysz zerwał mu z głowy turban.

– Tędy! – Rzucił się w kłęby dymu.

Vimes biegł za nim, aż dotarli do muru i umocowanej do niego rynny.

– Skąd wie...

– Do góry! Do góry!

Vimes oparł stopę o złożone dłonie tamtego, zdołał jakoś ustawić drugą na klamrze rynny i z wysiłkiem podciągnął się w górę.

– Szybciej! – słyszał ponaglanie.

Na wpół się wspinał, na wpół wciągał po rurze; gdy dotarł wreszcie do okapu i przewalił się na dach, w nogach wybuchały mu maleńkie fajerwerki bólu.

Ten drugi wynurzył się za nim, jak gdyby wbiegł po ścianie. Dolną część twarzy miał zakrytą pasem materiału. Drugi pas wręczył Vimesowi.

– Owinąć nos i usta – rozkazał. – Od dymu!

Na dachu panował żar. Tuż obok komin strzelił ryczącym jęzorem ognia.

Vimes poczuł, że ktoś wciska mu do rąk resztę nierozwiniętego turbanu.

– Pan sprawdzi tę stronę, a ja drugą – oświadczyła zjawa i zniknęła wśród dymu.

– Ale dla...

Vimesa parzyły podeszwy butów. Ostrożnie przeszedł po dachu. Usłyszał dobiegające z dołu krzyki.

Kiedy wychylił się poza krawędź, zobaczył pod sobą okno. Ktoś musiał wybić szybę, ponieważ widział machającą rękę.

W dole na dziedzińcu panowało ogólne poruszenie. Wśród biegających zauważył potężną sylwetkę funkcjonariusza Dorfla, golema – zdecydowanie ogniotrwałego. Ale Dorfl nie najlepiej radził sobie ze schodami. Niewiele było takich, które mogły wytrzymać jego ciężar.

Ręka w dymie przestała machać.

Vimes raz jeszcze spojrzął w dół.

Czy umie pan latać, panie Vimes?

Obejrzał się na plujący ogniem komin.

Popatrzył na zwinięty turban.

Duża część mózgu Sama Vimesa wyłączyła się, choć te fragmenty, które przekazywały ból w nogach, działały z irytującą sprawnością. Ale wciąż jeszcze pewne myśli operowały w głębi, wokół rdzenia. Przekazały mu pod rozwagę obserwację: *materiał wygląda na mocny...*

Przyjrzał się kominowi. Sprawiał wrażenie solidnego.

Okno znajdowało się jakieś sześć stóp poniżej.

Vimes zaczął poruszać się automatycznie.

Zatem, czysto teoretycznie, gdyby ktoś zawiązał jeden koniec pasa materiału wokół komina, o tak, resztę rozwinął, o tak, opuścił się przez okap, o tak, i odepchnął nogami od muru, o tak, to kiedy opadnie, stopami powinien wybić sobie drogę przez pozostałe w oknie szyby, o tak...

Wózek skrzypiał na mokrej ulicy. Jechał zygzakiem, ponieważ żadne dwa jego koła nie były tej samej wielkości, więc kołysał się, podskakiwał i zarzucał. Ciągnięcie go prawdopodobnie kosztowało więcej wysiłku, niż zaoszczędzało. Zwłaszcza że ładunek wyglądał na śmieci. Ale też podobnie jego właściciel.

Był mniej więcej wzrostu człowieka, ale zgięty niemal wpół. Pokrywały go szmaty albo włosy, a może ubita mieszanina obu, tak sfilcowana i brudna, że zapuściły w niej korzenie niewielkie rośliny. Gdyby ta istota przestała się ruszać i przykucnęła, byłaby zadziwiająco podobna do zapomnianej od dawna przyzmy kompostu. Idąc, sapała głośno.

Jakaś stopa wysunęła się z boku i przerwała jej marsz.

– Dobry wieczór, Kapusiu – odezwał się Marchewa, gdy wózek znieruchomiał.

Pryzma się zatrzymała. Jej część przechyliła się ku górze.

– Spadaj – mruknęła gdzieś spod powłoki.

– No, Kapustko, pomóżmy sobie nawzajem, co? Ty mi pomożesz, to i ja ci pomogę.

– Wiesz, ty mi powiesz coś, co chcę wiedzieć – ciągnął Marchewa – a ja nie przeszukam twojego wózka.

– Nie znoszę gnolli – stwierdziła Angua. – Obrzydliwie pachną.

– Och, to niesprawiedliwe. Ulice byłyby o wiele brudniejsze, gdyby nie ty i twoi pobratymcy, co, Kapuś? – Marchewa wciąż mówił swobodnym, uprzejmym tonem. – Zbierasz to, podnosisz tamto, może czasem uderzasz tym o mur, żeby przestało się wyrywać...

– To p-sk-ne szcz-two – oświadczył gnoll. Wydał bulgoczący odgłos, który mógł być chichotem.

– No więc słyszałem, że możesz coś wiedzieć o tym, gdzie ostatnio bywa Śnieżny Stock.

– Nic ni-wim.

– Świetnie. – Marchewa sięgnął po widły i podszedł od tyłu do wózka, z którego coś kapało.

– Nic ni-wim o tym... – odezwał się szybko gnoll.

– Tak? – zachęcił go Marchewa, stając z uniesionymi widłami.

– Nic ni-wim o tym... skl-pie ze sl-d-czmi prz Fr-s-łapki.

– Ten z tabliczką „Pokoje do wynajęcia”?

– J-sn.

– Brawo. Jestem wdzięczny za twoją obywatelską postawę – rzekł Marchewa. – A przy okazji, po drodze tutaj mineliśmy zdechłą mewę. Leży na Browarnej. Myślę, że jak się pospieszysz, wyprzedzisz całą resztę.

– Str n-m-r – prychnął gnoll.

Wózek ruszył znowu. Para strażników patrzyła, jak szarpiąc i podskakując, znika za rogiem.

– W głębi serca to dobre stwory – oświadczył Marchewa. – I myślę, że dobrze to świadczy o duchu tolerancji w mieście, skoro nawet gnolle czują się tu u siebie.

– Żołądek mi się przewraca na samą myśl o nich – mruknęła Angua, kiedy ruszyli dalej. – Na tym już coś rośnie!

– Pan Vimes uważa, że powinniśmy coś dla nich zrobić.

– Człowiek o złotym sercu, nie ma co.

– Mówi, że najlepiej miotaczem ognia.

– Nie zadziała. Za wilgotne. Czy ktoś tak naprawdę sprawdził, co one jedzą?

– Lepiej myśleć o nich jak o... czyścicielach. Przyznasz, że nie widać na ulicach tyłu śmieci i martwych zwierząt co kiedyś.

– No tak. Ale czy widziałeś kiedy gnolla z miotłą i szufelką?

– Cóż, obawiam się, że tak działa społeczeństwo. Wszystko jest zrzucane na tych stojących niżej, aż w końcu znajdzie się ktoś, kto jest gotów to zjeść. Tak twierdzi pan Vimes.

– No tak... – zgodziła się Angua. Przez chwilę maszerowali w milczeniu. Wreszcie zauważyła: – Bardzo się przejmujesz tym, co mówi pan Vimes, prawda?

– To wspaniały oficer i przykład dla nas wszystkich.

– I... nigdy nie myślałeś, żeby poszukać pracy w Quirmie czy gdzie indziej? Inne miasta poszukują teraz strażników z Ankh-Morpork.

– Jak to? Wyjechać z Ankh-Morpork? – Ton jego głosu wystarczył za odpowiedź.

– Nie, chyba nie. – Westchnęła smutno.

– Zresztą nie wiem, czy pan Vimes poradziłby sobie beze mnie.

– Owszem, to jest pewien punkt widzenia.

Do alei Forsołapki nie było daleko. Leżała w getcie tych, których lord Rust prawdopodobnie by nazwał „robotnikami wykwalifikowanymi”. Ludzi stojących zbyt nisko na drabinie społecznej, by przesuwać ją lub potrząsać, ale też zbyt wysoko, by to ich łatwo było przesunąć albo potrząsnąć. Ogólnie biorąc, czyścili i polerowali; nie posiadali zbyt wiele, ale byli dumni nawet z tego. Idąc, Marchewa z Anguą wyraźnie widzieli drobne przejawy takiej postawy. Na przykład błyszczące numery domów. Albo ściany budynków, które po całych stuleciach budów i dobudówek były praktycznie jednym nieprzerwanym ciągiem – miały bardzo wyraźnie zaznaczone farbą granice,

bo mieszkańcy malowali do samego brzegu swej własności, ale ani o włos dalej. Według Marchewy stanowiło to dowód, iż ludzie ci instynktownie zdają sobie sprawę z faktu, że cywilizacja opiera się na wspólnym poszanowaniu własności. Według Angui dowodziło to, iż są skąpymi draniami, którzy sprzedadzą człowieka bez mrugnięcia okiem.

Marchewa wszedł cicho w zaułek obok sklepu ze słodyczami. Były tam nierówne drewniane schody prowadzące na piętro. W milczeniu wskazał stos śmieci pod nimi.

Zdawało się, że składa się wyłącznie z butelek.

– Lubił wypić? – szepnęła Angua.

Przykucnęła i sprawdziła etykiety, ale nos już wcześniej udzielił jej wskazówki. *Szampon Homeopatyczny Dibblera, Mere & Stingbat: Szampon ziołowy – Z ziołami! Płucz i pędź, Tonik do skóry – z dodatkowymi ziołami!...*

Były też inne. Zioła, pomyślała. Wystarczy rzucić garść zielska do kociołka i ma się zioła...

Chwyciła Marchewę za ramię, gdy wchodził już na schody. W powietrzu unosił się inny zapach. Taki, który przez wszystkie inne na ulicy przebijał się niby włócznie. Taki, do którego nos wilkołaka był szczególnie dobrze dostrojony.

Marchewa skinął głową i ostrożnie podszedł do drzwi. Pokazał palcem na dół – w szczelinie nad podłogą widać było ciemną plamę.

Wydobył miecz i kopniakiem otworzył drzwi.

Daceyville Stock niełatwo godził się ze swą dolegliwością. Na większości płaskich powierzchni stały gęsto butelki najrozmaitszych kształtów i kolorów, dając świadectwo sztuce alchemicznej i ludzkiemu optymizmowi.

Mydliny po ostatnim eksperymencie pływały jeszcze w misce na stole, a ciało Stocka na podłodze miało ręcznik na szyi. Strażnicy się przyjrzelili... Śnieżny umył, spłukał i odszedł.

– Możemy chyba powiedzieć, że życie jest nieobecne – uznał Marchewa.

– Bueee – skrzywiła się Angua. Chwyciła otwartą butelkę szamponu i podniosła do nosa. Mdlący aromat zamarynowanych ziół uderzył w jej zatoki, ale wszystko było lepsze od ostrego, kuszącego zapachu krwi.

– Zastanawiam się, gdzie jest jego głowa – ciągnął Marchewa desperacko rzeczowym tonem. – A, tu się potoczyła... Co tak obrzydliwie cuchnie?

– To! – Angua zademonstrowała mu szampon. – Tu jest napisane, że cztery dolary za butelkę. Też coś!

Raz jeszcze powąchała mocno ziołową maź, by zagłuszyć wilczy zew.

– Nie wygląda, żeby coś ukradli – ocenił Marchewa. – Chyba że byli bardzo porządni... Co się dzieje?

– Nie pytaj!

Zdołała otworzyć okno i wciągała do płuc wielkie hausty stosunkowo świeżego powietrza. Marchewa przeszukał kieszenie denata.

– Słuchaj... wyczujesz chyba, czy nie leży tu gdzieś goździk, co?

– Marchewa! Proszę cię! Podłoga jest cała we krwi! Masz pojęcie? Przepraszam...

Rzuciła się do drzwi i zbiegła po schodach. Zaulek miał naturalną woń, wspólną dla wszystkich zaułków na świecie, narzuconą na wszechogarniający zapach miasta. Ale przynajmniej od tego nie rosły jej włosy, a zęby nie usiłowały się wydłużyć. Oparta o mur, usiłowała nad sobą zapanować. Szampon? Jednym starannym ugryzieniem mogłaby zaoszczędzić Śnieżnemu masę forsy. Wtedy by zrozumiał, jak to jest z sierścią...

Marchewa zszedł po kilku minutach. Zamknął za sobą drzwi.

– Lepiej się czujesz?

– Trochę.

– Znalazłem jeszcze to – powiedział zamyślony. – Chyba napisał coś, zanim zginął. Ale to dość dziwne. – Machnął czymś, co wyglądało jak tani notatnik. – Trzeba się temu dobrze przyjrzeć. – Pokręcił głową. – Biedak z tego Śnieżnego.

– To był zabójca!

– Tak, ale śmierć miał paskudną.

– Ścięcie? I to bardzo ostrym mieczem, sądząc z wyglądu? Znam gorsze.

– Tak. Ale cały czas myślę, że gdyby miał zdrowsze włosy albo w młodym wieku znalazł odpowiedni szampon, jego życie mogłoby potoczyć się inaczej...

– Teraz przynajmniej nie musi już się przejmować łupieżem.

– To było niesmaczne.

– Przepraszam, ale wiesz, jak krew mnie pobudza.

– Za to twoje włosy zawsze wyglądają wspaniale – zauważył Marchewa, zmieniając temat z niezwykłym, jak pomyślała Angua, taktem. – Nie wiem, czego używasz, ale szkoda, że on nigdy tego nie spróbował.

– Wątpię, by trafił do odpowiedniego sklepu. Na tych butelkach, które zwykle kupuję, jest napisane „Lśniąca sierść”... Co się stało?

– Czujesz dym?

– Marchewa, jeszcze co najmniej pięć minut nie będę czuła niczego oprócz...

Ale patrzył poza nią, na jasny, czerwony blask na niebie.

Vimes zakaszłał. A potem zakaszłał znowu. W końcu otworzył załzawione oczy, z dużą pewnością oczekując, że zobaczy przed sobą własne płuca.

– Wody, panie Vimes? – usłyszał.

Wyteńczył wzrok i przez łązy zobaczył poruszającą się sylwetkę Freda Colona.

– Dzięki, Fred. Co tu tak śmierdzi spalenizną?

– To pan, sir.

Vimes siedział na niskim murku niedaleko ruin ambasady. Owiewał go chłodny wietrzyk. Czuł się jak niedopieczona wołowina, a gorąco wręcz z niego biło.

– Na chwilę stracił pan przytomność, sir – wyjaśnił usłużnie sierżant. – Ale wszyscy widzieli, jak zjeżdża pan do tego okna! I jak pan wyrzuca tę kobietę Detrytusowi, coby ją złapał! Zarobi pan nowe pióro na hełmie jak nic! Założę się, że za to wszystko, co pan dzisiaj zrobił, szma... Klatchianie dadzą panu Order Wielbłąda czy coś takiego! – Colon promieniał, dumny ze znajomości z bohaterem.

– Nowe pióro... – wymamrotał Vimes. Zdjął hełm i z pewną znużoną satysfakcją przekonał się, że z piór zostały tylko przypalone kikuty. Zamrugął powoli. – Co z tym człowiekiem, Fred? Wydostał się?

– Jakim człowiekiem?

– Był tam...

Znów zamrugał. Rozmaite części jego ciała, świadome, że wcześniej nie przyjmował wiadomości, dzwoniły teraz ze skargami.

Był... jakiś mężczyzna? Vimes wylądował na łóżku czy czymś podobnym, jakaś kobieta chwyciła go rozpaczliwie, wybił wtedy to, co pozostało z okna, pod sobą w dole zobaczył wielkie, szerokie, a przede wszystkim mocne ramiona Detrytusa i wyrzucił ją tak uprzejmie, jak tylko pozwalały

okoliczności. A potem ten człowiek z dachu znowu wynurzył się spośród kłębow dymu, dźwigając na ramieniu kogoś jeszcze, krzyknął coś i skinął na Vimesa, by szedł za nim i...

... wtedy zapadła się podłoga...

– Był tam... Było jeszcze dwóch ludzi – powiedział i znów się rozkaszał.

– W takim razie nie wyszli od frontu.

– A jak ja się wydostałem?

– No, Dorfl zadeptywał ogień na dole, sir. Nie ma co, taki ceramiczny funkcjonariusz jest bardzo przydatny. A pan na nim wylądował, więc oczywiście przestał i wyniósł pana tutaj. Rano będą uściski dłoni i ciasto dla wszystkich, sir!

Ale teraz nie było, jak zauważył Vimes. Owszem, dookoła wciąż kręciło się sporo ludzi: przenosili tobołki, gasili ostatnie płomienie, kłócili się ze sobą... tylko wielka pustka istniała w miejscu, gdzie powinny się znaleźć gratulacje dla niedawnego bohatera.

– Och, po czymś takim wszyscy są trochę zabiegani, sir – wyjaśnił Colon, jak gdyby czytał mu w myślach.

– Wezmę miłą, zimną kąpiel – oznajmił Vimes, zwracając się do świata jako takiego. – A potem się prześpię. Sybil ma świetną maść na oparzenia... O, jesteście oboje.

Podbiegł Marchewa.

– Zobaczyliśmy pożar... Już po wszystkim?

– Pan Vimes dokonał bohaterskich czynów! – krzyknął podniecony sierżant. – Wszedł do środka i uratował wszystkich, według najlepszych tradycji straży!

– Fred... – rzucił ze znużeniem Vimes.

– Tajest?

– Fred, najlepsza tradycja straży to gdzieś, gdzie nie ma wiatru, o trzeciej nad ranem w spokoju zapalić sobie papierosa. Nie rozpędzaj się, co?

Colon zrobił smętną minę.

– No... – zaczął.

Vimes podniósł się chwiejnie i poklepał sierżanta po ramieniu.

– No dobrze, to też jest tradycja – ustąpił. – Następnym razem ty możesz się popisać. A teraz... – Stanął prosto. – Idę do Yardu pisać raport.

– Cały jest pan obsypany popiołem i się pan zatacza – zauważył Marchewa. – Na pańskim miejscu poszedłbym prosto do domu, sir.

– Nie. Muszę się zająć papierami. Ktoś wie, która godzina?

– Bingely-bingely biip! – odezwał się wesoły głosik z jego kieszeni.

– Niech to... – burknął Vimes, ale było już za późno.

– Jest teraz... – powiedział głosik tonem piskliwym i tak przyjaznym, że człowiek miał ochotę udusić mówiącego – ...koło... dziewiątej.

– Dziewiątej?

– Tak. Koło dziewiątej. Dokładnie koło dziewiątej.

Vimes przewrócił oczami.

– Dokładnie koło dziewiątej? – powtórzył.

Wyjął z kieszeni niewielkie pudełko i otworzył wieczko. Siedzący wewnątrz demon spojrzał na niego gniewnie.

– Wczoraj sam powiedziałeś – oświadczył – że jeśli, tu cytuję, nie skończę z tym całym „dokładnie ósma pięćdziesiąt sześć i sześć sekund”, to

popatrzę sobie na młotek od spodu. A kiedy uprzedziłem, panie Tu-Wstaw-Swoje-Imię, że to unieważni moją gwarancję, powiedziałeś, że mogę sobie wziąć tę gwarancję i...

– Myślałem, że pan to zgubił – wtrącił Marchewa.

– Ha! – zawołał De-terminarz. – Doprawdy? Tak myślałeś? Nie nazwałbym „gubieniem” wsadzania mnie do kieszeni spodni tuż przed odesłaniem ich do prania.

– To był przypadek – mruknął Vimes.

– Tak?! Tak?! A upuszczenie mnie do miski z karmą dla smoków to też przypadek?! – Przez chwilę demon mamrotał jeszcze coś pod nosem i wreszcie odezwał się już normalnym tonem: – No więc chcesz wiedzieć, jakie masz spotkania dziś wieczorem?

Vimes obejrzał się na dymiące ruiny ambasady.

– Mów.

– Żadnych – oświadczył ponuro demon. – Nic mi nie powiedziałeś.

– Widzicie? To właśnie doprowadza mnie do szału. Niby dlaczego powinienem ci mówić? Dlaczego ty nie powiedziałeś „Koło ósmej: uspokoić zamieszki przy Posiłkach Pospolitych i nie pozwolić Detrytusowi strzelać do ludzi”, co?

– Bo mi nie powiedziałeś, żebym powiedział!

– Bo nie wiedziałem! Tak to działa w prawdziwym życiu! Jak mam ci kazać się ostrzec przed czymś, o czym jeszcze nikt nie wie, że się zdarzy? Gdybyś się do czegoś nadawał, takie by było twoje zadanie!

– On pisze po instrukcji! – oznajmił złośliwie demon. – Słyszeliście wszyscy? Pisze po instrukcji!

– No oczywiście, że robię notatki...

– Tak naprawdę to on potajemnie prowadzi dziennik w instrukcji obsługi, żeby jego żona nie odkryła, że nawet nie próbował nauczyć się mnie używać – stwierdził demon.

– A co z instrukcją Vimesa? – zirytował się Vimes. – Jak zauważyłem, tobie też nie chciało się uczyć obsługiwać mnie!

Demon się zawahał.

– Są instrukcje do ludzi?

– To byłby wściekle dobry pomysł.

– Fakt – przyznała cicho Angua.

– Mogłyby w nich być napisane na przykład: „Rozdział pierwszy: Bingely-bingely biip i inne głupie hasła do wykrzykiwania o szóstej rano” – ciągnął rozzłoszczony Vimes. – Albo „Rozwiązywanie problemów: mój właściciel ciągle próbuje upuścić mnie do wychodka, co robię nieprawidłowo?”. I jeszcze...

Marchewa delikatnie poklepał go po ramieniu.

– Pora już kończyć, sir – powiedział łagodnie. – Ostatnie dni były bardzo pracowite.

Vimes potarł dłonią czoło.

– Przyznam, że chętnie bym trochę odpoczął. Chodźmy, tutaj już nic więcej nie znajdziemy. Wracamy do domu.

– Mówił pan chyba, że nie idzie... – zaczął Marchewa.

Ale umysł Vimesa zdążył już go zbesztać.

– To znaczy do Yardu – poprawił się. – Do domu pójde potem.

Kula światła lampy płynęła przez bibliotekę Ramkinów, dryfując wzdłuż półek pełnych wielkich, oprawnych w skórę tomów.

Sybil wiedziała, że wielu z nich nigdy nie przeczytano. Różni przodkowie po prostu zamawiali je u grawerów i ustawiali na półkach, ponieważ biblioteka jest czymś, co należy mieć, wiadomo przecież – podobnie jak stajnie, skrzydło dla służby i upiorną krajobrazową pomyłkę stworzoną przez „Bezdenie Głupiego” Johnsona, choć w tym ostatnim przypadku jej dziadek zastrzelił typa, zanim zdążył narobić poważnych szkód.

Podniosła lampę wyżej.

Ramkinowie patrzyli na nią dumnie z ram, poprzez brązowy lakier stuleci. Portrety to kolejny zbiór, kolekcjonowany z niedbałego przyzwyczajenia.

Większość przedstawiała mężczyzn. Byli nieodmiennie okryci pancerzami i zawsze siedzieli na koniach. A każdy z nich walczył z zaprzysięgłymi wrogami Ankh-Morpork.

W późniejszych czasach stawało się to coraz trudniejsze i na przykład jej dziadek musiał prowadzić ekspedycje aż do Howondalandu, by znaleźć jakichś zaprzysięgłych wrogów. Co prawda zanim opuścił tę krainę, było ich tam już dostatecznie wielu, i choć nie słyszało się zbyt wielu przysiąg, to w każdym razie klątw nie brakowało. Wcześniej, naturalnie, sprawa wyglądała o wiele prościej. Ramkinowskie regimenty walczyły z wrogami miasta na całych równinach Sto i heroicznie zadawały straty, często wojskom przeciwnika*.

Wśród siedzących było również kilka kobiet, a żadna nie trzymała niczego cięższego niż rękawiczka albo mały smok pokojowy. Ich praca polegała głównie na zwijaniu bandaży i czekaniu na mężów. Sybil lubiła myśleć, że czekały z determinacją i hartem ducha oraz ogólną nadzieją, że wspomniani mężowie powrócą z możliwie dużą liczbą części ciała.

Ale chodzi o to, że oni nigdy się nad tym nie zastanawiali. Była wojna, więc wyruszali. Jeśli nie było wojny, to jakiejś szukali. Nie używali nawet takich słów jak „obowiązek”. Mieli to wbudowane w siebie, aż do kości.

Westchnęła. Dzisiaj wszystko zrobiło się takie trudne, a lady Sybil pochodziła z klasy nienawykłej do trudności. Przynajmniej nie do takich, których nie da się usunąć, krzycząc na służącego. Pięćset lat temu któryś z jej przodków w bitwie uciął Klatchianinowi głowę i przywiózł ją do domu na drągu – i nikt nic złego o nim nie pomyślał, biorąc pod uwagę, co Klatchianie by mu ucieli, gdyby go schwytali. To wydawało się całkiem proste i oczywiste. My z nimi walczyliśmy, oni walczyli z nami, wszyscy znali zasady, a jeśli komuś odrąbali głowę, to na pewno nikomu się potem nie skarżył i nie narzekał.

Z pewnością teraz rozwiązuje się to lepiej. Tyle że trudniej.

I naturalnie niektórzy z tych antycznych mężów bywali nieobecni całymi miesiącami albo i latami; dla nich żony i rodziny były całkiem jak stajnie, biblioteka albo Eksplodująca Pagoda Johnsona. Człowiek załatwiał te sprawy, a potem już o nich nie myślał. Sam przynajmniej codziennie wraca do domu.

No, prawie codziennie. W każdym razie na każdą noc.

No... na część większości nocy, to na pewno.

Przynajmniej jadają razem.

No... na ogół.

No, przynajmniej razem zaczynają większość posiłków.

No, ale za to wiedziała, że nigdy nie jest zbyt daleko, tylko gdzieś, gdzie próbuje za dużo zrobić, za szybko biegać i jacyś ludzie usiłują go zabić.

Ogólnie rzecz biorąc, uważała, że naprawdę ma szczęście.

Vimes przyglądał się stojącemu przed biurkiem Marchewie.

– No więc do czego to prowadzi? – spytał. – Człowiek, o którym wiemy, że nie załatwił księcia, nie żyje. Człowiek, który prawdopodobnie załatwił...

też nie żyje. Ktoś bardzo niezręcznie usiłował stworzyć pozory, że Ossiemu zapłacili Klatchianie. Dobra, rozumiem, czemu komuś miałyby na tym zależeć. To właśnie to, co Fred nazywa „polityką”. Wysyłają Śnieżnego, żeby wykonał robotę naprawdę, Śnieżny pomaga nieszczęsnemu głupiemu Ossiemu, który służy do tego, żeby mieć wpadkę, a potem straż udowadnia, że Ossie działał za pieniądze Klatchian. W efekcie mamy kolejny powód do wojny. A Śnieżny zjeżdża sobie gdzieś daleko. Tylko że ktoś wyleczył go z łupieżu już na dobre.

– Po tym, kiedy coś napisał, sir – przypomniał Marchewa.

– A tak...

Vimes obejrzał notatnik znaleziony w pokoju Śnieżnego. Był to byle jaki notes, plik różnych ścinków, który grawerzy sprzedawali tanio. Powąchał go.

– Mydło na brzegach – zauważył.

– Jego nowy szampon – wyjaśnił Marchewa. – Pierwszy raz go używał.

– Skąd wiesz?

– Obejrzeliśmy butelki w śmieciach, sir.

– Hm... wygląda na świeżą krew tutaj, na grzbiecie, gdzie jest szycie...

– To jego, sir – wtrąciła Angua.

Vimes skinął głową. Nigdy nie dyskutował z Anguą w sprawach krwi.

– Ale żadna kartka nie jest poplamiona krwią. To trochę dziwne. Dekapitacja to taka... nieporządna śmierć. Ludzie mają tendencję do... chlapania. Czyli pierwsza kartka...

– Została wyrwana, sir. – Marchewa uśmiechnął się i pokiwał głową. – Ale nie to jest najciekawsze, sir. Zobaczmy, czy pan na to wpadnie...

Vimes rzucił mu niechętne spojrzenie, po czym przysunął sobie lampę.

– Na górnej stroniczce bardzo słabe wgłębienia pisma... – mruknął. – Nie potrafię odczytać...

– My też nie potrafimy, sir. Wiemy, że pisał ołówkiem, bo znaleźliśmy go na stole...

– Bardzo słabe ślady – stwierdził Vimes. – Tacy faceci jak Śnieżny piszą, jakby łupali kamienie. – Odwrócił notes. – Ktoś wyrwał... nie tylko tę kartkę, na której pisał, ale też kilka następnych.

– Sprytne, prawda? Wszyscy wiedzą, że...

– Da się odczytać podejrzone notatki, badając wgniecenia na kartce pod spodem. – Vimes rzucił notes na biurko. – Hm... jest w tym jakaś wiadomość, owszem...

– Może szantażował zleceniodawców? – zgadywała Angua.

– Nie, to nie w jego stylu. Chodziło mi raczej...

Ktoś zastukał do drzwi. Wszedł Fred Colon.

– Przyniosłem kawę – oznajmił. – I przysła do pana banda szma... Klatchian, sir. Czekają na dole. Pewnie chcą dać panu medal i bełkotać do pana w tym swoim języku. A gdyby miał pan ochotę na późną kolację, to pan Goriff przyrządza kozę z ryżem w zagranicznym sosie.

– Lepiej chyba zejść i z nimi porozmawiam – uznał Vimes. – Tylko że nie miałem nawet czasu się umyć...

– Świadecko pańskich bohaterskich dokonań, sir – przypomniał stanowczo Colon.

– No dobrze...

Zakłopotanie ogarnęło Vimesa w połowie schodów. Nigdy jeszcze nie spotkał grupy obywateli pragnących wręczyć mu medal, więc nie miał w tej kwestii wielkiego doświadczenia. Jednak zbita ciasno grupa, czekająca na niego przy biurku sierżanta, nie wyglądała na komitet dziękczynny.

Byli Klatchianami. A przynajmniej nosili cudzoziemskie ubrania i jeden czy dwóch wyraźnie bardziej się opalili, niż zwykle jest to możliwe w Ankh-Morpork. Vimesa opanowało przecucie, że Klatch jest bardzo rozległym lądem, w którym zagubiłyby się jego miasto i całe równiny Sto. Musi zatem tam być dość miejsca dla wielu narodów, w tym również tego niskiego typu w czerwonym fezie, który niemal wibrował z oburzenia.

– To pan jest Vimes? – zapytał ten w fezie.

– Tak, komendant Vimes...

– Żądamy uwolnienia rodziny Goriffów! I nie będziemy słuchać żadnych usprawiedliwień!

Vimes zamrugął niepewnie.

– Uwolnienia?

– Aresztowaliście ich! I skonfiskowaliście ich bar!

Vimes zerknął pytająco na sierżanta Detrytusa.

– Gdzie umieściliście tę rodzinę, sierżancie?

– W celach, sir! – Detrytus zasalutował.

– Aha! – wykrzyknął typ w fezie. – Przyznajecie się!

– Przepraszam bardzo, ale kim pan jest? – Vimesowi oczy się zamykały ze zmęczenia.

– Nie muszę wam mówić i nie wyciągniecie tego ze mnie! – Typ wypiął pierś.

– Dziękuję, że mnie pan uprzedził. Nienawidzę zmarnowanego wysiłku.

– O, witam, panie Wazir! – zawołał Marchewa, który pojawił się za plecami komendanta. – Dostał pan mój liścik w sprawie tej książki?

Nastąpił jeden z tych momentów milczenia, kiedy wszyscy muszą na nowo zaprogramować własne twarze. Potem odezwał się Vimes:

– Co?

– Pan Wazir sprzedaje książki na ulicy Berek – wyjaśnił Marchewa. – No i poprosiłem go o jakieś książki o Klatchu, a jedną z tych, które mi dał, była „Perfumowana Bruzda albo Ogród Rozkoszy”. Nie przeszkadzało mi to, bo przecież właśnie Klatchianie wynaleźli ogrody, sir, więc pomyślałem, że taka książka pomoże mi poznać ich kulturę. Wejść do wnętrza klatchiańskiego umysłu, jak to mówią. Tylko że, no... eee... no, to nie była książka o ogrodnictwie, tylko... – Zaczął się czerwienić.

– Tak, tak, oczywiście, proszę ją zwrócić, jeśli panu nie odpowiada – powiedział Wazir, trochę zbity z pantafyku.

– Pomyślałem tylko, że powinien pan wiedzieć, na wypadek gdyby... no, gdyby pan sprzedał... wie pan... taka książka może zaszokować kogoś nieprzygotowanego...

– Tak, świetnie...

– Kapral Angua była tak zaszokowana, że nie mogła przestać się śmiać.

– Dopilnuję, żeby natychmiast odesłano panu pieniądze – obiecał Wazir.

Znów zrobił groźną minę. Spojrzał na Vimesa.

– W takich chwilach książki nie są istotne! Żądamy, by natychmiast uwolnił pan moich rodaków!

– Detrytus, dlaczego, u licha, zapakowałeś ich do cel? – spytał znużonym głosem Vimes.

– A co jeszcze żeśmy mieli, sir? Zamknięte nie są, a mają w nich czyste koce.

– Ma pan wyjaśnienie. Są naszymi gośćmi.

– W celach! – Wazir rozkoszował się tym słowem.

– Mogą z nich wyjść, kiedy tylko zechcą – zapewnił Vimes.

– Jestem pewien, że teraz już mogą. – Wazir wyrazem twarzy zdawał się sugerować, że tylko jego przybycie powstrzymało oficjalnie sankcjonowany rozlew krwi. – Może pan być pewien, że Patrycjusz o tym usłyszy.

– Słyszysz też o wszystkim innym... Ale jeśli opuszczą komendę, kto będzie ich ochraniał?

– My! Ich bracia rodacy!

– Jak?

Wazir stanął niemal na baczność.

– Z bronią w ręku, jeśli zajdzie potrzeba!

– No to świetnie – westchnął Vimes. – Będziemy mieli tłuszcę po obu stronach...

– Bingely-bingely biip!

– Niech to szlag! – Vimes klepnął się po kieszeni. – Nie chcę słuchać, że nie mam żadnych spotkań!

– Masz jedno, o jedenastej wieczorem. Sala Szczurów w pałacu – poinformował De-terminarz.

– Nie bądź głupi!

– Jak tam chcesz.

– I zamknij się.

– Próbowałem tylko pomóc.

– Cicho siedź. – Vimes zwrócił się do klatchiańskiego księgarza. – Panie

Wazir, jeśli pan Goriff zechce iść z panem, nie będziemy go zatrzymywać...

– Tylko byście spróbowali!

Vimes tłumaczył sobie, że przecież nie ma żadnego powodu, by Klatchianin nie był napuszczonym drobnym gnojkiem. Ale czuł się tym trochę zaniepokojony, jak człowiek przesuwający się nad bardzo głęboką szczeliną.

– Sierzancie Colon!

– Tak jest, sir!

– Załatwcie tę sprawę.

– Tak jest, sir!

– Dyplomatycznie.

– Jasna sprawa. – Colon stuknął się palcem w bok nosa. – Czy to polityka, sir?

– No... Po prostu idź i przyprowadź tu rodzinę Goriffów. Mogą... – Vimes machnął tylko ręką. – Mogą robić, co im się podoba.

Odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

– Ktoś musi bronić praw mojego narodu! – krzyknął za nim Wazir.

Usłyszeli, że Vimes zatrzymał się w połowie schodów. Deska przez sekundę skrzypiała pod jego ciężarem. Potem ruszył dalej i kilku strażników znowu zaczęło oddychać.

Zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Polityka! Usiadł za biurkiem i przerzucił papiery. O wiele łatwiej jest myśleć o zbrodni. Dobra, uczciwa zbrodnia zawsze jest lepsza.

Spróbował odłączyć się od zewnętrznego świata.

Ktoś ściął głowę Śnieżnemu Stockowi. To jest fakt. Nie można przypisać tego wypadkowi przy goleniu albo nierozsądnemu mocnemu szamponowi.

A Śnieżny próbował zastrzelić księcia.

Podobnie jak Ossie, ale Ossie tylko myślał, że jest zamachowcem. Wszyscy inni mieli go za tępego małego dziwaka, łatwowiernego jak dziecko.

Lecz pomysł rzeczywiście piękny. Wykorzystuje się prawdziwego mordercę, miłego i cichego zawodowca, ale bierze się też – Vimes uśmiechnął się ponuro – kogoś innego, kto powinien wpaść. I gdyby wpadka Ossiego była bardziej metaforyczna, ten szurnięty dupek by wierzył, że to on jest zabójcą.

A straż miała uwierzyć, że to klatchiański spisek.

Piasek w sandałach... Co za bezczelność! Uważali, że jest aż taki głupi? Żałował, że Fred nie zmiotł i nie przyniósł tego piasku, bo miał zamiar odkryć, kto go tam rozsypał, a ten ktoś będzie musiał wszystko zeżreć.

Ktoś chciał, żeby Vimes ścigał Klatchian.

Ten człowiek na płonącym dachu. Czy jakoś się łączył ze sprawą? Czy musiał do niej pasować? Co właściwie Vimes zapamiętał? Mężczyzna w długiej szacie, zasłonięta twarz. I głos kogoś przyzwyczajonego nie tylko do wydawania rozkazów – sam Vimes też był przyzwyczajony do wydawania rozkazów – ale też do tego, by były wykonywane, podczas gdy funkcjonariusze straży traktowali rozkazy jak sugestie.

Nie wszystko jednak musi pasować. Właśnie przy tym „ślady” zawodziły. I jeszcze ten przeklęty notes. To chyba jak dotąd najdziwniejsze. A więc ktoś bardzo starannie wyrwał parę stron już po tym, jak Śnieżny napisał to, co napisał. Ktoś dostatecznie sprytny, by znać tę sztuczkę z badaniem delikatnych odcisków na dalszych kartkach.

Więc dlaczego nie zabrał całego notesu?

Za bardzo to skomplikowane. Ale gdzieś istnieje jeden element, który wszystko uprości, wszystkiemu nada sens...

Vimes rzucił ołówek, wstał i szarpnięciem otworzył drzwi na schody.

– Co się tam dzieje, do demona?!! – wrzasnął.

Sierżant Colon stał na schodach.

– Pan Goriff i pan Wazir przeprowadzili coś, co można by nazwać hałaśliwą przepychanką, sir. Dwieście lat temu ktoś podpalił kraj kogoś innego. Tak mówi Marchewa.

– Musieli akurat teraz?

– Dla mnie to całkiem po klatchiańsku, sir. W każdym razie Wazir poszedł sobie z nosem na kwintę.

– Wazir pochodzi ze Smale – wyjaśnił Marchewa, stając w drzwiach. – A pan Goriff przybył z Elharibu. Te dwa kraje ledwie dziesięć lat temu zaprzestały walk. Kwestie religijne.

Vimes pokręcił głową.

– Zawsze mnie to zadziwia – wyznał. – Ludzie zabijają się nawzajem tylko dlatego, że ich bogowie się pokłócili...

– Oni mają tego samego boga, sir. Jak rozumiem, chodzi o pewne słowo w ich świętej księdze. Elharibijczycy twierdzą, że tłumaczy się na „bóg”, a Smalanie uważają, że to „człowiek”.

– Jak można je pomylić?

– No cóż, w piśmie różnią się tylko jedną małą kropką. A niektórzy i tak uważają, że to jakaś mucha nabrudziła.

– Całe stulecia wojen, bo mucha narobiła w nieodpowiednim miejscu?

– Mogło być gorzej – stwierdził Marchewa. – Gdyby ta kropka znalazła

się trochę dalej na lewo, słowo oznaczałoby „lukrecję”.

Vimes westchnął.

Marchewa zawsze się orientuje w takich sprawach, pomyślał. A ja wiem tylko, jak zamówić vindaloo. Po czym okazuje się, że to po klatchiańsku znaczy „wypalające gardło paskudztwo dla zagranicznych idiotów macho”.

– Chciałbym lepiej rozumieć Klatch – mruknął.

Sierżant Colon konspiracyjnie stuknął się palcem w nos.

– Trzeba poznać nieprzyjaciela, sir?

– Och, ja znam nieprzyjaciela. Natomiast o Klatchu chciałbym się więcej dowiedzieć.

– Komendant Vimes?

Strażnicy obejrzelі się równocześnie. Vimes zmrużył oczy.

– Jest pan jednym z ludzi Rusta, tak?

Młody człowiek zasalutował.

– Porucznik Hornett, sir – przedstawił się. – Ehm... Jego lordowska mość przysłał mnie, by zapytać, czy pan oraz pańscy oficerowie zechcieliby w dogodnej dla siebie chwili przybyć do pałacu.

– Doprawdy? Tak właśnie się wyraził?

Porucznik uznał, że najlepszą polityką będzie szczerść.

– Właściwie to powiedział: „Sprowadź mi tu zaraz Vimesa i tę jego bandę”, sir.

– Ach tak? – mruknął Vimes.

– Bingely-bingely biip! – odezwał się piskliwy, tryumfalny głosik z jego

kieszeni. – Jest teraz dokładnie jedenasta wieczorem!

Drzwi otworzyły się, zanim Nobby zastukał. Niska, krępa kobieta popatrzyła na niego niechętnie.

– Tak, to ja! – burknęła.

Nobby stał z ciągle uniesioną ręką.

– Eee... Czy pani Cake? – zapytał.

– Tak, ale nie lubię tego robić, chyba że za pieniądze.

Ręka Nobby’ego pozostawała w bezruchu.

– No... umie pani przepowiadać przyszłość, tak?

Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem. Po czym pani Cake kilka razy uderzyła się dłonią w ucho i zamrugła.

– Niech to... Znowu zostawiłam włączoną prekognicję. – Przez chwilę spoglądała niewidzącym wzrokiem, kiedy w odosobnieniu swego umysłu odtwarzała całą rozmowę. – Chyba wszystko załatwione – stwierdziła. Przyjrzała się Nobby’emu i pociągnęła nosem. – Lepiej wejdz. Uważaj na dywan, niedawno był czyszczony. I mogę ci poświęcić najwyżej dziesięć minut, bo kapusta mi się gotuje.

Zaprowadziła kaprała Nobbsa do maleńkiego saloniku. Sporą jego część zajmował okrągły stolik przykryty zielonym suknem. Na blacie leżała kryształowa kula, niezbyt dokładnie osłonięta różową szydełkowaną damą w krynolinie.

Zapach kapusty dryfował przez pokój. Pani Cake wskazała Nobby’emu krzesło. Usiadł posłusznie.

– Taki gość w barze mówił mi o pani – wymamrotał. – Powiedział, że pani mediumuje.

– Czy zechciałbyś wyjaśnić, na czym polega twój problem? – zapytała pani Cake. Raz jeszcze zbadała Nobby’ego wzrokiem, po czym z całkowitą pewnością, która nie ma nic wspólnego z prekognicją, a wszystko z obserwacją, dodała: – To znaczy, o którym ze swoich problemów chciałbyś się czegoś dowiedzieć?

Nobby odchrząknął.

– Ehm... to jest... tego... wie pani... trochę osobiste. Sprawy serca i takie tam...

– Czy chodzi o kobiety? – spytała ostrożnie pani Cake.

– No... mam nadzieję. A można inaczej?

Pani Cake odprężyła się wyraźnie.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy jakieś spotkam – ciągnął Nobby.

– Rozumiem. – Samą mimiką twarzy wykonała coś równoważnego wzruszeniu ramion. Nie do niej należało pouczenie ludzi, w jaki sposób mają marnować pieniądze. – Cóż, przepowiadam przyszłość dziesięciopensową. To jest to, co zobaczysz. Albo przyszłość dziesięciodolarową. To jest to, co dostaniesz.

– Dziesięć dolarów? To więcej niż zarabiam przez tydzień! Lepiej wezmę tę dziesięciopensową.

– Rozsądny wybór – pochwaliła go. – Daj łapę.

– Rękę – poprawił Nobby.

– Tak właśnie powiedziałam.

Pani Cake zbadała wyciągniętą dłoń Nobby’ego, pilnie starając się jej nie dotykać.

– Będzie pani jęczeć, przewracać oczami i w ogóle? – spytał Nobby tonem człowieka, który chce dostać to, za co płaci.

– Nie muszę słuchać takich uwag – odparta, nie podnosząc głowy. – To doprawdy...

Przyjrzała się dokładniej, po czym zerknęła groźnie na Nobby'ego.

– Bawiłeś się jakoś tą ręką?

– Słucham?

Pani Cake zrzuciła krynolinową lalę i zajrzała w głąb kryształowej kuli. Po chwili potrząsnęła głową.

– Sama nie wiem. Jestem pewna, że... A co tam. – Odchrząknęła i przemówiła bardziej natchnionym głosem: – Panie Nobbs, jest pan otoczony przez mroczne damy w gorącym miejscu. Jak dla mnie, wygląda zagranicznie. Śmieją się i rozmawiają z panem... Co więcej, jedna z nich właśnie podała panu coś do picia...

– Żadna nie krzyczy ani nic? – upewnił się zdumiony Nobby.

– Nie wydaje mi się – zapewniła równie zafascynowana pani Cake. – Wyglądają na całkiem zadowolone.

– Widzi pani jakieś... magnetyzmy?

– A co to takiego?

– Nie wiem – przyznał Nobby. – Ale myślę, że pani by je poznała.

Pani Cake, mimo pewnej surowości charakteru, nie mogła nie zdawać sobie sprawy z kierunku spekulacji klienta.

– Niektóre z nich wyglądają na... kusicielki – zasugerowała.

– Jasne. – Wyraz twarzy Nobby'ego nie zmienił się ani odrobinę.

– Jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

– Pewnie. Tak. Kusicielki. Świetnie.

Pani Cake zrezygnowała. Nobby wyliczył jej dziesięć pensów.

– I to się zdarzy niedługo, tak? – upewnił się jeszcze.

– Tak. Za dziesięć pensów nie zaglądam zbyt daleko.

– Zadowolone młode damy – mruczał Nobby. – Kusicielki w dodatku. Jest o czym myśleć.

Kiedy wyszedł, pani Cake wróciła do swojej kuli i dla samej ciekawości oraz satysfakcji wykonała prekognicję za całe dziesięć dolarów. Śmiała się potem przez całe popołudnie.

Vimes był tylko częściowo zaskoczony, gdy drzwi Sali Szczurów otworzyły się, a wewnątrz, u szczytu stołu, siedział lord Rust.

Częściowo zaskoczony. To znaczy, że na pewnym poziomie myślał: Dziwne, zdawało się, że tego człowieka nie da się usunąć nawet machiną obłączniczą. Ale na innym, mrocznym poziomie, gdzie rzadko docierało światło dnia, myślał: Oczywiście. W takich chwilach jak ta, ludzie tacy jak Rust wznoszą się na szczyty. To jakby mieszać kijem w bagnie. Te naprawdę wielkie bąble znajdują się nagle na powierzchni i wszędzie dookoła brzydko pachnie. Zasalutował jednak.

– Lord Vetinari jest na wakacjach? – zapytał.

– Dziś wieczorem lord Vetinari zrezygnował ze stanowiska, Vimes – odparł Rust. – *Pro tem*, naturalnie. Na czas trwania zagrożenia.

– Doprawdy?

– Tak. I muszę powiedzieć, że przewidział pewien... cynizm z pańskiej strony, komendancie. Prosił mnie zatem, by przekazać panu ten list. Przekona się pan, że jest zapieczętowany jego osobistą pieczęcią.

Vimes przyjrzał się kopercie. Rzeczywiście, w wosku była odcisnięta oficjalna pieczęć, ale...

Popatrzył Rustowi w oczy i przynajmniej to podejrzenie się rozwiało. Rust nie próbowałby niczego podobnego. Tacy ludzie jak on przestrzegają swego rodzaju kodeksu moralnego i pewne czyny uważają za „niehonorowe”. Można być właścicielem ulicy pełnej zatłoczonych ruder, gdzie ludzie żyją jak karaluchy, a karaluchy jak królowie, i to jest całkiem normalne. Ale Rust pewnie raczej by umarł, zanim zniżyłby się do fałszerstwa.

– Widzę, sir – powiedział. – Wzywał mnie pan?

– Komendancie Vimes, muszę pana prosić, by aresztował pan wszystkich klatchiańskich mieszkańców miasta.

– Pod jakim zarzutem, sir?

– Komendancie, jesteśmy na skraju wojny z Klatchem. Z pewnością pan rozumie...

– Nie, sir.

– Mówimy o szpiegostwie, komendancie. Nawet o sabotażu – tłumaczył Rust. – Powiem szczerze... W mieście będą obowiązywać prawa stanu wojennego.

– Tak, sir? A jakie to prawa, sir? – Vimes patrzył wprost przed siebie.

– Doskonale pan wie, Vimes.

– Czy to takie prawo, które każe wołać „Stój!”, zanim się strzeli, czy to drugie?

– Ach, rozumiem... – Rust wstał i pochylił się. – Bawiły pana takie... dowcipne uwagi wobec lorda Vetinariego, a on dla jakichś powodów zgadzał się na to – rzekł. – Ja jednak znam ludzi pańskiego typu.

– Mojego typu?

– Uważam, że na ulicach pleni się zbrodnia, komendancie. Nielicencjonowane żebractwo, zakłócanie spokoju publicznego... A pan

przymyka na to oczy, bo mam wrażenie, że pańskim zdaniem powinien pan mieć wyższe cele. Ale nie wymaga się od pana posiadania wyższych celów, komendancie. Jest pan łapaczem złodziei i nikim więcej. Czego pan tak wytrzeszcza na mnie oczy?

– Staram się ich nie przymykać, sir.

– Panu się wydaje, Vimes, że prawo to takie jasne światło na niebie, które nie podlega sterowaniu. I tu się pan myli. Prawo jest tym, czym zechcemy, by było. I nie zamierzam pytać, czy pan zrozumiał, bo wiem, że pan zrozumiał, i nie mam ochoty z panem dyskutować. Potrafię rozpoznać zakałę w naszych szeregach.

– Zakałę? – powtórzył słabym głosem Vimes.

– Komendancie – mówił dalej Rust – miałem nadzieję tego uniknąć, ale ostatnie kilka dni to ciąg zdumiewających błędów decyzyjnych z pana strony. Książę Khufurah został postrzelony, a pan najwyraźniej nie był w stanie do tego nie dopuścić ani schwytać winnego przestępcy. Jakieś bandy bez przeszkód grasują po mieście. Jak mi doniesiono, jeden z pańskich sierżantów sugerował strzelanie niewinnym ludziom w głowę, a właśnie usłyszałem, że niedawno nakazał pan aresztowanie niewinnego biznesmena i zamknięcie go w celi bez żadnego powodu.

Vimes usłyszał syknienie Colona, ale dobiegało jakby z bardzo daleka. Czuł, że wszystko pod nim się rozpada, lecz umysł zdawał się teraz lecieć, machając skrzydłami na różowym niebie, gdzie nic nie miało wielkiego znaczenia.

– Nic mi o tym nie wiadomo, sir – oświadczył. – Był winien wielokrotnego bycia Klatchianinem, prawda? Przecież chce pan, żebym to zrobił z nimi wszystkimi.

– I jakby to nie wystarczało – ciągnął z naciskiem Rust – powiadomiono nas... a w innych okolicznościach trudno byłoby uwierzyć w coś takiego, nawet u kogoś, kto tak jak pan lubi sprawiać kłopoty... że dziś wieczorem, niczym niesprobowany, zaatakował pan dwóch klatchiańskich strażników, wtargnął na klatchiański grunt, wdarł się do damskiej sypialni, porwał z łóżek

dwoje Klatchian, nakazał zniszczenie klatchiańskiej własności i... Cóż, szczerze mówiąc, zachowywał się pan haniebnie.

Po co w ogóle tłumaczyć, myślał Vimes. Gra znaczonymi kartami nie ma sensu. A jednak...

– Dwoje Klatchian, sir?

– Jak rozumiem, Vimes, porwany został książę Khufurah. Trudno uwierzyć, że nawet pan byłby zdolny do czegoś takiego, ale Klatchianie zdają się to sugerować. Widziano, jak bezprawnie wkroczył pan na ich teren. I wywłókł pan z łoża bezbronną kobietę. Co może pan powiedzieć na ten temat?

– Że łóżko się wtedy paliło, sir.

Porucznik Hornett podszedł i wyszeptał coś. Lord Rust nieco się uspokoił.

– No tak. Dobrze. Zaistniały może pewne okoliczności łagodzące, ale politycznie było to bardzo nieprzemyślane działanie, Vimes. Nie będę udawał, że wiem, co się stało z księciem, ale mam nieodparte wrażenie, że z prawdziwą satysfakcją starał się pan pogorszyć sytuację.

Umie się pan wspinać, panie Vimes? Tamten człowiek niósł na ramieniu coś ciężkiego...

– Zdejmuję pana ze stanowiska, komendancie. A straż przechodzi pod bezpośredni nadzór tej rady. Czy to jasne?

Rust zwrócił się do Marchewy.

– Kapitanie Marchewa, wielu z nas słyszało... dobre opinie na pański temat. Mocą nadanych mi pełnomocnictw niniejszym mianuję pana pełniącym obowiązki komendanta straży...

Vimes zamknął oczy.

Marchewa zasalutował sprężystie.

– Nie! Sir!

Vimes szeroko otworzył oczy.

– Doprawdy? – Rust przyglądał się Marchewie przez chwilę, po czym lekko wzruszył ramionami. – Hm, cóż... lojalność to piękne uczucie. Sierżancie Colon?

– Sir!

– W tych okolicznościach, ponieważ jest pan najbardziej doświadczonym podoficerem, mającym za sobą wzoro... mającym za sobą służbę wojskową, przejmie pan dowództwo straży na czas... zagrożenia.

– Nie, sir!

– To było polecenie, sierżancie.

Krople potu wystąpiły Colonowi na czoło.

– Nie, sir!

– Sierżancie!

– Może je pan sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi, sir! – oświadczył z desperacją Colon.

I znowu Vimes zobaczył mlecznoniebieskie oczy Rusta. Rust nigdy nie wydawał się zaskoczony. A ponieważ wiedział, że zwykły sierżant nigdy się nie ośmieli odezwać z tak wyzywającą bezczelnością, wymazał Colona z najbliższej okolicy we wszechświecie.

Przez moment jego wzrok spoczął na Detrytusie.

On nie wie, jak rozmawiać z trollem, pomyślał Vimes. I po raz kolejny zaimponował mu, w taki sam ponury sposób, styl rozwiązania problemu przez lorda Rusta. Rozwiązał go, uznając, że wcale go nie ma.

– Kto jest najstarszym kapralem w straży, sir Samuelu?

– To będzie kapral Nobbs.

Komitet zbił się w ciasną grupkę. Zabrzmiały nerwowe szepty, w których kilka razy dało się słyszeć słowa „absolutny ćwok”. Wreszcie Rust znowu uniósł głowę.

– A następny pod względem starszeństwa?

– Chwileczkę... chyba kapral Wręcemocny – odparł Vimes.

– Może więc on potrafi słuchać rozkazów.

– On jest krasnoludem, ty idioto!

Na twarzy Rusta nie drgnął żaden mięsień. Brzęknęło, gdy Vimes położył na stole swoją odznakę.

– Nie muszę tego słuchać – oświadczył spokojnie.

– Ach, więc woli pan raczej być cywilem, tak?

– Strażnik jest cywilem, ty wsobnie hodowana strugo sików!

Mózg Rusta wykasował dźwięki, których jego uszy przecież nie mogły słyszeć.

– Poproszę jeszcze klucze do zbrojowni, sir Samuelu – powiedział.

Zadzwończyły, lądując na blacie.

– Czy ktoś z pozostałych ma jeszcze jakiś pusty gest do wykonania? – zapytał lord Rust.

Sierżant Colon wyjął z kieszeni swoją zaśniedziałą odznakę i był nieco rozczarowany, że nie zadźwięczała wyzywająco, kiedy rzucił ją na blat. Podskoczyła tylko i rozbiła dzbanek z wodą.

– Mam odznakę wyrytą na ramieniu – zahuczał Detrytus. – Jak kto chce, to może sobie ją zdjąć.

Marchewa położył swoją bardzo delikatnie.

Rust uniósł brwi.

– Pan także, kapitanie?

– Tak jest, sir.

– Myślałem, że pan przynajmniej...

Przerwał i obejrzał się z irytacją na dźwięk otwieranych drzwi. Wbiegło kilku pałacowych gwardzistów, a za nimi grupa Klatchian.

Rada pospiesznie zerwała się z miejsc.

Vimes rozpoznał Klatchianina w samym środku – widywał go już podczas oficjalnych spotkań. I gdyby nie fakt, że człowiek ten był Klatchianinem, uznałby go za przebiegłego typa.

– Kto to jest? – szepnął do Marchewy.

– Księżę Kalif. Zastępca ambasadora.

– Jeszcze jeden księżę?

Wiceambasador zatrzymał się przed stołem, spojrzał na Vimesa, niczym nie zdradzając, że go poznaje, po czym skłonił się Rustowi.

– Księżę Kalifie – powiedział lord Rust. – Pańskie przybycie jest niezapowiedziane, niemniej jednak...

– Niosę złe wieści, panie.

Mimo oszołomienia część umysłu Vimesa zauważyła, że głos brzmi inaczej. Khufurah uczył się swego drugiego języka na ulicy, ten tutaj miał nauczycieli.

– W takiej chwili jakież wieści nie są...

– Nastąpiły pewne wydarzenia na nowym lądzie. Godne pożałowania incydenty. Jak również w Ankh-Morpork. – Znowu zerknął na Vimesa. – Choć tutaj, muszę przyznać, raporty są niejasne. Lordzie Rust, muszę pana powiadomić, że formalnie jesteśmy w stanie wojny.

– Formalnie w stanie wojny? – powtórzył Vimes.

– Obawiam się, że wydarzenia porywają nas naprzód – powiedział Kalif.
– Sytuacja jest delikatna.

Wiedzą, że będą walczyć, myślał Vimes. To tak jak na początku tańca, kiedy człowiek czeka i patrzy na partnerkę...

– Mam obowiązek zawiadomić pana, że dostaliście dwanaście godzin na usunięcie wszystkich swoich obywateli z Leshpu – rzekł Kalif. – Jeśli to nastąpi, problem zostanie szczęśliwie rozwiązany. Chwilowo.

– Nasza odpowiedź brzmi tak, że to wy macie dwanaście godzin, by opuścić Leshp – odparł Rust. – Jeśli tego nie uczynicie, podejmiemy... kroki...

Kalif lekko pochylił głowę.

– Rozumiemy się zatem. Oficjalny dokument trafi do pana wkrótce i nie wątpię, że i my otrzymamy taki od pana.

– W samej rzeczy.

– Zaraz, chwileczkę, nie możecie tak... – zaczął Vimes.

– Sir Samuelu, nie jest pan już komendantem straży, a zatem nie ma pan wpływu na te procedury – przerwał mu ostro Rust. Zwrócił się znowu do księcia. – To prawdziwe nieszczęście, że sprawy zaszły tak daleko – stwierdził oschle.

– Istotnie. Ale nadchodzi czasem chwila, gdy słowa już nie wystarczają.

– Muszę się z panem zgodzić. Jest to chwila, gdy trzeba spróbować siły.

Vimes z fascynacją i grozą spoglądał to na jednego, to na drugiego.

– Oczywiście zostawimy wam czas na opuszczenie ambasady. Tego, co z niej zostało.

– Jakże uprzejmie. I oczywiście zrewanżujemy się taką samą grzecznością.

Kalif skłonił się. Rust także.

– W końcu to, że nasze kraje przystąpiły do wojny, nie jest jeszcze powodem, byśmy nie mieli się wzajemnie szanować jak przyjaciele – powiedział.

– Co? Właśnie że jest powodem, do demona! – zawołał Vimes. – Nie wierzę własnym oczom! Nie możesz stać tak po prostu i... Wielkie nieba, co się stało z dyplomacją?

– Wojna, Vimes, to kontynuacja dyplomacji innymi środkami – oświadczył lord Rust. – O czym by pan wiedział, gdyby rzeczywiście był pan dżentelmenem.

– A wy, Klatchianie, wcale nie jesteście lepsi – ciągnął Vimes. – To pewnie przez tę zzieleniałą i spleśniałą baraninę, co ją sprzedaje Jenkins. Wszyscy zapadliście na chorobę spienionych owiec. Nie możecie tak zwyczajnie...

– Sir Samuelu, jest pan, co pan wielokrotnie z naciskiem podkreślał, cywilem – przypomniał lord Rust. – A dla cywila nie ma tutaj miejsca.

Vimes nie zadał sobie trudu z salutem. Po prostu odwrócił się i wyszedł z sali. Reszta oddziału w milczeniu maszerowała za nim z powrotem do Pseudopolis Yardu.

– Powiedziałem mu, że może je sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi – powiedział sierżant Colon, kiedy przechodzili przez Mosiężny Most.

– Tak jest – przyznał martwym głosem Vimes. – Dobrze się sprawiłeś.

– Prosto w twarz. „Gdzie słońce nie dochodzi”. Właśnie tak – mówił Colon.

Z tonu jego głosu trudno byłoby określić, czy przemawia przez niego duma, czy raczej przerażenie.

– Obawiam się, że lord Rust formalnie ma rację, sir – odezwał się Marchewa.

– Naprawdę?

– Tak. Bezpieczeństwo miasta jest wartością najwyższą, więc w czasie działań wojennych władza cywilna jest podporządkowana dowództwu wojskowemu.

– Aha.

– Tak mu powiedziałem – oświadczył Fred Colon. – „Tam, gdzie słońce nie dochodzi” mu powiedziałem.

– Wiceambasador nie wspomniał o księciu Khufurahu – zauważył Marchewa. – To dziwne.

– Idę do domu – stwierdził Vimes.

– Jesteśmy już prawie na miejscu, sir.

– Chodzi mi o domowy dom. Muszę się przespać.

– Tak jest, sir. Co mam powiedzieć chłopakom?

– Powiedz, co chcesz.

– Spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem, tak, powiedziałem, że może je sobie wsadzić tam, gdzie... – snuł rozważania sierżant Colon.

– Chce pan, żeby my z chłopcami poszli i załatwili tego Rusta? – zaproponował Detrytus. – Na pewno jest winny czegoś.

– Nie!

Głowa Vimesa wydawała się tak lekka, że nawet liną nie mógłby dotknąć gruntu. Zostawił swój zespół przed Yardenem, a głowa pociągnęła go dalej, pod górkę, za róg, do domu, obok jego zdumionej żony, po schodach i do sypialni, gdzie padł jak długi na łóżko i zasnął, zanim dotknął pościeli.

Następnego ranka o dziewiątej po Broad-Wayu paradowali pierwsi rekruci ciężkiej piechoty lorda Venturiego. Strażnicy wyszli popatrzeć. Nie mieli nic innego do roboty.

– Czy to nie kamerdyner pana Vimesa? – zainteresowała się Angua, wskazując wyprężonego Willikinsa w pierwszym szeregu.

– Tak, a tam na czele idzie jego chłopak ze służby i tłucze w werbel – odparł Nobby.

– Byłeś kiedyś... wojskowym, Fred. Prawda? – zapytał Marchewa, obserwując paradę.

– Tak, sir. Pierwszy Regiment Ciężkiej Piechoty diuka Eorle. Skubacze Bażantów.

– Słucham? – Angua nie zrozumiała.

– Takie no... przezwisko jednostki, panienko. Powstało, och... wieki temu. Obozowaliśmy w czyjejs rezydencji i trafiliśmy na mnóstwo klatek z bażantami, no więc, tego, że trzeba było się żywić tym, co zdobyliśmy i w ogóle... W każdym razie dlatego właśnie zawsze nosiliśmy bażancie pióra na hełmach. Tradycja.

Fred zmarszczył twarz w wyrazie człowieka, którego ograbili w Alei Pamięci.

– Mieliśmy nawet pieśń marszową – mówił dalej. – Chociaż trudno ją było zaśpiewać bez błędów. Eee... co się stało?

– Nic takiego, sierżancie – uspokoiła go Angua. – Często tak wybucham śmiechem bez żadnego powodu.

Fred Colon ponownie rozmarzonym wzrokiem zapatrzył się w pustkę.

– No i oczywiście przedtem byłem w średniej piechocie diuka Quirmu. Oglądałem z nimi wiele bitew.

– Na pewno – zgodził się Marchewa, gdy Angua cynicznie rozważała odległość między punktem obserwacyjnym Freda a polem bitwy. – Ta niezwykła kariera wojskowa z pewnością dostarczyła ci wielu miłych wspomnień.

– Damy lubiły mundur – stwierdził Fred Colon z niedopowiedzianą sugestią, że dorastający chłopak potrzebuje niekiedy wszelkiej pomocy, jaką może zdobyć. – No i...

Wyglądał na skrępowanego, jak gdyby pozwijana bielizna przeszłości plątała mu się w kroczu wspomnień.

– Było... łatwiej, sir. Niż być gliną, znaczy. Znaczy, jest się żołnierzem, tak, i tamte dranie to wrogowie. Się maszeruje na jakieś wielkie pole, wszyscy ustawiają się w takie prostokąty, potem gość w hełmie z pióropuszem daje rozkaz i formują wielkie strzały...

– Na bogów, żołnierze naprawdę to robią? Myślałem, że w ten sposób tylko kreśli się plany bitew!

– No, stary diuk lubił wszystko robić według podręcznika, Sir. W każdym razie chodzi tylko o to, żeby pilnować pleców i walić każdego w niewłaściwym mundurze. Ale... – Twarz Freda wykrzywiła się w bolesnym wysiłku myślowym. – Ale kiedy się jest gliną, no, wtedy człowiek bez mapy nie odróżni tych dobrych od tych złych, panienko. To fakt.

– Zaraz... przecież wojsko też przestrzega prawa. Prawo wojenne, tak?

– Niby tak... Ale kiedy leje jak z cebra, a człowiek brodzi po ja... po pas w końskich trupach, a ktoś wydaje rozkaz, to nie jest moment, żeby sprawdzać

w przepisach, panienko. Zresztą większość mówi tylko, kiedy wolno dać się zastrzelić.

– Jestem pewien, że znajdzie się tam coś więcej, sierzancie – stwierdził Marchewa.

– No, prawdopodobnie tak, sir – zgodził się dyplomatycznie Colon.

– Na pewno piszą w nich na przykład o tym, że nie wolno zabijać żołnierzy wroga, którzy się poddali.

– No tak, o tym też, kapitanie. Ale nic nie ma o tym, że nie wolno im trochę przyłożyć, na przykład. Żeby lepiej człowieka zapamiętali.

– Chyba nie tortury? – zaniepokoiła się Angua.

– Ależ skąd, panienko... – Aleja Pamięci zmieniła się dla Colona w wyboistą drogę mroczną doliną. – No... kiedy najlepszy kumpel dostaje strzałę prosto w oko, ludzie i konie wrzeszczą i jęczą dookoła, a człowiek ze strachu sr... jest naprawdę wystraszony i wtedy trafia na kogoś z wrogów... z jakiegoś powodu ma taką chęć, żeby go trochę... szturchnąć tak jakby. Tyle... wie panienka... no, może za dwadzieścia lat w zimne noce będzie go trochę kłuło w nodze, a wtedy sobie przypomni, co zrobił. To wszystko.

Pogrzebał w kieszeni i wyjął niedużą książeczkę, którą pokazał wszystkim.

– Należała do mojego pradziadka – wyjaśnił. – Był w tych utarczkach, cośmy je mieli z Pseudopolis, a moja prababcia dała mu ten modlitewnik dla żołnierzy, bo warto mieć wszystkie modlitwy, jakie tylko da się zdobyć, możecie mi wierzyć. No i on wsadził sobie tę książeczkę do górnej kieszonki w kubraku, bo go nie było stać na pancerz, a następnego dnia w bitwie zziut! Nie wiadomo skąd wyfrunęła strzała i łups, trafiła prosto w książeczkę. Przeszła aż do ostatniej strony, zanim się zatrzymała. Patrzcie, tu jest dziura.

– Faktycznie, cudowny przypadek – przyznał Marchewa.

– Tak, istny cud, nie ma co... – Sierżant żałośnie się przyjrzał pogniecionemu modlitownikowi. – Właściwie to pech z tymi pozostałymi siedemnastoma strzałami.

Głos werbla ucichł w oddali. Resztki straży starały się unikać swojego wzroku.

I nagle zabrzmiał władczy głos.

– Dlaczego nie jesteś w mundurze, młody człowieku?

Nobby obejrzał się. Zwracała się do niego jakaś starsza dama z nieco indyckimi rysami twarzy i miną jak kara główna.

– Ja? Mam przecież, pszepani – odparł Nobby, wskazując swój pogięty hełm.

– W prawdziwym mundurze – rzuciła ze złością dama i wręczyła mu białe piórko. – Co zrobisz, kiedy Klatchianie zechcą nas zniewolić w naszych własnych łózkach?

Gniewnym wzrokiem omiotła pozostałych strażników i pomaszerowała dalej. Angua dostrzegła w tłumie gapiów jeszcze kilka podobnych. Tu i tam zauważyła błysk bieli.

– Ja na przykład pomyślę, że ci Klatchianie to bardzo mężni ludzie – mruknął Marchewa. – Obawiam się, Nobby, że to białe piórko miało cię zawstydzić i skłonić, żebyś się zaciągnął.

– Aha. No to w porządku – odetchnął Nobby, człowiek, u którego wstyd nie budził wstydu. – I niby co mam z nim zrobić?

– To mi przypomina... – wtrącił nerwowo Colon. – Mówiłem wam, co powiedziałem lordowi Rustowi?

– Do tej pory siedemnaście razy – odparła Angua, obserwując kobiety z piórkami. Po czym dodała, jakby do siebie: – „Wracaj z tarczą albo na tarczy”.

– Ciekawe, czy mogłaby mi dać jeszcze trochę – zastanawiał się Nobby.

– Co takiego? – spytał Marchewa.

– Te pióra. Wyglądają na prawdziwe gęsie. Przydałoby mi się dużo więcej...

– Chodziło mi o to, co powiedziała Angua.

– Co? Aha... tak mawiały kiedyś kobiety, kiedy posyłały swoich mężczyzn na wojnę. Wracaj z tarczą albo na tarczy.

– Na tarczy? – zdziwił się Nobby. – Znaczy, jak na saniach albo coś w tym rodzaju?

– Jak martwy – wyjaśniła Angua. – To znaczyło: wróc jako zwycięzca albo wcale.

– No, ja tam zawsze wracałem ze swoją tarczą – zapewnił Nobby. – Żadnych problemów.

– Nobby... – westchnął Colon. – Ty zwykle wracałeś z własną tarczą, z tarczami wszystkich pozostałych, workiem zębów i piętnastoma parami jeszcze ciepłych butów. Na wózku.

– No, przecież nie ma sensu ruszać na wojnę, jak się nie jest po stronie wygrywających – oświadczył Nobby, mocując białe piórko do hełmu.

– Ty, Nobby, zawsze byłeś po stronie wygrywających, a to z takiego powodu, że zwykle czałeś się gdzieś z boku i patrzyłeś, kto wygrywa, a potem z jakiegoś zabitego biedaka ściągałeś właściwy mundur. Słyszałem, że generałowie pilnie uważali, co masz na sobie, żeby wiedzieć, jak toczy się bitwa.

– Wielu żołnierzy służyło w różnych regimentach – bronił się Nobby.

– Jasne. To szczerą prawdą – zgodził się Colon. – Tylko zwykle nie podczas jednej bitwy.

Wrócili wszyscy na komendę. Większa część zmiany wzięła sobie dzień wolny. W końcu kto niby dowodził? Co mieliby dzisiaj robić? Zostali tylko ci, którzy nigdy nie myśleli o sobie jak o niebędących na służbie, oraz młodzi rekruci, których gorący zapal jeszcze nie wygasł.

– Jestem pewien, że pan Vimes coś wymyśli – uznał Marchewa. – Wiecie, lepiej odprowadzę Goriffów do ich baru. Pan Goriff mówi, że się spakują i wyjadą. Wielu Klatchian wyjeżdża. I trudno im się dziwić.

Marzenia senne wznosiły się wraz z nim jak bąble powietrza. Vimes wynurzył się z czarnej otchłani snu.

Ostatnio cenił sobie chwile tuż po przebudzeniu. Wtedy właśnie pojawiały się rozwiązania. Podejrzewał, że niektóre części mózgu wstawały nocą i pracowały nad problemami poprzedniego dnia, by rano, gdy tylko otworzy oczy, przedstawić mu rezultaty.

Teraz jednak pojawiły się tylko wspomnienia. Skrzywił się. Przybyło kolejne. Jęknął. Dźwięki odbijającej się po stole jego odznaki odtworzyły się w pamięci. Zaklął.

Zsunął nogi z pościeli i nie patrząc, sięgnął do nocnej szafki.

– Bingely-bingely biip!

– No nie... Dobra, która godzina?

– Pierwsza po południu! Dzień dobry, Tu-Wstaw-Swoje-Imię.

Vimes mętным wzrokiem popatrzył na De-terminarz. Pewnego dnia – wiedział to – będzie musiał spróbować zrozumieć instrukcję tego piekielnego urządzenia. Albo to, albo rzuci je w przepaść*.

– Co... – zaczął i znowu jęknął. Powróciło właśnie, by go dręczyć, brzdęknięcie rozwiniętego turbanu, kiedy zawisł na nim całym ciężarem.

– Sam? – Do sypialni weszła Sybil z filiżanką w ręku.

– Tak, kochanie?

– Jak się czujesz?

– Nawet siniaki mam posinia... – Kolejne wspomnienie wypełzło z głębin poczucia winy. – Niech mnie, czy ja naprawdę go nazwałem strugą...

– Tak – potwierdziła jego żona. – Fred Colon zjawiał się rano i wszystko mi opowiedział. Bardzo dobry opis, moim zdaniem. Chodziłam kiedyś z Ronniem Rustem. Zimny jak ryba.

Kolejne wspomnienie pękło w głowie Vimesa niczym bańka gazu bagiennego.

– Czy Fred ci mówił, gdzie kazał Rustowi wsadzić jego rozkazy?

– Tak. Trzy razy. Zdaje się, że ciąży mu to na sercu. Chociaż, znając Ronniego, trzeba by użyć młota.

Vimes już dawno się przyzwyczaił do faktu, że cała arystokracja znała się po imieniu.

– A czy Fred powiedział ci coś oprócz tego? – zapytał nieśmiało.

– Tak. O tym lokalu, o pożarze i wszystko. Jestem z ciebie dumna. – Pocałowała go.

– Co ja teraz mam robić?

– Wypić herbatę, a potem się umyć i ogolić.

– Powinienem iść na komendę i...

– Golenie! W dzbanku masz gorącą wodę.

Kiedy wyszła, zwałókl się z łóżka i poczłapał do łazienki, gdzie na marmurowym blacie rzeczywiście czekał dzban gorącej wody. Przyjrzał się

twarży w lustrze. Niestety, należała do niego. Może gdyby się najpierw ogolił... A potem może umyć te kawałki, które zostaną.

Odpryski wspomnień z zeszłej nocy cały czas z szacunkiem zwracały na siebie jego uwagę. Głupio wyszło z tym gwardzistą, ale niekiedy zwyczajnie nie ma czasu na dyskusje.

Nie powinien tego robić ze swoją odznaką. To już nie są dawne czasy. Teraz ma obowiązki. Powinien zostać i starać się choć trochę złagodzić...

Nie. To się nigdy nie udaje.

Zdołał jakoś nałożyć pianę na twarz. Dekret o Zamieszkach... Wielcy bogowie... Starannie jeździł brzytwą po skórzanym pasie. Mleczne oczy Rusta spoglądały z głębin pamięci. To drań! Tacy ludzie uważają, ale szczerze uważają, że straż to coś w rodzaju psa pasterskiego, który kasa stado, szczeka, kiedy mu każą, i nigdy, ale to nigdy nie ugryzie pasterza...

O tak. Vimes był absolutnie pewien, kto jest nieprzyjacielem.

Tyle że...

Nie ma odznaki, nie ma straży, nie ma pracy...

Kolejne wspomnienie pojawiło się spóźnione.

Z pianą kapiącą mu na koszulę wyciągnął z kieszeni zapieczętowany list Vetinariego i rozciął brzytwą kopertę.

Wewnątrz była czysta kartka papieru. Odwrócił ją, ale po drugiej stronie też nic nie znalazł. Zdumiony, obejrzał kopertę.

Szlachetny sir Samuel Vimes.

Miło z jego strony, że tak precyzyjnie się wyraził, pomyślał Vimes. Jaki jest sens wysyłania wiadomości bez żadnej wiadomości? Niektórzy mogliby pewnie w roztargnieniu wsunąć do koperty niewłaściwą kartkę papieru, ale nie Vetinari. Co miał na celu, wysyłając list, który stwierdzał tylko, że Vimes jest szlachcicem? Na miłość bogów, sam doskonale zdawał sobie sprawę z

tego krępującego faktu...

Jeszcze jedno drobne wspomnienie pękło cicho, jakby mysz puszczała wiatry w czasie huraganu.

Kto to powiedział? Każdy dżentelmen...

Vimes patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Przecież jest dżentelmenem, prawda? Oficjalnie.

Nie zaczął krzyczeć, nie wybiegł z pokoju. Skończył się golić, umył się, włożył czystą bieliznę. Bardzo spokojnie.

Na dole Sybil szykowała mu posiłek. Nie była dobrą kucharką. Vimesowi to odpowiadało, bo sam nie był dobrym jedzącym. Po całym życiu spędzonym na ulicach żołądek nie funkcjonował należycie. Zawsze pożył tych małych, brązowych, chrupiących kawałków, z grupy pokarmów dla bogów, a na Sybil można było polegać, że za długo zostawi patelnię na smoku.

Przyglądała mu się uważnie, kiedy przeżuwał sadzone jajko i wpatrywał się w niezbyt wielką dal. Jej zachowanie przypominało kogoś z przenośną siatką zabezpieczającą linoskoczka.

Po chwili, gdy kroił kielbasę, zapytał:

– Kochanie, mamy jakieś książki o rycerstwie?

– Setki, Sam.

– A znajdzie się taka, która mówi... no wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? To znaczy, co właściwie trzeba robić, jeśli się jest szlachcicem? Obowiązki i tak dalej?

– Przypuszczam, że większość z nich.

– To dobrze. Myślę, że trochę teraz poczytam.

Zaatakował widelcem bekon, który rozkruszył się tak, jak powinien.

Później poszedł do biblioteki. Po dwudziestu minutach wrócił po papier i ołówek.

Dziesięć minut później lady Sybil zaniósła mu kawę. Siedział schowany za stosem książek, najwyraźniej pochłonięty lekturą „Życia rycerstwa”. Wymknęła się cicho i poszła do swojego gabinetu, gdzie postanowiła uzupełnić rejestry hodowlane smoków.

Po godzinie usłyszała, jak mąż wychodzi do holu.

Nucił coś niemelodyjnie pod nosem i miał na twarzy odległy wyraz zaabsorbowania, który oznaczał, że jakaś Ważna Myśl wymaga zamknięcia nieistotnych procesów. Znowu otaczała go aura gniewnej niewinności, która dla niej przynajmniej była elementem jego zasadniczej Vimesowości.

– Wychodzisz, Sam?

– Tak. Mam zamiar skopać parę tyłków, kochanie.

– Aha. To dobrze. Tylko ubierz się ciepło.

Rodzina Goriffów szła w milczeniu obok Marchewy.

– Przykro mi z powodu pańskiego baru.

– Możemy otworzyć inne – odparł Goriff, poprawiając tobół na plecach.

– Na pewno będziemy mieć oko na ten lokal – obiecał Marchewa. – I... kiedy to wszystko się skończy, możecie wrócić.

– Dziękuję.

Jego syn rzucił coś po klatchiańsku. Nastąpiła krótka rodzinna sprzeczka.

– Doceniam moc twoich uczuć – zapewnił Marchewa. – Choć muszę zauważyć, że wyrażasz je dość... mocnym językiem.

– Mojemu synowi jest bardzo przykro – przeprosił odruchowo Goriff. – Nie pamiętał, że mówi pan po kla...

– Nie, wcale nie jest przykro! – krzyknął chłopiec. – Dlaczego musimy uciekać? Przecież tutaj mieszkamy! Nigdy nawet nie widziałem Klatchu!

– Będzie to dla ciebie tym ciekawsze – powiedział Marchewa. – Słyszałem, że mają tam wiele pięknych...

– Głupi jesteś? – zapytał Janil. Wyrwał się z uścisku ojca i stanął przed strażnikiem. – To mnie nie obchodzi! Mam dość gadki o księżycu wschodzącym nad Górami Słońca! Bez przerwy słyszę to w domu! Ja mieszkam tutaj!

– Wiesz, naprawdę powinieneś słuchać rodziców...

– Dlaczego? Tato bez przerwy pracuje, a teraz nas wyganiają! To ma być w porządku? Powinniśmy tu zostać i bronić tego, co nasze!

– Nie wolno brać prawa we własne ręce...

– Dlaczego nie?

– Bo to nasza praca...

– Ale jej nie wykonujecie!

Pan Goriff wyrzucił z siebie serię klatchiańskich słów.

– Mówi, że mam przeprosić – wyjaśnił ponuro Janil. – No to przepraszam. Bardzo mi przykro.

– Mnie również – powiedział Marchewa.

Ojciec chłopca wykonał skomplikowany gest wzruszenia ramion, używany przez dorosłych w sytuacjach dotyczących dzieci.

– Wróćcie. Jestem pewien – rzekł Marchewa.

– Zobaczymy.

Szli nabrzeżem w stronę czekającego klatchiańskiego statku. Ludzie stali przy relingach – ludzie, którzy woleli odpłynąć tylko z tym, co zdołali unieść, zanim się okaże, że mogą uciec tylko z tym, co mają na sobie. Strażnicy czuli ich nieprzyjazne spojrzenia.

– Chyba Rust nie zmusza jeszcze Klatchian do opuszczania domów? – spytała Angua.

– Umiemy wyczuć, z której strony wieje wiatr – odparł spokojnie Goriff.

Marchewa wciągnął nosem przesycone solą powietrze.

– Wieje od Klatchu – stwierdził.

– Może dla pana – mruknął Goriff.

Za nimi trzasnął bat. Odstąpili, a obok przetoczyło się z łoskotem kilka powozów. Zasłona w oknie jednego z nich odsunęła się na moment i Marchewa zobaczył twarz – złote zęby i czarną brodę. Potem zasłona opadła z powrotem.

– To on, prawda?

Angua warknęła cicho. Miała zamknięte oczy, jak zawsze, kiedy pozwalała, by patrzył jej nos...

– Goździki – mruknęła, po czym chwyciła Marchewę za ramię. – Nie goń go! Na statku są uzbrojeni ludzie! Co pomyślą, kiedy zobaczą, że biegnie do nich jakiś żołnierz?

– Nie jestem żołnierzem!

– Jak myślisz, ile czasu poświęcę na analizowanie różnic?

Powóz przeciskał się przez nabrzeże. Tłum zlewał się za nim jak fala.

– Wyładowują jakieś skrzynie... Nie widzę dokładnie. – Marchewa osłonił

oczy. – Przecież na pewno zrozumieją, jeśli...

71-godzinny Ahmed wysiadł i obejrzał się na strażników. Błysnęło, kiedy się uśmiechnął. Zobaczyli, że jego ręka sięga za ramię i powraca, ściskając zakrzywiony miecz.

– Nie mogę pozwolić mu uciec – irytował się Marchewa. – Jest podejrzany! Popatrz, śmieje się z nas!

– Z dyplomatyczną bezkarnością – przypomniała mu Angua. – A na statku jest wielu zbrojnych.

– Siłą dziesięciu jest ma siła, albowiem czyste mam serce – oznajmił Marchewa.

– Doprawdy? No to ich tam jest jedenastu.

71-godzinny Ahmed wyrzucił miecz w powietrze. Klinga zawirowała kilka razy z cichym świstem. Potem jego ręka wystrzeliła w górę i chwyciła rękojeść.

– Tak zawsze robi pan Vimes – rzucił Marchewa przez zaciśnięte zęby. – On sobie z nas drwi...

– Zginie pan, jeśli pan wejdzie na pokład – odezwał się Goriff za jego plecami. – Znam tego człowieka.

– Zna pan? Skąd?

– Budzi strach w całym Klatchu. To 71-godzinny Ahmed!

– Tak, ale dlaczego...

– Nie słyszeliście o nim? W dodatku jest D'regiem! – Pani Goriff pociągnęła męża za rękę.

– D'regiem? – zdziwiła się Angua.

– To wojownicze plemię pustynne – wyjaśnił Marchewa. – Bardzo

porywczy. Bardzo honorowi. Mówią, że kiedy D'reg jest twoim przyjacielem, jest przyjacielem do końca twojego życia.

– A jeśli nie jest twoim przyjacielem?

– To na jakieś pięć sekund. – Dobył miecza. – Mimo wszystko nie możemy pozwolić...

– Za dużo już powiedziałem. Musimy iść – oznajmił Goriff.

Rodzina chwyciła swój dobytek.

– Wiesz co? Może jest inny sposób, żeby się czegoś dowiedzieć – rzuciła Angua.

Wskazała powóz. Wyprowadzono z niego właśnie kilka smukłych, długowłosych i niezwykle wręcz zgrabnych psów. Szarpały smycze, kiedy wprowadzano je na pokład.

– Klatchistańskie psy myśliwskie – powiedziała. – Słyszałam, że klatchiańska arystokracja je uwielbia.

– Wyglądają trochę podobnie do... – zaczął Marchewa i nagle zrozumiał.
– Nie, nie pójdziesz tam całkiem sama. Coś może się nie udać.

– Mam o wiele większe szanse od ciebie, to pewne. Zresztą i tak nie odbiją, dopóki nie zaczniesz się przypląwać.

– To zbyt niebezpieczne.

– Wiesz, w końcu to mają być nasi wrogowie, prawda?

– Niebezpieczne dla ciebie!

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Nigdy nie słyszałam o wilkołakach w Klatchu, więc pewnie nie wiedzą, jak z nami postępować.

Zdjęła wąską skórzaną obrożę, na której wisiała jej odznaka, i wręczyła ją Marchewie.

– Nie martw się. Gdyby przyszło do najgorszego, wyskoczę za burtę.

– Do rzeki?

– Nawet rzeka Ankh nie zdoła zabić wilkołaka. – Angua zerknęła na mętne wody. – Prawdopodobnie – dodała.

Sierżant Colon i kapral Nobbs wyszli na patrol. Nie byli całkiem pewni, po co to robią i jak mają reagować, jeśli zauważą przestępstwo – chociaż wiele lat praktyki nauczyło ich nie dostrzegać całkiem poważnych przestępstw. Kierowali się głównie nawykami. Byli strażnikami, więc patrolowali. Nie czynili tego w jakimś celu. Ich patrol był czystą esencją patrolowania.

W marszu Nobby’emu wcale nie pomagał wielki, oprawny w skórę tom, jaki dźwigał.

– Taka wojna przyda się miastu – stwierdził po dłuższej chwili Colon. – Wzmocni ludziom kręgosłupy. Ostatnio wszystko się jakoś psuje.

– Nie tak jak wtedy, kiedy byliśmy dzieciakami, sierżancie.

– Rzeczywiście, nie tak jak wtedy, kiedy byliśmy dzieciakami, Nobby.

– Wtedy ludzie mieli do siebie zaufanie. Zgadza się, sierżancie?

– Ludzie mieli do siebie zaufanie, Nobby.

– Tak, sierżancie. Wiem. I nie musieli zamykać drzwi, prawda?

– Szczera prawda, Nobby. Ludzie zawsze byli gotowi sobie pomagać. I ciągle bywali u siebie nawzajem.

– Zgadza się, sierżancie – rzekł Nobby z przekonaniem. – Pamiętam, że na naszej ulicy nikt nigdy nie zamykał drzwi na klucz.

– To właśnie chciałem powiedzieć. O to chodzi.

– Dlatego że różni dranie kradli nawet zamki.

Colon rozważył sens tego stwierdzenia.

– No tak, ale przynajmniej obrabiali swoich, Nobby. Nie byli przecież cudzoziemcami.

– Fakt.

Szli przez chwilę w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach.

– Sierzancie?

– Słucham, Nobby?

– Gdzie leży Kusicielia?

– Kusicielia?

– To chyba takie miejsce. Myślę, że jest tam raczej gorąco.

– Ach, Kusicielia... – Colon improwizował rozpaczliwie. – No jasne. To taka okolica w Klatchu. Tak. Dużo piasku. I góry. Eksportują daktyle. A po co ci to wiedzieć?

– Och... tak sobie.

– Nobby?

– Tak, sierzancie?

– Po co dźwigasz tę wielką księgę?

– Ha... Wpadłem na świetny pomysł, sierzancie. Opowiadał pan o tej książeczce pańskiego pradziadka, więc na wypadek gdyby zdarzyły się jakieś walki, wziąłem ten tom od Kotła. To „Księga Oma”. Pięć cali grubości.

– Trochę za duża, żeby ją nosić w kieszeni, Nobby. I żeby ją wozić na wózku też za duża.

– Pomyślałem, że zrobię sobie specjalną uprzęż. Nawet wielki łuk może wrazić strzałę nie dalej niż do Apokryfów.

Znajomy zgrzyt sprawił, że unieśli wzrok. Głowa Klatchianina kołysała się na wietrze.

– Może po kufelku? – zaproponował Colon. – Duża Anjie warzy naprawdę niezłe.

– Lepiej nie, sierzancie. Pan Vimes jest w marnym nastroju.

Colon westchnął.

– Masz rację.

Nobby obejrzał się jeszcze na głowę. Była drewniana. Przez dziesięciolecia wielokrotnie ją malowano. Klatchianin uśmiechał się całkiem zadowolony jak na kogoś, kto już nigdy więcej nie będzie musiał kupować koszul.

– Głowa Klatchianina. Mój dziadek mówił, że jego dziadek pamiętał, kiedy jeszcze ciągle była prawdziwa – stwierdził Colon. – Oczywiście, wtedy miała już wielkość orzecha.

– Trochę... brzydko tak nadziać czyjaś głowę jako szyld pubu – uznał Nobby.

– Coś ty, Nobby. To łup wojenny, nie? Jakiś gość wrócił z jakiejś wojny, przywiózł pamiątkę, nabił ją na drąg i otworzył bar. Pod Głową Klatchianina. To ich powinno nauczyć, żeby więcej nie próbowali.

– A ja miałem kłopoty tylko za to, że zwinąłem buty – mruknął Nobby.

– Czasy bardziej...

– A spotkał pan kiedy prawdziwego Klatchianina, sierzancie? – spytał Nobby, kiedy ruszyli spokojną uliczką. – Znaczy, któregoś z tych dzikich?

– No, niby nie... Ale wiesz co? Wolno im mieć po trzy żony! To czysty

kryminał, ot co!

– No tak, bo ja tutaj na przykład nie mam ani jednej.

– I jedzą dziwne żarcie. Curry i różne takie.

Nobby zastanowił się.

– Tak jak... jak my, kiedy mamy służbę na nocnej zmianie.

– Nooo... niby taaak... ale nie przyrządzają tego jak trzeba.

– Chodzi panu o taki rzadki sos, żółty jak woskowina z uszu, z groszkiem i rodzynkami, jak zawsze robiła pana mama?

– Właśnie. Można całą noc grzebać w klatchiańskim curry, a nie znajdzie człowiek ani kawałeczka brukwi.

– I jeszcze słyszałem, że jedzą oczy owiec – oświadczył Nobby, międzynarodowy gastro-gnom.

– Otóż to.

– A nie porządne, normalne żarcie, jak jagnięce jądra albo żołądki.

– No... właśnie.

Colon miał wrażenie, że ktoś tu z niego pokpiwa.

– Słuchaj, Nobby, kiedy się człowiek zastanowi na poważnie, to oni nie są właściwego koloru, i tyle.

– Świetnie, że na to wpadłeś, Fred – pochwalił go Nobby z takim przekonaniem, że Colon był niemal pewien jego szczerości.

– No, to oczywiste – stwierdził.

– Eee... a jaki jest ten właściwy kolor? – spytał Nobby.

- Białe, oczywiście!
- Czyli nie ceglastoczerwony? Bo wiesz, ty...
- Czy wy mnie podpuszczacie, kapralu Nobbs?
- Ależ skąd, sierżancie. No więc... jakiego koloru ja jestem?

Sierżant Colon musiał się zastanowić. W różnych miejscach kaprala Nobbsa można było znaleźć odcienie właściwe dla każdej strefy klimatycznej Dysku i jeszcze kilka innych, opisywanych jedynie w specjalistycznych książkach medycznych.

– Białe to... białe to stan, no wiesz... umysłu – powiedział w końcu. – To jakby... codziennie wykonywać godziną pracę za godziną płacę, takie rzeczy. I myć się regularnie.

- A nie lenić się całymi dniami i takie tam?
- Tak.
- Albo... powiedzmy... pracować na okrągło, jak Goriff.
- Nobby...
- I nigdy się nie widziało tych jego dzieciaków w brudnych ubra...

– Nobby, chcesz tylko mnie wkurzyć, co? Przecież sam wiesz, że jesteśmy lepsi od Klatchian, zgadza się? Zresztą jak mamy z nimi walczyć, to jeszcze mogą cię zamknąć za takie wywrotowe gadanie.

- A będziesz z nimi walczył, Fred?

Fred Colon poskrobał się po brodzie.

- Wiesz, jako doświadczony wojskowy, przypuszczam, że będę musiał...
- I co zrobisz? Wstąpisz do jakiegoś regimentu i pójdziesz na front?

– No, jak by tu... Moja mocna strona to szkolenie, więc pewnie lepiej będzie, jeśli zostaną tutaj i będę ćwiczył rekrutów.

– Tutaj na tyłach, można to określić?

– Każdy musi wypełnić swój obowiązek, Nobby. Gdyby to ode mnie zależało, poleciałbym tam jak strzała, żeby dać Rysiovi Klatchysiowi posmakować zimnej stali.

– A tymi ich ostrymi jak brzytwy mieczami wcale byś się nie przejmował?

– Śmiałbym się z nich pogardliwie, Nobby.

– Ale przypuśćmy, że Klatchianie zaatakują tutaj. Wtedy znajdziesz się na froncie, a front będzie na tyłach.

– Wiesz, postaram się ustawić tak jakby na środku.

– Na środku frontu czy...

– Panowie!

Obejrzeni się i zobaczyli, że podąża za nimi człowiek średniego wzrostu, ale z niezwykłą głową. Nie o to chodzi, że wyłysiał – miał bardzo dużo włosów, długich i kędzierzawych, sięgających mu prawie do ramion. Broda była tak obfita, że mógłby w niej ukryć kurczaka. Ale głowa zwyczajnie wyrastała spośród tych włosów jak dziwna kopuła.

Uśmiechnął się do nich przyjaźnie.

– Czy przypadkiem nie zwracam się do heroicznego sierżanta Colona i... – Przyjrzał się Nobby’emu. Wyrazy zdumienia, lęku, zaciekawienia i litości niczym burzowe chmury przemknęły po jego poza tym pogodnej twarzy. – I kaprała Nobbsa? – dokończył.

– To my, obywatelu – potwierdził Colon.

– Och, świetnie. Bardzo wyraźnie polecono mi was odszukać. Wiecie, to

zadziwiające. Nikt nawet nie włamał się do hangaru, choć muszę zaznaczyć, że zaprojektowałem całkiem porządne zamki. I wystarczyło tylko wymienić skórę na łączeniach i nasmarować... Przepraszam. Mówię trochę za szybko. Zaraz... Miałem wam przekazać wiadomość, tylko co to było? Coś z rękami...

Schylił się do dużego płóciennego worka u stóp i wyciągnął długą rurę, którą podał Nobby'emu.

– Naprawdę za to przepraszam – powiedział, wyjmując mniejszą rurę, którą wręczył Colonowi. – Musiałem działać w strasznym pośpiechu, nie miałem czasu, żeby wykończyć wszystko należycie, no i szczerze mówiąc, materiały nie są najlepsze...

Colon obejrzał swoją rurę. Zwążyła się z jednego końca.

– To rakietka z fajerwerkami – odgadł. – O, tutaj ma napisane „Chmura kolorowych kul i gwiazd”!

– Tak, i bardzo mi przykro – zapewnił obywatel, wyjmując z worka skomplikowaną konstrukcję z metalu i drewna. – Mogę dostać swoją rurę, kapralu? – Wziął ją i przykręcił konstrukcję na końcu. – Dziękuję. Tak, obawiam się, że bez mojej tokarni, a nawet bez mojego paleniska musiałem radzić sobie z tym, co miałem pod ręką. Czy może mi pan oddać raketę? Dziękuję.

– Nie wylatują porządnie bez kijka – powiedział Nobby.

– Ależ wylatują, poważnie. Tylko że niezbyt celnie. – Leonard z Quirmu uniósł rurę na ramię i spojrzał przez małą drucianą siatkę. – Wydaje się, że w porządku – stwierdził.

– I nie lecą w bok, tylko w górę.

– To powszechna pomyłka – odparł Leonard, odwracając się do nich.

Colon widział w głębi rury czubek rakiety. Nieoczekiwanie nawiedziła go wizja kul i gwiazd.

– Teraz obaj powinniście, jak sądzę, skręcić w ten zaułek i pójść ze mną –

poinformował Leonard. – Bardzo mi z tego powodu przykro, ale jego lordowska mość bardzo szczegółowo mi wyjaśnił, jak to potrzeby społeczeństwa jako całości mogą prowadzić do ograniczenia praw konkretnych osób. Och, właśnie sobie przypomniałem. Macie podnieść ręce do góry.

Na wielkim stole w Sali Szczurów rozrzucono piasek.

Lord Rust odczuwał coś zbliżonego do przyjemności, kiedy go oglądał. Leżały na nim małe drewniane skrzynki, oznaczające miasta i miasteczka, oraz wycięte z drewna palmy wskazujące położenie znanych oazów. I choć był odrobinę niepewny co do słowa „oazowie”, przyjrzał mu się i zobaczył, że jest dobre. Zwłaszcza że miała to być mapa Klatchu, a wszyscy wiedzieli, że Klatch to i tak prawie sam piasek. Rustowi sprawiało to satysfakcję natury egzystencjalnej, choć ten konkretny piasek przywieziono ze stosu za hurtową garncarnią trolla Kreduły, dało się więc w nim czasem znaleźć niedopałek papierosa czy ślady kociej obecności, które prawdopodobnie nie były obecne na prawdziwej pustyni, a już z pewnością nie z zachowaniem skali.

– Tutaj będzie dobre miejsce do lądowania – stwierdził, wskazując trzcinką.

Adiutant starał się być pomocny.

– Półwysep El Kinte, sir – powiedział. – To najbliższy nam punkt.

– Właśnie! Raz-dwa przepłyniemy cieśninę.

– Rzeczywiście, sir – przyznał porucznik Hornett. – Ale... Nie sądzi pan, że nieprzyjaciół może nas tam oczekiwać? Skoro to tak oczywiste miejsce lądowania...

– Wcale nie oczywiste dla wyszkolonego wojskowego stratega. Nie będą się nas spodziewać właśnie dlatego, że to takie oczywiste miejsce, rozumie pan?

– Znaczy... pomyślą, że tylko kompletny idiota by tam lądował?

– Otóż to. A wiedzą, że nie jesteśmy kompletnymi idiotami, zatem to ostatnie miejsce, gdzie będą się nas spodziewać. Uznają raczej, że popłyniemy gdzieś... – Trzcinką stuknęła w piasek. – Tutaj.

Hornett przyjrzał się uważnie. Na ulicy za oknem ktoś zaczął bić w bęben.

– Ach, chodzi panu o Eritor – rzekł. – Gdzie, o ile pamiętam, znajduje się dogodny teren do lądowania i skąd dwa dni forsownego marszu przy dobrej osłonie doprowadzą nas do samego serca imperium, sir.

– Właśnie!

– Gdy tymczasem lądowanie na El Kinte oznacza trzy dni przez piaskowe wydmy, obok ufortyfikowanego miasta Gebra...

– Dokładnie. Rozległe, otwarte przestrzenie! I tam właśnie możemy praktykować sztukę wojenną. – Lord Rust podniósł głos, by przekrzyczeć bębnienie. – W taki sposób należy to rozstrzygnąć. Jedną decydującą bitwą. My po jednej stronie, Klatchianie po drugiej. TAK SIĘ TOCZY... – Rzucił trzcinkę. – Kto, u demona, tak wściekle hałasuje?

Adiutant podszedł do okna.

– Jeszcze ktoś prowadzi werbunek, sir – poinformował.

– Przecież wszyscy jesteśmy tutaj!

Adiutant zawahał się, jak to często się zdarza przynoszącemu złe wieści osobie o wybuchowym charakterze.

– To Vimes, sir.

– Werbuje do straży?

– Eee... nie, panie. Do regimentu. No... na transparencie jest napisane „Pierwszy Pieszy sir Samuela Vimesa”, panie...

– Co za arogancja! Idź i... albo nie. Sam pójde!

Na ulicy zebrał się tłum. W samym środku wyrastała potężna sylwetka funkcjonariusza Dorfla, a najważniejsza cecha golema polegała na tym, że kiedy walił w bęben, nikt nie próbował go prosić, żeby przestał. Może z wyjątkiem lorda Rusta, który podszedł i wyrwał mu z rąk pałeczki.

– Tak, to prawdziwe życie dla prawdziwych osobników z dowolnie wybranego gatunku w Pierwszym Pieszym! – wołał sierżant Detrytus, nieświadom wydarzeń rozgrywających się za jego plecami. – Uczycie się fachu! Uczycie się własnego godnością! I jeszcze dostaniecie aligancki mundur i tyle butów, ile zjecie... Tutaj jest mój porzecz!

– Co to ma znaczyć? – zapytał lord Rust, zrzucając prowizoryczny transparent na ziemię. – Vimes nie może tego robić!

Jakaś postać oderwała się od muru, skąd obserwowała spektakl.

– A wie pan, wydaje mi się, że chyba mogę – powiedział Vimes. Wręczył Rustowi jakąś kartkę. – Wszystko tu jest, lordzie. Z odniesieniami do najwyższych autorytetów, na wypadek gdyby jeszcze miał pan wątpliwości.

– Odniesienia do czego?

– Do roli rycerza, lordzie. Wręcz do obowiązków rycerza, co jest dość zabawne. Sporo z tego to jakieś bezsensowne bzdury, jazda po okolicy na wielkim koniu z firankami dookoła i tak dalej. Ale jeden z nich polega na tym, by w potrzebie rycerz wystawił i utrzymywał... uśmieje się pan, kiedy powiem... poczet zbrojnych! Nikt nie byłby bardziej zdziwiony ode mnie, muszę przyznać. Wydaje się jednak, że nie mam innego wyjścia, muszę wziąć się do roboty i zebrać paru chłopaków. Naturalnie, większa część straży się zaciągnęła, wie pan, jak to jest: są zdyscyplinowani, nie mogą się doczekać, żeby zrobić, co do nich należy, więc zaoszczędzili mi wysiłku. Z wyjątkiem Nobby'ego Nobbsa; mówi, że jeśli odłoży to do czwartku, będzie miał dość białych piórek na materac.

Mina Rusta mogłaby zakonserwować mięso na rok.

– To nonsens – oświadczył. – Poza tym nie jesteś rycerzem, Vimes. Tylko król może pasować...

– Patrycjusze w tym mieście także nadali sporo tytułów. Pańskiemu przyjacielowi lordowi Downeyowi na przykład.

– Jeśli się upierasz przy tych gierkach, to ci powiem, że zanim rycerz zostanie pasowany, musi spędzić noc na czuwaniu, strzegąc swojej zbroi.

– Robię to, praktycznie biorąc, każdej nocy swojego życia. Tutaj, jeśli człowiek nie jest czujny i nie ma swojej zbroi na oku, to rankiem nie ma zbroi wcale.

– Na modłach – dokończył ostro Rust.

– To właśnie ja – odparł Vimes. – Ani jednej nocy nie przeżyłem, nie myśląc: „O bogowie, mam nadzieję, że wyjdę z tego żywy”.

– I musi wykazać się na polu walki. Przeciwno innym wyszkolonym we władaniu bronią, Vimes. Nie przeciwko opryszkom i zbirom.

Vimes zaczął odpinać pasek hełmu.

– Cóż, może to nie najlepsza chwila, lordzie, ale jeśli poświęci mi pan pięć minut...

W jego oczach Rust zobaczył ognisty blask płonących okrętów.

– Wiem, co próbujesz zrobić, Vimes, i nie mam zamiaru się na to godzić – zapewnił, cofając się o krok. – Zresztą i tak nie byłeś formalnie szkolony.

– To fakt – przyznał Vimes. – Tu mnie pan trafił, lordzie. Nikt nie uczył mnie władania bronią. Miałem szczęście. – Pochylił się i zniżył głos, by nikt w tłumie go nie usłyszał. – Widzisz, Ronaldzie, ja wiem, co znaczy „władanie bronią”. Od setek lat nie było prawdziwej wojny. Więc to takie tańczenie w kółko i wymachiwanie mieczami z gałką na końcu, żeby nikogo nie zranić. Ale tam, na Mrokach, też nikt nie szkolił się we władaniu bronią. Nikt nie odróżnia szpady od szabli. Nie; kiedy staje się naprzeciw nich, najlepsi są z rozbitą butelką w jednej ręce i kawałkiem solidnej deski w

drugiej. Tak jest, Ronnie. I wiesz przy tym, że potem nie pójdziesz gdzieś, żeby się pośmiać i coś wypić, ponieważ oni chcą twojej śmierci. Chcą cię zabić. Rozumiesz, Ron? I zanim zdążyłbyś uderzyć tym twoim ślicznym i błyszczącym mieczem, oni już by ci wyryli na brzuchu swoje nazwiska i adresy. Tam odebrałem swoje szkolenie we władaniu bronią. Tak... głównie we władaniu pięścią, kolanem, zębami i łokciami.

– Nie jest pan dżentelmenem – stwierdził Rust.

– Wiedziałem, że jest we mnie coś, co lubię.

– Czy nie rozumie pan choćby tego, że nie może pan przyjmować... krasnoludów i trolli do ankhmorporskiego regimentu?

– Napisane jest tylko „zbrojnych”, a krasnoludy przychodzą z własnymi toporami. Znaczna oszczędność. Jeśli kiedyś widział pan, jak one naprawdę walczą, to musiał pan być po tej samej stronie.

– Vimes...

– Sir Samuelu, lordzie.

Rust zastanawiał się przez chwilę.

– Bardzo dobrze – ustąpił. – W takim razie pan i pański... regiment trafiają pod moje dowództwo.

– To dziwne, ale nie. Pod dowództwo króla albo jego oficjalnie mianowanego przedstawiciela, jak to stwierdza „Prawo rycerskie i jego stosowanie” Scavone’a. A oczywiście nie było żadnych oficjalnie mianowanych przedstawicieli, odkąd jakiś wyjątkowy sukinsyn uciął ostatniemu królowi głowę. Owszem, rozmaite osoby sprawiały wrażenie, jakby rządziły miastem, ale według tradycji rycerskiej...

Rust milczał i znów się zastanawiał. Wyglądał jak ktoś koszący trawnik, kto właśnie odkrył, że trawa założyła związek zawodowy. Można też było dostrzec sugestię, że w głębi serca wie, iż naprawdę nic takiego nie mogło się zdarzyć, ponieważ takie rzeczy się nie zdarzają. Dowody świadczące o czymś

przeciwnym można więc bezpiecznie zignorować. Jednakże konieczne może się okazać wykonanie pewnych niezbędnych gestów.

– Sądzę, że zdaje pan sobie sprawę, iż pańskie działania są w sensie prawnym... – zaczął i na moment wytrzeszczył oczy, gdy Vimes przerwał mu z satysfakcją.

– Och, może się pojawić kilka problemów, przyznaję. Ale jeśli spyta pan pana Slanta, powie: „To bardzo interesująca sprawa”, co, jak pan wie, w języku prawniczym oznacza: „Tysiąc dolarów dziennie plus wydatki, i zajmie to całe miesiące”. Zostawię teraz pana, żeby pan sobie to przemyślał, dobrze? Mam tyle spraw do załatwienia. W gabinecie powinny już na mnie czekać próbki materiałów na nowe mundury. To bardzo ważne, by odpowiednio wyglądać na polu bitwy, prawda?

Rust rzucił jeszcze Vimesowi gniewne spojrzenie i odszedł.

Detrytus tupiąc stanął na baczność obok Vimesa, a jego hełm zabrzączał od sprężystego salutu.

– Co teraz robimy, sir?

– Chyba możemy się stąd zbierać. Wszyscy wstąpili?

– Tajest, sir!

– Powiedziałaś, że to nie jest obowiązkowe?

– Tajest! Żem powiedział: „To nie obowiązek, tylko że macie się zaciągnąć”, sir.

– Detrytus, chciałem mieć ochotników.

– Pewno, sir. Zgłosili się na ochotnika, sam żem dopilnował.

Vimes westchnął i ruszył do swojego biura. Prawdopodobnie byli przynajmniej bezpieczni. To pewne, że prawnie nic mu nie można zarzucić. A jeśli cokolwiek wiedział o takich jak Rust, on uszanuje literę prawa. Tacy ludzie zawsze szanują, w budzący dreszcze sposób. Zresztą trzydziestu ludzi

ze straży po prostu nie ma znaczenia w wielkim planie. Rust może o nich zapomnieć.

Całkiem nagle ludzie szykują się do wojny, myślał Vimes, a tamci wracają. Porządek społeczny wywraca się dnem do góry, bo takie są zasady. Ludzie podobni do Rusta znowu pojawiają się na szczycie. Arystokraci lenili się przez wieki, aż nagle znów wyciągają starą zbroję, miecz zdejmują ze ściany nad kominkiem. Uważają, że wybuchnie wojna, a jedyne, o czym potrafią myśleć, to że wojny mogą być wygrane albo przegrane...

Ktoś za tym stoi. Ktoś chce doprowadzić do wojny. Ktoś zapłacił za morderstwa Ossiego i Śnieżnego. Ktoś chciał śmierci księcia. Muszę o tym pamiętać. To nie jest wojna, to zbrodnia.

A potem zdał sobie sprawę, że zastanawia się, czy atak na lokal Goriffa zorganizowali ci sami ludzie i czy ci sami ludzie podłożyli ogień w ambasadzie.

I wtedy zrozumiał, dlaczego o tym myśli.

Dlatego że chciał, by istnieli spiskowcy. O wiele lepiej wyobrażać sobie ludzi w jakimś zadymionym pokoiku, obłąkanych i cynicznych od przywilejów i władzy, konspirujących nad kieliszkami brandy. Tego obrazu trzeba się trzymać, bo jeśli nie, trzeba by się pogodzić z innym faktem: złe rzeczy zdarzają się, ponieważ zwyczajni ludzie, którzy szczotkują psa i opowiadają dzieciom bajki na dobranoc, potrafią potem wyjść i zrobić coś strasznego innym zwyczajnym ludziom. O wiele łatwiej winić o wszystko Ich. Ponura i przygnębiająca zdawała się myśl, że Oni to tak naprawdę My. Jeżeli to Oni, nie można nikogo obwiniać. Ale jeśli to My, kim Ja będę? W końcu jestem jednym z Nas. Muszę być. Z całą pewnością nigdy nie uważałem się za kogoś z Nich. Zawsze należymy do Nas. To Oni robią wszystko, co złe.

Mniej więcej w tym czasie – w swym poprzednim życiu – Vimes wyciągałby teraz korek z butelki i nie przejmowałby się specjalnie jej zawartością, byle tylko złuszczała farbę...

– Uuk?

– O... witam. Co mogę dla ciebie... a tak, prosiłem o książki na temat Klatchu... To wszystko?

Orangutan nieśmiało wręczył mu niedużą, pogniecioną zieloną książkę. Vimes spodziewał się czegoś większego, ale mimo to wziął tomik. Zawsze opłacało się zajrzeć do tego, co dawał orangutan. Dopasowywał człowieka do książek. Vimes podejrzewał, że to wrodzony talent – tak jak przedsiębiorca pogrzebowy potrafi bezbłędnie ocenić wzrost.

Na grzbiecie, wypisane prawie całkiem wyblakłymi złotymi literami, widniały słowa: „Gen. A. Tacticus, VENI, VIDI, VICI – Żołnierskie życie”.

Nobby i Colon szli zaułkiem.

– Wiem, co to za jeden! – szepnął Fred. – To Leonard z Quirmu, na pewno! Zaginał pięć lat temu!

– No więc ma na imię Leonard i pochodzi z Quirmu. Co z tego? – zapytał Nobby.

– To skończony geniusz!

– To wariat!

– Wiesz, mówią, że tylko cienka lina oddziela geniusz od szaleństwa...

– No to on z niej spadł.

Zza ich pleców odezwał się głos:

– No nie, to przecież nie wystarczy, prawda? Nie mogę zaprzeczyć, mieliście rację, celność jest nie do przyjęcia przy jakimkolwiek sensownym dystansie. Czy moglibyście się zatrzymać, jeśli można?

Odwrócili się. Leonard rozkładał już swoją rurę.

– Gdyby zechciał pan chwycić ten kawałek, kapralu... Sierzancie, czy

byłby pan tak uprzejmy i przytrzymał nieruchomo ten element?... Coś w rodzaju płetw powinno załatwić sprawę... Jestem pewien, że miałem tu gdzieś odpowiedni kawałek drewna...

Leonard zaczął się poklepywać po kieszeniach.

Strażnicy zdali sobie sprawę, że człowiek, który ich schwytał, zatrzymał się, by przebudować swoją broń, i dał im ją do potrzymania, gdy sam szukał śrubokrętu. Takie sytuacje nie zdarzają się często.

Nobby w milczeniu wziął od Colona rakietę i wcisnął ją do rury.

– Do czego jest ten kawałek, szefuniu? – zapytał.

Leonard zerknął, wciąż przeszukując kieszenie.

– Och, to spust – wyjaśnił. – Który, jak widzicie, pociera o krzemień i...

– Dobrze.

Na krótko rozbłysnął płomień; pojawiła się smuga mocno czarnego dymu.

– Ojoj... – powiedział Leonard.

Strażnicy obejrzeni się, jak ludzie przerażeni tym, co za chwilę zobaczą. Rakietę przemknęła przez zaułek i przebiła okno domu naprzeciwko.

– No tak... Napis „Tą stroną do góry” na pocisku będzie ważnym elementem bezpieczeństwa, do rozważenia przy następnym projekcie – stwierdził Leonard. – Chwileczkę, gdzie mój notes?

– Sądzę, że powinniśmy stąd odejść – uznał Colon. – Bardzo szybko.

Wewnątrz budynku eksplodowały gwiazdy i kule, ku radości młodych i starych, ale raczej nie trolla, który właśnie otworzył drzwi.

– Doprawdy? – zdziwił się Leonard. – Jeśli wymagana jest prędkość, to mam tu bardzo interesujący projekt dwukołowego...

Jakby za niewypowiedzianą zgodą, strażnicy chwycili go z dwóch stron pod pachy, podnieśli i ruszyli biegiem.

– Och, jej... – odezwał się Leonard, wleczony do tyłu.

Strażnicy popędzili w boczną uliczkę, a potem, zygzakując z dyskretnym profesjonalizmem, przebiegli kolejno kilka innych. W końcu oparli Leonarda o mur i wyrzeli za róg.

– Czysto – stwierdził Nobby. – Pognali w inną stronę.

– Dobrze – odetchnął Colon. – Co pan właściwie robił? Znaczy się, może pan i jest takim geniuszem, jak słyszałem, panie da Quirm, ale jeśli chodzi o grożenie ludziom, jest pan sprytny jak nadmuchiwana tarcza do strzałek.

– Chyba istotnie mam pewne braki – zgodził się Leonard. – Lecz nalegam, byście udali się ze mną. Pomyślałem, obawiam się, że jako wojownicy łatwiej zrozumiecie argument siły.

– No, niby tak, jesteśmy wojownikami – przyznał Colon. – Ale...

– Nie ma pan jeszcze jednej takiej rakiety? – spytał Nobby, znów układając rurę na ramieniu. Miał w oku ten szczególny błysk, jaki pojawia się u niewysokich mężczyzn, którzy dostali w ręce naprawdę wielką broń.

– Może i mam – odparł Leonard, a błysk w jego oku był tą obłąkaną iskrą człowieka naturalnie naiwnego, któremu się wydaje, że jest chytry. – Może pójdziecie ze mną, to sprawdzimy? Widzicie, polecono mi sprowadzić was przy użyciu wszelkich niezbędnych środków.

– Przekupstwo byłoby chyba najlepsze – zaproponował Nobby. Spojrzał przez przyrządy celownicze rury i zaczął wydawać z siebie głośne świsty.

– Kto kazał nas sprowadzić? – zainteresował się Colon.

– Lord Vetinari.

– Patrycjusz nas potrzebuje?

– Tak. Powiedział, że macie wyjątkowe zalety i musicie przyjść natychmiast.

– Do pałacu? Słyszałem, że się wyniósł.

– Och, nie. Do... no, do tego... wiecie... do portu.

– Wyjątkowe zalety, tak? – upewnił się Colon.

– Sierzancie... – zaczął Nobby.

– Spokojnie, Nobby – przerwał mu z wyższością Colon. – Najwyższy czas, żeby ktoś się na nas poznał, sam dobrze wiesz. Doświadczeni podoficerowie to kręgosłup armii. Mam wrażenie... – ciągnął – mam wrażenie, że to przypadek sytuacji, kiedy w trudnej godzinie pojawia się właściwy człowiek.

– A kiedy się pojawi?

– Mówię o nas. Ludzie o wyjątkowych zaletach.

Nobby pokiwał głową, choć z pewnym ociąganiem. Pod wieloma względami myślał bardziej logicznie od sierżanta i trochę go niepokoiły te „wyjątkowe zalety”. Być wybranym do czegoś z powodu „wyjątkowych zalet” było właściwie równoznaczne z wyznaczeniem na ochotnika. A poza tym co niby jest takiego szczególnego w „wyjątkowych zaletach”? Ślimaki też mają wyjątkowe zalety – do pewnych konkretnych zastosowań.

– Czy znowu będziemy pracować tajnie? – spytał Colon.

Leonard zamrugął.

– No więc... Tak, rzeczywiście w grę wchodzi swego rodzaju tajemnica. W samej rzeczy.

– Sierzancie...

– Nie przeszkadzajcie, kapralu. – Colon przyciągnął Nobby’ego bliżej. – Tajnie to znaczy, że nikt nas nie zarąbie ani nie zastrzeli, zgadza się? –

szeptał. – A co jest najważniejsze dla zawodowego żołnierza, żeby mu się nie przytrafiło?

– Żeby nie został zastrzelony ani zarąbany – odpowiedział odruchowo Nobby.

– Właśnie. Ruszajmy zatem, panie Quirm! Ojczyzna wzywa!

– Brawo! – ucieszył się Leonard. – Proszę powiedzieć, sierżancie, czy ma pan zamiłowania akwanautyczne?

Colon zasalutował.

– Nie, sir! Jestem szczęśliwie żonaty, sir!

– Chodziło mi o to, czy orał pan kiedyś morskie fale?

Colon rzucił mu chytre spojrzenie.

– Nie złapie mnie pan na taki numer, sir – rzekł. – Wszyscy wiedzą, że konie by potonęły.

Leonard umilkł na chwilę i przestroił swój mózg na Radio Colon.

– Czy w przeszłości pływał pan po morzu, w łodzi lub na statku, kiedykolwiek?

– Ja, sir? Nie, sir. To przez ten widok fal, które wznoszą się i opadają, sir.

– Doprawdy? Na szczęście to akurat nie będzie żadnym problemem.

No dobrze, zacznijmy od początku...

Uporządkować fakty, to jest główny problem...

Świat patrzył. Ktoś chciał, by straż uznała, że zamach nastąpił z inspiracji Klatchu. Kto?

Ktoś także uciął głowę Śnieżnemu Stockowi i zostawił go bardziej martwego niż sześć kubłów przynęty na ryby.

Obraz wielkiego, wygiętego miecza 71-godzinnego Ahmeda pojawił się, prosząc o uwagę. A więc...

...założmy, że 71-godzinny Ahmed był służącym albo ochroniarzem księcia Khufuraha. Odkrył...

Nie, jak to możliwe? Kto by mu powiedział?

No, może dowiedział się... jakoś. A to znaczy, że mógł też zdobyć informację, kto płacił Śnieżnemu...

Vimes wyprostował się. Wszystko to ciągle było zagadką, ale rozwiąże ją, wiedział, że rozwiąże. Zbierze wszystkie fakty, przeanalizuje, obejrzy pod każdym możliwym kątem, z otwartym umysłem, i... i dowie się, jak dokładnie lord Rust to zorganizował.

Zakała szeregów! Nie musiał słuchać tego spokojnie, zwłaszcza z ust człowieka, który „mur” rymuje z „kuł”.

Jego wzrok przyciągnęła wyblakła okładka książki. Generał Tacticus? Każde dziecko wiedziało, kto to taki. Ankh-Morpork władało niegdyś potężnym imperium, którego znaczna część leżała w Klatchu, właśnie dzięki niemu. Tyle że nikt mu nie dziękował, co jest dość dziwne. Vimes nigdy nie zrozumiał dlaczego, ale wydawało się, że miasto trochę się wstydzi generała.

Jednym z powodów, naturalnie, jest to, że w końcu walczył przeciwko Ankh-Morpork. W mieście Genoi skończyła się rodzina królewska – chów wsobny doprowadził w końcu do sytuacji, gdy jedyny żywy przedstawiciel składał się głównie z zębów. Najważniejsi dworzanie napisali do Ankh-Morpork, prosząc o pomoc.

Vimes ze zdziwieniem odkrył, że takie sytuacje zdarzały się całkiem często. Małe królestwa z równin Sto bez przerwy wyciągały od siebie nawzajem zbędnych książąt. Król odesłał Tacticusa z czystej desperacji – trudno władać porządnym imperium, jeśli bez przerwy dostaje się

poplamione krwią listy o treści w stylu: „Szanowny Panie, spieszę poinformować, że podbiłem Betrek, Smalę i Uszystan. Proszę o przesłanie 20 000 AM\$ tytułem zaległego żołdu”. Ten człowiek nigdy nie wiedział, kiedy skończyć. Dlatego pospiesznie mianowano go diukiem i posłano do Genoi. Na miejscu przede wszystkim rozważył, co jest największym zagrożeniem militarnym dla miasta, a kiedy je zidentyfikował, wypowiedział wojnę Ankh-Morpork.

Ale czego można się było spodziewać? Spełnił swój obowiązek. Przywiózł stosy łupów, mnóstwo jeńców i – co niemal wyjątkowe wśród dowódców wojskowych Ankh-Morpork – większość swoich ludzi. Vimes podejrzewał, że tego ostatniego właśnie historia nie zaaprobowwała. Istniała sugestia, że w pewnym sensie nie grał czysto.

Veni, vidi, vici. Podobno to właśnie powiedział, kiedy zdobył... co takiego? Pseudopolis chyba. A może Al-Khali? Albo Quirm? Czy Sto Lat? Działo się to dawno temu, kiedy człowiek atakował obce miasto dla zasady, a potem wracał i załatwiał ich jeszcze raz, jeśli wyglądało, że zaczynają się podnosić. W tych czasach nikt się nie przejmował tym, że świat patrzy. Człowiek chciał, żeby patrzyli i uczyli się. *Veni, vidi, vici.* Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem.

Vimes zawsze uważał to za wypowiedź nazbyt gładką. Takich słów nie wymyśla się pod wpływem chwili. Brzmiały, jakby ułożył je sobie wcześniej. Prawdopodobnie spędzał w namiocie długie noce, przeglądając słownik i szukał krótkich słów zaczynających się na V. *Veni, verdi, vomui* – przybyłem, zzieleniałem, zwymiotowałem? *Visi, veneri, vamoosi* – odwiedziłem, złapałem wstydliwą chorobę, uciekłem? Na pewno z ulgą odkrył trzy krótkie, sensowne słowa. Pewnie ułożył je najpierw, a potem ruszył, żeby zobaczyć coś i podbić.

Vimes otworzył książkę na przypadkowej stronie i przeczytał:

Zawsze dobrze jest stawiać wobec nieprzyjaciela gotowego zginąć za swój kraj. To znaczy, że i my, i on mamy dokładnie te same cele.

– Ha!

– Bingely bingely b...

Vimes uderzył otwartą dłoń w pudełko.

– Tak? Co jest?

– Piętnasta zero pięć, spotkanie z kpr. Tyłeczek dot. zaginięcia sierż. Colona – oznajmił nadąsany demon.

– Nigdy się nie umawiałem... Skąd wiesz? Chcesz powiedzieć, że mam spotkanie, o którym nic mi nie wiadomo?

– Zgadza się.

– Więc niby skąd ty o nim wiesz?

– Kazałeś mi wiedzieć, prawda? Zeszłej nocy – przypomniał demon.

– Możesz mi mówić o spotkaniach, o których nie mam pojęcia?

– To nadal spotkania *sine qua* spotkań. Istnieją zatem w przestrzeni fazowej spotkań.

– A co to znaczy, u licha?

– Słuchaj – tłumaczył cierpliwie demon – możesz mieć jakieś spotkanie o dowolnym czasie, prawda? Czyli dowolne spotkanie istnieje *in potentia*...

– Czyli gdzie?

– Każde konkretne spotkanie kolapsuje funkcję falową. Ja tylko wybieram najbardziej prawdopodobną formę z macierzy projekcji.

– Wymyślasz to sobie – uznał Vimes. – Gdybyś miał rację, to lada sekunda...

Ktoś zapukał do drzwi. Było to pukanie ciche, nieśmiałe i dyskretne.

Vimes nie odrywał wzroku od uśmiechniętego drwiąco demona.

– Czy to wy, kapral Tyłeczek? – zapytał.

– Tak, sir. Sierżant Colon przysłał gołębia. Pomyślałam, że powinien pan to zobaczyć.

– Wejdźcie!

Tyłeczek położyła mu na biurku zwitek cienkiego papieru. Zaczął czytać:

Zgłosiliśmy się na ochotnika do misji o Kluczowym Znaczeniu. Postawią nam statuje, jak już skończymy tę robotę. PS. Ktoś, o kim nie mogę nic powiedzieć, mówi, że ta wiadomość ulegnie samozniszczeniu w ciągu pięciu sekund, przeprasza, że nie miał chemikaliów, żeby zrobić to lepiej...

Papier zaczął marszczyć się na brzegach, a potem zniknął w niewielkim obłoczku gryzącego dymu.

Vimes wpatrywał się w mały stosik popiołu, jaki pozostał.

– To prawdziwy cud, że nie wysadzili gołębia, sir – stwierdziła kapral Tyłeczek.

– Co oni kombinują, u demona? Zresztą nie mogę ich przecież gonić. Dzięki, Cudo.

Krasnoludka zasalutowała i wyszła.

– Przypadek – oświadczył Vimes.

– No dobrze – zgodził się demon. – Bingely bingely biip! Piętnasta

piętnaście. Pilne spotkanie z kapitanem Marchewą.

Był to walec zwężający się z obu końców. Z jednej strony to zwężenie wyglądało na skomplikowane – walec przechodził w ciąg coraz mniejszych, zachodzących na siebie pierścieni zakończonych wielkim rybem ogonem. W szczelinach między nimi błyszczała naoliwiona skóra.

Z drugiej strony z walca wystawał – całkiem podobny do rogu jednorożca – bardzo długi i zaostrozony gwint.

Całość spoczywała na prostym wózku, który z kolei toczył się po dwóch żelaznych szynach, znikających w czarnej wodzie na drugim końcu hangaru.

– Dla mnie wygląda to jak wielka ryba – stwierdził Colon. – Z blachy.

– Z rogiem – dodał Nobby.

– Nigdy nie będzie pływać. Widzę już, gdzie jest błąd. Wszyscy wiedzą, że metal tonie.

– To nie jest do końca prawda – odparł dyplomatycznie Leonard. – A poza tym ta łódź specjalnie została zbudowana tak, by tonąć.

– Co?

– Głównym problemem był napęd, niestety – mówił Leonard, wspinając się na drabinę. – Rozwahałem łopatkę i wiosła, a nawet jakieś odmiany śruby, ale potem pomyślałem: delfiny! To jest rozwiązanie! Poruszają się niezwykle szybko przy całkiem nieznacznym wysiłku. Oczywiście te na morzu; tutaj, w ujściu, spotykamy tylko delfiny płaskonose. System dźwigni jest trochę skomplikowany, lecz zwykle udawało mi się osiągać całkiem niezłe prędkości. Pedałowanie może się okazać męczące, ale we trójkę powinniśmy uzyskać dostateczne przyspieszenie. Zdziwiające, do czego można dojść, naśladując naturę. Żałuję, że moje eksperymenty z lata... Oj, gdzieście zniknęli...?

Trudno byłoby ustalić, który element dostatecznie przyspieszającej natury

strażnicy próbowali naśladować, jednak z pewnością był to ten, który często utyka w drzwiach.

Przestali się przepychać i cofnęli się do hali.

– Ach, to pan, sierżancie – odezwał się lord Vetinari, wchodząc. – Jest też kapral Nobbs. Leonard wszystko wam objaśnił?

– Nie może pan nam kazać wchodzić do tego czegoś, sir! To by było samobójstwo! – oświadczył Colon.

Patrycjusz złożył dłonie i uniósł je do ust, jakby się modlił. W zamyśleniu odetchnął głęboko.

– Nie. Nie, myślę, że pan się myli – oświadczył w końcu, jakby doszedł do rozwiązania poważnej zagadki filozoficznej. – Uważam, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wejście do tego urządzenia będzie czynem męznym, możliwe też, że opłacalnym. Skłonny byłbym wręcz sugerować, że odmowa wejścia jest decyzją samobójczą. Ale chętnie wysłucham pańskiej opinii.

Vetinari nie był człowiekiem mocno zbudowanym, a ostatnio chodził, opierając się na hebanowej lasce. Nikt nie pamiętał, by widział go z jakąkolwiek bronią, ale przeblysłk nietypowego zrozumienia uświadomił sierżantowi Colonowi, że myśl ta wcale nie jest pocieszająca. Podobno Vetinari kształcił się w szkole Gildii Skrytobójców, ale wszyscy już zapomnieli, w jakiej broni się specjalizował. Studiował języki obce. I nagle, kiedy stał tak przed nimi, wcale nie wydawało się to ewentualnością pozbawioną zagrożeń.

Colon zasalutował więc – zawsze przydatny gest w tak trudnych sytuacjach.

– Kapralu! – krzyknął. – Czemu nie jesteście jeszcze w... w tym metalowym tonącym rybowatym czymś?

– Sierżancie...

– Biegnij na drabinę, chłopcze... Raz-dwa, raz...

Nobby wspiął się na stopnie i zniknął. Colon zasalutował znowu. Zwykle po sprężystości salutu dawało się poznać nerwowość sierżanta. Tym przed chwilą można by rozbijać kamienie.

– Gotów do akcji, sir! – huknął głośno.

– Brawo, sierżancie – pochwalił go Vetinari. – Prezentuje pan te właśnie szczególne zalety, jakich potrzebujemy...

– Ej, sierżancie – dobiegł metaliczny głos z wnętrza walca. – Tu są same łańcuchy i koła zębate. A co to robi?

Wielki świder z przodu obrócił się z piskiem.

Zza ryby wynurzył się Leonard.

– Myślę, że wszyscy powinniśmy już wsiadać – oznajmił. – Postawiłem świecę, która płonąc, przepali sznur, który uwolni ciężary, które wyrwą bloki hamujące.

– Eee... a jak to coś się nazywa? – spytał Colon, wstępując za Patrycjuszem na drabinę.

– Wiecie, ponieważ jako obiekt pływający jest to swego rodzaju łódź, a porusza się pod wodą, nazwałem ją „Urządzenie do bezpiecznego przemieszczania się pod powierzchnią morza”* – odpowiedział Leonard zza jego pleców. – Zwykle jednak myślę o niej po prostu jak o Okręcie.

Sięgnął za siebie i zatrzasnął właz.

Każdy, kto znalazłby się w hangarze, usłyszałby serię metalicznych stuków – to sworznie wsunęły się na miejsca.

Po chwili płonąca świeca przepaliła sznur, który uwolnił ciężary, które wyrwały bloki hamujące. Z początku wolno, Okręt zsunął się po szynach w ciemną wodę, która po sekundzie czy dwóch zamknęła się nad nim z

pluskiem.

Nikt nie zwrócił uwagi na Anguę, kiedy wbiegała po trapie. Wiedziała, że najważniejsze, to zachowywać się jak u siebie. Nikt nie zaczepia dużego psa, który wygląda, jakby wiedział, dokąd zmierza.

Ludzie kręcili się po pokładzie w sposób charakterystyczny dla nieżeglarzy na statku – niepewni, co powinni robić ani gdzie powinni się od działania powstrzymać. Niektórzy o bardziej stoickim usposobieniu zbudowali nieduże obozowiska, otaczając tobołkami i pasami materiału maleńkie obszary prywatnej własności. Przypominały Angui dwukolorowe rynny i z mikroskopową precyzją wyznaczone granice domostw na Forsolapce; demonstrowały jeszcze jeden sposób wykreślania linii na piasku. To jest Moje, a to Twoje, wejdź na Moje, a dostaniesz po Twoich...

Dwaj gwardziści stali po obu stronach drzwi prowadzących do kabin. Nikt im nie powiedział, że mają nie wpuszczać psów.

Zapach prowadził ją w dół. Wyczuwała inne psy i silny aromat goździków.

Na końcu wąskiego korytarza zauważyła uchylone drzwi. Otworzyła je nosem i zajrzała.

Psy leżały na dywanie. Inne mogłyby zaszcześcić, ale te odwróciły tylko ku niej swe piękne głowy i zadzierając nosy, przyjrzały się jej z uwagą.

Za nimi w ścianie zauważyła wąską koję, na wpół przesłoniętą jedwabnymi firankami. Pochylał się nad nią 71-godzinny Ahmed, ale obejrzał się, kiedy weszła.

Zerknął na psy, a potem popatrzył na nią ze zdziwieniem. Po czym, ku jej zaskoczeniu, usiadł przed nią na podłodze.

– Do kogo należysz? – zapytał w bezbłędnym morporskim.

Angua pomachała ogonem. Ktoś leżał w koi, wyczuwała go, ale nie

sprawi kłopotów. Mięśnie szczęk tak silne, że mogą przegryźć człowiekowi kark, w większości sytuacji pomagają zachować spokój.

Ahmed pogłaskał ją po głowie. Bardzo niewielu ludzi zrobiło coś takiego wilkołakowi tak, by w przyszłości ktoś inny nie musiał kroić im jedzenia... ale nauczyła się już samokontroli.

Potem wstał i podszedł do drzwi. Słyszała, jak mówi coś do kogoś na zewnątrz, po czym wrócił i uśmiechnął się do niej.

– Idę, wracam...

Otworzył małą szafkę i wyjął ozdobioną klejnotami psią obrozę.

– Dostaniesz obrozę. Aha, i jest też jedzenie – dodał, kiedy służący wniósł kilka misek. – „Kto to taki niesie flaki, psu trzeba dać kość”... Tak chyba brzmi wyliczanka, którą śpiewają dzieci w Ankh-Morpork, ale flaki to przecież jelita, nadają się tylko na zwierzęcą karmę. No cóż...

Miska znalazła się przed nosem Angui. Inne psy poruszyły się, lecz Ahmed rzucił im jakiś rozkaz i ułożyły się z powrotem.

Jedzenie było... psią karmą. W sensie stosowanym w Ankh-Morpork, oznaczało to coś, czego nie wkłada się nawet do kielbasek, a bardzo niewiele jest rzeczy, których nie wsadziłby do kielbaski człowiek wyposażony w odpowiednio dużą maszynkę do mięsa.

Niewielka, centralna, ludzka część jej umysłu czuła obrzydzenie, ale wilkołak ślinił się na widok każdej połyskującej rurki, każdej drgającej bryłki tłuszczu...

Leżały na srebrnej misce...

Podniosła głowę. Ahmed przyglądał się jej uważnie.

Oczywiście, psy na dworze traktowane były jak królowie; obroże z diamentami... To przecież nie musi oznaczać, że wie...

– Niegłodna? – zapytał. – Twój pysk twierdzi, że owszem.

Coś zacisnęło się jej na karku. Kiedy odwróciła głowę, by ugryźć, zęby zamknęły się na brudnej tkaninie, ale nie to było nieprzyjemne, tylko ból...

– Jego wysokość lubi, kiedy jego psy noszą piękne obroże – powiedział 71-godzinny Ahmed. – Rubiny, szmaragdy... i brylanty, panno Anguo. – Pochylił się i spojrzał jej w oczy. – Oprawne w srebro.

*...Kluczowym czynnikiem, o czym wielokrotnie się przekonałem,
NIE jest liczebność sił. Raczej ich pozycja, wykorzystanie
rezerw, koncentracja w odpowiednim punkcie...*

Vimes starał się skupić na książce Tacticusa. Jednak dwie rzeczy odwracały jego uwagę. Pierwszą była spoglądająca znad każdej linijki uśmiechnięta twarz 71-godzinnego Ahmeda. Drugą – zegarek, który leżał oparty o De-terminarz. Zegarek poruszany był prawdziwym mechanizmem sprężynowym i o wiele bardziej niezawodny. Nigdy nie wymagał karmienia. Tykał cicho. Jeśli o Vimesa chodziło, mógł sobie darować przypominanie o spotkaniach. Lubił ten zegarek.

Sekundnik zbliżał się właśnie do szczytu minuty, kiedy na schodach rozległy się kroki.

– Proszę wejść, kapitanie! – zawołał Vimes.

Z pudełka dobiegło drwiące parsknięcie.

Twarz Marchewy była bardziej niż zwykle zaróżowiona.

– Coś się stało z Anguą – stwierdził Vimes.

Marchewa zbladł.

– Skąd pan wie?

Vimes stanowczym gestem zatrzęsął wieczko nad uśmiechniętym demonem.

– Nazwijmy to intuicją. Mam rację, prawda?

– Tak, sir! Weszła na pokład klatchiańskiego statku, a on już odpłynął! Nie wróciła!

– Po co tam wchodziła, u licha?

– Śledziliśmy Ahmeda! Wyglądało na to, że kogoś ze sobą zabiera, sir. Kogoś chorego!

– Odpłynął? Ale dyplomaci jeszcze...

Przerwał. Gdyby ktoś nie znał Marchewy, sytuacja musiałaby wydać się dziwna. Większość ludzi, kiedy obcy statek porywał im dziewczyny, zanurkowałyby w Ankh... lub przebiegła po skorupie na powierzchni, dostała się na pokład i rozpętała prawdziwe piekło na demokratycznych zasadach. Oczywiście, w takiej chwili byłoby to zachowanie głupie. Rozsądne podejście to zawiadomić innych, ale i tak...

Jednak Marchewa naprawdę wierzył, że osobiste nie jest tym samym co ważne. Oczywiście, Vimes również w to wierzył. Miał tylko nadzieję, że kiedy przyjdzie co do czego, zachowa się właściwie. Jednak ktoś, kto nie tylko wierzy, ale i żyje wedle tej zasady, wzbudzał lekki dreszcz. Było to tak niepokojące jak spotkanie z naprawdę ubogim kapłanem.

Oczywiście, należało też pamiętać, że jeśli ktoś schwytał Anguę, to prawdopodobnie nie jej trzeba spieszyć na ratunek.

Ale...

Bogowie tylko wiedzą, co się stanie, jeśli teraz odpłynie. Miasto ogarnął obłęd. Działy się wielkie rzeczy. W takiej chwili każda komórka jego ciała powtarzała, że komendant straży ma Obowiązki...

Zabębnił palcami po biurku. W takiej chwili najważniejsze jest podjęcie właściwej decyzji. Za to mu płacili. Obowiązki...

Powinien zostać tutaj i robić, co tylko możliwe...

Ale... Historia pełna jest kości dobrych ludzi, którzy wykonywali złe rozkazy w nadziei, że potrafią złagodzić cios. Oczywiście, mogli później postępować o wiele gorzej, ale większość problemów zaczynała się właśnie wtedy, kiedy postanawiali wypełniać złe rozkazy.

Przebiegł wzrokiem od Marchewy, przez De-terminarz, na rozsypujące się sterty papierów na biurku.

Niech to demony porwą! Jest łapaczem złodziei! Zawsze będzie łapaczem! Po co się oszukiwać?

– Niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę Ahmedowi uciec do Klatchu! – rzekł, wstając. – Szybki miał statek?

– Tak, ale wyglądał na mocno obciążony.

– Więc może uda się go doścignąć, nim odpłynie za daleko.

Kiedy ruszał do drzwi, przez ułamek sekundy doznał niezwykłego wrażenia, że jest dwoma ludźmi jednocześnie. A to dlatego, że przez krótki ułamek sekundy rzeczywiście był dwoma ludźmi jednocześnie. I obaj nazywali się Samuel Vimes.

Dla historii wybory to jedynie kierunki. Spodnie Czasu otworzyły się nagle i Vimes zaczął pędzić wzdłuż jednej nogawki.

A gdzie indziej Vimes, który podjął inną decyzję, zsunął się w inną przyszłość.

Obaj cofnęli się jeszcze, by zabrać swoje De-terminarze. I wskutek najbardziej niezwykłego z dziwacznych przypadków, całkiem wyjątkowego, w tym decydującym ułamku sekundy obaj chwycili te niewłaściwe.

Czasami lawina uzależniona jest od pojedynczego płątka śniegu. Czasami kamyk zyskuje szansę odkrycia, co mogłoby się stać, gdyby tylko odbił się w innym kierunku.

Magowie w Ankh-Morpork w kwestii druku i ruchomej czcionki prezentowali bardzo stanowczą postawę. Tutaj to się nie zdarzy, mówili. Przypuśćmy, dodawali, że ktoś wydrukuje księgę magiczną, potem rozsypie skład i wykorzysta czcionki na przykład do książki kucharskiej. Metal będzie pamiętał. Zaklęcia to nie tylko słowa, posiadają dodatkowe wymiary istnienia. Będziemy brodzić w gadających sufletach. Poza tym ktoś mógłby wydrukować tysiące takich magicznych ksiąg, z których wiele byłoby czytanych przez ludzi nieodpowiednich.

Gildia Grawerów także sprzeciwiała się drukarstwu. Jest coś czystego, twierdzili, w wygrawerowanej stronicy tekstu. Istnieje jako całość, nieskażona. Członkowie gildii potrafią wykonywać wszelkie prace po bardzo umiarkowanych cenach. Pozwolić ludziom bez kwalifikacji składać razem litery w metalu byłoby dowodem nieposzanowania słów i nic dobrego by z tego nie wynikło.

Jedyna próba założenia drukarni w Ankh-Morpork skończyła się tajemniczym pożarem i samobójczą śmiercią nieszczęsnego drukarza. Wszyscy wiedzieli, że to samobójstwo, gdyż zostawił list pożegnalny. Fakt, że list ten został wygrawerowany na główce szpilki, uznano za szczegół pozbawiony znaczenia.

Patrycjusz również był przeciwny drukowi, ponieważ jeśli ludzie za dużo wiedzą, budzi to w nich niepokój.

Dlatego mieszkańcy Ankh-Morpork opierali się na przekazach ustnych, które działały bardzo efektywnie, ponieważ owe usta znajdowały się bardzo blisko siebie. Wiele z nich tkwiło tuż poniżej nosów członków Gildii Żebraków* – obywateli powszechnie uważanych za w miarę godnych zaufania i dobrze poinformowanych. Niektórych ceniono bardzo wysoko ze względu na sprawozdania sportowe.

Lord Rust spoglądał z uwagą na Drętowego Michaela, mamrotacza II Stopnia.

– I co się działo potem?

Drętwy Michael podrapał się w przegub. Niedawno dostał awans, ponieważ wreszcie udało mu się zarazić oszpecającą, ale nieszkodliwą chorobą skóry.

– Pan Marchewa był tam ze dwie minuty, panie. A potem oni wszyscy wylecieli biegiem, tego, i potem...

– Co za „oni”? – przerwał mu Rust. Z trudem powstrzymał odruch, by także podrapać się w rękę.

– No, był Marchewa i Vimes, i krasnolud, i zombi, i wszyscy, panie. Pobiegli do doków, panie, a Vimes zobaczył kapitana Jenkinsa i powiedział...

– Ach, kapitan Jenkins! Dziś ma pan szczęśliwy dzień.

Kapitan uniósł głowę znad zwijanej właśnie liny. Nikt nie lubi, kiedy mu mówią, że ma dziś szczęśliwy dzień. Takie słowa nie wróżą nic dobrego. Kiedy ktoś tłumaczy, że to szczęśliwy dzień, za chwilę zdarzy się jakieś nieszczęście.

– Naprawdę? – zapytał.

– Tak, ponieważ zyskał pan niezrównaną okazję wspomnienia miasta w wysiłku wojennym!

– Zyskałem?

– A także do zademonstrowania patriotyzmu – dodał Marchewa.

– Także?

– Chcemy pożyczyć pański statek – wyjaśnił Vimes.

– Spływajcie stąd!

– Wolę wierzyć, że jest to jędrne marynarskie powiedzonko, oznaczające „Ależ oczywiście” – odparł Vimes. – Kapitanie Marchewa?

– Sir?

– Proszę wejść z Detrytusem na pokład i zajrzeć za fałszywą ściankę w ładowni.

– Tak jest. – Marchewa ruszył do trapu.

– Nie mam żadnej fałszywej ścianki w ładowni – burknął Jenkins. – I znam prawo! Nie możecie...

Spod pokładu rozległ się trzask pękającego drewna.

– Jeśli to nie była fałszywa ścianka, to nasz Marchewa wybił dziurę w burcie – stwierdził spokojnie Vimes, obserwując kapitana.

– Ee...

– Ja też znam prawo. – Dobył miecza. – Widzisz to? – Uniósł klingę. – To jest prawo wojenne. A prawo wojenne to miecz. Nie miecz obosieczny. Jest tylko jedno ostrze, skierowane w twoją stronę. Znalazłeś coś, Marchewa?

Marchewa wynurzył się z włazu ładowni. W ręku trzymał kuszę.

– Coś podobnego – zdziwił się Vimes. – To mi wygląda na Żmiję model 3, która zabija ludzi, ale nie narusza budynków.

– Są tego całe skrzynie – oznajmił Marchewa.

– Żadne prawo nie... – zaczął Jenkins, ale takim tonem, jakby z jego świata nagle odpadło dno.

– A wie pan, kapitanie, wydaje mi się, że owszem, jest prawo, które w czasie wojny zakazuje sprzedaży broni nieprzyjacielowi – powiedział Vimes. – Oczywiście, mogę się mylić. Wie pan co? – dodał z entuzjazmem. – Może przejdziemy się wszyscy na plac Sator. O tej porze jest tam pełno ludzi, a wszyscy bardzo chętni do wojny i do wiwatowania naszym dzielnym chłopcom... Może spróbujemy ich zapytać? Mówił pan niedawno, że powinienem słuchać głosu ludu. Dziwne, prawda? Spotyka się ludzi pojedynczo i wydają się całkiem przyzwoici, mają działające mózgi... A

potem zbierają się razem i wtedy się słyszy głos ludu. I on warczy.

– To dyktatura tłumu!

– Ależ z pewnością nie. Powiedzmy, że to demokratyczna sprawiedliwość.

– Jeden człowiek, jeden kamień – wtrącił Detrytus.

Jenkins wyglądał jak ktoś, kto się boi, że jego świat odpadnie nagle od dna. Popatrzył na Vimesa, potem na Marchewę, ale nigdzie nie widział ratunku.

– Oczywiście, nas nie musi się pan obawiać – zapewnił Vimes. – Chociaż może się pan potknąć na schodach w drodze do celu.

– Do waszych cel nie idzie się po schodach!

– Schody można zorganizować.

– Proszę, panie Jenkins – odezwał się Marchewa, dobry glina.

– Nie zamierzałem... wywozić... tej broni do... Klatchu – powiedział wolno Jenkins, jakby z najwyższym wysiłkiem odczytywał słowa z wewnętrznego scenariusza. – W rzeczywistości... kupiłem ją, aby... ofiarować...

– Tak? Tak? – zachęcał Vimes.

– ...naszym... dzielnym... chłopcom – dokończył Jenkins.

– Brawo! – zawołał Marchewa.

– I będzie pan szczęśliwy, mogąc...? – odpowiedział Vimes.

– I... będę szczęśliwy, mogąc... użyć mojego statku... dla wspomnienia wysiłku wojennego. – Jenkins zaczął się pocić.

– Prawdziwy patriota – pochwalił go Vimes.

Jenkins wił się.

– Kto wam powiedział, że w ładowni jest fałszywa ścianka? – zapytał. – Zgadywaliście tylko, tak?

– Tak.

– Aha! Wiedziałem, że zgadujecie!

– Patriota i inteligentny... – Vimes pokiwał głową. – A teraz... Jak zrobić, żeby to coś płynęło szybko?

Lord Rust bębnił palcami po blacie.

– Po co on zarekwirował ten statek?

– Nie wiem, panie. – Drętwy Michael poskrobał się po głowie.

– Do diaska! Czy ktoś jeszcze ich widział?

– W porcie nie było zbyt wielu ludzi, panie.

– Dzięki przynajmniej za to skromne błogosławieństwo.

– Tylko ja, Paskudny Stary Ron, Kaczkoman i Ślepy Hugh, Ringo Brwi, Nic z Tego Jose, Krzywy Sidney i ten drań Kapuś, i jeszcze Gwiżdżący Dick i paru innych, panie.

Rust przygarbił się na krześle i bladą dłonią zakrył twarz. W Ankh-Morpork noc miała tysiąc oczu, i dzień podobnie, ale miały też pięćset ust i dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć uszu^{*}.

– Czyli Klatchianie muszą już wiedzieć – rzekł. – Oddział wojsk Ankh-Morpork wyruszył okrętem do Klatchu. Korpus inwazyjny.

– No, trudno ich nazwać... – zaczął porucznik Hornett.

– Klatchianie ich nazwą. Poza tym był z nim troll Detrytus.

Hornett sposepniał. Detrytus sam w sobie tworzył korpus inwazyjny.

– Jakie zarekwirowaliśmy statki? – zapytał lord Rust.

– Mamy już ponad dwadzieścia, sir, jeśli doliczyć „Niezniszczalnego”, „Nieróbstwo” i „Clubę Ankh-Morpork”.

– *Clubę?*

– Obawiam się, że tak, sir.

– To powinno nam umożliwić zabranie ponad tysiąca ludzi i dwustu koni.

– Czemu nie pozwolić Vimesowi odpłynąć? – wtrącił lord Selachii. – Niech Klatchianie się z nim rozprawią i na zdrowie.

– Podarować im zwycięstwo nad wojskami Ankh-Morpork? Oni tak to zinterpretują. Niech demony porwą tego człowieka. Zmusza nas do działania. Chociaż... może to i lepiej. Musimy się zaokrętować.

– Czy jesteśmy całkiem gotowi, sir? – zapytał porucznik Hornett z tą szczególną intonacją, która oznacza „Nie jesteśmy całkiem gotowi, sir”.

– Lepiej, żebyśmy byli. Chwała czeka, panowie. Jak mawiał generał Tacticus, chwyćmy historię za mosnę. Wiadomo oczywiście, że nie zawsze walczył honorowo.

Białe światło słońca rysowało czarne cienie na ścianach pałacu księcia Cadrama. On także miał mapę Klatchu, ułożoną z maleńkich barwnych kafelków na podłodze. Przyglądał się jej w zamyśleniu.

– Tylko jeden okręt? – zapytał.

Generał Ashal, szef jego doradców, pokiwał głową.

– Z tej odległości nasi jasnowidze nie mogą uzyskać wyraźnego obrazu – dodał. – Wydaje się jednak, że jednym z ludzi jest Vimes. Przypominasz sobie, sire, to nazwisko.

– Ach, użyteczny komendant Vimes... – Księżę uśmiechnął się.

– Istotnie. I przez ten czas rozpoczęły się intensywne działania na nabrzeżach. Musimy przyjąć, że wyrusza korpus ekspedycyjny.

– Myślałem, że mamy co najmniej tydzień, Ashalu.

– To rzeczywiście zagadkowe. W żaden sposób nie mogą być przygotowani, sire. Coś musiało się wydarzyć.

Cadram westchnął.

– No cóż, ruszajmy więc tam, gdzie kieruje nas przeznaczenie. Gdzie uderzą?

– Na Gebrę, sire. Jestem tego pewien.

– Nasze najmocniej ufortyfikowane miasto? Z pewnością nie. Tylko idiota próbowałby czegoś takiego.

– Przeprowadziłem dość głębokie studia lorda Rusta, sire. Pamiętaj, że nie spodziewa się walki z naszej strony, więc nie przejmuj się siłą naszych wojsk. – Generał uśmiechnął się. Był to lekki, drwiący uśmieszek. – Oczywiście, atakując nas, piętrzy niesławę na niesławie. Inne kraje nadbrzeżne z pewnością zwrócą na to uwagę.

– A zatem zmieniamy plany. Ankh-Morpork może poczekać.

– Mądre posunięcie, sire. Jak zawsze.

– Jakież wieści o moim nieszczęsnym bracie?

– Niestety żadnych, sire.

– Nasi agenci muszą się bardziej starać. Świat patrzy, Ashalu.

– Zgadza się, sire.

– Sierzancie...

– Słucham, Nobby.

– Niech pan jeszcze coś opowie o naszych wyjątkowych zaletach.

– Nie gadaj, Nobby, tylko pedału.

– Dobra, sierzancie.

W Okręcie było całkiem ciemno. Świeca zwisała ze wspornika nad pochyloną głową Leonarda, który siedział na krześle i sterował za pomocą dwóch dźwigni. Wokół Nobby'ego stukały wielokrążki i grzechotały łańcuchy. Czuł się tak, jakby siedział we wnętrzu maszyny do szycia – i to bardzo wilgotnej. Para kondensowała się na sklepieniu i ściekała nieprzerwaną strugą.

Pedałowali od dziesięciu minut. Przez większą część tego czasu Leonard opowiadał z podnieceniem. Nobby miał wrażenie, że nieczęsto wychodzi. Mówił o wszystkim.

Były na przykład zbiorniki powietrza. Nobby bez oporów przyjął, że powietrze da się ścisnąć do bardzo małych wymiarów, i właśnie takie znajduje się w skrzypiących, jęczących, okutych żelazem beczkach umocowanych do ścian. Dopiero to, co działo się z powietrzem później, naprawdę go zaskoczyło.

– Bąbelki! – oświadczył Leonard. – Znów jak delfiny, rozumiecie? One nie płyną poprzez wodę, ale fruną przez chmurę bąbelków. Co jest o wiele łatwiejsze, ma się rozumieć. Dodałem trochę mydła, co chyba jeszcze pomogło.

– On myśli, że delfiny latają, sierzancie – szepnął Nobby.

– Pedału.

Sierżant Colon zaryzykował szybkie spojrzenie za siebie.

Lord Vetinari siedział na przewróconej skrzynce między stukającymi łańcuchami. Na kolanach rozłożył kilka szkiców Leonarda.

– Proszę sobie nie przeszkadzać, sierżancie – powiedział.

– Tak jest, sir.

Teraz, kiedy oddalili się od miasta, Okręt popłynął szybciej. Przez szklane okienka wpadało nawet do wnętrza trochę przyćmionego światła.

– Panie Leonardzie – odezwał się Nobby.

– Słucham.

– Dokąd płyniemy?

– Jego lordowska mość życzy sobie odwiedzić Leshp.

– No tak. Podejrzewałem, że to będzie coś takiego. Pomyślałem sobie: „Gdzie nie chciałbym się znaleźć?”, i od razu rozbłysła mi w głowie odpowiedź. Tylko że nie wydaje mi się, żebyśmy tam dotarli, a to z takiej przyczyny, że za najwyżej pięć minut odpadną mi kolana...

– Nie, słowo daję, nie będziecie musieli pedałować przez całą drogę – uspokoił go Leonard. – Jak myślicie, po co jest ten wielki świder na dziobie?

– Ten z przodu? Myślałem, że do przewiercania kadłubów wrogich okrętów...

– Co?! – Leonard odwrócił się ze zgrozą. – Zatapiać inne statki? Zatapiać statki? Z ludźmi?!

– No... tak.

– Kapralu Nobbs, jesteście wyjątkowo błędnie rozumującym młodym... człowiekiem. Wykorzystywać Okręt do zatapiania innych okrętów? To by było potworne! Zresztą żaden marynarz nie pomyślałby nawet o takim

niehonorowym działaniu.

– Przepraszam...

– Ten świder, musicie wiedzieć, służy do tego, by mocować nas do przepływających jednostek, na sposób remory, ryby-przyssawki, która przyczepia się do rekinów. Kilka obrotów to wszystko, co potrzebne do stabilnego połączenia.

– Czyli... ktoś mógłby przewiercić się przez kadłub na wylot? – upewnił się Nobby.

– Tylko ktoś, kto jest bardzo niedbałym i wyjątkowo bezmyślnym młodym człowiekiem.

Fale oceanu nie nadają się może do orki, ale na skorupie rzeki Ankh, poniżej miasta, w lecie rosły niekiedy niewielkie krzewy. „Milka” sunęła wolno, zostawiając za sobą bruzdę.

– Nie może pan płynąć szybciej? – zapytał Vimes.

– No pewnie – odparł złośliwie Jenkins. – A gdzie mamy postawić dodatkowy maszt?

– Ich statek to tylko punkcik – zauważył Marchewa. – Dlaczego ich nie doganiamy?

– To większy statek niż mój, dlatego ma coś, co w żargonie technicznym określamy jako „więcej żagli”. A Klatchianie budują łódki naprawdę wąskie. No i jeszcze mamy pełne ładownie...

Urwał, ale było już za późno.

– Kapitanie Marchewa...

– Sir?

– Proszę wyrzucić wszystko za burtę – polecił Vimes.

– Byle nie kusze! One kosztują ponad sto dolarów za sz...

Jenkins zamilkł. Wyraz twarzy komendanta bardzo wyraźnie mówił, że bardzo wiele rzeczy można wyrzucić za burtę i rozsądnym posunięciem byłoby nie znaleźć się wśród nich.

– Proszę iść i ciągnąć sobie za jakieś liny, panie Jenkins – powiedział.

Patrzył, jak kapitan odchodzi, tupiąc gniewnie. W chwilę później coś chlupnęło głośno. Vimes spojrzał przez burtę; zobaczył skrzynię, która kołysała się przez chwilę na powierzchni, nim zatonała. Łapacz złodziei... tak go nazwał Rust. To miała być obelga, ale w rzeczywistości było całkiem trafnym określeniem. Kradzież to jedyne przestępstwo, czy łupem pada złoto, niewinność, ziemia czy życie. A dla łapacza złodziei liczy się pościg...

Chlupnęło jeszcze kilka razy. Vimesowi zdawało się, że statek ruszył szybciej.

...pościg. Bo pościg jest o wiele prostszy od schwytania. Kiedy już się kogoś złapie, wszystko się komplikuje. Pościg jest czysty i swobodny. O wiele lepszy od grzebania w śladach i gapienia się na notatki. On ucieka, ja gonię. Proste.

Terier Vetinariego, tak?

– Bingely bingely biip! – odezwała się jego kieszeń.

– Nie mów – powiedział Vimes. – To pewnie coś w rodzaju „Siedemnasta zero zero. Na morzu”. Tak?

– No... nie – odparł De-terminarz. – Mam tu zapisane „Gwałtowna kłótnia z lordem Rustem”, Tu-Wstaw-Swoje-Imię.

– Czy nie powinienes mi mówić, co zrobić? – spytał Vimes, otwierając pudełko.

– Eee... Co powinienes robić – odparł demon, wyraźnie bardzo

zmartwiony. – Powinieneś. Nie rozumiem tego... hm... Mam wrażenie, że coś się bardzo nie zgadza.

Angua zaprzestała prób przetarcia obroży o wręgę. I tak nic to nie dawało, a srebro naciskające na skórę mroziło ją i parzyło równocześnie.

Poza tym – choć srebrna obroża na wilkołaku była całkiem poważnym „tym” – traktowano ją dobrze. Zostawili jej miskę z jedzeniem – drewnianą – i pozwoliła swej wilkołaczej części jeść, gdy część ludzka zamknęła oczy i zatkała nos. Dostała też wodę, całkiem świeżą jak na standardy Ankh-Morpork. W każdym razie widziała przez nią dno naczynia.

Trudno jej było myśleć w wilczej postaci. To jakby po pijanemu otwierać zamek w drzwiach – możliwe, ale trzeba się koncentrować na każdym ruchu.

Rozległ się jakiś dźwięk. Zastrzygła uszami.

Coś raz czy dwa razy stuknęło od dołu w kadłub. Miała nadzieję, że to rafa. To by oznaczało... możliwe, że ląd... Przy odrobinie szczęścia mogłaby dopłynąć do brzegu...

Brzęknęło... Zapomniała o łańcuchu. Zresztą właściwie nie był potrzebny. Czuła się słaba jak kociak.

Usłyszała rytmiczny odgłos, jakby coś wgryzało się w drewno.

Małeńkie metalowe ostrze przebiło się przez dno tuż przed jej nosem i wysunęło na cał.

I ktoś zaczął mówić. Głosy wydawały się odległe i zniekształcone, być może tylko wilkołak potrafił je usłyszeć, ale gdzieś pod łapami naprawdę rozbrzmiewały słowa.

– ...możecie już nie pedałować, kapralu Nobbs.

– Jestem wykończony, sierzancie. Jest coś do jedzenia?

– Jest jeszcze ta kielbasa czosnkowa. Albo ser. Albo zimna fasola.

– Siedzimy w puszcze bez powietrza i mamy jeść ser? Nie chce nawet wspominać o fasoli.

– Bardzo mi przykro, panowie. Spieszyliśmy się i musiałem zabrać żywność, która się nie psuje.

– Tyle że robi się tu trochę... duszno, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

– Jak tylko się ściemni, – wypuszczę linę; potem możemy się wynurzyć i wziąć powietrze.

– Byle pozbyć się tego, które już mamy. O to tylko mi chodzi.

Angua zmarszczyła czoło, próbując coś z tego zrozumieć. Głosy były znajome. Choć stłumione, potrafiła rozpoznać tony. Przez mgły zwierzęcego umysłu przebijało niejasne wrażenie: przyjaciele.

Imiona. Niektóre z tych głosów miały... imiona.

Myślenie stawało się coraz trudniejsze – srebro działało. Ale jeśli przestanie myśleć, może zapomnieć, jak znowu zacząć.

Patrzyła na metalowy szpic. Metal... z ostrymi krawędziami.

Małeńka ludzka część jej mózgu wściekała się na wilczy mózg, próbując zmusić go do zrozumienia, co ma robić.

Było już po północy.

Marynarz z posterunku obserwacyjnego ukląkł przed 71-godzinny Ahmedem i zadrżał.

– Wiem, co widziałem, wali – jęknął. – I inni też widzieli. Coś wynurzyło się za statkiem i zaczęło nas ścigać. Potwór!

Ahmed zerknął na kapitana, który wzruszył ramionami.

– Któż wie, *wali*, co spoczywa na morskim dnie?

– Jego oddech... – jęczał marynarz. – Z rykiem wypuścił dech niczym smród tysiąca wychodków. A potem przemówił!

– Doprawdy? – zdziwił się Ahmed. – To niezwykle. Co powiedział?

– Nie rozumiałem. – Marynarz wykrzywił twarz, próbując ułożyć w głowie obce sylaby. – Brzmiało to jak... – Przełknął ślinę i dokończył: – „Na bogów, lepsze było wylatując, niż kiedy wlatywało, sierzancie”.

– I co te słowa dla ciebie znaczyły?

– Nie wiem, *wali*.

– Nie spędziłeś chyba zbyt długiego czasu w Ankh-Morpork?

– Nie, *wali*.

– Wracaj zatem na stanowisko.

Marynarz odszedł chwiejnym krokiem.

– Straciliśmy szybkość, *wali* – stwierdził kapitan.

– Może potwór morski chwycił nas za kil?

– Bawią cię te żarty, panie. Ale kto może zgadnąć, co rozbudziło wypłynięcie nowego lądu?

– Muszę sam to zobaczyć – uznał 71-godzinny Ahmed.

Przeszedł samotnie na rufę. Ciemne wody pluskały i chlupotały; lśniły fosforyzująco na obrzeżach kilwateru.

Patrzył długo. Ludzie, którzy nie potrafią obserwować, nie przetrwają długo na pustyni, gdzie cień w blasku księżyca może być po prostu cieniem

albo kimś, kto skłonny jest pomóc człowiekowi w drodze do raju. D'regowie natrafiali na wiele cieni tej drugiej odmiany.

Sami siebie nie nazywali D'regami, choć ostatnio zwykle przyjmowali to określenie z dumą. Słowo to oznaczało „wroga”. Wroga wszystkich. A jeśli w pobliżu nie znalazł się nikt inny, byli wrogami dla siebie nawzajem.

Kiedy się skoncentrował, mógł odnieść wrażenie, że około pięćdziesięciu sążni za statkiem widzi jakiś ciemny kształt, niewiele wystający ponad wodę. Fale łamały się tam, gdzie nie powinno być fal. Wyglądało to, jakby za statkiem płynęła rafa.

No, no...

71-godzinny Ahmed nie był zabobonny. Był za to przedbobonny, co stawiało go w szeregach mniejszości wśród ludzi. Nie wierzył w prawdy, w które wierzyli wszyscy inni, a które mimo to nie były prawdziwe. Wierzył za to w prawdy, które są prawdziwe, chociaż w nie nikt inny nie wierzy. Wiele istnieje takich przedbobonów, od „Szybciej się zagoi, jeśli nie będziesz w tym grzebał” aż po „Pewne rzeczy zwyczajnie się zdarzają”.

W tej chwili nie był skłonny uwierzyć w morskie potwory, zwłaszcza takie, które mówią językiem Ankh-Morpork. Wierzył jednak, że wiele jest na świecie zjawisk, o których nic nie wie.

W oddali widział światła innego statku. Chyba ich nie doganiał.

Ten statek niepokoił go o wiele bardziej.

71-godzinny Ahmed sięgnął w ciemności ponad ramieniem i ścisnął w dłoni rękojeść miecza.

Ponad nim skrzypiał na wietrze główny żagiel.

Sierżant Colon wiedział, że oto nadeszła jedna z najbardziej niebezpiecznych chwil w jego karierze.

Nic nie mógł poradzić. Nie miał żadnych możliwości.

– Eee... Jeżeli dodam to L i to A, i to M, i to drugie A – powiedział, a potłuszczał mu po różowych policzkach – mogę wykorzystać to P i ułożyć „lampa”... A to mi daje... Jak nazywasz te niebieskie kwadraty, Len?

– To kwadrat Trzy Razy Wartość Tej Litery – wyjaśnił Leonard z Quirnu.

– Znakomicie, sierżancie – pochwalił Vetinari. – Wydaje mi się, że objął pan prowadzenie.

– No... wydaje mi się, że faktycznie, panie – pisnął sierżant Colon.

– Jednakże stwierdzam, że pozostawił mi pan możliwość wykorzystania moich N, I, E oraz R, Ó, W, N, Y – ciągnął Patrycjusz – co przypadkiem pozwala mi zająć ten kwadrat Trzy Razy Całe Słowo i, jak sądzę, daje wygraną.

Sierżant Colon osunął się z ulgą.

– Znakomita gra, Leonardzie – pochwalił Vetinari. – Mówiłeś, że jak się nazywa?

– Nazwałem ją Grą Budowania Słów z Liter, które Zostały Całkiem Pomieszane, panie.

– A tak. Oczywiście. Bardzo sprytnie.

– Hm... a ja mam trzy punkty – wymamrotał Nobby. – I to były zupełnie dobre słowa, których nie pozwoliliście mi ułożyć.

– Jestem pewien, że dżentelmeni nie chcieliby znać tych słów – stwierdził surowo Colon.

– Miałbym dziesięć punktów za X.

Leonard uniósł głowę.

– Dziwne. Mam wrażenie, że się nie poruszamy.

Sięgnął do góry i otworzył właz. Do wnętrza wlało się wilgotne nocne powietrze, a wraz z nim głosy, dość bliskie i rozbrzmiewające donośnie, jak zwykle głosy niosące się nad wodą.

– Barbarzyńskie klatchiańskie gadanie – burknął Colon. – O czym oni bełkoczą, panie?

– „Co za bratanek wielbłąda poprzecinał takielunek?” – powiedział Vetinari. – „Nie tylko liny, popatrzcie na żagiel... Niech który pomoże...”

– Nie wiedziałem, że znasz klatchiański, panie.

– Ani słowa – zapewnił lord Vetinari.

– Ale przecież...

– Wcale nie – oświadczył chłodno.

– No... dobrze...

– Gdzie jesteśmy, Leonardzie?

– No więc, tego... Moje gwiazdne mapy są nieaktualne, oczywiście, ale jeśli zechcesz poczekać do wschodu, to wynalazłem aparat do ustalania pozycji w stosunku do słońca oraz skonstruowałem dostatecznie precyzyjny zegar...

– Gdzie jesteśmy teraz, Leonardzie?

– No... myślę, że pośrodku Okrągłego Morza.

– W samym środku?

– Całkiem blisko, moim zdaniem. Jeśli tylko uda mi się zmierzyć prędkość wiatru...

– W takim razie Leshp powinien znajdować się w pobliżu?

– Tak. Trzeba...

– Dobrze. Odczep nas zatem od tego najwyraźniej unieruchomionego statku, póki wciąż jeszcze mamy osłonę ciemności, a rano chciałbym obejrzeć tę kłopotliwą wyspę. Tymczasem zaś proponuję, żebyśmy wszyscy trochę się przespali.

Sierżant Colon nie spał dobrze. Po części dlatego, że kilkakrotnie budziło go piłowanie i stuki z przedniej części Okrętu, po części zaś dlatego, że woda kapła mu na głowę. Głównie jednak z tego powodu, że przerwa w fizycznym wysiłku sprawiła, iż zaczął rozważać swoje położenie.

Czasami otwierał oczy i widział zgarbioną nad rysunkami Leonarda wychudzoną sylwetkę w blasku świecy. Patrycjusz czytał, robił notatki...

Colon znalazł się w bliskim sąsiedztwie człowieka, którego bała się nawet Gildia Skrytobójców, innego człowieka, skłonnego nie spać całą noc, by wynaleźć budzik, który zbudzi go rankiem, oraz człowieka, który nigdy świadomie nie zmienił bielizny.

I w dodatku znalazł się na morzu.

Spróbował dojrzeć jasne strony tej sytuacji. Jaki był główny powód jego nienawiści do łodzi? Fakt, że tonęły, prawda? Ale ta miała tonięcie wbudowane od samego początku, prawda? I nie musiał oglądać rozkołysanych fal, bo wiedział, że są już nad nim.

Wszystko to było logiczne. Tyle że wcale nie dodawało otuchy.

Kiedy obudził się znowu, usłyszał dobiegające z drugiego końca Okrętu słabe głosy.

– ...nie rozumiem, panie. Dlaczego oni?

– Robią, co im się każe, skłonni są wierzyć w ostatnie zdanie, jakie usłyszeli, nie są dość bystrzy, by zadawać pytania, i posiadają pewną niewzruszoną lojalność, dostępną tym, których nie obciąża zbytnio inteligencja.

– Chyba rzeczywiście, panie.

– Tacy ludzie są cenni, możesz mi wierzyć.

Sierżant Colon przewrócił się na drugi bok i spróbował ułożyć się wygodniej. Dobrze, że nie jestem jednym z tych biedaków, pomyślał, zapadając w sen na łonie głębin. Jestem człowiekiem o wyjątkowych zaletach.

Vimes potrząsnął głową. W mroku ledwie dostrzegał światło rufowe klatchiańskiego statku.

– Doganiamy ich? – zapytał.

Kapitan Jenkins przytaknął.

– To możliwe. Wiele jest morza między nami.

– Czy na pewno wszystkie zbędne ładunki zostały wyrzucone za burtę?

– Tak! Chce pan jeszcze, żebym zgolił brodę?

Nad brzegiem ładowni pojawiła się twarz Marchewy.

– Wszyscy już ułożeni, sir.

– Dobrze.

– Ja też się wyciągnę na parę godzin, sir, jeśli to panu nie przeszkadza.

– Słucham, kapitanie?

– Położę się, sir.

– Ale... ale... – Vimes skinął w stronę ciemniejącego horyzontu. – Przecież ścigamy twoją dziewczynę! Między innymi – dodał.

– Tak, sir.

– Więc czy nie jesteś... To znaczy, jak możesz... chcesz... Kapitanie, chcecie teraz się zdrzemnąć?

– Żeby być wypoczęty, jak ich już dogonimy. Tak jest, sir. Gdybym przez całą noc patrzył tylko i się martwił, byłbym raczej mało użyteczny, kiedy ich złapiemy, sir.

To było rozsądne. Naprawdę rozsądne. Oczywiście, że rozsądne. Marchewa rzeczywiście usiadł i rozsądnie sobie wszystko przemyślał.

– I potrafisz jakoś zasnąć? – zapytał Vimes słabym głosem.

– O tak. Jestem to winien Angui.

– Aha. Cóż... w takim razie dobranoc.

Marchewa zniknął w ładowni.

– Wielkie nieba – szepnął Jenkins. – Czy on jest prawdziwy?

– Tak.

– No bo... czy pan też wałnąłby w kimono, gdybyśmy pańską damę gonili na tamtym statku?

Vimes nie odpowiedział.

Jenkins parsknął drwiąco.

– Chociaż gdyby tam była lady Sybil, bardziej by się zanurzał...

– Uważaj, co... co na morzu. Żebyśmy nie wpadli na jakieś piekielne wieloryby albo coś innego – odparł Vimes i przeszedł na ostrzejszy koniec statku.

Marchewa, myślał. Gdyby ktoś go nie znał, toby nie uwierzył...

– Zwalniają, panie Vimes! – zawołał Jenkins.

– Co?

– Wydaje mi się, że zwalniają!

– Dobrze.

– A co chcecie zrobić, jak już ich dogonimy?

– No... – Właściwie to Vimes się nad tym nie zastanawiał. Ale dobrze pamiętał każdy marny drzeworyt, jaki kiedyś oglądał w książce o piratach. – Może przeskoczmy do nich na linach z jataganami w zębach? – zaproponował.

– Naprawdę? – zdziwił się Jenkins. – To dobre. Od lat nie widziałem, żeby ktoś to robił. Szczerze mówiąc, widziałem, jak ktoś to robił, tylko raz.

– Tak?

– Tak. Jakiś młody zobaczył to w książce, więc przeskoczył na wanty drugiego statku z jataganem trzymanym w zębach, tak jak pan mówi.

– I co?

– Napisaliśmy mu na trumnie: Harry Bez Czubka.

– Och...

– Nie wiem, czy oglądał pan kiedy jajko na miękko, kiedy weźmie pan nóż i...

– Dobrze, już rozumiem. A co pan sugeruje?

– Kotwiczki. Nie ma nic lepszego. Rzuca się je na drugi statek, tam się zaczepiają i po prostu ciągnie się je do siebie.

– A ma pan kotwiczki?

– O tak. Widziałem parę nawet dzisiaj.

– Dobrze. W takim razie...

– O ile pamiętam – ciągnął nieubłagane Jenkins – było to wtedy, kiedy pański sierżant Detrytus wyrzucał towar za burtę i zapytał: „A co zrobić z tymi wygiętymi, hakowatymi rzeczami?”. Ktoś inny, nie pamiętam w tej chwili imienia, odpowiedział mu: „Tylko obciążają statek; rzucaj do wody”.

– Dlaczego pan nic nie mówił?

– Bo jakoś nie miałem ochoty. Tak dobrze wam szło.

– Niech pan mnie nie denerwuje, kapitanie. Bo każę pana zakuć w żelaza.

– Nie, tego pan nie robi, i zaraz panu powiem, dlaczego. Po pierwsze dlatego, że kiedy kapitan Marchewa powiedział „Te łańcuchy, sir... Co mam z nimi zrobić?”, pan...

– Niech no pan posłucha...

– ...a po drugie, myślę sobie, że w ogóle się pan nie zna na statkach, jakież to smutne... My nie zakuwamy ludzi w żelaza, tylko bierzemy ich w łańcuchy. Wie pan, jak się splata grotabras? Bo ja nie. Całe to johoho nadaje się tylko dla szczurów lądowych, gdybyśmy w ogóle używali takiego określenia jak „szczur lądowy”. Zna pan różnicę między sterburtą a bekburtą? Ja nie znam. Nigdy nawet nie piłem sterburty. I żagle w łopoty!

– Czy nie raczej „żagle w łopot”?

– Byłem chory. – Jenkins zakręcił kołem sterowym. – W dodatku wieje niezły wiatr, a ja i moja załoga wiemy, jakie pociągać sznurki, żeby te duże prostokątne kawałki płótna działały jak należy. Gdyby pańscy ludzie tego spróbowali, szybko by pan odkrył, jak daleko jest do lądu.

– A jak daleko jest do lądu?

– W tym miejscu jakieś trzydzieści sążni.

Światła drugiego statku były wyraźnie bliższe.

– Bingely bingely biip!

– Niech mnie... Czego teraz chcesz? – burknął Vimes.

– Godzina dwudziesta... Eee... Uniknięcie cudem zamachu klatchiańskiego szpiega?

Vimes zeszywniał. Rozejrzał się nerwowo.

– Gdzie?

– Róg Browarnej i Broad-Wayu – odpowiedział śpiewnie demon.

– Przecież mnie tam nie ma!

– No to jaki jest sens spotkania w tamtym miejscu? Po co w ogóle się staram? Mówiłeś, że chcesz wiedzieć, co powinienes...

– Przecież nikt nie umawia się na spotkanie po to, żeby go zamordowali!

Demon zamilkł na chwilę, po czym zapytał drżącym głosem:

– Uważasz, że powinienem to umieścić na liście twoich zadań do wykonania?

– Znaczy: „Zadanie na dziś: zginąć”? Tak?

– Nie musisz się na mnie złościć tylko dlatego, że nie jesteś we właściwej linii czasowej!

– A to niby co ma znaczyć?

– Aha! Wiedziałem, że nie przeczytałeś instrukcji! Rozdział xvii-2(c) wyraźnie poucza, że trzymanie się własnej rzeczywistości jest bardzo istotne, w przeciwnym razie zasada nieoznaczoności mówi...

– Zapomnij, że pytałem, dobrze?

Vimes spojrzał gniewnie na Jenkinsa, a potem na odległy statek.

– Załatwimy to po mojemu. I nieważne, gdzie, u demona, jesteśmy – rzekł.

Podszedł do ładowni i ściągnął na bok pokrywę wjazdu.

– Detrytus!

Klatchiańscy marynarze walczyli z żaglem, do wtóru krzyków kapitana.

71-godzinny Ahmed nie krzyczał. Stał tylko z mieczem w dłoni i patrzył.

Podbiegł kapitan. Drżąc ze strachu, pokazał kawałek liny.

– Widzisz, *wali*? – zawołał. – Ktoś ją przeciął!

– A któż mógłby zrobić coś takiego? – zapytał cicho 71-godzinny Ahmed.

– Nie wiem, ale jeśli go złapię...

– Psy już nas prawie dopadły – przerwał mu Ahmed. – Ty i twoi ludzie musicie pracować szybciej.

– Kto mógł to zrobić? – zastanawiał się kapitan. – Byłeś tutaj, *wali*, jak mogli... – Jego spojrzenie przebiegło od przeciętej liny do miecza.

– Czy jest coś, co pragnąłbyś jeszcze powiedzieć? – zapytał Ahmed.

Kapitan nie osiągnął swej obecnej pozycji dzięki głupocie. Odwrócił się.

– Wciągać ten żagiel natychmiast, wy parszywe psie syny! – wrzasnął.

– Dobrze – pochwalił go 71-godzinny Ahmed.

Kusza Detrytusa była oryginalnie machiną oblężniczą z trzyosobową załogą. On jednak wyrzucił kołowrót jako zbędną komplikację i napinał ją ręcznie. Zwykle sam widok trolla, odciągającego jednym palcem cięciwę, wystarczał, by nawet zatwardziały przestępców skłonić do kapitulacji.

Teraz Detrytus spojrzał z powątpiewaniem na dalekie światło.

– Szansa jedna na milion – stwierdził. – Trza bliżej.

– Traf tylko poniżej linii wodnej, żeby nie mogli odciąć liny – powiedział Vimes.

– Dobra. Dobra.

– Jakiś problem, sierżancie?

– Płyniemy do Klatchu, nie?

– No, w tamtym kierunku, owszem.

– Tylko że... zrobię się całkiem gupi w Klatchu, przez ten cały gorąc, nie?

– Mam nadzieję, Detrytus, że zatrzymamy ich, zanim tam dopłyniemy.

– Nie chcę być gupi. Wiem, co ludzie gadają: troll Detrytus, tępą jak...

– ...ceglany sandwicz... – mruknął Vimes, wpatrując się w światło.

– No. Tylko że słyszałem, że na pustyni się robi bardzo strasznie gorąco...

Wyglądał tak żałośnie, że Vimes pocieszająco klepnął go po ramieniu.

– Więc zatrzymajmy ich zaraz, co? – powiedział, potrząsając dłonią, bo zabolą.

Ścigany statek był już tak blisko, że na pokładzie widzieli pracujących gorączkowo marynarzy. Główny żagiel wydymał się w świetle lamp.

Detrytus uniósł kuszę.

Kula niebieskozielonego światła rozjarzyła się na grocie strzały. Troll wytrzeszczył oczy.

Zielony płomień zbiegł po maszcie, a kiedy dotarł do podstawy, rozprysnął się na dziesiątki zielonych kul, które trzaskając i sypiąc iskrami, toczyły się po pokładzie.

– To magia? – spytał Detrytus.

Zielony płomień skwierczał głośno na jego hełmie.

– Co to takiego, Jenkins? – zapytał Vimes.

– To nie jest magia! To gorsze niż magia! – odparł kapitan i pobiegł na dziób. – Do roboty, chłopaki! Zrzucać mi te żagle, ale już!

– Zostawcie je na miejscu! – krzyknął Vimes.

– Wie pan, co to jest?

– Nawet zem nie poczuł, że ciepłe – stwierdził Detrytus, dżgając płomień na kuszy.

– Nie dotykaj tego! Nie dotykaj! To ognie świętego Ungulanta! Oznaczają, że wkrótce zginiemy w straszliwym sztormie!

Vimes uniósł wzrok. Chmury pędziły po... nie, raczej wylewały się na niebo w wielkich, poskręcanych kłębach, jak gdyby ktoś lał do wody atrament. Między nimi rozbłyскиwało błękitne światło. Statek szarpnął.

– Słuchajcie, musimy zrzucić trochę żagli! – krzyczał Jenkins. – To jedyny sposób...

– Niech nikt niczego nie rusza! – huknął Vimes. Zielone ognie sunęły teraz po wierzchołkach fal. – Detrytus, aresztujesz każdego, kto spróbuje czegoś dotykać!

– Dobra!

– Chcemy przecież płynąć szybciej – wyjaśnił Vimes, przekrzykując szum fal i daleki łoskot gromów.

Jenkins rozdziawił usta. Pokład skoczył im pod nogami.

– Oszalałeś! Masz pojęcie, co się dzieje ze statkiem, który próbuje... Nie, nie masz żadnego pojęcia, co? To nie jest zwyczajna burza! Trzeba płynąć ostrożnie! Nie da się żeglować przed jej frontem!

Coś śliskiego spadło Detrytusowi na głowę, odbiło się na pokład i próbowało odpełznąć.

– A teraz pada rybami! – jęknął Jenkins.

Chmury tworzyły żółtą mgłę, bez przerwy rozjaśnianą błyskawicami. I zrobiło się ciepło. To chyba było najdziwniejsze. Wiatr wył jak worek pełen kotów, a fale tworzyły wysokie ściany po obu stronach statku, ale powietrze było ciepłe jak z piekarnika.

– Patrzcie, nawet Klatchianie refują żagle! – zawołał Jenkins wśród deszczu krewetek.

– Dobrze! Dogonimy ich!

– Wariat! Auuc!

Coś twardego odbiło mu się od kapelusza, uderzyło o burtę i potoczyło się Vimesowi do stóp.

Była to mosiężna gałka.

– Och, nie! – załkał Jenkins, osłaniając głowę rękami. – Znowu te przeklęte łóżka!

Kapitan klatchiańskiego statku, jeśli znalazł się w pobliżu 71-godzinnego Ahmeda, nie był człowiekiem kłótliwym. Patrzył tylko na trzeszczące żagle i obliczał swoje szanse trafienia do raju.

– Może ten pies, który odciął żagiel, zrobił nam przysługę! – zawołał, przekrzykując wichurę.

Chwilowe rozbłyski wyładowań ukazywały za rufą rozjarzony zielonym blaskiem statek. Ahmed spojrzał na zimny ogień spływający z ich własnych masztów.

– Czy widzisz to światło na samej granicy płomieni? – zapytał.

– Panie...?

– Widzisz czy nie?

– No... nie.

– Oczywiście, że nie możesz zobaczyć. Ale czy widzisz, gdzie światła nie ma?

Kapitan posłusznie raz jeszcze się przyjrzał. Kiedy syczące zielone płomienie falowały na wietrze, zdawało się, że obramowane są... jakby ciemnością, ruchomą czarną dziurą w przestrzeni.

– To okulary! – krzyknął Ahmed, gdy kolejna fala przełała się na pokład. – Tylko magowie mogą ją zobaczyć! W tej burzy jest magia! Dlatego pogoda jest taka fatalna!

Statek zajęczał na wszystkich spojeniach, kiedy znowu uderzył w fale.

– Wyskakujemy z wody! – szlochał Jenkins. – Przelatujemy tylko od szczytu do szczytu!

– Dobrze! Nie będzie tak huśtać! – zawołał Vimes. – Powinniśmy teraz przyspieszyć, kiedy już wyrzuciliśmy łóżka za burtę! Często pada tu łózkami?

– A jak myślisz?

– Nie jestem człowiekiem morza!

– Nie! Deszcze łózek nie są codziennym zjawiskiem! Ani węglarek! – dodał Jenkins, kiedy coś czarnego uderzyło o reling i spadło do wody. – Zwykle mamy tu normalne opady! Deszcz! Śnieg! Grad! Ryby!

Kolejny szkwał dmuchnął nad rozkołysanym statkiem, i nagle cały pokład pokrył się błyszczącym srebrem.

– Wracamy do ryb! – krzyknął Vimes. – To chyba lepiej?

– Nie! Gorzej!

– Czemu?

Jenkins podniósł puszkę.

– Bo to sardynki!

Statek opadł na następną falę, stęknął i wzleciał ponownie.

Zimny, zielony ogień był wszędzie. Każdy gwóźdź w pokładzie strzelał zielonym płomieniem, każdą linę czy drabinkę otaczała zielona obwódka.

Vimesa ogarnęło nagle uczucie, że ten ogień trzyma statek w całości. Wcale nie był przekonany, że to tylko światło. Płomienie przemieszczały się nazbyt celowo. Skwierczały, ale nie parzyły. Zupełnie jakby miały świetną zabawę...

Statek wylądował. Woda przelała się nad Vimesem.

– Kapitanie Jenkins!

– Słucham?

– Po co się bawimy tym kołem? Przecież ster nie sięga wody!

Puścili. Szprychy zamigotały przez moment, a potem znieruchomiały, kiedy oplótł je ogień.

Potem zaczęły padać ciastka.

Strażnicy usiłowali poukładać się wygodnie w ładowni, mieli jednak spore trudności. Przede wszystkim nie było żadnego obszaru podłogi, który w pewnym momencie każdych dziesięciu sekund nie stawał się obszarem ściany.

Mimo to ktoś chrapał.

– Jak ktokolwiek może spać w takich warunkach? – odezwał się Reg Shoe.

– Kapitan Marchewa może – wyjaśniła Cudo.

Stukała w coś toporem.

Marchewa wklinał się w kąt. Od czasu do czasu mamrotał cicho i zmieniał pozycję.

– Jak dziecko. Nie mam pojęcia, jak mu się to udaje – powiedział Reg. – Lada chwila ta łódź się rozleci.

– Tak, ale to cię chyba nie martwi, nie? – zapytał Detrytus. – Z takiego powodu, że i tak nie żyjesz.

– Co z tego? Skończę na dnie morza, po kolana w odchodach wielorybów. I będzie mnie czekać długi spacer do domu, w ciemnościach. Że nie wspomnę nawet, jakie będę miał kłopoty, jeśli jakiś rekin spróbuje mnie zjeść.

– Nie lękam się – wtrącił funkcjonariusz Wizytuj. – Według Testamentu Mezereka, rybak Nonpo spędził cztery dni w brzuchu ogromnej ryby.

Nastało milczenie i grom wydał się niezwykle głośny.

– Kocioł, mowa tu o cudzie? – upewnił się w końcu Reg. – Czy tylko o bardzo powolnym procesie trawiennym?

– Lepiej byś uczynił, martwiąc się o stan swojej duszy nieśmiertelnej, niż robiąc sobie żarty – odparł surowo funkcjonariusz Wizytuj.

– Właściwie to martwi mnie raczej stan mojego nieśmiertelnego ciała.

– Mam tutaj ulotkę, która przyniesie ci znaczną...

– Kocioł, czy jest dość duża, żeby z niej zrobić stateczek, który nas wszystkich uratuje?

Funkcjonariusz Wizytuj wykorzystał okazję.

– Aha. Tak, metaforycznie rzecz ujmując, jest...

– Czy ten statek nie ma szalupy ratunkowej? – wtrąciła pośpiesznie Cudo.
– Jestem pewna, że ją widziałam, kiedy wchodziliśmy na pokład.

– Tak... szalupa... – mruknął Detrytus.

– Ktoś chce sardynkę? – zaproponowała krasnoludka. – Udało mi się otworzyć puszkę.

– Szalupa... – powtórzył Detrytus. Mówił jak ktoś odkrywający niemiłą prawdę. – Takie coś... dużego ciężkiego, co by nas spowalniało...?

– Tak. Widziałem ją, na pewno – oświadczył Reg.

– Tak... Była taka... – przyznał Detrytus. – To szalupa, tak?

– A już przynajmniej powinniśmy dopłynąć w jakieś osłonięte miejsce i rzucić kotwicę.

– Tak... kotwica – mruczał Detrytus. – To takie duże coś z takimi niby-hakami, tak?

– Oczywiście.

– Ciężkie coś?

– Naturalnie!

– Dobra. I... no... gdyby ktoś ją rzucił już dawno, z powodu, że była ciężka, to pewnie teraz nic by nie pomogło?

– Niespecjalnie.

Reg wyjrzał z ładowni. Niebo pokrywał przecinany ognistymi zygzakami brudnożółty dywan. Gromy huczały bez przerwy.

– Ciekawe, jak nisko spadł barometr – powiedział.

– Na samo dno – odparł ponuro Detrytus. – Możesz mi wierzyć.

Ostrożne otwieranie drzwi leżało w naturze D'regów. Zwykle po drugiej stronie stał wróg. Wcześniej czy później.

Zobaczył obrożę. Leżała na podłodze tuż obok niewielkiej fontanny wody, ciurkającej z kadłuba. Zaklął cicho.

Odczekał chwilę, a potem szybko pchnął drzwi. Stuknęły o ścianę.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy – powiedział do mroku zęzy. – Gdybym miał taki zamiar, już byś...

Żałowała, że nie użyła formy wilka. Z wilkiem nie miałyby żadnych kłopotów – ale to właśnie był główny kłopot. Łatwo by wygrała, lecz potem byłaby nerwowa i wystraszona. Człowiek potrafi to opanować. Wilk niekoniecznie. Reagowałaby błędnie, panicznie, zwierzęco...

Popchnęła go mocno, zeskakując na podłogę znad drzwi, przekoziółkowała w tył, zatrzasnęła kajutę i przekręciła klucz.

Miecz przebił deski jak gorący nóż ciepły smalec.

Ktoś syknął tuż obok. Odwróciła się i zobaczyła dwóch ludzi trzymających sieć. Zarzuciliby ją na wilka. Ale nie spodziewali się nagiej

kobiety. Nieoczekiwane pojawienie się nagiej kobiety zawsze skłania do przemyślenia najbliższych planów.

Kopnęła obu, mocno, i pobiegła w przeciwnym kierunku. Otworzyła pierwsze z brzegu drzwi, wpadła do środka i zatrzasnęła je za sobą.

To była kajuta z psami. Poderwały się, otworzyły pyski... i opadły znowu. Wilkołak posiada znaczną władzę nad innymi zwierzętami, niezależnie od formy, jaką przybrał. Co prawda jest to głównie władza nakazująca im kulić się i wyglądać na niejadalne.

Przebiegła obok psów i szarpnęła zasłonę nad koją.

Leżący tam mężczyzna otworzył oczy. Był Klatcianinem, ale bladym z bólu i osłabienia. Miał cienie pod oczami.

– Ach, umarłem – powiedział. – Umarłem i trafiłem do raju. Czy jesteś *houri*?

– Nie mam ochoty słuchać takich wyrażań, bardzo dziękuję – odparła Angua. Wypraktykowanym ruchem rozdarła zasłonę na dwie części.

Miała niewielką przewagę nad męskimi wilkołakami – nagie kobiety rzadziej powodowały narzekania. Niestety, otrzymywały czasem bardzo stanowcze propozycje. Jakies okrycie było więc niezbędne dla zachowania skromności i uniknięcia niewygodnych awansów. Dlatego przygotowanie prowizorycznego ubrania z czegokolwiek, co znalazło się pod ręką, stanowiło jedną z mniej znanych, ale ważnych umiejętności wilkołaków.

Angua znieruchomiała. Dla niewprawnego oka wszyscy Klatchianie wyglądają tak samo, lecz w końcu dla wilkołaka wszyscy ludzie też wyglądają tak samo – apetycznie. Ale ona umiała rozróżniać.

– Jesteś księciem Khufurahem?

– Tak. A ty...?

Ktoś kopniakiem otworzył drzwi. Angua skoczyła do okna i odrzuciła na bok sztabę blokującą okiennice. Strumień wody chlusnął do kajuty, zdołała

jednak wspiąć się i wyjść na zewnątrz.

– Tylko przechodziłaś? – wymamrotał książę.

71-godzinny Ahmed podszedł do okna i wyjrzał. Wokół rozkołysanego statku pieniały się obramowane ogniem błękitnozielone fale. Nikt nie zdołałby się utrzymać na powierzchni.

Odwrócił głowę i spojrzał na burtę, gdzie Angua trzymała się zwisającej liny.

Zobaczyła, że do niej mrugnął. Potem odwrócił się i usłyszała jego słowa:

– Musiała utonąć. Wracajcie na stanowiska.

Po chwili na pokładzie trzasnął właz.

Słońce weszło na bezchmurnym niebie.

Patrzący, gdyby znalazł się w tamtym miejscu, dostrzegłby na maleńkim obszarze morza niewielką różnicę w ruchu fal.

Mógłby się nawet zastanowić nad kawałkiem wygiętej rury, która obracała się z cichym zgrzytem.

Gdyby zdołał przyłożyć do niej ucho, usłyszałby słowa:

– ...pomysł podczas drzemki. Kawałek rury, dwa ukośne lusterka...
Rozwiązanie naszych kłopotów z powietrzem i ze sterowaniem!

– Fascynujące. Rura do patrzenia, przez którą można oddychać.

– Na bogów! Skąd wiedziałeś, panie, że tak się nazywa?

– Zgadłem przypadkiem.

– Zaraz... Ktoś przerobił moje siedzenie przy pedałach! Jest teraz

wygodne!

– A tak, kapralu. Zrobiłem kilka pomiarów, kiedy spaliście, i przebudowałem siodło, nadając mu lepszą konfigurację anatomiczną...

– Robiłeś pomiary?

– Tak, ja...

– A co z moimi regionami... siodłowymi?

– Proszę, nie ma się czym niepokoić, anatomia jest jedną z moich pasji...

– Naprawdę? To może na początek przestaniesz się pasjonować moją...

– Hej, widzę tam jakąś wyspę!

Rura przekręciła się z piskiem.

– Ach, to Leshp. Widzę ludzi. Do pedałów, panowie. Zbadajmy dno oceanu...

– Na pewno je poznamy, z nim przy sterach...

– Cicho bądź, Nobby.

Rura skryła się pod falami. Wypłynęła chmura bąbelków i dała się słyszeć wilgotna dyskusja, czym zadaniem powinno być wkładanie korka. Po chwili kawałek morza, dotąd całkiem pusty, stał się jakoś jeszcze puściejszy.

Nie było żadnych ryb.

W takich chwilach Twardziel Jackson byłby gotów zjeść nawet ciekawą mątwę.

Ale morze było puste. I niedobrze pachniało. Musowało cicho. Twardziel Jackson widział rozpryskujące się na powierzchni bąbelki cuchnące siarką i

zepsutymi jajami. Zgadywał, że wynurzenie nowego lądu musiało poruszyć bardzo dużo mułu. Efekt byłby fatalny nawet na dnie stawu, z tymi wszystkimi żabami, robalami i czym tam jeszcze, a tutaj przecież chodziło o morze...

Próbował zawrócić te myśli, ale wynurzały się z głębin jak... jak...

Dlaczego nie ma ryb? Owszem, w nocy szalał sztorm, ale zwykle w tych okolicach łatwiej się łowi po burzy, gdyż... przywołuje...

Tratwa się zakołysała.

Zaczynał myśleć, że może lepiej by było wrócić do domu. Ale wtedy musiałby nową ziemię zostawić Klatchianom. Nie, po jego trupie!

Zdradziecki wewnętrzny głos powiedział: To zabawne, ale nigdy nie znaleźli trupa pana Honga. W każdym razie większości ważnych części.

– Myślę sobie, myślę, tak myślę, że chyba będziemy już wracać – rzekł do syna.

– Jasne, tato. Na kolejny obiad z małży i wodorostów?

– Nie ma nic złego w wodorostach – zapewnił Jackson. – Pełno w nich pożywnych... wodorostów. I zawierają żelazo. Dobre dla zdrowia, synu.

– No to czemu nie ugotujemy kotwicy?

– Nie pyskuj.

– Klatchianie mają chleb – powiedział Les. – Przywieźli ze sobą mąkę. I mają drewno na opał.

Był to drażliwy temat. Próby doprowadzenia wodorostów do zapłonu jakoś się nie powiodły.

– Tak, ale ich chleb by ci nie smakował – zapewnił Jackson. – Jest całkiem płaski i nie ma przyzwoitej skórki...

Wiatr przyniósł nad wodą zapach. Była w nim sugestia korzennych przypraw.

– Pieką chleb! Na naszej ziemi!

– Oni uważają, że to ich...

Jackson złapał złamaną deskę, której używał zamiast wiosła, i zaczął nią wściekle machać. Fakt, że tratwa pływała w kółko, złościł go jeszcze bardziej.

– Specjalnie przenieśli się blisko nas, żebyśmy czuli smród tego ich zagranicznego żarcia...

– Czemu się ślinisz, tato?

– A skąd niby mają drewno, jeśli wolno spytać?

– Myślę, że prąd znosi odłamki na ich stronę wyspy, tato.

– Widzisz? Kradną nasze drewno! Ha! No to zobaczmy...

– Ale przecież się zgodziliśmy, że tamten kawałek jest ich i...

Jackson przypomniał sobie w końcu, jak napędzać tratwę jednym wiosłem.

– To nie była umowa – oświadczył; pracująca szaleńczo deska pozostawiała ślad piany. – Tylko takie... ustalenie. Poza tym przecież nie stworzyli tego drewna. Samo przypłynęło. Przypadek w geografii. To bogactwo naturalne, nie należy do nikogo...

Tratwa uderzyła w coś, co zadźwięczało metalicznie. A przecież znajdowali się jeszcze z pięćdziesiąt sążni od skał...

Coś długiego i zakrzywionego wynurzyło się ze zgrzytem. Potem obracało się przez chwilę, aż koniec wskazał Jacksona.

– Bardzo przepraszam – zabrzmiał metaliczny, ale uprzejmy głos. – To

jest Leshp, prawda?

Jacksona zaczęło drapać w krtani.

– Rozumiecie – ciągnął głos. – Woda jest mętna i pomyślałem, że może od dwudziestu minut poruszamy się w niewłaściwym kierunku.

– Leshp! – potwierdził Jackson nienaturalnie piskliwym głosem.

– To dobrze. Bardzo jestem wdzięczny. Życzę miłego dnia.

Rura powoli zanurzyła się w wodzie. Ostatni dźwięk, jaki z niej dobiegł wraz z rojem bąbelków, brzmiał:

– Zapomniałeś wsadzić ko...

Bąbelki zniknęły.

Po chwili odezwał się Les:

– Tato, co to...?

– To... nic ważnego – burknął jego ojciec. – Takie rzeczy się nie zdarzają.

Tratwa wystrzeliła do przodu. Można by za nią jeździć na nartach wodnych.

Jeszcze jedną ważną cechą Okrętu, myślał smętnie sierżant Colon, kiedy opadali w błękitny półmrok, było to, że nie dało się wybrać wody z zęzy. Cały był zęzą.

Pedałował ze stopami w wodzie i cierpiał równocześnie na klaustrofobię i agorafobię. Bał się naraz wszystkiego tu w środku i wszystkiego tam na zewnątrz. Różne inne nieprzyjemne zjawiska przesuwały się obok, gdy Okręt opadał wzdłuż skalnej ściany. Powiewały czułki. Wystawały kleszcze. Jakieś... stworzenia wbiegały między falujące rośliny. Wielkie małże obserwowały go swymi wargami.

Okręt zatrzeszczał.

– Sierzancie... – odezwał się Nobby, kiedy tak podziwiali cuda głębin.

– Tak, Nobby?

– Podobno każda najmniejsza cząstka ciała człowieka wymienia się co siedem lat.

– Powszechnie znany fakt.

– Właśnie. No więc... mam na prawym ramieniu taki tatuaż. Zrobiłem go sobie osiem lat temu. No i... jak to się dzieje, że on ciągle tam jest?

Gigantyczne wodorosty w mroku wachlowały morze.

– Interesujący problem. – Colonowi lekko drżał głos. – Hm...

– Znaczy, rozumiem, napływają nowe kawałeczki skóry, ale wtedy powinna być przecież całkiem świeża i różowa.

Obok przepłynęła ryba z nosem jak piła. Otoczony przez wszystkie swoje lęki, sierżant Colon usiłował szybko myśleć.

– Dzieje się tak – powiedział – bo te kawałki niebieskiej skóry są zastępowane przez inne kawałki niebieskiej skóry. Z tatuaży innych ludzi.

– Czyli... mam teraz tatuaże innych ludzi?

– No... tak.

– Dziwne, bo ciągle wygląda jak mój. Takie same skrzyżowane sztylety i WAMA.

– Wama?

– Miało być „Mama”, ale zemdlałem, a Ned Igła nie zauważył, że leżę nogami do góry.

– Wydaje mi się, że to dość łatwo zauważyć...

– Też był narąbany. Wie pan przecież, sierżancie, tatuaż tylko wtedy się liczy, kiedy człowiek nie wie, skąd się wziął.

Leonard i Patrycjusz oglądali podwodne pejzaże.

– Czego oni szukają? – zainteresował się Colon.

– Leonard ciągle mówi o jakichś hieroglifach – odparł Nobby. – Co to takiego, sierżancie?

Colon zawahał się, ale nie na długo.

– To rodzaj mięczaków, kapralu.

– O żeż, pan to wie wszystko, sierżancie – stwierdził Nobby z podziwem.
– Więc to są te hieroglify? Łatwo im być hieroicznymi tutaj, bo przecież prawdziwe potwory żyją głębiej. Tam na pewno są strachiochlify.

W uśmiechu Nobby'ego było coś irytującego. Sierżant Colon postanowił zaryzykować.

– Nie opowiadaj głupot, Nobby. Strachiochlify głębiej, bo... O bogowie...

– Przepraszam, sierżancie.

– Wszyscy wiedzą, że w tych wodach nie ma żadnych strachiochlifów!

Para ciekawych mątw przyglądała im się z ciekawością.

Statek Jenkinsa był teraz unoszącym się na wodzie wrakiem. Kilka żagli zwisało w strzępach. Takielunek oraz inne liny, których marynarskich nazw Vimes odmówił zapamiętania, pokrywały pokład i wlokły się za statkiem po wodzie. Żagle, które jeszcze pozostały, popychały ich w rześkiej bryzie. Na szczycie masztu obserwator pochylił się i przyłożył dłonie do ust.

– Ziemia! Ahoj!

– Nawet ja ją widzę – mruknął Vimes. – Dlaczego on tak krzyczy?

– Na szczęście – odparł Jenkins. Wyteżył wzrok w lekkiej mgiele. – Ale pański przyjaciel nie płynie do Gebry. Ciekawe, dokąd zmierza.

Vimes spojrzał na jasnożółtą ścianę na horyzoncie, po czym zwrócił się do Marchewy.

– Wydostaniemy ją, nie bój się.

– Nie boję się, sir – zapewnił Marchewa. – Chociaż jestem bardzo zatroskany.

Vimes bezzadnie machnął ręką.

– Wszyscy cali i zdrowi? Nastroje dobre?

– Bardzo poprawiłoby to morale, sir, gdyby wygłosił pan kilka słów.

Straszliwy regiment strażników ustawił się na pokładzie; mrugali niepewnie w blasku słońca. O bogowie... – westchnął komendant w duchu. Jeden krasnolud, jeden człowiek wychowywany jak krasnolud, który myśli niczym chodzący podręcznik etykiety, jeden zombi, jeden troll, ja i... o nie... jeden fanatyk religijny...

Funkcjonariusz Wizytuj zasalutował.

– Mogę coś powiedzieć, sir?

– Jasne – zgodził się Vimes.

– Chcę z satysfakcją poinformować, że nasza misja najwyraźniej zyskała boską aprobatę, sir. Chodzi mi konkretnie o deszcz sardynek, który dodał nam sił w czarnej godzinie.

– No, byliśmy trochę głodni, ale nie powiedziałbym, żeby to aż czarna godzina...

– Z całym szacunkiem, sir – odparł stanowczo Wizytuj – wzorzec jest całkiem wyraźny. Tak jest. Sykoolitom, ściganym w dziczy przez offleriańskich Mitolitów, przywrócił siły deszcz niebiańskich ciasteczek, sir. Czekoladowych.

– Całkiem naturalne zjawisko – mruknął funkcjonariusz Shoe. – Pewnie wiatr je porwał ze straganu jakiegoś piekarza...

Wizytuj rzucił mu gniewne spojrzenie i kontynuował:

– A Murmurianie, zapędzeni w góry przez plemiona Miskmiku, nie przetrwaliby, gdyby nie cudowny deszcz słoń, sir...

– Słoń?

– No... jednego słoń, sir – ustąpił Wizytuj. – Ale się rozprysnął.

– Całkiem naturalne zjawisko – stwierdził funkcjonariusz Shoe. – Pewnie jakiś podmuch wiatru porwał słoń i...

– A kiedy Cztery Plemiona cierpiały pragnienie na pustyni, sir, z Khanli przyszedł w sukurs niespodziewany i nadprzyrodzony deszcz deszczu, sir.

– Deszcz deszczu? – powtórzył Vimes, niemal zahipnotyzowany absolutną pewnością Wizytuja.

– Całkiem naturalne zjawisko – parsknął Reg Shoe. – Prawdopodobnie woda wyparowała z oceanu, para uniosła się do góry, trafiła na chłodniejsze powietrze, nastąpiła kondensacja wokół mikroskopijnych cząsteczek, po czym opad... – Przerwał na chwilę, nim dokończył z irytacją: – Zresztą i tak w to nie wierzę.

– A zatem... które konkretnie bóstwo wspiera naszą sprawę? – spytał z nadzieją Vimes.

– Natychmiast pana poinformuję, sir, gdy tylko zdołam to ustalić.

– Ehm... bardzo dobrze, funkcjonariuszu. – Vimes cofnął się o krok. – Nie chcę udawać, że to będzie łatwe – powiedział głośno. – Ale celem naszej

misji jest doścignięcie Angui i tego drania Ahmeda, a następnie wyciśnięcie z niego prawdy. Niestety, oznacza to, że musimy go śledzić w jego własnym kraju, z którym znajdujemy się w stanie wojny. W rezultacie z pewnością napotkamy na drodze kilka barier. Ale nie pozwolimy chyba, by perspektywa tortur i śmierci wzbudziła nasz niepokój, prawda?

– Fortuna sprzyja odważnym, sir – stwierdził z przekonaniem Marchewa.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Miło mi to słyszeć, kapitanie. A jaki jest jej stosunek do ciężko uzbrojonych, dobrze wyszkolonych i niezwykle licznych armii?

– Och, nikt jeszcze nigdy nie słyszał, by Fortuna im sprzyjała, sir.

– Według generała Tacticusa dzieje się tak dlatego, że same sobie sprzyjają – odparł Vimes. Otworzył podarty tomik. Liczne kawałki papieru i sznurka służyły za zakładki. – Owszem, moi drodzy, generał ma coś do powiedzenia w kwestii uniknięcia klęski, kiedy wrogowie mają przewagę liczebną, uzbrojenia i pozycji. Mówi... – Przewrócił kartkę. – „Nie stawaj do bitwy”.

– Całkiem mądry gość – przyznał Jenkins. Wskazał żółte masy na horyzoncie. – Widzicie to wszystko w powietrzu? – zapytał. – Jak myślicie, co to jest?

– Mgła? – zgadywał Vimes.

– Ha! Tak, klatchiańska mgła! To burza piaskowa! Piasek unosi się przez cały czas. Złośliwe paskudztwo. Gdyby kto chciał naostrzyć miecz, wystarczy potrzymać go w powietrzu.

– Hm...

– Zresztą to nawet lepiej, bo gdyby nie piasek, zobaczylibyście Mount Gebra. A poniżej leży coś, co nazywają Pięścią Gebry. To miasteczko, ale stoi w nim wściekle wielki fort z grubymi na trzydzieści stóp murami. Sam jest jak wielkie miasto. W środku ma miejsce dla tysięcy zbrojnych, słoni bojowych, wojskowych wielbłądów i wszystkiego. I gdybyście to zobaczyli,

kazalibyście mi natychmiast zawracać. I co wasz sławny generał ma do powiedzenia w takiej sytuacji, co?

– Chyba coś takiego znalazłem... – zastanowił się Vimes. Przewrócił następną kartkę. – A tak. Mówi: „Po pierwszej bitwie o Sto Lat sformułowałem zasadę, która dobrze mi służyła w innych bitwach. Brzmi ona: jeśli przeciwnik ma niezdobytą twierdzę, dopilnuj, żeby w niej został”.

– To rzeczywiście bardzo pomocne – mruknął Jenkins.

Vimes wsunął książkę do kieszeni.

– Czyli, funkcjonariuszu Wizytuj, jakiś bóg jest po naszej stronie, tak?

– Z całą pewnością, sir.

– Ale prawdopodobnie jakiś bóg jest też po ich stronie?

– Jest duża szansa, sir. Po każdej stronie jest jakiś bóg.

– Miejmy zatem nadzieję, że się zrównoważą.

Klatchiańska szalupa opadła na wodę z najdelikatniejszym pluskiem. 71-godzinny Ahmed stał przy kabestanie z mieczem w ręku, co sprawiało, że ludzie opuszczający szalupę naprawdę przykładali się do pracy.

Zwrócił się do kapitana.

– Kiedy już odpłyniemy, możesz skierować statek do Gebry.

Marynarz zadrżał.

– Co ja im powiem, *wali*?

– Powiedz prawdę... w końcu. Dowódca garnizonu to człowiek niskiego urodzenia i zechce cię trochę potortuować. Zachowaj prawdę do chwili, kiedy będzie ci potrzebna. To go bardzo ucieszy. Pomoże, jeśli wyznasz, że

cię zmusiłem.

– Och, zrobię to. Powiem... powiem to kłamstwo – dodał szybko kapitan.

Ahmed kiwnął głową, zsunął się po linie do łodzi i odcumował ją od statku.

Cała załoga patrzyła, jak wiosłuje przez pas przyboju.

Nie był to przyjazny brzeg, ale raczej cmentarzysko wraków. Żebra rozbitych okrętów rozsypywały się na piasku. Kości, drewno i wysuszone wodorosty leżały w stosach na linii przypływu. Za nimi wyrastały wydmy prawdziwej pustyni. Nawet z tej odległości piasek kłuł w oczy i zgrzytał w zębach.

– Śmierć czeka na tej plaży – powiedział pierwszy oficer, mrugając nerwowo.

– Tak – zgodził się kapitan. – Właśnie wysiadł z szalupy.

Postać na plaży wydostała z łodzi drugiego, bezwładnego pasażera, i przeciągnęła go poza zasięg fal. Oficer wzniósł łuk.

– Mógłbym go stąd zabić, panie. Powiedz tylko słowo.

– Jak pewną masz rękę? Bo lepiej żeby naprawdę była pewna. Po pierwsze, jeśli chybisz, będziesz trupem. A po drugie, jeśli trafisz, też będziesz trupem. Spójrz wyżej.

Na dalekich wydmach, czarne na tle przesłoniętego piaskiem nieba, rozsypały się sylwetki jeźdźców. Oficer opuścił łuk.

– Skąd wiedzieli, że tu jesteśmy?

– Och, obserwują morze. D'regowie lubią porządne wraki nie mniej niż inni. Prawdę mówiąc, bardziej. O wiele bardziej.

Kiedy odeszli od burty, coś skoczyło ze statku i niemal bez plusku wpadło do wody.

Detrytus starał się ukryć w cieniu, ale w pobliżu nie było go zbyt wiele. Żar wylewał się z pustyni niczym z otwartego pieca.

– Zaraz będę gupi – mruczał troll.

Obserwator krzyknął głośno.

– Mówi, że ktoś się wspina na wydmy – powiedział Marchewa. – Niesie kogoś innego.

– Kobietę?

– Proszę posłuchać, sir. Znam Anguę. Nie należy do kobiet bezbronnych. Nie krzyczy o pomoc. Raczej skłania do tego innych.

– Cóż... skoro jesteś pewien... – Vimes zwrócił się do Jenkinsa.

– Nie warto już ścigać statku, kapitanie. Płynicie do brzegu.

– Nie da się, szefie. To bardzo trudny brzeg, wiatr zawsze wieje od dziobu i są bardzo nieprzyjemne prądy. Kości wielu nieostrożnych żeglarzy bieleją na tych piaskach. Nie, zatrzymamy się raczej kawałek od brzegu, opuścicie... No, gdybyśmy mieli jeszcze szalupę, moglibyście ją opuścić... i rzucimy kotwicę, nie, skłamałem, okazała się za ciężka, prawda...

– Niech pan płynie prosto – rozkazał Vimes.

– Wszyscy zginiemy.

– Proszę o tym myśleć jak o mniejszym z dwóch zagrożeń.

– A jakie jest to większe?

Vimes dobył miecza.

– Ja

Skrzypiąc cicho, Okręt sunął przez tajemnicze morskie głębiny. Leonard prawie cały czas wyglądał przez małe okienka; szczególnie interesowały go kawałki wodorostów, które dla sierżanta Colona wyglądały całkiem jak kawałki wodorostów.

– Zauważyliście te wąskie pasma pobielałego morszczyku pęcherzykowatego Dropleya?! – zawołał. – To te brunatne rośliny. Wspaniale rozrośnięte, co z pewnością uznacie za znaczące.

– Czy moglibyśmy na moment założyć, że w ostatnich latach zaniedbałem swoje studia nad wodorostami? – zaproponował Patrycjusz.

– Doprawdy? Wielka szkoda, panie. Chodzi o to, naturalnie, że pobielały morszczyk pęcherzykowaty Dropleya zwykle nie jest spotykany powyżej głębokości trzydziestu sążni, a tutaj jest najwyżej dziesięć.

– Aha. – Patrycjusz przejrzał plik rysunków Leonarda. – A te hieroglify... Alfabet znaków i kolorów. Kolory jako język... Cóż za fascynujący pomysł.

– Jako intensyfikator emocjonalny – poprawił go Leonard. – Ale oczywiście my także używamy czegoś w tym rodzaju. Czerwony oznacza gniew i tak dalej. Niestety, nigdy nie udało mi się tego przetłumaczyć.

– Kolory jako język... – mruczał Vetinari.

Sierżant Colon odchrząknął.

– Ja coś wiem o wodorostach, sir.

– Tak, sierżancie?

– Jeśli są mokre, sir, to będzie padać.

– Brawo, sierżancie – odpowiedział Patrycjusz, nie odwracając głowy. – Uważam za całkiem możliwe, że nigdy nie zapomnę, coście powiedzieli.

Colon rozpromienił się. Wniósł Wkład.

Szturchnął go Nobby.

– Co właściwie robimy tutaj, na dole, sierżancie? Znaczy, o co tu chodzi? Kręcimy się w kółko, oglądamy dziwne znaczki na skałach, wpływamy i wypływamy z jaskiń... a ten zapach, no...

– To nie ja – zastrzegł się sierżant Colon.

– Pachnie jakby... siarką...

Za oknem sunął do góry strumyk małych bąbelków.

– Na powierzchni też śmierdziało – ciągnął Nobby.

– Już prawie skończyliśmy, panowie – stwierdził lord Vetinari, odkładając papiery. – Ostatnie drobne przedsięwzięcie i możemy wracać na powierzchnię. Dobrze, Leonardzie... zabierz nas pod spód.

– Ehm... czy już nie jesteśmy pod spodem, sir? – zapytał Colon.

– Tylko pod morzem, sierżancie.

– Aha. No tak. – Sierżant przemyślał to należycie. – A można być jeszcze pod czymś innym?

– Tak, sierżancie. Teraz popłyniemy pod ląd.

Plaża była teraz o wiele bliżej. Strażnicy nie mogli nie dostrzec, że marynarze przebiegają szybko na zaokrąglony koniec statku i chwytają się dowolnych niedużych, lekkich, a przede wszystkim pływających obiektów, jakie tylko mogli znaleźć.

– Chyba podpłynęliśmy już dostatecznie blisko – uznał Vimes. – Tak. Proszę tu zatrzymać.

– Zatrzymać? A jak?

– Mnie niech pan nie pyta. Nie jestem żeglarzem. Są chyba jakieś hamulce?

Jenkins wytrzeszczył oczy.

– Ty... szczurze lądowy!

– Myślałem, że nie używacie tego określenia...

– Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak wy! Wam się nawet wydaje, że dziób nazywamy ostrym koń...

Było to, jak zgodziła się potem cała załoga, jedno z najdziwniejszych lądowań w historii żeglarstwa. Nachylenie dna musiało być sprzyjające, pływy również, gdyż statek nie tyle dobił do brzegu, ile raczej wpłynął na plażę. Wynurzał się z wody, zdrapując o piasek małe z kilu. Wreszcie siły wiatru, wody, pędu i tarcia spotkały się razem w punkcie oznaczonym „przewrócić się wolno na bok”. Statek to uczynił, zyskując tytuł „najśmiesznieszego wraku świata”.

– No, mogło być gorzej – uznał Vimes, kiedy ucichły trzaski pękającego drewna. Wyplątał się z płótna i poprawił hełm tak spokojnie, jak tylko potrafił. Z przechylonej ładowni usłyszał stękania.

– To żeś ty, Cudo?

– Tak, Detrytus.

– To żem ja?

– Nie!

– Przepraszam.

Marchewa zsunął się po ukośnym pokładzie i zeskoczył na piasek. Zasalutował.

– Wszyscy obecni i lekko poobijani, sir. Czy mamy założyć przyczółek?

– Co?

– Musimy się okopać, sir.

Vimes rozejrzał się po plaży, jeśli to miło i słonecznie brzmiące słowo w ogóle się nadawało dla tej zakazanej łachy piasku. Tak naprawdę był to po prostu skraj łądu. Nic się tu nie poruszało, z wyjątkiem rozgrzanego powietrza oraz – w pewnej odległości – pary sępów.

– Po co? – zdziwił się.

– Żeby zająć pozycję obronną, sir. Tak zawsze robią żołnierze, sir.

Vimes zerknął na ptaki. Zbliżały się, podskakując trochę bokiem, gotowe ruszyć, gdy tylko ktoś będzie martwy przez parę dni. Potem zajrzał do Tacticusa. Przerzucał kartki, aż jego wzrok przyciągnęło słowo „przyczółek”.

– Tacticus pisze: „Jeśli chcesz, by twoi ludzie dużo czasu spędzali z łopatami, zachęć ich, by zajęli się ogrodnictwem”. Myślę zatem, że ruszymy naprzód. Nie mógł odejść zbyt daleko. Niedługo wrócimy.

Brodząc przez fale, Jenkins wyszedł na piasek. Nie wyglądał na zagniewanego. Był człowiekiem, który przepłynął już ognie gniewu i teraz znalazł się w spokojnej zatoczce poza nimi. Drżącym palcem wskazał swój rozbity statek.

– Maa... – powiedział.

– Jest w całkiem dobrym stanie, biorąc pod uwagę okoliczności – pocieszył go Vimes.

– Maa...?

– Na pewno pan i pańska doświadczona załoga potraficie doprowadzić go do porządku.

– Maa...

Jenkins i jego brodzący marynarze patrzyli w milczeniu, jak kolumna

strażników, narzekając głośno, wspina się na zbocze wydmy. Po chwili załoga zebrała się w ciasną grupkę i pociągnęła losy. Kucharz, który w takich sytuacjach zawsze miał pecha, podszedł ostrożnie do kapitana.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Pewnie wśród całego tego wyrzuconego na piasek drewna znajdziemy porządne belki, a wtedy parę dni pracy z blokiem i talią powinno...

– Maa.

– Tylko... powinniśmy chyba zacząć od razu, bo powiedzieli, że niedługo wrócą...

– Oni nie wrócą! – zdenerwował się kapitan Jenkins. – Ich zapas wody nie wystarczy tam nawet na jeden dzień! Nie mają odpowiedniego sprzętu! A kiedy już stracą z oczu brzeg, całkiem się zgubią!

– No i dobrze!

Dotarcie na szczyt wydmy zajęło im pół godziny. Piasek był zdeptany, ale Vimes widział, jak szybko wiatr chwyta ziarenka i przysypuje ślady.

– Kopyta wielbłądów – stwierdził. – Cóż, wielbłądy nie biegają zbyt szybko. Chodźmy...

– Detrytus ma chyba poważne kłopoty, sir – zauważył Marchewa.

Troll stał oparty kostkami dłoni o ziemię. Silnik na jego hełmie chłodzącym zgrzytał i chrzęścił przez chwilę w suchym powietrzu, a potem znieruchomiał, gdy piasek dostał się do mechanizmu.

– Czuję gupi... – wymamrotał. – Mózg boli...

– Przytrzymaj mu tarczę nad głową – polecił Vimes. – Dajcie mu trochę cienia!

– On nie da rady, sir... Lepiej odesłać go do statku.

– Jest nam potrzebny! Cudo, powachluj go toporem!

W tym właśnie momencie piasek powstał i dobył setki mieczy.

– Bingely bingely biip! – odezwał się wesoły, choć trochę zduszony głosik. – Jedenasta zero zero, strzyżenie u... eee... To się zgadza, prawda?

Nie była duża... Bloki padającej budowli uderzyły o siebie w taki sposób, że utworzyły cysternę, którą deszcz wypełnił do połowy.

Twardziel Jackson klepnął syna w ramię.

– Świeża woda! Nareszcie! – zawołał. – Dobra robota, chłopcze!

– Wiesz, szukałem tych tak jakby malunków, tato, i wtedy...

– Tak, tak, obrazki ośmiornic, bardzo ładne – zgodził się Jackson. – Ha! Piłka teraz ich trafiła w stopę, nie ma co! To nasza woda, po naszej stronie wyspy, i chciałbym zobaczyć, jak te brudne dranie twierdzą inaczej! Niech sobie zatrzymają swoje drewno, a wodę wysysają z ryb!

– Jasne, tato – przyznał Les. – I możemy wymienić z nimi trochę wody na drewno i mąkę, tak?

Ojciec z wahaniem machnął ręką.

– Może. Ale nie warto się z tym spieszyć. Jesteśmy już blisko odkrycia wodorostu, który będzie się palił. Pomyśl, jakie są nasze dalekosiężne cele?

– Gotowanie posiłków i ogrzanie się? – zaproponował z nadzieją Les.

– No, początkowo... To oczywiste. Ale wiesz, chłopcze, jak to mówią: „Daj komuś ogień, a będzie mu ciepło przez jeden dzień, ale wrzuc go do ognia, a będzie mu ciepło do końca życia”. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie wydaje mi się, żeby takie było to powiedzenie...

– Chodzi mi o to, że możemy przetrwać na wodzie i surowych rybach przez... no, praktycznie przez wieczność. Ale tamci nie wytrzymają już długo bez świeżej wody. Jasne? I wtedy przyjdą do nas jak żebracy, jasne? A my będziemy dyktować warunki.

Objął syna za oporne ramiona i szerokim gestem wskazał okolicę.

– Widzisz, kiedy zaczynałem, nie miałem niczego oprócz starej łodzi, którą zostawił mi twój dziadek, ale...

– ...harowałeś i oszczędzałeś... – odpowiedział ze znużeniem Les.

– ...harowałem i oszczędzałem...

– ...i zawsze potrafiłeś utrzymać się na powierzchni...

– ...właśnie, zawsze potrafiłem utrzymać się na powierzchni...

– ...i chciałeś mi zostawić coś, co... auu!

– Przestań się nabijać z ojca – oburzył się Jackson. – Bo przyłożę ci w drugie ucho. Rozejrzyj się. Widzisz tę ziemię? Widzisz?

– Widzę, tato.

– To kraina nowych możliwości.

– Tylko że nie ma tu świeżej wody, a gleba jest zasolona, tato, i brzydko pachnie.

– To zapach wolności, ot co.

– Ale cuchnie, jakby ktoś puścił wielkiego bąka, tato... auu!

– Czasami jeden i drugi zapach są całkiem do siebie podobne. Pamiętaj, chłopcze, myślę o twojej przyszłości.

Les spojrzał na całe akry gnijących wodorostów.

Uczył się, by zostać rybakiem jak ojciec, ponieważ ich rodzina zawsze się zajmowała rybołówstwem. Les miał zbyt zgodną naturę, by protestować, choć w rzeczywistości chciał zostać malarzem, jak jeszcze nikt w rodzinie. Zauważał pewne fakty i martwiły go, choć nie całkiem potrafiłby wyjaśnić dlaczego.

Te budynki nie wyglądały tak, jak powinny. Tu i tam pojawiały się fragmenty... no, architektury, jak morporskie kolumny albo klatchiańskie arkady. Jednak dodano je do budowli wyglądających, jakby bardzo niezręczni ludzie zwyczajnie poukładali kamienie jeden na drugim. W innych miejscach kamienne bloki stały na starszych ceglanych murach i wykładanych mozaikami podłogach. Nie miał pojęcia, kto wykonał te mozaiki, ale wyraźnie lubił wizerunki ośmiornic.

Les zaczynało ogarniać uczucie, że Morporczycy i Klatchianie, kłócący się, kto jest właścicielem tego fragmentu morskiego dna, postępują całkiem bezsensownie.

– Wiesz... ja też myślę o swojej przyszłości, tato – powiedział. – Naprawdę myślę.

Głęboko pod stopami Twardziela Jacksona Okręt wynurzył się na powierzchnię. Sierżant Colon odruchowo sięgnął do śrub mocujących pokrywę włazu.

– Proszę nie otwierać, sierżancie! – wykrzyknął Leonard, podrywając się z miejsca.

– Powietrze się robi dość zużyte, sir.

– Na zewnątrz jest gorsze.

– Gorsze niż tutaj?

– Jestem prawie pewien.

– Przecież jesteśmy na powierzchni!

– Na powierzchni wody, sierżancie, to prawda – odezwał się Vetinari.

Obok Nobby odkorkował aparat do wyglądaniania i wyjrzał.

– Jesteśmy w jaskini? – zapytał Colon.

– Eee... sierżancie... – wyjąkał Nobby.

– Kapitalne! Doskonale przemyślane – ocenił Vetinari. – Tak. Jaskinia. Można tak to określić.

– Eee... sierżancie... – powtórzył Nobby, szturchając Colona w bok. – To nie jest jaskinia. To coś większego od jaskini, sierżancie!

– Jak to? Chodzi ci o... pieczarę?

– Większe!

– Większe od pieczary? Bardziej jakby... wielka pieczara?

– Tak, to mniej więcej to – zgodził się Nobby, odsuwając oko od urządzenia. – Niech pan sam popatrzy, sierżancie.

Sierżant Colon zajrzał do rury.

Zamiast ciemności, której się właściwie spodziewał, zobaczył wrzące jak woda w rondlu morze. Zielone i żółte zygzaki błyskawic tańczyły nad powierzchnią, oświetlając daleką ścianę, która wyglądała raczej jak horyzont...

Rura obróciła się z piskiem. Jeśli to była pieczara, miała co najmniej kilka mil średnicy.

– Długo jeszcze? Jak sądzisz? – spytał lord Vetinari za jego plecami.

– Cóż, skała ma dużą zawartość pumeksu i tufów, bardzo lekkich, a kiedy już wypłynęła, nagromadzony gaz zaczął się ulatniać bardzo prędko z powodu rozprężania – odparł Leonard. – Nie wiem... może jeszcze tydzień...

Potem, jak sędzę, trzeba będzie bardzo długiego czasu, zanim na nowo zbierze się wystarczająco wielki bąbel gazu...

– Co oni gadają, sierżancie? – spytał Nobby. – Ta wyspa pływa?

– Absolutnie wyjątkowe zjawisko – ciągnął Leonard. – Pomyślałbym, że to tylko legenda, gdybym nie zobaczył na własne oczy...

– Ależ oczywiście, że nie pływa – odpowiedział sierżant Colon. – Doprawdy, Nobby, jak w ogóle chcesz się czegoś dowiedzieć, skoro cały czas zadajesz takie głupie pytania? Ziemia jest cięższa od wody, prawda? Dlatego zawsze leży na dnie morza.

– No tak, ale on mówił o pumeksie, a moja babcia miała kostkę pumeksu, świetną do ścierania twardej skóry ze stóp w kąpieli, i ona pływała...

– Tak zdarza się w wannie, być może. Ale nie w rzeczywistości. To tylko takie zjawisko. Nie naprawdę. Zaraz jeszcze powiesz, że w niebie są kamienie.

– Tak, ale...

– Jestem sierżantem, Nobby.

– Tak jest, sierżancie.

– Przypomina mi to – podjął Leonard – morskie opowieści o gigantycznych żółwiach, które śpią na powierzchni, a marynarze sądzą, że to wyspa. Oczywiście nie ma tak małych gigantycznych żółwi.

– Wie pan, panie Quirm, to niesamowita łódź – oświadczył Nobby.

– Dziękuję.

– Założę się, że gdyby pan zechciał, mógłby pan nią rozbijać okręty.

Zapadło krępujące milczenie.

– Rzeczywiście bardzo ciekawe doświadczenie – stwierdził lord Vetinari,

robiąc jakieś notatki. – A teraz, panowie, w dół i naprzód poproszę...

Strażnicy sięgnęli po broń.

– To D’regowie, sir – powiedział Marchewa. – Tylko że nic się nie zgadza...

– O co ci chodzi?

– Jeszcze nie zginęliśmy.

Patrząc na nas jak koty na myszy, pomyślał Vimes. Nie możemy uciec i nie możemy wygrać tej walki, a oni chcą się przekonać, co zrobimy.

– Co generał Tacticus ma do powiedzenia o takich sytuacjach? – spytał Marchewa.

Jest ich setka, myślał Vimes. A nas sześcioro. Tyle że Detrytus właśnie odpływa, nigdy nie wiadomo, jakiego przykazania Wizytuj akurat przestrzega, a Regowi często ręce odpadają, kiedy się zdenerwuje...

– Nie wiem – odparł. – Prawdopodobnie coś w stylu „Nie dopuszczaj do tego”.

– Dlaczego pan nie sprawdzi, sir? – zaproponował Marchewa, nie odrywając wzroku od patrzących czujnie D’reków.

– Co?

– Pytałem, czemu pan nie sprawdzi.

– W tej chwili?

– Może warto spróbować, sir.

– To szaleństwo, kapitanie.

– Tak, sir. D’regowie mają bardzo dziwaczne poglądy na temat osób szalonych.

Vimes sięgnął po książkę. Stojący najbliżej D’rega, oprócz uśmiechu niemal tak szerokiego i wygiętego jak jego miecz, miał dodatkowo także dumną postawę sugerującą wodzostwo. Na plecach wisiała mu wielka i stara kusza.

– Posłuchaj no! – powiedział Vimes. – Czy możemy odłożyć wszystko na chwilę? – Podszedł do D’rega, który wyglądał na bardzo zdziwionego, i machnął mu książką przed nosem. – To jest dzieło generała Tacticusa, nie wiem, czy w ogóle o nim słyszałeś, ale kiedyś było to całkiem znane nazwisko w tych okolicach, prawdopodobnie nawet zarządził twojego prapraprapradziadka. Chciałbym tylko spojrzeć, co ma do powiedzenia o takich spotkaniach. Nie przeszkadza ci to, prawda?

Wódz D’reków wyraźnie był zaskoczony.

– To chwilę potrwa – tłumaczył Vimes. – Książka nie ma indeksu, ale chyba coś widziałem...

Wódz cofnął się o krok i zerknął na D’rega, który stał obok. Ten wzruszył ramionami.

– Tak sobie myślę, czy nie mógłbyś mi pomóc z tym słowem, o tutaj? – ciągnął Vimes.

Staął przy wodzu i podsunął mu książkę pod nos. Uzyskał kolejny zdziwiony uśmiech.

To, co Vimes zrobił potem, znane jest w zaułkach Ankh-Morpork jako „przyjazny uścisk dłoni”. Składa się zasadniczo z wbicia rozmówcy łokcia w brzuch, potem uniesienia kolana na spotkanie z sunącą w dół brodą, zaciśnięcia zębów z bólu w kolanie i w kostce, a następnie wyrwania miecza i przyłożenia go do szyi D’rega, zanim zdąży dojść do siebie.

– A teraz, kapitanie – rzekł – chcę, żeby powiedział pan głośno i wyraźnie, że jeśli nie cofną się naprawdę daleko stąd, ten dżentelmen przy

mnie będzie miał bardzo poważne prawne kłopoty.

– Panie komendancie, nie wydaje mi się...

– Zrób to!

Gdy Marchewa męczył się z tłumaczeniem, D'reg spojrział Vimesowi w oczy. I ciągle się uśmiechał...

Vimes nie mógł ryzykować odwrócenia wzroku, wyczuł jednak wśród napastników pewne zaskoczenie i zamieszanie.

Potem, jak jeden mąż, zaatakowali.

Klatchiański kuter rybacki, którego kapitan wiedział, w którą stronę wieje wiatr, dotarł do portu w Al-Khali. Kapitan miał wrażenie, że mimo sprzyjających podmuchów nie osiąga takiej prędkości, jak powinien. Uznał, że to wina porastających kadłub muszli.

Vimes ocknął się z nosem pełnym wielbłąda. Istnieją wprawdzie gorsze przebudzenia, jednak nie tak wiele, jak mogłoby się wydawać.

Odwróciwszy głowę, co wymagało sporego wysiłku, ustalił, że wielbłąd siedzi na piasku. Sądząc po odgłosach, trawił coś wybuchowego.

Jak się tu znalazł... O bogowie...

Ale przecież powinno się udać. To klasyka. Trzeba zagrozić, że odetnie się głowę, a ciało zwyczajnie się poddaje. Tak reaguje każdy, prawda? Praktycznie rzecz biorąc, tak działa cywilizacja...

Cóż, w takim razie pewnie zadziałyły różnice kulturowe.

Z drugiej strony jednak ciągle jeszcze żył. Według Marchewy znać D'regów przez pięć minut i wciąż zostawać przy życiu oznaczało, że

człowieka bardzo, ale to bardzo lubią.

Ale z innej drugiej strony właśnie ich szefowi przyjaźnie uścisnął dłoń, co wpływa na stosunki między ludźmi, choć nie skłania do przyjaźni.

Ale nie ma sensu leżeć tak w poprzek siodła, ze związanymi rękami i nogami, i przez cały dzień konać od uderu słonecznego. Powinien znów stać się przywódcą swoich ludzi i robi to, jak tylko wypłyje z ust tego wielbłąda.

– Bingely bingely biip!

– Tak? – spytał Vimes, szarpiąc więzy.

– Czy chciałbyś się dowiedzieć o spotkaniach, które opuściłeś?

– Nie! Próbuję rozwiązać jakoś te przekłete sznury!

– Czy chcesz, żebym wpisał to na listę zadań do wykonania?

– Och, widzę, że się pan obudził, sir.

Brzmiało to jak głos Marchewy i były to akurat takie słowa, jakie by wypowiedział. Vimes spróbował się obejrzeć.

To, co zobaczył, było zasadniczo białym prześcieradłem, ale po chwili stało się twarzą Marchewy, odwróconą włosami w dół.

– Pytali, czy powinni pana rozwiązać, ale powiedziałem, że ostatnio brakuje panu wypoczynku, sir – ciągnął Marchewa.

– Kapitanie, ręce i nogi mi całkiem zdrętwiały... – zaczął Vimes.

– I wypoczywają. Dobrze i tyle na początek, sir.

– Marchewa!

– Tak, sir?

– Chcę, żebyś bardzo uważnie wysłuchał rozkazu, który ci za chwilę

wydam.

– Oczywiście, sir.

– Jak wiesz, zawsze zachęcałem swoich podkomendnych, żeby myśleli samodzielnie, zamiast ślepo wypełniać moje polecenia. Czasami jednak w każdej organizacji pojawia się konieczność, by instrukcje były realizowane co do litery i natychmiast.

– Zgadza się, sir.

– Rozwiąż mnie, ale już, bo wkrótce pożałujesz, że mnie rozwiązałeś!

– Ehm... Wydaje mi się, sir, że pańska wypowiedź jest niezamierzenie niespójna...

– Marchewa!

– Tak jest, sir.

Sznury opadły. Vimes zsunął się na piasek. Wielbłąd obejrzał się, spojrzał na niego przez nozdrza, po czym odwrócił głowę.

Vimes zdołał usiąść prosto, gdy Marchewa zajął się przecinaniem pozostałych więzów.

– Kapitanie, dlaczego nosi pan białe prześcieradło?

– To jest burnus, sir. Bardzo praktyczna odzież pustynna. D'regowie je nam dali.

– Nam?

– Nam wszystkim pozostałym, sir.

– Nikomu nic się nie stało?

– Nie, skąd.

– Przecież zaatakowali...

– Tak, sir. Ale chcieli tylko wziąć nas do niewoli. Jeden z nich przypadkiem obciął Regowi głowę, ale pomógł mu ją przyszyć z powrotem, więc nic złego się nie stało.

– Myślałem, że D'regowie nie biorą jeńców...

– Mnie też to dziwi. Ale uprzedzili, że jeśli spróbujemy uciekać, odrąbiają nam stopy, a Reg mówi, że nie ma dość nici dla wszystkich, sir.

Vimes roztarł głowę. Ktoś uderzył go tak mocno, że wgniółł hełm.

– Dlaczego się nie udało? – zapytał. – Przecież trzymałem ich szefa...

– Jak zrozumiałem, sir, D'regowie uważają, że wódz, który okazał się na tyle głupi, by tak łatwo dać się pokonać, nie zasługuje na to, by go słuchać. To klatchiański zwyczaj.

Vimes starał się przekonać sam siebie, że w głosie Marchewy nie ma śladu sarkazmu.

– Prawdę mówiąc, sir – kontynuował Marchewa – wodzowie niespecjalnie ich interesują. Uważają ich za coś w rodzaju ozdoby. Wie pan... kogoś, kto ma tylko krzyczeć „Do ataku!”.

– Wódz musi też spełniać inne zadania.

– D'regowie uważają, że „Do ataku!” praktycznie załatwia wszystkie.

Vimesowi udało się wstać. Nieznane mięśnie kłuły go w nogach, zatoczył się do przodu. Marchewa uratował go od upadku.

Zachodziło słońce. Podarte namioty stały gęsto pod jedną z wydm; żarzyło się ognisko. Ktoś głośno się śmiał. Nie wyglądało to na więzienie. Ale, jak uznał Vimes, pustynia jest prawdopodobnie lepsza od krat. On osobiście nie wiedziałby nawet, w którą stronę uciekać, ze stopami czy bez.

– D'regowie, jak wszyscy Klatchianie, są ludem bardzo gościnnym –

powiedział Marchewa, jakby nauczył się tego na pamięć. – Gościnnosc traktują bardzo, ale to bardzo poważnie.

Ich napastnicy siedzieli przy ognisku. Podobnie jak oddział Vimesa. Przekonano strażników, żeby ubrali się bardziej odpowiednio. To znaczyło, że Cudo wyglądała teraz jak dziewczynka w sukni swojej mamy – nie licząc żelaznego hełmu, oczywiście; Reg Shoe wyglądał jak mumia, a Detrytus zmienił się w niedużą, okrytą śniegiem górkę.

– W tym upale zrobił się... nierozsądny – szepnął Marchewa. – A tam jest funkcjonariusz Wizytuj. Dyskutuje o religii. Na kontynencie klatchiańskim istnieją sześćset pięćdziesiąt trzy religie.

– Musi się dobrze bawić.

– A to jest Jabbar – powiedział Marchewa.

Eksponat A, który wyglądał jak nieco starsza wersja 71-godzinnego Ahmeda, wstał i skłonił się Vimesowi.

– Offendi...

– Jest ich... no, tak jakby oficjalnym mędrzem – wyjaśnił Marchewa.

– Aha. Czyli to nie ten, który im mówi, kiedy atakować? – upewnił się Vimes. W głowie szumiało mu od upału.

– Nie, tamten to wódz. O ile akurat jakiegoś mają.

– Więc może Jabbar mówi im, kiedy mądrze jest atakować?

– Zawsze mądrze jest atakować, offendi – odparł Jabbar. Skłonił się ponownie. – Mój namiot jest twoim namiotem – oświadczył.

– Tak? – zdziwił się Vimes.

– Moje żony są twoimi żonami.

Vimes wyraźnie się przeraził.

– Wszystkie? Naprawdę?

– Moja żywność jest twoją żywnością – ciągnął Jabbar.

Vimes zerknął na stojące przy ognisku naczynie. Wyglądało na to, że głównym daniem była baranina albo kozina. Jabbar schylił się, wziął w dłoń jakiś kęs i wręczył mu uroczyście.

Sam Vimes popatrzył na jedzenie. Ono też popatrzyło.

– Najlepszy kawałek – powiedział Jabbar i mlasnął zachęcająco. Dodał coś po klatchiańsku i wokół ogniska rozległy się stłumione śmiechy.

– To mi wygląda na baranie oko – stwierdził niepewnie Vimes.

– Tak jest, sir – potwierdził Marchewa. – Ale nierozsądnie byłoby...

– Wiesz co? – rzekł Vimes. – Myślę, że to taka zabawa, zwana „Zobaczmy, co przełknie offendi”. I tego nie przełknę, przyjacielu.

Śmiechy ucichły. Jabbar spojrzał na Vimesa z podziwem.

– A więc prawdą jest, że widzisz dalej niż większość – powiedział.

– Tak jak to jedzenie. Ojciec mi mówił, żeby nigdy nie jeść niczego, co może do mnie mrugać.

Nastąpiła jedna z tych chwil, kiedy wszystko wisi na włosku. Sytuacja mogła doprowadzić do wybuchu śmiechu albo do nagłej śmierci.

I wtedy Jabbar klepnął Vimesa w plecy. Oko wystrzeliło z jego dłoni i odleciało w mrok.

– Świetnie! Wyjątkowo dobrze! Pierwszy raz to nie zadziało od dwudziestu lat! Siadaj teraz i zjedz porządny ryż z owcą, jak u mamy.

Nastąpiło wyraźne odprężenie. Vimes poczuł, że ściągają go w dół, siedzenia rozsunęły się na boki, by zrobić mu miejsce, przed nim pojawił się ociekający tłuszczem kawał mięsa. Vimes dotknął go najgrzeczniej, jak

potrafił, po czym zdecydował się postąpić według starej reguły, że jeśli da radę rozpoznać przynajmniej połowę, to chyba spokojnie może zjeść całą resztę.

– Czyli jesteśmy waszymi jeńcami, panie Jabbar?

– Honorowymi gośćmi! Mój namiot jest...

– Ale... jak by to ująć... Chcecie, żebyśmy korzystali z waszej gościnności jeszcze przez jakiś czas?

– Mamy tradycję – odparł Jabbar. – Człowiek, który jest gościem w twoim namiocie, choćby najgorszy wróg, jesteś mu winien gościnność przez czy dzień.

– Czy dzień, tak?

– Uczyłem się języka na... – Jabbar machnął ręką. – No wiesz, drewniana rzecz, wielbłąd morza...

– Statek?

– Tak! Ale za dużo wody. – Znow klepnął Vimesa, aż gorący tłuszcz chlapanął komendantowi na kolana. – W tych dniach na każdej drodze dużo mówi po morskemu, offendi. To mowa... kupca.

Ostatnie słowo wymówił tonem sugerującym, że oznacza to samo co „glista”.

– Dlatego musicie wiedzieć, jak powiedzieć na przykład: „Oddajcie nam wszystkie pieniądze”?

– Po co prosić? I tak zabierzemy. Ale teraz... – Jabbar z zadziwiającą precyzją splunął w ogień. – Mówią, że trzeba przestać, to nie jest dobre. A czy my robimy coś złego?

– Oprócz zabijania ludzi i odbierania im towarów? – spytał Vimes.

Jabbar roześmiał się.

– Wali mówił, że jesteś wielki dyplomatyk! Ale nie zabijamy kupców, po co zabijać kupców? Jaki sens? Głupio jest zabijać darowanego konia, który znosi złote jajo!

– Pokazując go, moglibyście sporo zarobić.

– My zabijamy kupców, my rabujemy za dużo, oni nigdy nie wrócą. Głupio. My pozwalamy im odejść, oni znów są bogaci, wtedy nasi synowie ich rabują. To jest mądrość.

– Aha, czyli to coś w rodzaju hodowli – uznał Vimes.

– Tak! Ale kiedy zasadzić kupca w ziemi, to on nie rośnie dobrze.

Vimes zauważył, że po zachodzie słońca zrobiło się chłodniej. A nawet o wiele chłodniej. Przysunął się bliżej do ognia.

– Dlaczego on się nazywa 71-godzinny Ahmed? – zapytał.

– Nie aż taki dyplomatyk – stwierdził Jabbar.

– Ścigamy go tutaj, potem nagle wpadamy w waszą zasadzkę. Wydaje się, że...

– Nic nie wiem – stwierdził Jabbar.

– Ale dlaczego... – zaczął Vimes.

– Ehm, sir – wtrącił z naciskiem Marchewa. – To chyba niezbyt rozsądne. Odbyliśmy z Jabbarem pogawędkę, kiedy pan... odpoczywał. Obawiam się, że sprawa jest trochę polityczna, sir.

– A jaka nie jest?

– Widzi pan, sir, książę Cadram próbuje zjednoczyć cały Klatch.

– I choćby wrzeszczał i kopał, wciągnąć go w Wiek Nietoperza?

– No tak, sir. Skąd pan...?

– Zgadłem. Mów dalej.

– Ale ma z tym kłopoty – podjął Marchewa.

– Jakie?

– Nas – oświadczył z dumą Jabbar.

– Żadnemu z plemion nie podoba się ten pomysł – tłumaczył Marchewa. – Zawsze walczyły między sobą, a teraz większość walczy z nim. Historycznie, sir, Klatch jest nie tyle imperium, ile raczej kłótnią.

– On mówi, że musimy być wykształceni. Musimy się nauczyć płacić podatki. Nie chcemy się kształcić o podatkach.

– Czyli uważacie, że walczyście o wolność? – domyślił się Vimes.

Jabbar zawahał się i spojrzał pytająco na Marchewę. Nastąpiła szybka wymiana zdań po klatchiańsku.

– To dość trudna kwestia dla D'regów, sir – odezwał się Marchewa. – Widzi pan, ich słowo oznaczające „wolność” jest takie samo jak słowo oznaczające „walkę”.

– Zadbali, żeby język dla nich pracował, co?

W niższej temperaturze Vimes czuł się zdecydowanie lepiej. Wyjął cygaro z pomiętej i wilgotnej paczki i przypalił węgielkiem z ogniska.

– Czyli... nasz piękny książę ma poważne problemy domowe, tak? Czy Vetinari wie o tym?

– A czy wielbłąd sra na pustyni, sir?

– Coraz lepiej łapiesz klatchiański, muszę przyznać.

Jabbar powiedział coś. Znowu zahuczał śmiech.

– Ehm... Jabbar mówi, że wielbłąd z całą pewnością sra na pustyni, sir. W

przeciwnym razie nie miałby pan od czego odpalić cygara.

Po raz kolejny nastąpił moment, kiedy Vimes poczuł na sobie ich badawczy wzrok. Trzeba zachować się dyplomatycznie, jak powiedział mu Vetinari.

Zaciągnął się głęboko.

– Poprawia aromat – stwierdził. – Przypomnijcie mi, żebym zabrał trochę do domu.

W oczach Jabbara sędziowie pokazali niechętnie przynajmniej dwie ósemki.

– Człowiek na koniu przyjechał i powiedział, że musimy walczyć z cudzoziemskimi psami...

– To my – wyjaśnił Marchewa.

– ...bo ukradliście wyspę, co jest pod morzem. Ale co to dla nas? Nie znamy krzywd od was, zagranicznych diabłów, a ludzi, co smarują sobie brody olejem w Al-Khali, nie lubimy. No więc go odesłaliśmy.

– W całości? – zainteresował się Vimes.

– Nie jesteśmy barbarzyńscy. On był wyraźnie obłąkany. Ale zatrzymaliśmy jego konia.

– A 71-godzinny Ahmed rozkazał wam nas uwięzić, prawda? – powiedział Vimes.

– Nikt nie rozkazuje D'regom! Trzymanie was tutaj sprawia nam radość!

– A potem z radością pozwolicie nam odejść? Kiedy Ahmed wam powie?

Jabbar wpatrzył się w ogień.

– Nie będę o nim mówił. On jest przebiegły, chytry i niegodny zaufania.

– Ale wy też jesteście D’regami.

– Tak! – Jabbar znowu klepnął Vimesa w plecy. – I dlatego wiemy, o czym mówimy!

Klatchiański kuter był o milę czy dwie od portu, kiedy kapitan odniósł wrażenie, że nagle płynie mu się łatwiej. Może muszle odpadły od dna, pomyślał.

Kiedy kuter rozplynął się w wieczornej mgiełce, z fal wysunęła się zakrzywiona rura i ze zgrzytem skierowała się ku brzegowi.

Stłumiony metaliczny głos jęknął:

– Och, nie...

A drugi metaliczny głos zapytał:

– Co jest, sierżancie?

– Wyjrzyj przez to.

– Dobra.

Przez chwilę trwała cisza, a potem drugi metaliczny głos rzucił:

– O żeż...

To, co stało na kotwicy przed miastem Al-Khali, nie było flotą. Było flotą flot. Maszty wyglądały jak pływający las.

Pod falami lord Vetinari stanął w kolejce do wyglądanego przez rurę.

– Tyle statków – powiedział. – I to w tak krótkim czasie... Jak dobrze to zorganizowano. Bardzo dobrze. Można by wręcz powiedzieć... szokująco dobrze zorganizowano. Jak to mówią: „Jeśli pragniesz wojny, gotuj się do wojny”.

– Wydaje mi się, panie – wtrącił Leonard – że to powiedzenie brzmi: „Jeśli pragniesz pokoju, gotuj się do wojny”.

Vetinari przechylił głowę na bok; jego wargi poruszały się bezgłośnie, gdy powtarzał sobie to zdanie.

– Nie – stwierdził w końcu. – Nie. To mi zupełnie nie pasuje.

Wrócił na swoje miejsce.

– Ruszajmy dalej, ale ostrożnie – polecił. – Możemy wyjść na brzeg pod osłoną ciemności.

– Eee... Czy moglibyśmy wyjść na brzeg pod osłoną osłony? – zaproponował Colon.

– Te dodatkowe statki sprawią, że tym łatwiej zrealizujemy nasz plan – ciągnął Patrycjusz, nie zwracając na sierżanta uwagi.

– Nasz? – zdziwił się Colon.

– Mieszkańcy klatchiańskiej hegemonii występują we wszystkich kształtach i kolorach. – Vetinari spojrzał na Nobby’ego. – Praktycznie we wszystkich kształtach i kolorach – dodał. – Zatem nasze pojawienie się na ulicach nie powinno wzbudzić niepożądanych komentarzy. – Znowu zerknął na Nobby’ego. – Zbyt licznych.

– Mamy na sobie mundury, sir – przypomniał Colon. – Nie możemy przecież tłumaczyć, że idziemy na bal przebierańców.

– Ja w każdym razie swojego nie zdejmę – oświadczył Nobby. – Nie będę biegał po mieście w samych gatkach. Nie w porcie. Marynarze bardzo długo są na morzu. Słyszysz różne rzeczy.

– Jest nawet gorzej. – Sierżant nie tracił czasu na obliczanie, jak długo dowolny marynarz musiałby przebywać na morzu, by wizja Nobby’ego Nobbsa przedstawiła mu się jako cokolwiek innego niż cel. – Bo jak nie będziemy w mundurach, uznają nas za szpiegów. A wiesz, co się robi ze szpiegami.

– Powie mi pan, sierżancie?

– Bardzo przepraszam, wasza lordowska mość... – Colon podniósł głos.

Patrycjusz, pogrążony w dyskusji z Leonardem, obejrzał się niecierpliwie.

– Słucham, sierżancie?

– Co robią ze szpiegami w Klatchu, sir?

– Chwileczkę... – Leonard zastanowił się. – A tak. Wydaje mi się, że oddają ich kobietom.

Nobby rozpromienił się.

– No, to nie brzmi tak źle...

– Ale wiesz, Nobby... – zaczął Colon.

– ...bo widziałem obrazki w tej książce, „Perfumowana bruzda”, co ją czytała kapral Angua, i tam...

– ...nie, Nobby, posłuchaj, źle to...

– ...znaczy, niech mnie, nie wiedziałem, że można to zrobić z...

– Nobby, słuchaj...

– ...i jeszcze był taki kawałek, w którym ona...

– Kapralu Nobbs!!! – wrzasnął Colon.

– Tak, sierżancie?

Colon pochylił się i przez chwilę szeptał Nobby’emu do ucha. Wyraz twarzy kaprała zmienił się powoli.

– Oni naprawdę...

– Tak, Nobby.

– Naprawdę...

– Tak, Nobby.

– W domu tak nie robią.

– Nie jesteśmy w domu, Nobby. Wolałbym, żebyśmy byli.

– Chociaż słyszy się czasem różne historie o Ciotkach Cierpienia, sierżancie.

– Panowie – wtrącił Vetinari. – Obawiam się, że Leonard popuścił wodze wyobraźni. Owszem, może się to zdarzać w jakichś górskich plemionach, jednak Klatch to starożytna cywilizacja i tak się nie robi tu oficjalnie. Sądzę raczej, że daliby wam papierosa.

– Papierosa? – zdziwił się Fred Colon.

– Tak, sierżancie. I miły, nasłoneczniony mur, żeby pod nim stanąć.

Sierżant Colon szukał w tej wizji jakichś ukrytych wad.

– Porządnego skręta i mur, o który można się oprzeć? – upewnił się.

– Chyba woleliby, żebyście stali prosto, sierżancie.

– Trudno się dziwić. To, że ktoś jest więźniem, to jeszcze nie powód do niedbałości. No tak... w tej sytuacji mogę zaryzykować.

– Brawo – rzekł chłodno Patrycjusz. – Proszę powiedzieć, sierżancie... Czy w pańskiej długiej karierze wojskowej ktokolwiek rozważał awansowanie pana na oficera?

– Nie, sir.

– Naprawdę nie rozumiem dlaczego.

Noc rozlała się nad pustynią. Nadeszła nagle, w fioletach. W czystym powietrzu gwiazdy rzucały w dół swe promienie, przypominając każdemu skłonmemu do zadumy obserwatorowi, że właśnie na pustyniach i w górach rodzą się religie. Kiedy ludzie widzą nad głowami jedynie bezdenną nieskończoność, zawsze ogarnia ich rozpaczliwa, przemożna chęć znalezienia kogoś, kto stanie na drodze.

Życie wynurzyło się z nor i szczelin. Wkrótce pustynię wypełniło brzęczenie, stukanie i piski stworzeń, które – nie dysponując potężną mocą ludzkiego umysłu – nie przejmowały się szukaniem kogoś, na kogo da się zrzucić winę. Natomiast starały się znaleźć kogoś, kogo da się zjeść.

Około trzeciej nad ranem Vimes wyszedł z namiotu zapalić. Zimne powietrze uderzyło go jak skrzydło drzwi. Było lodowato. Tak nie powinno się chyba zdarzać na pustyni... Pustynie to przecież gorący piasek, wielbłądy i... i... Męczył się przez chwilę, jak człowiek, którego wiedza geograficzna kurczy się gwałtownie, kiedy tylko zejdzie z brukowanej drogi. Wielbłądy, tak, i daktylę. Możliwe, że jeszcze banany i kokosy. Ale takie zimno? I to ma być pustynia?

Teatralnym gestem machnął paczką cygar w stronę D'rega, który stał obok namiotu. Ten wzruszył ramionami.

Ognisko było już tylko kupką szarości, ale Vimes rozgrzebał ją w próżnej nadziei znalezienia odrobiny żaru.

Uświadomił sobie, jak bardzo jest zły. Ahmed był kluczem, wiedział o tym. A teraz utknęli na pustyni, Ahmed zniknął, a oni wpadli w ręce... spokojnych i sympatycznych ludzi, trzeba przyznać. To rabusie, być może, lądowy odpowiednik piratów, ale Marchewa z pewnością by powiedział, że jednak są całkiem porządnymi facetami. Jeśli komuś odpowiadała ich gościnność, okazywali się mili jak zapiekanka albo baranie oko z melasą czy co jeszcze się tu podaje...

Coś poruszyło się w ciemności. Po zboczach wydmy zsunął się cień.

Coś zawyło na okrytej nocą pustyni.

Krótkie włoski zjeżyły się Vimesowi na karku, tak jak jeżyły się jego dalekim przodkom.

Noc zawsze jest stara. Zbyt często chodził ciemnymi ulicami w tych tajemniczych godzinach; czuł wtedy, jak noc się rozciąga, i wiedział w głębi duszy, że wprawdzie dni, królowie i imperia przychodzą i odchodzą, noc zawsze jest w tym samym wieku, zawsze sięgającym eonów. W aksamitnych mrokach rodziła się groza i choć zmieniała się natura szponu, natura bestii pozostawała bez zmian.

Wstał cicho i sięgnął po miecz.

Nie było go.

Zabrali mu. Nawet nie...

– Piękna noc – usłyszał głos z boku.

Jabbar stanął u jego ramienia.

– Kto tam jest? – syknął Vimes.

– Wróg.

– Który?

W mroku błysnęły zęby.

– Tego się dowiemy, offendi.

– Dlaczego chcą nas atakować?

– Może oni sądzą, że mamy coś, na czym im zależy.

Więcej cieni prześliznęło się po piasku.

A jeden wyrósł tuż za Jabbarem, schylił się i podniósł go do góry. Wielka

szara dłoń ściągnęła mu z pasa miecz.

– Co mam z nim zrobić, panie Vimes?

– Detrytus?

Troll zasalutował ręką, w której wciąż trzymał D'rega.

– Obecny i gotowy, sir!

– Ale... – Vimes zrozumiał nagle. – Jest lodowato zimno! Twój mózg znowu działa?

– Nawet bardziej sprawnie, sir.

– Czy to dzinn? – zapytał Jabbar.

– Nie wiem, ale na pewno by się przydał. – Vimes znalazł wreszcie w kieszeni zapalnik. – Postawcie go, sierżancie – polecił, zaciągając się cygarem. – Jabbar, to jest sierżant Detrytus. Może połamać ci wszystkie kości, nie wyłączając tych małych w palcach, które bardzo trudno...

Ciemność wydała świst i coś zaszeptało mu przy karku, o ułamek sekundy wcześniej, nim Jabbar skoczył i powalił go na ziemię.

– Oni strzelają w światło!

– Mwwf?

Vimes ostrożnie uniósł głowę i wypluł z ust piasek oraz okruchy tytoniu.

– Panie Vimes!

Tylko Marchewa potrafił tak szeptać. Szept kojarzył mu się z ukrywaniem i kłamstwem, więc radził sobie, szepcząc bardzo głośno. Ku przerażeniu komendanta wyszedł zza namiotu, trzymając w ręku małą lampkę.

– Odłóż tę przeklętą...

Vimes nie zdołał dokończyć zdania, ponieważ gdzieś wśród nocy zaczął krzyczeć człowiek. Był to piskliwy wrzask, który urwał się nagle.

– Aha... – Marchewa przykucnął obok Vimesa i zdmuchnął lampkę. – To była Angua.

– Przecież to nie... A... no tak. Chyba rozumiem, o co ci chodzi – powiedział niepewnie Vimes. – Ona tam jest, tak?

– Słyszałem ją już wcześniej. Sądzę, że dobrze się bawi. W Ankh-Morpork nie ma właściwie okazji, żeby sobie poszaleć.

– No... no nie. – Vimes wyobraził sobie rozszalałego wilkołaka. Ale Angua z pewnością by nie... – Wy dwoje... Dobrze wam się układa, prawda? – zapytał, starając się zidentyfikować kształty w ciemności.

– Doskonale, sir. Doskonale.

Czyli jej okresowa przemiana w wilka ci nie przeszkadza? Vimes nie potrafił się zmusić, by powiedzieć to głośno.

– Czyli... żadnych problemów?

– Właściwie żadnych, sir. Sama kupuje psie chrupki i ma własną klapkę w drzwiach. Kiedy przychodzi pełnia, praktycznie się nie mieszam.

Wśród nocy rozległy się krzyki, a potem jakiś kształt wyskoczył z ciemności, przemknął obok Vimesa i zniknął w namiocie. Nie szukał wejścia, tylko z pełną szybkością uderzył w płótno, a potem pędził dalej, aż namiot złożył się na nim.

– A to co było? – zdumiał się Jabbar.

– To wymaga dłuższych wyjaśnień – odparł Vimes, wstając z piasku.

Marchewa i Detrytus ścągali już powalony namiot.

– Jesteśmy D'regami – oświadczył z wyrzutem Jabbar. – Powinniśmy zwinąć nasze namioty bezgłośnie pośród nocy, a nie...

Księżyc świecił dostatecznie jasno. Angua usiadła i wyrwała Marchewie z ręki kawałek namiotu.

– Bardzo dziękuję – powiedziała, owijając się nim. – I zanim ktoś powie cokolwiek, ugryzłam go tylko w pośladek. Mocno. I muszę was zapewnić, że wcale nie było to przyjemne.

Jabbar popatrzył w głąb pustyni, potem w dół, na piasek, potem na Anguę. Vimes widział, jak myśli. Serdecznie objął go ramieniem.

– Może lepiej wytłumaczę... – zaczął.

– Tam jest paruset żołnierzy – warknęła Angua.

– ...później.

– Zajmują pozycje wokół was! I nie wyglądają przyjaźnie! Czy ktoś ma jakieś ubranie, które by pasowało? I jakieś przyzwoite jedzenie? Coś do picia! Tutaj w ogóle nie ma wody!

– Nie ośmielą się zaatakować nas przed świtem – stwierdził Jabbar.

– A co wy zrobicie, sir? – spytał Marchewa.

– O świcie ruszymy do ataku!

– Aha. Hm... Nie wiem, czy mógłbym zaproponować alternatywne rozwiązanie.

– Alternatywne? Atak jest słuszny! Atak to coś, do czego służy świt!

Marchewa zasalutował Vimesowi.

– Czytałem pańską książkę, sir. Kiedy pan... spał. Tacticus ma wiele do powiedzenia o tym, jak sobie radzić z przeważającymi siłami, sir.

– Tak?

– Píše, że trzeba wykorzystać każdą okazję, by zmienić je w siły

niedowważające, sir. Moglibyśmy zaatakować teraz.

– Przecież jest ciemno, człowieku!

– Równie ciemno jest dla nieprzyjaciela, sir.

– Chodzi mi o to, że nic nie widać! Nie wiedzielibyśmy, z kim walczymy. Co drugi raz trafialibyśmy w swoich!

– Nie, sir, ponieważ byłoby nas niewielu. Wystarczy tylko poczołgać się tam, zrobić trochę hałasu, a potem niech oni sami zajmą się resztą. Tacticus pisze, że nocą wszystkie armie są równie liczne.

– Coś w tym jest – zgodziła się Angua. – Oni czołgają się dookoła dwójkami i trójkami, a ubrani są całkiem jak... – Skinęła na Jabbara.

– To jest Jabbar – przedstawił D'rega Marchewa. – Ktoś w rodzaju niewodza.

Jabbar uśmiechnął się nerwowo.

– W waszym kraju często psy się zmieniają w nagie kobiety?

– Skąd. Czasami mijają całe długie dni i nie dzieje się to ani razu – burknęła Angua. – Chciałabym jakieś ubranie, jeśli można. I miecz, skoro mamy walczyć.

– Ehm... wydaje mi się, że Klatchianie mają dość szczególne poglądy na temat walczących kobiet... – zaczął Marchewa.

– Tak! – zgodził się Jabbar. – My się spodziewamy, że doskonale sobie poradzą, Niebieskooki. Jesteśmy D'regami!

Okręt wynurzył się na powierzchnię brudnej wody pod pomostem. Kłapa otworzyła się wolno.

– Pachnie jak w domu – zauważył Nobby.

– Nie można ufać wodzie – pouczył go sierżant Colon.

– Ja nie ufam wodzie w domu, sierżancie.

Fred Colon zdołał jakoś oprzeć stopę na śliskim drewnie. W teorii była to heroiczna wyprawa – on i Nobby Nobbs, mężni wojownicy, wyruszali na terytorium wroga. Niestety, jak dobrze wiedział, robili to tylko dlatego, że lord Vetinari czekał w Okręcie i gdyby odmówili, uniósłby brwi w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości.

Zawsze wierzył, że bohaterowie mają wewnątrz jakiś specjalny mechanizm, który zmusza ich, by wyruszali i ginęli heroicznie za bogów, ojczyznę i szarlotkę czy jaki tam jeszcze wyjątkowy smakołyk przyrządzała ich mama. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mogą wyruszać, bo w przeciwnym razie ktoś by na nich nawrzeszczał.

Wyciągnął rękę.

– Chodź, Nobby. I pamiętaj, robimy to dla bogów, Ankh-Morpork i... – Miał wrażenie, że jakaś potrawa będzie tu najodpowiedniejsza. – I dla sławnego kostkowego sandwicza mojej mamy!

– Nasza mama nigdy nie robiła kostkowego sandwicza – poskarżył się Nobby. I podciągając się na pomost. – Ale zdziwiłby się pan, sierżancie, co potrafiła przyrządzić z kawałka sera...

– No tak, możliwe, ale nie byłby to szczególnie udany okrzyk bojowy, prawda? „Za bogów, Ankh-Morpork i zadziwiające rzeczy, które mama Nobby’ego potrafiła przyrządzić z kawałka sera”, prawda? Coś takiego miałoby wzbudzić trwogę w sercu nieprzyjaciela? – tłumaczył Colon, gdy przekradali się pomostem w stronę lądu.

– Aha! Jeśli o to panu chodzi, sierżancie, to od naszej mamy najlepszy byłby cierpiący pudding z budyniem.

– Przerazający, tak?

– Nie chce pan tego wiedzieć, sierżancie.

Doki w Al-Khali wyglądały jak wszystkie inne doki na świecie, ponieważ wszystkie doki na świecie są ze sobą połączone. Ludzie ładują towary na statki albo wynoszą je na ląd. Istnieje tylko ograniczona liczba sposobów wykonywania tych czynności. Dlatego doki zawsze są do siebie podobne – niektóre bardziej gorące, inne wilgotne, ale nieodmiennie leżą tam stosy pakunków wyglądających trochę na zapomniane.

W oddali jarzyło się miasto, całkiem nieświadome wtargnięcia nieprzyjaciela.

– „Znajdźcie jakieś ubrania, żebyśmy nie zwracali uwagi” – mruczał Colon. – Łatwo się mówi...

– Nie, nie! To naprawdę łatwe – zapewnił Nobby. – Wszyscy wiedzą, jak to załatwić. Trzeba się przyczaić w jakimś zaułku, tak, poczekać, aż zjawi się para facetów, i wtedy zwabić ich do zaułka, jasne, potem kilka łupnięć, a potem się wychodzi w ich ubraniach.

– I to działa?

– Niezawodny sposób, sierżancie – stwierdził Nobby z przekonaniem.

Piasek w blasku księżyca wyglądał jak śnieg.

Vimes doskonale się czuł, walcząc metodą Tacticusa. Tak zawsze walczyli gliniarze. Prawdziwy glina nie ustawiał się w tyralierę z masą innych glin i nie rzucał się na ludzi. Glina krył się w cieniu i czekał na właściwy moment. Szczerze mówiąc, ów moment nadchodził, kiedy przestępca już popełnił przestępstwo i dźwigał łup. W przeciwnym razie nie warto robić nic. Trzeba być realistą. Zdanie „Mamy człowieka, który to zrobił” ma o wiele większą wagę od „Mamy człowieka, który wyglądał, jakby chciał to zrobić”. Zwłaszcza kiedy ludzie mówią: „Udowodnijcie to”.

Gdzieś po lewej stronie, w sporej odległości, ktoś krzyknął.

Vimes czuł się jednak trochę niepewnie w tej szacie – jakby ruszał do

bitwy w nocnej koszuli.

No i wcale nie był pewien, czy potrafi zabić człowieka, który aktywnie nie usiłuje zabić jego. Oczywiście, w tych dniach formalnie każdy uzbrojony Klatchianin aktywnie usiłował go zabić. Na tym polega wojna. Ale...

Wysunął głowę ponad szczyt wydmy. Klatchiański wojownik patrzył w inną stronę. Vimes podczołgał się...

– Bilngely bingely biip! Tu twoje budzenie, Tu-Wstaw-Swoje-Imię, jest siódma rano! Przynajmniej mam nadzieję...

– E...?

– Szlag!

Vimes zareagował szybciej i trafił przeciwnika w nos. Ponieważ nie było sensu czekać, by zobaczyć, jaki to odniesie skutek, rzucił się naprzód. Walcząc i bijąc na oślep, stoczyli się obaj po lodowatym piasku.

– ...bo moja funkcja czasu rzeczywistego wydaje się chwilowo zakłócona...

Klatchianin był drobniejszy od Vimesa. I młodszy. Ale nieszczęśliwie dla siebie, wydawał się zbyt młody, by opanować cały repertuar brudnych chwytów, jakie decydowały o przeżyciu w zaułkach Ankh-Morpork. Vimes za to gotów był uderzyć wszystkim we wszystko. Chodziło o to, żeby przeciwnik już się nie podniósł. Cała reszta to tylko dekoracja.

Zatrzymali się u stóp wydmy. Vimes siedział na górze, a Klatchianin jęczał.

– Zadania do wykonania – pisnął De-terminarz. – Być obolałym.

I wtedy... nadszedł prawdopodobnie czas podrzynania gardeł. W domu Vimes mógłby zawlec chłopaka do celi, ze świadomością, że rankiem wszystko wygląda lepiej. Jednak pustynia nie dawała takich możliwości.

Nie, nie potrafi tego zrobić. Stłucze go do nieprzytomności. Tak nakazuje

miłosierdzie.

– Vindaloo! Vindaloo!

Pięść Vimesa znieruchomiała w powietrzu.

– Co?

– To pan, prawda? Pan Vimes? Vindaloo!

Vimes zerwał z twarzy Klatchianina skrawek materiału.

– Jesteś synem Goriffa?

– Nie chciałem tu być, panie Vimes! – Słowa padały szybko, z desperacją.

– Dobrze już, dobrze. Nic ci nie zrobię. – Vimes opuścił pięść, wstał i szarpnięciem postawił chłopaka na nogi. – Pogadamy później. Teraz chodź.

– Nie! Wszyscy wiedzą, co D'regowie robią z jeńcami!

– Wiesz, ja sam jestem ich jeńcem i będą musieli to zrobić nam obu, jasne? Trzymaj się z daleka od co zabawniejszego jedzenia, a raczej nic ci się nie stanie.

Ktoś gwizdnął w ciemności.

– No chodź, mały! – syknął Vimes. – Nic ci nie grozi! W każdym razie mniej, niż gdybyś tu został. Rozumiesz?

Tym razem nie dał chłopcu czasu na dyskusję, ale pociągnął go za sobą. Kiedy zmierzali do obozowiska D'regów, inne postacie ześlizgiwały się z wydm. Jedna z nich nie miała ręki, a z piersi sterczał jej miecz.

– Jak ci poszło, Reg? – spytał Vimes.

– Trochę dziwnie, sir. Kiedy ten pierwszy odrąbał mi rękę i wbił miecz, miałem wrażenie, że reszta stara się nie wchodzić mi w drogę. Można by pomyśleć, że nigdy jeszcze nie widzieli kogoś przebitego mieczem.

– Znalazłeś rękę?

Reg zamachał czymś w powietrzu.

– To kolejna sprawa – powiedział. – Paru z nich nią uderzyłem, a oni uciekli z wrzaskiem.

– To twój system walki wręcz. Trzeba się do niego przyzwyczaić.

– Czy wziął pan jeńca?

– W pewnym sensie. – Vimes obejrzał się. – Chyba zemdłał. Nie mam pojęcia dlaczego.

Reg pochylił się.

– Ci cudzoziemcy są dziwni – oświadczył konfidencyjnym szeptem.

– Reg...

– Tak?

– Ucho ci wisi.

– Naprawdę? Co za draństwo. A myślałem, że gwóźdź wytrzyma.

Sierżant Colon patrzył na gwiazdy. One też patrzyły na niego. Colon miał przynajmniej wybór.

Obok niego stęknął boleśnie kapral Nobbs. Ale napastnicy zostawili go przynajmniej w gatkach. Są miejsca, gdzie nawet najmężniejsi nie ośmielą się sięgnąć, a regiony od kolan Nobby'ego w górę i od talii w dół do takich właśnie należały.

Colon myślał o nich jak o napastnikach. Formalnie biorąc, byli raczej obrońcami. Agresywnymi obrońcami.

– Może opowiesz mi to wszystko jeszcze raz, dobrze? – poprosił.

– Znajdujemy dwóch gości naszego wzrostu i wagi...

– To się udało.

– Zwabiamy ich do tego zaułka...

– To też się udało.

– Zamachuję się na nich kawałem drewna i w ciemności przypadkiem trafiam pana, oni się złoścą, okazuje się, że to złodzieje i zwijają wszystkie nasze rzeczy.

– To nie powinno się zdarzyć.

– No, w zasadzie plan był dobry – stwierdził Nobby, z wysiłkiem podnosząc się na kolana. – Możemy spróbować jeszcze raz.

– Nobby, jesteś w porcie w zagranicznym mieście, ubrany jedynie w swoje niewymowne, i używam tego określenia z pełnym przekonaniem. To nie jest odpowiednia chwila, żeby zwabiać ludzi do ciemnych zaułków. Zaczną się plotki.

– Angua zawsze mówi, że nagość wszędzie jest strojem narodowym, sierżancie.

– Ale mówi o sobie, Nobby. – Colon przesunął się w cieniu. – Z tobą jest inaczej.

Wyrzwał za róg na drugim końcu uliczki. Słyszeli hałasy i gwar z budynku, do którego należała jedna ze ścian. Przed wejściem czekały cierpliwie dwa obładowane osły.

– Idź tam i porwij taki pakunek. Jasne?

– Dlaczego ja, sierżancie?

– Bo jesteś kapralem, a ja sierżantem. Poza tym masz na sobie więcej ode

mnie.

Burcząc coś pod nosem, Nobby wysunął się na wąską uliczkę i jak najszybciej odwiązał uzdę. Zwierzę posłusznie ruszyło za nim.

Colon zajrzał do juków.

– Jeśli nie będzie innego wyjścia, możemy nosić worki – powiedział. – To... co to jest? – Wyjął coś czerwonego.

– Doniczka? – odpowiedział usłużnie Nobby.

– Nie, fez! Niektórzy Klatchianie takie noszą. Chyba mieliśmy szczęście. O, tutaj mam drugi. Przymierz, Nobby. Patrz, to wygląda jak ta ich nocna koszula. Znalazłem drugą. No to jesteśmy w domu, Nobby.

– Są trochę za krótkie, sierżancie.

– Żebracy nie mają wyboru. – Colon wcisnął się w kostium. – Wkładaj fez.

– Kiedy wyglądam w nim jak głupek, sierżancie.

– Spójrz, ja swój wkładam. Widzisz?

– I będziemy zgodni w fezie?

Colon rzucił mu surowe spojrzenie.

– Miałeś przygotowane takie hasło, co?

– Nie, sierżancie. Przed chwilą je wymyśliłem. W głowie.

– Niech będzie. Ale pamiętaj, nie możesz do mnie mówić „sierżancie”. Nie brzmi klatchiańsko.

– Nobby też nie, sier... Przepraszam.

– Sam nie wiem. Możesz być... Knobi... Albo Nhobi... albo Gnobbee...

Całkiem po klatchiańsku, moim zdaniem.

– A jakie może być dobre, klatchiańskie imię dla pana? – spytał Nhobi. – Właściwie żadnego nie znam.

Colon nie odpowiedział. Znowu wyglądał za róg.

– Jego lordowska mość powiedział, że mamy nie marnować czasu – wymruczał Nobby.

– No tak, ale w tej puszcze czuć, że siedzą tam ludzie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Czego bym nie oddał za...

Ktoś krzyknął za ich plecami. Odwrócili się obaj. Stało tam trzech klatchiańskich żołnierzy. Albo strażników. Nobby i Colon nie zwrócili uwagi na nic poza mieczami. Przywódca warknął w ich stronę jakieś pytanie.

– Co on powiedział? – wyjąkał Nobby.

– Nie wiem!

– Skąd jesteście? – zapytał przywódca po morporsku.

– Co? Och... er... – Colon zamilkł, czekając na błyszczącą śmierć.

– Ha. No tak. – Strażnik opuścił miecz i kciukiem wskazał w stronę doków. – Wracajcie do swojego oddziału, ale już!

– Tak jest – zgodził się Nobby.

– Jak się nazywasz? – spytał któryś ze strażników.

– Nhobi – odparł Nobby. To chyba wystarczyło.

– A ty, grubasie?

Colona ogarnęła panika. Rozpaczliwie szukał jakiegokolwiek imienia, które brzmiałoby odpowiednio. Przyszło mu do głowy tylko jedno, za to absolutnie i autentycznie klatchiańskie.

– Al – powiedział. Drżały mu kolana.

– Wracajcie natychmiast, bo będą kłopoty!

Strażnicy ruszyli biegiem, ciągnąc za sobą osła. Zatrzymali się dopiero na brudnym pomoście, który teraz wydawał się domem.

– O co tu chodziło, sie... Al? – spytał Nobby. – Bo chcieli tylko trochę nas postraszyć. Typowe zachowanie straży – dodał. – Nie nasze, oczywiście.

– Przypuszczam, że mieliśmy na sobie odpowiednie ubrania.

– Nawet mu nie powiedziałaś, skąd jesteśmy! I do tego mówili po naszymu!

– Wiesz, oni... To znaczy każdy powinien mówić po morporsku. – Colon z wolna odzyskiwał równowagę psychiczną. – Nawet dzieci się tego uczą. Założę się, że łatwo im przychodzi, kiedy już się nauczyły czegoś tak skomplikowanego jak klatchiański.

– Co zrobimy z osłem, Al?

– To raczej oślica. Myślisz, że umie pedałować?

– Wątpię.

– No to niech zostanie tutaj.

– Ale ktoś ją ukradnie, Al.

– Ci Klatchianie to wszystko by kradli.

– Nie to co my, Al. Prawda? – Nobby spojrzał na wyrastający w zatoce las masztów. – Stąd wygląda, że jest ich jeszcze więcej. Można chyba z milę iść ze statku na statek. Po co je tu zebrali?

– Nie bądź głupi, Nobby. To przecież oczywiste. Mają przewieźć wszystkich do Ankh-Morpork!

– Po co? Nie zjadamy aż tyle cur...

– Inwazja, Nobby! Trwa wojna. Zapomniałeś?

Znów popatrzyli na statki. Światła pozycyjne odbijały się w wodzie.

Ten jej fragment, który znajdował się bezpośrednio pod nimi, zabulgotał nagle, a potem kadłub Okrętu wynurzył się na kilka cali ponad powierzchnię. Odskokczyła klapa i we włazie pojawiła się niespokojna twarz Leonarda.

– No, jesteście. Zaczynaliśmy się martwić...

Zsunęli się w cuchnące wnętrze.

Lord Vetinari siedział z plikiem kartek na kolanach i pisał coś starannie. Na chwilę podniósł głowę.

– Meldujcie.

Nobby wiercił się nerwowo, gdy sierżant Colon przekazał bardziej lub mniej ścisły raport z ich wyprawy. Znalazła się w nim także cięta riposta, rzucona klatchiańskim strażnikom na odchodnym, której jednak kapral dotychczas sobie nie przypominał.

Vetinari nie odrywał wzroku od papieru.

– Sierzancie – powiedział, ciągle pisząc. – Ur to stara kraina, leży w kierunku krawędziowym od królestwa Djelibeybi. Jej mieszkańcy są symbolem sielankowej głupoty. Z jakiegoś powodu, nie potrafię odgadnąć jakiego, strażnik musiał uznać, że właśnie stamtąd pochodzicie. Natomiast morporski jest czymś w rodzaju języka międzynarodowego, nawet w imperium Klatchu. Kiedy ktoś z Hersheby chce pohandlować z kimś z Istanzi, bez wątpienia będą się targować po morporsku. Co jest dla nas bardzo wygodne, oczywiście. Zgromadzono tu tak wielkie siły, że praktycznie każdy napotkany człowiek jest przybyszem z daleka, mającym dziwaczne obyczaje. Jeśli tylko nie będziemy się zachowywać nazbyt cudzoziemsko, nie wzbudzimy podejrzeń. To oznacza, że nie należy prosić o curry z brukwią i rodzynkami, i należy się powstrzymać od zamawiania kufli

specjalnie warzonego Winkle’a. Czy wyrażam się jasno?

– Eee... A co takiego mamy robić, sir?

– Na początku dokonamy zwiadu.

– Rozumiem. No tak. To bardzo ważne.

– Następnie poszukamy klatchiańskiego sztabu. Dzięki Leonardowi mam im do przekazania niewielki... pakiet. Liczę, że pozwoli to bardzo szybko zakończyć wojnę.

Sierżant Colon miał tępy wyraz twarzy. W pewnym momencie ostatnich kilku sekund wymknął mu się jakoś sens konwersacji.

– Przepraszam, sir... Mówił pan o sztabie, sir.

– Tak, sierżancie.

– Znaczy... same grube ryby czy kogo tutaj mają na pustyni... Wszyscy otoczeni przez elitarne oddziały, sir. Najlepszych żołnierzy zawsze można spotkać w pobliżu grubych ryb.

– Przypuszczam, że tak właśnie będzie, sierżancie. Co więcej, mam taką nadzieję.

Sierżant Colon znowu usiłował nadążyć za tokiem myślenia Patrycjusza.

– Aha. No tak. A my wyruszmy ich szukać. Tak, sir?

– Raczej trudno byłoby ich poprosić, żeby przyszli do nas, sierżancie.

– Słusznie, sir. Oczywiście, że rozumiem. Trochę by było ciasno.

Lord Vetinari oderwał się wreszcie od pisania.

– Ma pan jakiś problem, sierżancie?

A Colon znowu odkrył pewien sekret na temat odwagi. Była

prawdopodobnie rodzajem udoskonalonego tchórzostwa – świadomością, że wprawdzie śmierć może spotkać człowieka, jeśli ruszy do szturm, jednak byłaby zwykłym piknikiem w porównaniu z prawdziwym piekłem, które na niego czeka, gdyby się wycofał.

– Prob... Nie, sir. Nie jako taki – zapewnił.

– To dobrze. – Vetinari odłożył papiery. – Jeśli w tych pakunkach znajdzie się jakieś odpowiednie ubranie, przebiorę się, a potem możemy obejrzeć Al-Khali.

– O bogowie...

– Słucham, sierżancie?

– Na bogów, to świetna myśl, sir.

– Dobrze.

Vetinari zaczął wyjmować zawartość wyzwolonego worka. Był tam zestaw żonglerskich maczug, torba kolorowych kul, wreszcie afisz, taki jakie często się stawia z boku sceny podczas występu artysty.

– „Gulli, Gulli i Beti” – przeczytał. – „Egzotyczne sztuki i tańce”. Hm... wśród właścicieli tego worka była też kobieta.

Strażnicy przyglądali się przejrzystemu materiałowi, który wyłonił się z worka jako następny. Nobby wytrzeszczył oczy.

– Co to jest?

– Wydaje mi się, że nazywają to szarawarami haremowymi, kapralu.

– Są całkiem...

– To ciekawe, ale celem ubrania dziewcząt przy tańcach egzotycznych zawsze było nie tyle odsłonięcie, ile zasugerowanie bliskiego odsłonięcia – powiedział Patrycjusz.

Nobby spojrzał na swój kostium, potem na sierżanta Al-Colona w jego kostiumie.

– No – rzekł wesoło – nie jestem pewien, czy będą na pana pasowały, sir.

I natychmiast pożałował tych słów.

– Nie oczekuję, by na mnie pasowały – odparł spokojnie Patrycjusz. – Proszę mi oddać swój fez, kapralu Beti.

Delikatny, fałszywy przedświt wśliznął się nad pustynię, a dowódca klatchiańskiego oddziału wcale nie był z tego zadowolony.

D'regowie zawsze atakowali o świcie. Wszyscy. Nieważne, ilu ich było, ilu było przeciwników, ruszało do walki całe plemię. Nie tylko kobiety i dzieci, ale też wielbłądy, kozy, owce, a nawet kury. Oczywiście, człowiek spodziewał się tego, łuki mogły ich przetrzebić, ale... Ale nieodmiennie pojawiali się znikąd, nagle, jakby sama pustynia ich wypłula. Wystarczy się pomylić, spóźnić odrobinę, a człowiek będzie rąbany, kopany, tłuczony rogami, dziobany i zabójczo opluty.

Jego żołnierze w oczekiwaniu leżeli na piasku. No, jeśli w ogóle można ich nazwać żołnierzami. Tłumaczył przecież, że to mocno naciągane określenie... No, może nie powiedział tego głośno, bo takie słowa w armii tego człowieka mogą wpędzić w kłopoty... Ale pomyślał to bardzo stanowczo. Połowa z nich to dzieciaki, którym się wydaje, że jeśli rusza się do bitwy, wrzeszcząc i wymachując mieczem, przeciwnik w popłochu ucieknie. Nigdy jeszcze nie widzieli kury D'regów nadlatującej na wysokości oczu.

Co do reszty... W nocy jego ludzie zderzali się ze sobą, omyłkowo wpadali we własne zasadzki, a teraz byli roztrzęsieni jak groszki na bębnie. Któryś stracił miecz i przysięgał, że ktoś odszedł z tym mieczem wbitym w pierś. Jakaś skała pojawiła się nagle, chodziła i biła ludzi. Innymi ludźmi.

Słońce wzeszło ponad horyzont.

– To czekanie jest najgorsze – odezwał się stojący obok sierżant.

– Może być najgorsze – zgodził się dowódca. – Chociaż z drugiej strony najgorszy może się okazać ten moment, kiedy nagle wyrastają z piasku i rozcinają człowieka na połowy. – Popatrzył smętnie na zdradziecko bezludną pustynię. – Albo ten, kiedy rozszalała owca usiłuje odgryźć człowiekowi nos. Właściwie gdy się pomyśli o wszystkim, co może się zdarzyć, kiedy otoczy człowieka horda wrzeszczących D'regów, ten fragment, kiedy ich tu wcale nie ma, jest raczej najlepszy, z czym chyba się zgodzicie, sierżancie.

Sierżant nie był szkolony do takich rozważań.

– Ciągłe ich nie ma – powiedział tylko.

– Lepiej ich niż nas.

– Słońce stoi już wysoko, sir.

Dowódca spojrzał na swój cień. Zaczął się dzień, a piasek wciąż szczęśliwie nie był spryskany jego krwią. Wiele już lat pacyfikował rozmaite krnąbrne części Klatchu – dostatecznie długo, by czasem się zastanawiać, dlaczego pacyfikacja zawsze jakoś oznacza walkę. Doświadczenie nauczyło go, by nigdy nie wypowiadać zdań w rodzaju: „Nie podoba mi się to, jest zbyt spokojnie”. Nie istnieje nic takiego jak nadmierny spokój.

– Mogli nocą zwinąć obóz, sir – powiedział sierżant.

– To nie wygląda na D'regów. Oni nigdy nie uciekają. A zresztą widać stąd namioty.

– Może ruszymy do szturmu, sir?

– Nie walczyliście jeszcze z D'regami, sierżancie?

– Nie, sir. Pacyfikowałem jednak Szalonych Savatarów w Uszystanie i oni...

– D'regowie są gorsi, sierżancie. Pacyfikują odwetowo.

– Nie mówiłem, jak bardzo szaleni byli ci Savatarowie, sir.

– W porównaniu z D'regami mieli co najwyżej trochę nie po kolei w głowach.

Sierżant miał wrażenie, że kwestionowane jest jego doświadczenie bojowe.

– Może wezmę paru ludzi i pójdę na zwiad, sir?

Dowódca spojrzał na słońce. Było już niemal zbyt gorąco, żeby oddychać.

– A co tam... Chodźmy.

Klatchianie podeszli do obozu. Stały tam namioty, leżał popiół po ogniskach. Ale nie było wielbłądów ani koni, tylko wydeptany szlak wiodący między wydmy.

Morale żołnierzy podniosło się trochę. Atakowanie niebezpiecznego przeciwnika, którego nie ma, to jedna z najbardziej atrakcyjnych form sztuki wojennej. Dało się słyszeć uwagi na temat: jak wielkie szczęście mieli D'regowie, że uciekli na czas, oraz improwizacje: co żołnierze by z D'regami zrobili, gdyby ich schwytali...

– Kto to jest? – zdziwił się sierżant.

Między wydmami pojawiła się jakaś postać na wielbłądzie. Biała szata powiewała na wietrze.

Kiedy jeździec dotarł do Klatchian, zsunął się na ziemię i pomachał im ręką.

– Dzień dobry, panowie. Czy zdołam was namówić, byście się poddali?

– Kim jesteście?

– Kapitan Marchewa, sir. Gdybyście zechcieli uprzejmie złożyć broń, nikomu nie stanie się krzywda.

Dowódca się rozejrzał. Nad szczytami wydm pojawiły się czarne plamki. Potem uniosły się wyżej i okazało się, że to głowy.

– To... D'regowie, sir! – wykrztusił sierżant.

– Nie, sierżancie. D'regowie by atakowali.

– Och, przepraszam. Mam im powiedzieć, żeby zaatakowali? – spytał Marchewa. – To by wam bardziej odpowiadało?

D'regowie stali już na wydmach dookoła. Wznoszące się słońce połyskiwało na metalu.

– Chcesz powiedzieć – zaczął wolno dowódca – że potrafiłeś przekonać D'regów, by nie atakowali?

– Nie było łatwo, ale mam wrażenie, że zrozumieli tę ideę.

Dowódca rozważył swoje położenie. D'regowie stali ze wszystkich stron. Jego oddział praktycznie kulił się z przerażenia. A ten rudowłosy, niebieskooki młody człowiek uśmiechał się uprzejmie.

– A jaka jest ich opinia na temat dobrego traktowania jeńców? – zapytał.

– Sądzę, że pojmą, o co w tym chodzi. Jeśli będę nalegał.

Dowódca raz jeszcze popatrzył na milczących D'regów.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego z nami nie walczą?

– Mój dowódca mówi, że nie chce zbędnego rozlewu krwi, sir – odparł Marchewa. – To komendant Vimes, sir. Siedzi na tamtej wydmi, o tam.

– Potrafisz przekonać uzbrojonych D'regów, żeby nie atakowali, i masz dowódcę?

– Tak, sir. On twierdzi, że to operacja policyjna.

Dowódca Klatchian przełknął ślinę.

– Poddajemy się – oświadczył.

– Tak po prostu, sir? – zaprotestował jego sierżant. – Bez walki?

– Tak, sierżancie. Bez walki. Ten człowiek może sprawić, żeby woda popłynęła pod górę, i ma dowódcę. Bardzo mi się podoba myśl o kapitulacji bez walki. Walczę od dziesięciu lat i kapitulacja bez walki to coś, o czym zawsze marzyłem.

Duża kropla spłynęła z metalowego stropu Okrętu i rozprysnęła się na kartce papieru. Leonard z Quirmu ją starł. Kto inny mógłby się nudzić, czekając zamknięty w puszce pod jakimś nędznym pomostem, ale Leonard w ogóle nie rozumiał tego terminu.

Z roztargnieniem nakreślił prosty szkic udoskonalonego systemu wentylacyjnego.

Zaczął przyglądać się własnej dłoni. Niemal bez kierowania, odbierając instrukcje z jakiegoś innego miejsca w mózgu, wyrysowała przekrój dużo większej wersji Okrętu. Tu, tu i tutaj... i tam można umieścić rząd setki wiosł zamiast pedałów, przy każdym siadzie – ołówek pieścił papier – dobrze umięśniony i nie nazbyt obficie ubrany młody wojownik. Taka łódź przepływałaby niewidoczna pod innymi statkami, zabierając ludzi wszędzie tam, gdzie chcieliby dotrzeć. Tutaj... ogromna piła, umocowana do sklepienia, by przy pełnej sile wiosł z wielką szybkością rozcinała kadłuby wrogich jednostek. A tutaj i tutaj rury...

Znieruchomiał i przez chwilę wpatrywał się w rysunek. Potem westchnął i podarł go na kawałki.

Vimes obserwował wszystko z wydmy. Ze swojego miejsca nie słyszał wiele, ale też nie musiał.

Obok usiadła Angua.

– To działa, prawda? – powiedziała.

– Tak.

– I co on teraz zrobi?

– Myślę, że zabierze im broń i pozwoli odejść.

– Dlaczego ludzie za nim idą?

– Jesteś jego dziewczyną, powinnaś...

– To co innego. Kocham go, bo jest dobry bez zastanowienia. Nie analizuje własnych myśli, tak jak inni. Kiedy robi coś dobrego, to dlatego że tak postanowił, nie dlatego że chce spełnić jakieś wymagania. Jest taki... prosty. Zresztą jestem wilkiem żyjącym wśród ludzi, a istnieje takie słowo, które określa wilki żyjące z ludźmi. Kiedy zagwiżdże, przybiegnę.

Vimes starał się nie okazywać zakłopotania.

– Proszę się nie martwić, panie Vimes – powiedziała Angua z uśmiechem.
– Sam pan tak mówił. Wcześniej czy później każdy z nas jest czymś psem.

– To działa jak hipnoza – odezwał się nerwowo Vimes. – Ludzie idą za nim, żeby zobaczyć, co się stanie. Tłumaczą sobie, że dołączyli tylko na chwilę, że mogą przestać, kiedy tylko zechcą. Ale nigdy nie chcą. To jakaś magia.

– Nie. Czy kiedykolwiek naprawdę pan go obserwował? Mogę się założyć, że zanim przez dziesięć minut porozmawiał z Jabbarem, dowiedział się o nim wszystkiego. Mogę się założyć, że poznał imię każdego wielbłąda. I zapamiętał je. Zwykle ludzie nie interesują się specjalnie innymi. – Jej palce odruchowo wykreśliły jakiś deseń na piasku. – Dlatego on sprawia, że człowiek czuje się ważny.

– Politycy się tak zachowują...

– Nie w taki sposób, może mi pan wierzyć. Przypuszczam, że lord Vetinari pamięta o faktach dotyczących innych...

– Naprawdę lepiej w to nie wątpić!

– ...ale Marchewę to ciekawi. Nawet o tym nie myśląc, robi w głowie miejsce dla innych. Interesuje się ludźmi, więc ludzie uważają, że są interesujący. Czują się... lepsi, kiedy on jest w pobliżu.

Vimes spuścił wzrok. Znowu rysowała coś palcem na piasku.

Pustynia zmienia nas wszystkich, pomyślał. Nie jest taka jak miasto, które przycina myśli. Tutaj czuje się, że umysł rośnie aż po horyzont. Nic dziwnego, że w takich miejscach rodzą się religie. Nagle ja tu trafiam, prawdopodobnie nielegalnie, i próbuję tylko wykonywać swoją pracę. Dlaczego? Bo jestem za głupi, żeby zatrzymać się i zastanowić, nim ruszę w pościg, tylko dlatego. Nawet Marchewa wiedział, że powinien zachować się inaczej. Ja bym bez namysłu zaczął gonić statek Ahmeda, ale on miał dość rozumu, żeby najpierw złożyć mi raport. Zrobił to, co powinien każdy rozsądny funkcjonariusz, ale ja...

– Terier Vetinariego – powiedział głośno. – Najpierw goni, potem myśli.

Dostrzegł na horyzoncie daleką masę Gebry. Tam była klatchiańska armia, gdzieś z drugiej strony wojska Ankh-Morpork. A on miał kilku ludzi i żadnego planu, bo najpierw gonił, a...

– Ale musiałem – stwierdził. – Żaden policjant nie wypuściłby takiego podejrzanego jak Ahmed...

Po raz kolejny ogarnęło go uczucie, że problem, z jakim się męczy, tak naprawdę wcale nie jest problemem. To coś zupełnie oczywistego. To sam Vimes stanowi problem. Nie myśli prawidłowo...

Właściwie, jeśli się zastanowić, to w ogóle nie myśli...

Popatrzył na schwytanych wrogów. Rozebrali się do opasek biodrowych i wyglądali na bardzo zmieszanych, jak zwykle mężczyźni w samej bieliźnie.

Biała szata Marchewy trzepotała na wietrze. Jest tu niecały dzień, pomyślał Vimes, a już nosi pustynię niczym parę sandałów.

– ...ehm... bingely bingely biip?

– Czy to pański demoniczny notatnik? – spytała Angua.

Vimes przewrócił oczami.

– Tak. Chociaż wydaje się, że mówi o kimś innym.

– Ehm... godzina piętnasta... – powiedział wolno demon. – Żadnych spotkań... Sprawdzić obronę murów...

– Widzisz? Myśli, że przebywam w Ankh-Morpork! Kosztował Sybil trzysta dolarów, a nawet nie potrafi zapamiętać, gdzie jestem. – Odrzucił niedopałek cygara i wstał. – Lepiej tam zejść. W końcu to ja jestem szefem.

Zsunął się z wydmy i podszedł do Marchewy, który wykonał tradycyjne *salaam*.

– Wystarczyłby salut, kapitanie, ale dziękuję.

– Przepraszam, sir. Trochę mnie poniosło.

– Dlaczego kazaliście im się rozebrać?

– Kiedy wrócą, ludzie będą się z nich śmiali, sir. To cios dla ich dumy. – Pochylił się i dodał szeptem: – Ale dowódcy pozwoliłem zostać w ubraniu. Oficerów nie należy wprawiać w zakłopotanie.

– Doprawdy? – mruknął Vimes.

– A niektórzy chcą się do nas przyłączyć, sir. Jest chłopak Goriffa i jeszcze kilku innych. Wczoraj siłą wcielili ich do wojska. Nie wiedzą nawet, o co walczą. Powiedziałem im, że mogą.

Vimes pociągnął kapitana na stronę.

– Hm... nie przypominam sobie, bym sugerował, że jacyś jeńcy mogą do nas dołączyć – powiedział cicho.

– No tak, sir, ale pomyślałem, że przecież zbliża się nasza armia... i sporo tych chłopców pochodzi z różnych zakątków imperium, więc lubią Klatchian nie bardziej od nas... Lotna kolumna partyzancka mogłaby...

– Nie jesteśmy żołnierzami!

– Wydawało mi się, że właśnie jesteśmy...

– Tak, tak. W pewnym sensie... ale naprawdę jesteśmy glinami, jak zawsze. Nie zabijamy nikogo, dopóki...

Ahmed? Wszyscy są trochę spięci, gdy pojawia się w pobliżu, irytuje ludzi, wszędzie zdobywa informacje, wydaje się, że chodzi, gdzie mu się spodoba, i zawsze kręci się gdzieś niedaleko, kiedy są kłopoty... Szlag, szlag, szlag...

Przebiegł między ludźmi do Jabbara, który obserwował Marchewę ze zwykłym zdziwionym uśmiechem, jaki kapitan wywoływał u przypadkowych widzów.

– Czy dzień – rzekł Vimes. – Trzy dni. To siedemdziesiąt dwie godziny!

– Tak, offendi? – Jabbar był wyraźnie zaskoczony.

Był to głos człowieka, który rozpoznaje świt, południe i wieczór, i pozwala, by wszystko między nimi działało się, kiedy ma ochotę.

– No więc dlaczego nazywają go 71-godzinnym Ahmedem? Co jest takiego niezwykłego w tej dodatkowej godzinie?

Jabbar uśmiechnął się nerwowo.

– Może coś zrobił po siedemdziesięciu jeden godzinach? – napierał Vimes.

Jabbar skrzyżował ręce na piersi.

– Nie będę mówił.

– Kazał wam nas tu zatrzymać?

– Tak.

– Ale nie zabijać?

– Ależ nigdy bym nie zabił swojego przyjaciela Sama Muła...

– I przestań mi opowiadać te bzdury, jak z baranim okiem – ciągnął Vimes. – Chciał mieć czas, żeby gdzieś dotrzeć. Tak?

– Nie będę mówił.

– Nie musisz – zapewnił go Vimes. – Ponieważ odchodzimy. A jeśli nas zabijesz... No cóż, prawdopodobnie możesz. Ale 71-godzinnemu Ahmedowi raczej się to nie spodoba.

Jabbar wyglądał jak ktoś, kto podejmuje trudną decyzję.

– On wróci! – oznajmił. – Jutro! Żaden problem!

– Nie mam zamiaru czekać! I nie wydaje mi się, żeby chciał mojej śmierci, Jabbarze. Chce mnie żywego. Marchewa!

Marchewa podbiegł natychmiast.

– Tak, sir?

Vimes zdawał sobie sprawę, że Jabbar przygląda mu się ze zgrozą.

– Zgubiliśmy Ahmeda – powiedział. – Nawet Angua nie znajdzie jego śladów pod tym rozrzuconym przez wiatr piaskiem. Nie ma tu dla nas miejsca. Nie jesteśmy potrzebni.

– Ależ jesteśmy, sir! – wybuchnął Marchewa. – Możemy pomóc plemionom pustynnym...

– Więc chcesz tu zostać i bić się? Przeciwko Klatchianom?

– Przeciwno złym Klatchianom, sir.

– Ach, tylko że na tym polega cała sztuka. Kiedy jeden z nich nadbiega z wrzaskiem i wznosi miecz, jak zdołasz ocenić jego moralność i charakter? Zresztą, jeśli chcesz, możesz zostać i walczyć o dobre imię Ankh-Morpork. To będzie dość krótka walka. Ale ja odchodzę. Jenkins chyba jeszcze nie naprawił statku. Zgoda, Jabbar?

D'reg wpatrywał się w pustynię między swymi stopami.

– Wiesz, gdzie on teraz jest, prawda? – zachęcił go Vimes.

– Tak.

– Powiedz mi.

– Nie. Przyrzekłem mu.

– Ale D'regowie to krzywoprzysięzcy. Wszyscy o tym wiedzą.

Jabbar wyszczerzył zęby.

– Ach, przysięgi. Głupie rzeczy. Dałem mu swoje słowo.

– Nie złamie go, sir – wtrącił Marchewa. – D'regowie są bardzo wyczuleni na takie sprawy. Tylko jeśli przysięgają na bogów i inne takie, mogą nie dotrzymać przyrzeczenia.

– Nie powiem ci, gdzie on jest – oświadczył Jabbar. – Ale... – Uśmiechnął się znowu, choć bez śladu radości. – Jak bardzo jest pan odważny, panie Vimes?

– Przestań marudzić, Nobby.

– Wcale nie marudzę. Mówię tylko, że te spodnie są dosyć przewiewne. Tyle tylko powiedziałem.

- Ale dobrze ci w nich.
- A te blaszane miseczki do czego mają służyć?
- Do osłaniania tych części ciała, których nie masz.
- Przy takim wietrze wolałbym coś do osłaniania tych części, które mam.
- Spróbuj się zachowywać jak dama, Nobby!

Co było trudnym zadaniem, Colon musiał to przyznać. Dama, dla której uszyto tę odzież, była dość wysoka i miała raczej pełną figurę. Tymczasem Nobby bez swojego pancerza mógłby się schować za krótkim kijem, gdyby mniej więcej w dwóch trzecich długości umocować wieszak. Przypominał muślinowy akordeon z dużą ilością biżuterii. W teorii kostium powinien wiele odsłaniać, jeśli kapral Nobbs byłby akurat tym, co ktokolwiek chciałby zobaczyć odsłonięte. Jednak w tej chwili tyle było na nim zwojów i fałd, że z całą pewnością dało się powiedzieć jedynie tyle, iż jest gdzieś tam w środku. Prowadził oślicę, która chyba go polubiła. Zwierzęta zwykle lubiły Nobby'ego. Nie miał niewłaściwego zapachu.

- Te buty nie pasują – mówił dalej Colon.
- Czemu nie? Pan zatrzymał swoje, sierżancie.
- No tak, ale to nie ja mam być kwiatem pustyni, prawda? Księżyc czyjeś rozkoszy nie powinien przy chodzeniu krzesać iskier. Mam rację?
- Należały do mojego dziadka. Nie zostawię ich, bo ktoś je zwinie. I jak komuś księżyc sprawia rozkosz, to już nie moja sprawa – odparł nadąsany Nobby.

Lord Vetinari maszerował na czele.

Ludzie wychodzili już na ulice. Mieszkańcy Al-Khali woleli swoje interesy załatwiać w chłodzie poranka, zanim pełny dzień przejedzie po okolicy miotaczem ognia. Nikt nie zwracał szczególnej uwagi na przybyszy, choć kilka osób obejrzało się za kapralem Nobbsem. Kozy i kury odsuwały się z drogi, kiedy przechodzili.

– Uważaj na ludzi, którzy będą próbowali ci sprzedać świńskie pocztówki, Nobby – pouczał Colon. – Mój wujek był tu kiedyś i opowiadał, że jakiś typ chciał mu sprzedać pakiet świńskich pocztówek za pięć dolarów. Był zdegustowany.

– Pewno, bo na Mrokach można takie dostać za dwa dolary – stwierdził Nobby.

– Wujek też tak powiedział. W dodatku to były ankhmorporskie pocztówki. Chcą nam sprzedawać nasze własne świńskie pocztówki? To obrzydliwe.

– Dzień dobry, sułtanie – odezwał się wesoły i jakby trochę znajomy głos.
– Nowi w mieście, co?

Cała trójka spojrzała na osobnika, który magicznie pojawił się u wylotu alejki.

– Tak, istotnie – przyznał Vetinari.

– Zauważyłem, że jesteście nowi. Jak zresztą każdy ostatnio. Masz dziś szczęśliwy dzień, szachu! Jestem tu, żeby wam pomóc! Potrzebujecie czegoś? Mam to!

Sierżant Colon przyglądał się mężczyźnie.

– Nazywasz się... – zaczął w zamyśleniu. – To będzie coś w rodzaju Al-jibla albo jakoś podobnie.

– Słyszeliście o mnie? – ucieszył się handlarz.

– Tak jakby, tak... – przyznał z wahaniem Colon. – Jesteś zadziwiająco... znajomy.

Vetinari odepchnął go na bok.

– Jesteśmy wędrownymi artystami – powiedział. – Mieliśmy nadzieję na występy w książęcym pałacu. Mógłbyś nam pomóc?

Handlarz w zadumie poskrobał się po brodzie, powodując, że rozmaite drobne cząsteczki posypały się kaskadą do małych miseczek na jego tacy.

– Nie wiem, jak z pałacem – stwierdził. – Czym się zajmujecie?

– Uprawiamy żonglerkę, połykanie ognia i takie rzeczy – wyjaśnił Patrycjusz.

– Naprawdę? – zdziwił się Colon.

Al-jibla skinął głową na Nobby’ego.

– A co...

– ...ona... – odpowiedział uprzejmie Vetinari.

– ...ona potrafi?

– Tańce egzotyczne.

Nobby gniewnie zmarszczył czoło.

– Bardzo egzotyczne, jak się domyślam – mruknął Al-jibla.

– Byłbyś zdumiony.

Dwóch uzbrojonych mężczyzn podeszło wolno. Colon poczuł, jak zamiera mu serce. W tych dwóch brodatych twarzach zobaczył siebie i Nobby’ego, którzy w domu na patrolu zawsze podchodzili do wszystkiego, co wyglądało interesująco.

– Jesteście żonglerami, tak? – zapytał jeden z nich. – No to zobaczmy, jak żonglujecie.

Vetinari spojrzał na niego obojętnie, po czym zerknął na tacę Al-jibli. Wśród łatwiejszych do zidentyfikowania artykułów żywnościowych było tam również kilka zielonych melonów.

– Oczywiście – zgodził się i wybrał trzy z nich.

Sierżant Colon zamknął oczy.

Po kilku sekundach je otworzył, bo strażnik znów się odezwał.

– No dobrze, ale trzema to każdy potrafi.

– W takim razie może pan Al-jibla zechce mi dorzucić jeszcze kilka? – zaproponował Patrycjusz; owoce prześlizgiwały mu się przez dłonie.

Sierżant Colon zamknął oczy po raz drugi.

– Siedem to całkiem nieźle – stwierdził po krótkiej chwili strażnik. – Ale to tylko melony.

Colon otworzył oczy.

Klatchiański strażnik odsunął połą szaty. Pół tuzina noży do rzutów błysnęło groźnie. Podobnie jak jego zęby.

Vetinari skinął głową. Ku rosnącemu zdumieniu Colona zdawało się, że wcale nie patrzy na wirujące melony.

– Cztery melony i trzy noże – powiedział. – Gdybyś zechciał, panie, przekazać te noże mojej czarującej asystentce Beti...

– Komu? – spytał Nobby.

– Tak? A czemu nie siedem noży?

– Szlachetni panowie, to byłoby zbyt łatwe – odparł Vetinari*. – Jestem tylko prostym żonglerem. Pozwólcie mi, proszę, doskonalić swoją sztukę.

– Beti? – powtórzył Nobby, spoglądając wściekle spod welonów.

Trzy owoce wyfrunęły z gracją z zielonego wiru i ze stukiem wylądowały na tacy Al-jibli.

Strażnicy spojrzeli czujnie i – zdaniem Colona – nerwowo na przebranego kaprała, który bliski był przebrania się cierpliwości.

– Ona nie będzie wykonywać żadnych tańców, prawda? – zapytał jeden z nich.

– Nie! – warknęła Beti.

– Obiecujesz?*

Nobby złapał trzy noże i wyrwał je strażnikowi zza pasa.

– Może ja je podam jego lo... mu? Dobrze, Beti? – zaproponował Colon.

Nagle nabrał przekonania, że zachowanie Patrycjusza przy życiu to prawie na pewno jedyny sposób uniknięcia szybkiego papierosa na słońcu. Zauważył też, że więcej zaciekawionych pokazem ludzi zmierza w ich kierunku.

– Do mnie, proszę... Al. – Vetinari skinął głową.

Colon rzucił mu noże, powoli i delikatnie. Zaraz spróbuje pozabijać strażników, pomyślał. To tylko podstęp. A potem wszyscy rozerwą nas na strzępy.

Wirujący krąg błyskał miejscami w blasku słońca. Gapie pomrukiwali z aprobatą.

– Ale trochę to nudne – uznał Patrycjusz.

Jego ręce poruszyły się po skomplikowanym torze, który sugerował, że przeguby musiały co najmniej dwa razy przemieścić się jeden przez drugi.

Zbita masa owoców i sztucców wzleciała w górę.

Trzy melony opadły na ziemię, przecięte gładko na połowy.

Trzy noże wbiły się w piach o kilka cali od sandałów ich właściciela.

A sierżant Colon spojrzał w górę, prosto w rosnący, zielonkawy, coraz większy...

Melon wybuchnął, podobnie jak publiczność. Jednak i śmiech, i humor nie docierały jakoś do Colona, kiedy zdrapywał z uszu przejrzały miąższ.

Instynkt przetrwania włączył się ponownie. Zatocz się do tyłu, podpowiedział. Colon zatoczył się więc do tyłu, machając wysoko nogami. Upadnij ciężko, podpowiedział instynkt. Colon usiadł i o mało co nie zgniótł kurczaka. Strać godność, podpowiedział instynkt. Z tego najłatwiej możesz zrezygnować.

Vetinari pomógł mu wstać.

– Nasze życie zależy od tego, czy wydasz się im tłustym, niezgrabnym idiotą – szepnął, wciskając Colonowi fez na głowę.

– Nie potrafię dobrze udawać, sir...

– To świetnie.

– Tak jest, sir.

Patrycjusz zebrał trzy połówki melonów i niemal w podskokach ruszył do jakiejś kobiety, która właśnie rozkładała swój towar. Przebiegając, porwał jej z kosza jajko. Sierżant Colon zamrugął niepewnie. To przecież nie może być prawda... Patrycjusz tak się nie zachowuje...

– Panie i panowie! Widzicie? Oto jajko! A tutaj mamy... skórki melonów! Jajko, melon! Melon, jajko! Przykrywamy jajko melonem! – Jego dłonie przesłakiwały między trzema połówkami, przesuwając je z oszłamiającą prędkością. – Krążą, krążą... o tak. Gdzie jest teraz jajko? Co powiesz, szachu?

Al-jibla uśmiechnął się z wyższością.

– To ta po lewej – oświadczył. – Zawsze jest po lewej.

Vetinari podniósł melona. Deska pod nim okazała się bezjajeczna.

– A ty, szlachetny strażniku?

– To pewnie będzie ta w środku.

– Tak, oczywiście! Och, nie ma...

Gapie patrzyli na trzecią połówkę. Byli ludźmi ulicy i znali zasady. Kiedy jakiś obiekt może być pod jednym z trzech przedmiotów, a już się okazało, że nie ma go pod dwoma, to jedyne miejsce, gdzie nie ma go na pewno, znajduje się pod trzecim przedmiotem. Tylko jakiś naiwny dureń mógłby sądzić inaczej. Oczywiście, że to tylko sztuczka. Ale warto patrzeć, żeby zobaczyć sztuczkę dobrze wykonaną.

Mimo to Vetinari uniósł melon i gapie z satysfakcją pokiwali głowami. Oczywiście, że jajka tam nie było. Zły byłby to dzień dla ulicznej rozrywki, gdyby rzeczy znajdowały się tam, gdzie powinny.

Sierżant Colon wiedział, co za chwilę nastąpi – a wiedział, ponieważ mniej więcej od minuty coś dziobało go w głowę.

Świadom, że nadeszła właściwa chwila, uniósł fez i odsłonił małego, puszystego kurczaczka.

– Ktoś ma ręcznik? Obawiam się, że właśnie poszedł do wygodki na mojej głowie, sir.

Zabrzmiały śmiechy, oklaski oraz – ku zaskoczeniu sierżanta – brzęk monet wokół jego stóp.

– I wreszcie – oznajmił Patrycjusz – piękna Beti wykona taniec egzotyczny.

Tłum ucichł. Po chwili odezwał się ktoś z tyłu:

– Ile musimy jej zapłacić, żeby nie tańczyła?

– Wystarczy! Mam już tego dosyć! – Z powiewającymi za nią welonami, z dzwonieniem bransolet, z pracującymi groźnie łokciami i butami krzeszącymi iskry, piękna Beti ruszyła w stronę patrzących. – Który to powiedział?

Ludzie rozstępowali się przed nią – armie by się rozpiechły. Aż wreszcie, odsłonięty niczym meduza opuszczona przez cofającą się nagle falę, na środku pozostał nieduży człowieczek, który za chwilę miał się smażyć w ogniu wzbierającego gniewu Nobbsa.

– Nie chciałem cię urazić, sarniooka...

– Aha! Czyli jestem jak zwierzę, tak? – Z trzaskiem bransolet Nobby wymierzył cios, powalając człowieczka na ziemię. – Wiele musisz się jeszcze nauczyć o kobietach, młodzieńcze!

A potem, ponieważ Nobbs nigdy nie mógł się oprzeć pokusie leżącego celu, smukła Beti uniosła stopę w okutym żelazem bucie...

– Beti! – rzucił ostro Patrycjusz.

– Och, jasne, oczywiście! – powiedział Nobby z zawołowaną pogardą. – Każdy może mi mówić, co mam robić, tak? Dlatego że akurat jestem kobietą, mam się na to wszystko godzić, tak?

– Nie, tylko że nie powinienes kopać go w rozkrok – syknął Colon, odciągając kolegę na bok. – To robi niedobre wrażenie.

Zauważył jednak, że kobiety wśród tłumu wydawały się rozczarowane nagłym zakończeniem pokazu.

– Wiele niezwykłych historii możemy wam jeszcze opowiedzieć! – zawołał Patrycjusz.

– Beti na pewno może – mruknął Colon i zarobił mocnego kopniaka w kostkę.

– I wiele niezwykłych widoków pokazać!

– Beti na... aargh!

– Teraz jednak poszukamy cienia w tamtym karawanseraju...

– Co zrobimy?

– Pójdziemy do pubu.

Tłum rozpraszał się z wolna. Niektórzy oglądali się z rozbawieniem na trio artystów.

Jeden ze strażników skinął Colonowi głową.

– Niezły pokaz – pochwalił. – Zwłaszcza ten kawałek, kiedy wasza asystentka nie zdjęła żadnego welonu...

Odeskoczył za swego towarzysza, gdyż Nobby odwrócił się w miejscu niczym anioł zemsty.

– Sierzancie – szepnął Vetinari. – Najważniejsze jest teraz, byśmy dowiedzieli się, gdzie aktualnie przebywa książę Cadram. Rozumie pan? W tawernach ludzie dużo gadają. Miejmy uszy otwarte.

Tawerna nie pasowała do wyobrażeń Colona o pubach. Przede wszystkim większa jej część nie miała dachu – po prostu mury otaczały dziedziniec. Winorośl wyrastała z wielkiej pękniętej urny, umocowana w górze do altanowego sklepienia. Delikatnie pluskała płynąca woda, i nie dlatego że – jak w Załatanym Bębnie – bar przylegał ścianą do wychodków, ale z powodu niewielkiej fontanny pośrodku dziedzińca. Było tu chłodno, o wiele chłodniej niż na ulicy, chociaż liście winorośli ledwie skrywały niebo.

– Nie wiedziałem, że umie pan zonglować, sir – szepnął Colon do Vetinariego.

– Pan tego nie potrafi, sierzancie?

– Nie, sir.

– To dziwne. Przecież to żadna sztuka, prawda? Trzeba tylko wiedzieć, jakie są obiekty i dokąd chcemy, żeby poleciały. Potem wystarczy tylko pozwolić, by zajmowały właściwe pozycje w czasie i przestrzeni.

– Jest pan w tym znakomity, sir. Pewnie często pan ćwiczysz?

– Aż do dzisiaj nigdy nie próbowałem. – Vetinari zauważył oszołomioną

minę Colona. – Po Ankh-Morpork, sierżancie, parę latających melonów to naprawdę całkiem niewielki problem.

– Jestem zdumiony, sir.

– A w polityce, sierżancie, zawsze należy wiedzieć, gdzie schował się kurczak.

Colon uchylił fezu.

– Czy dalej mam go na głowie?

– Wydaje się, że zasnął. Na pańskim miejscu bym mu nie przeszkadzał.

– Hej tam, żonglerze! Ona nie może tu wejść!

Obejrzeni się. Ktoś, kogo twarz i fartuch głosiły „barman” w siedmiuset językach, stał nad nimi, trzymając w obu rękach po dzbanie wina.

– Kobietom nie wolno tu przebywać – oznajmił.

– A dlaczego? – spytał Nobby.

– I nie wolno zadawać pytań.

– A dlaczego?

– Bo tak jest napisane, dlatego.

– No to niby gdzie mam się podziać?

Barman wzruszył ramionami.

– Kto tam wie, gdzie się podziewają kobiety.

– Idź stąd, Beti – polecił Vetinari. – I... pilnie zbieraj wszystkie informacje.

Nobby porwał stojący przed Colonem kubek wina i wychylił go jednym

haustem.

– Nie wiem... – mruknął z irytacją. – Od dziesięciu minut jestem kobietą, a już nienawidzę tych drani samców!

– Nie rozumiem, co w niego wstąpiło, sir – szepnął Colon, gdy Nobby wyszedł zagniewany. – Normalnie się tak nie zachowuje. Wydawało mi się, że klatchiańskie kobiety robią, co im się powie.

– A czy pańska żona robi to, co pan jej powie, sierżancie?

– No... tak, to jasne. Mężczyzna musi być panem we własnym domu, zawsze to powtarzam...

– W takim razie dlaczego, jak słyszałem, ciągle składa pan kuchenne meble?

– To oczywiste, trzeba słuchać...

– Warto jednak zauważyć, że w historii Klatchu wiele jest przykładów sławnych kobiet, które nawet wyruszały na wojnę ze swymi mężczyznami – stwierdził Patrycjusz.

– Naprawdę? Po tej samej stronie?

– Tistam, żona księcia Arkvena, jechała do bitwy obok swego męża i, według legendy, zabiła dziesięć tysięcy mężczyzn.

– To bardzo dużo mężczyzn.

– Legendy często się rozrastają. Jednakże wydaje się, że istnieją solidne historyczne dowody, iż królowa Sowawondra z Sumtri podczas swego panowania skazała na śmierć ponad trzydzieści tysięcy ludzi. Podobno była drażliwa.

– Powinien pan posłuchać mojej żony, kiedy nie odłożę talerzy na miejsce – westchnął ciężko sierżant Colon.

Patrycjusz zmienił temat.

– Teraz, kiedy zintegrowaliśmy się już z miejscową ludnością, sierżancie, musimy wykryć, co się właściwie dzieje. Wprawdzie najwyraźniej szykuje się inwazja, ale jestem przekonany, że książę Cadram zostawił część wojsk w odwodzie, na wypadek ataku lądowego. Dobrze byłoby wiedzieć, gdzie się znajdują, bo i on tam z pewnością będzie.

– Słusznie.

– Myśli pan, że da pan sobie z tym radę?

– Pewno, sir. Znam Klatchian. Nie ma obawy.

– Tu ma pan trochę pieniędzy. Niech pan postawi ludziom coś do picia. Wmiesza się między nich.

– Dobrze.

– Nie za dużo do picia, ale tyle wmieszania, ile tylko pan potrafi.

– Jestem dobrym wmieszywaczem, sir.

– Więc proszę ruszać.

– Sir?

– Słucham.

– Trochę się martwię o... Beti, sir. Tak sobie wyszła... Coś może się mu... jej przytrafić. – Colon mówił jednak z pewnym wahaniem. Nie potrafił sobie wyobrazić, co złego mogłoby się przytrafić kapralowi Nobbsowi.

– Na pewno usłyszymy, jeśli będzie miał kłopoty – uspokoił go Patrycjusz.

– Ma pan rację, sir.

Colon zbliżył się ostrożnie do grupy mężczyzn, którzy siedzieli w nierównym kręgu na podłodze, rozmawiali i jedli z wielkiej misy.

Usiadł. Jedzący po obu stronach rozsunęli się uprzejmie.

No więc jak się... Co tam... Każdy przecież wie, jak rozmawiają Klatchianie...

– Bądźcie pozdrowieni, bracia pustyni – powiedział. – Nie wiem, jak wy, ale ja mam ochotę na talerz baranich oczu. Założę się, chłopaki, że nie możecie się doczekać, by znowu wskoczyć na swoje wielbłądy. Bo ja nie mogę. Pluję na te nieczyste psy z Ankh-Morpork. Ktoś miał ostatnio bakszysz? Możecie mi mówić Al.

– Przepraszam bardzo, czy jesteś tą damą, która towarzyszy klaunom?

Kapral Nobbs, który włókł się smętnie ulicą, obejrzał się zaskoczony. Zwracała się do niego młoda kobieta o ładnej twarzy. Kobieta odzywająca się do niego z własnej inicjatywy była czymś nowym. To, że się przy tym uśmiechała, było zjawiskiem niesłychanym.

– E... tak. Zgadza się. To ja. – Przełknął ślinę. – Beti.

– Nazywam się Bana. Czy zechciałabyś podejść i porozmawiać z nami?

Nobby spojrzał ponad jej ramieniem. Kobiety w różnym wieku siedziały wokół studni. Któraś pomachała do niego nieśmiało.

Zamrugął niepewnie. Znalazł się na niezbadanych terytoriach. Spojrzał na swoje ubranie, wyglądające na mocno znoszone. Jego rzeczy zawsze wyglądały na znoszone już po pięciu minutach od włożenia.

– Nie martw się – powiedziała dziewczyna. – Wiemy, jak to jest. Ale wydawałaś się taka samotna. I może potrafisz nam pomóc...

Dotarły już do grupy przy studni. Były tu kobiety w każdym możliwym kształcie i rozmiarze, a jak dotąd żadna nie powiedziała „fuj!” – doświadczenie nienotowane w kronikach osobistej historii Nobby’ego. Poczuł jakby zawrót głowy. Miał wrażenie, że wkracza do raju – i tylko nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wkraczał tam niewłaściwymi

drzwiami.

– Staramy się pocieszyć Netał – wyjaśniła dziewczyna. – Jej narzeczony nie ożeni się z nią jutro.

– To świnia – stwierdził Nobby.

Jedna z dziewcząt, z oczami zaczerwienionymi od płaczu, gwałtownie uniosła głowę.

– On chciał – zaszlochała. – Ale zabrali go, żeby walczył w Gebrze! Wszystko z powodu jakiejś wyspy, o której nikt nawet nie słyszał! A cała moja rodzina jest tutaj!

– Kto go zabrał? – spytał Nobby.

– Sam się zabrał – rzuciła gniewnie starsza kobieta.

Pomijając obcy ubiór, było w niej coś niepokojąco znajomego. Kapral pomyślał, że gdyby rozciąć ją na połowy, słowo „teściowa” byłoby wyryte aż do głębi.

– Och, pani Atbar – westchnęła Netał. – On powiedział, że to jego obowiązek. Zresztą wszyscy chłopcy musieli iść.

– Mężczyźni... – Nobby skrzywił się pogardliwie.

– Przypuszczam, że wiele wiesz o rozkoszach mężczyzn – oświadczyła kwaśnym tonem Teściowa.

– Mamo!

– Kto, ja? – Nobby zapomniał się na moment. – Pewno. Bardzo wiele.

– Naprawdę?

– Czemu nie? Piwo jest ulubioną. Ale trudno przebić dobre cygaro, o ile jest za darmo.

– Ha! – Teściowa chwyciła kosz z praniem i odeszła zagniewana. Podążyła za nią większość starszych kobiet.

Inne parsknęły śmiechem. Nawet smutna Netał się uśmiechnęła.

– Myślę, że nie o to jej chodziło – stwierdziła Bana.

Przy wtórze ogólnych chichotów pochyliła się i wyszeptała coś Nobby’emu do ucha.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Raczej stężał.

– Ach, to...

Pewne obszary doświadczeń Nobby badał jedynie na mapie, jednakże wiedział, o czym mowa. Swego czasu patrolował części Mroków, gdzie kręca się młode damy, które wyraźnie nie mają nic do roboty i prawdopodobnie narażają się na przeziębienie. Jednak te elementy pracy policyjnej – które w innych miejscach interesowałyby raczej Wydział Obyczajowy – teraz nadzorowała sama Gildia Szwaczek. Ci, którzy lekceważyli... nie, nie prawo jako takie, ale raczej – tak można je nazwać – niepisane reguły, określone przez panią Palm i jej komitet bardzo doświadczonych dam*, ściągali na siebie uwagę Ciotek Cierpienia, Dotsie i Sadie, w efekcie czego czasem ktoś ich jeszcze widział, a czasem już nie. Nawet Vimes aprobował taki system. Pozwalał uniknąć papierkowej roboty.

– No tak... – Nobby wciąż wpatrywał się w swój wewnętrzny ekran. Oczywiście wiedział, o co... – Ach, to – wymamrotał. – Cóż, widziało się to i owo.

Głównie na pocztówkach, musiał przyznać.

– To musi być cudowne, mieć taką swobodę – westchnęła Bana.

– Eee...

Netał znowu wybuchnęła płaczem. Przyjaciółki otoczyły ją kręgiem.

– Nie rozumiem, czemu mężczyźni muszą tak postępować – powiedziała Bana. – Mój narzeczony też odszedł.

Siedząca przy studni stara kobieta zarechotała głośno.

– Mogę wam powiedzieć dlaczego, kochaniutki. Bo to lepsze niż uprawianie całymi dniami melonów. To lepsze nawet od kobiet.

– Mężczyźni uważają, że wojna jest lepsza od kobiet?

– Zawsze jest świeża, zawsze młoda, a dobra bitwa może trwać cały dzień.

– Ale oni giną!

– Lepiej umrzeć w walce niż w łóżku, jak mówią. – Rzuciła im bezzębny uśmiech. – Ale są i dobre sposoby, by mężczyzna umarł w łóżku. Prawda, Beti?

Nobby miał nadzieję, że płomienna czerwień jego uszu nie przypali welonu. Nagle poczuł, że doścignął swoją przyszłość. Jej fragment, wart całe dziesięć pensów, trafił go w twarz.

– Przepraszam – powiedział. – Czy któraś z was jest Kusicielianką?

– A co to są Kusicieliani? – zdziwiła się Bana.

– Kusicielia to taka kraina niedaleko stąd – wyjaśnił Nobby. I dodał z nadzieją: – Prawda?

Ani jedna twarz nie sugerowała, że tak jest. Westchnął ciężko. Odruchowo sięgnął za ucho po niedopałek, ale dłoń opadła pusta.

– Coś wam powiem, dziewczęta – rzekł. – Żałuję, że nie poprosiłam o dziesięci dolarową wersję. Czy nie macie czasem ochoty, żeby usiąść gdzieś i popłakać?

– Wyglądasz na jeszcze smutniejszą niż Netal – zauważyła Bana. – Czy mogłybyśmy jakoś cię pocieszyć?

Przez chwilę Nobby patrzył na nią nieruchomo, a potem zaczął szlochać.

Wszyscy spojrzeli na Colona. Jedzenie znieruchomiało w drodze do ust.

– Czy on naprawdę to powiedział, Faifalu? Po co miałbym wsiadać na wielbłąda? Jestem hydraulikiem!

– *To ten klaun, co chodzi z żonglerem.* Wydaje mi się, że nieszczęśnikowi brakuje kilku piędzi do oazy

– Przecież te wredne zwierzaki pluja ciągle i strasznie trudno je wciągnąć z narzędziami *na schody...*

– *Daj spokój, to nie jego wina. Okażmy trochę miłosierdzia.* – Mówiący odchrząknął. – Witaj, przyjacielu. Chodź, zjedzmy razem nasz kuskus.

Sierżant Colon zajrzał do misy, po czym wsadził do niej palec i oblizał.

– Hej, to przecież semolina! Macie semolinę! To zwyczajna semo... – Urwał i zakaszłał nerwowo. – Tak, oczywiście. Jest dżem truskawkowy?

Gospodarz spojrzał pytająco na przyjaciół. Wzruszyli ramionami.

– Nic nie wiemy o owym dżemie truskawkowym, o którym mówisz – rzekł ostrożnie. – Wolimy z baraniną.

Wręczył Colonowi długi, zaostzony patyczek.

– Ależ na pewno macie gdzieś dżem truskawkowy – tłumaczył Colon, niesiony entuzjazmem. – Kiedy byłem dzieckiem, mieszałem go i... i... – Zauważył ich miny. – Oczywiście to było w Ur – wyjaśnił.

Mężczyźni pokiwali głowami. Nagle wszystko stało się oczywiste.

Colon beknął głośno. Ze spojrzeń, jakie skierowali na niego pozostali, wynikało, że był jedynym, który słyszał o tym powszechnym w Klatchu zwyczaju.

– A więc – powiedział – gdzie ostatnio jest nasza armia? Tak w przybliżeniu?

– Dlaczego pytasz, o pełen-gazu?

– Myśleliśmy, że trochę zarobimy na pokazach dla żołnierzy – tłumaczył Colon. Był niezwykle dumny z tego pomysłu. – No wiecie... sporo śmiechu, piosenka, brak tańców egzotycznych. Ale w tym celu musimy wiedzieć, gdzie oni są, rozumiecie...

– **Przepraszam, grubasie, czy rozumiesz, co do ciebie mówię?**

– Tak, bardzo smaczne – zaryzykował sierżant Colon.

– Aha. Tak myślałem. Czyli jest szpiegiem. Ale czym?

– Naprawdę? Kto byłby, aż tak głupi, żeby takiego błazna wykorzystywać **jako szpiega?**

– **Ankh-Morpork?**

– Nie, daj spokój. Co najwyżej udaje, że jest **ankhmorporskim** szpiegiem. Oni są tam sprytni...

– **Myślisz?** Ci ludzie robią curry z czegoś, co nazywa się „**curry w proszku**”, a ty ich uważasz za sprytnych?

– Przypuszczam, że jest z Muntabu. Oni zawsze nas szpiegują.

– I udaje, że jest z Ankh-Morpork?

– A gdybyś ty próbował udawać morporskiego błazna, który udaje Klatchianina, nie wyglądałbyś podobnie?

– Ale dlaczego udaje, że jest stamtąd?

– **Och... polityka**

– **W takim razie wezwijmy Straż.**

– Oszalałeś? Rozmawialiśmy z nim! Będą... **dociekliwi**.

– Słuszna uwaga. Już wiem...

Faifal uśmiechnął się szeroko do Colona.

– Słyszałem, że cała armia wymaszerowała do *En al Sams la Laisa* – powiedział. – Ale nikomu o tym nie mów.

– Naprawdę? – Colon zerknął na boki. Wszyscy przyglądali mu się z dziwnie poważnymi minami. – To mi brzmi jak coś wielkiego, z taką nazwą.

– Och, ogromne – zapewnił jego sąsiad.

Ktoś wydał z siebie odgłos, który można było interpretować jako zduszony chichot.

– Czy to daleko?

– Nie, bardzo blisko. Można by wręcz powiedzieć, że na nim siedzisz.

Faifal szturchnął kolegę, któremu drżały ramiona.

– Aha. A duża ta armia?

– Może być bardzo wielka, owszem.

– Świetnie, świetnie – mruknął Colon. – Hm... ma ktoś ołówek? Przysięgłbym, że miałem tu...

Przed tawerną rozległ się hałas. Był to śmiech wielu kobiet – co dla mężczyzn zawsze jest dźwiękiem bardzo niepokojącym*. Klienci spoglądali podejrzliwie przez pędy winorośli.

Colon i pozostali wyjrzeni zza urny na grupkę przy studni. Starsza pani turlała się ze śmiechu po piasku, a wiele młodszych opierało się o siebie nawzajem.

Colon usłyszał, jak któraś z nich mówi:

– Powtórz, co on powiedział.

– Powiedział: „To zabawne, nigdy tak nie robi, kiedy ja próbuję!”.

– Tak, to szczerą prawdą! – rechotała starsza kobieta. – Nigdy tak nie robi!

– „To zabawne, nigdy tak nie robi, kiedy ja próbuję!” – powtórzył Nobby.

Colon jęknął w duchu. Był to głos kaprała Nobbsa działającego w trybie anegdotycznym, kiedy mógł na dwadzieścia łokci przypalić deskę.

– Przepraszam – rzucił i przecisnął się przez tłum gości przy bramie.

– A znacie ten o kró... o sułtanie, który się bał, że jego żona... jedna z jego żon nie będzie mu wierna, kiedy wyruszy na wyprawę?

– W ogóle nie słyszałyśmy jeszcze takich opowieści, Beti – wykrztusiła Bana.

– Naprawdę? Och, znam ich tysiąc i jedną. W każdym razie sułtan poszedł do takiego starego kowala, jasne... i mówi...

– Nie możecie opowiadać tutaj takich historii, kap... Beti – wysapał Colon, kiedy zatrzymał się przy koledze.

Nobby zauważył, że w grupie zaszła pewna zmiana. Teraz otaczały go kobiety, które znalazły się w obecności mężczyzny. Rozpoznanego mężczyzny, poprawił się w myślach.

Kilka z nich się zarumieniło. Poprzednio się nie rumieniły.

– A niby czemu? – spytała złośliwie Beti.

– No... urażasz innych – odparł niepewnie Colon.

– Ehm... nie jesteśmy urażone, szlachetny panie – wtrąciła Bana cicho, pokornym tonem. – Uważamy, że opowieści Beti są bardzo... pouczające. Zwłaszcza ta o człowieku, który przyszedł do tawerny z bardzo małym

muzykiem.

– A trudno było ją przetłumaczyć – oświadczył dumnie Nobby. – W Klatchu nie wiedzą, co to jest fortepian. Ale okazało się, że mają tu taki strunowy...

– Bardzo ciekawa była również ta o człowieku z rękami i nogami w gipsie – dodała Netal.

– Tak. I śmiały się, chociaż nie mają tu takich samych dzwonek do drzwi – pochwalił się Nobby. – Zaraz, nie musicie jeszcze iść...

Grupka już się rozchodziła. Wszystkie kobiety ogarnęła jakaś zaabsorbowana pracowitość. Chwytały dzbany z wodą i je niosły dokądś.

Bana skinęła Beti na pożegnanie.

– Dziękujemy ci. To było bardzo... interesujące spotkanie. Ale musimy już wracać. Wyświadczyłaś nam wielką uprzejmość, godząc się na rozmowę.

– Nie, nie odchodźcie...

W powietrzu pozostała tylko delikatna sugestia perfum.

Beti spojrzała gniewnie na Colona.

– Czasami naprawdę mam ochotę przyłożyć ci solidnie w ucho – warknęła. – Moja pierwsza okazja od lat, do demona, a ty...

Urwała. Za Colonem dostrzegła sporo twarzy zdumionych, jednak pełnych dezaprobaty. Wszystko mogło skończyć się całkiem inaczej, gdyby nie rozległ się nagle ośli ryk. Z góry.

Skradziona oślica łatwo wyplątała się z amatorsko związanej przez Nobby'ego uprzęży i ruszyła na poszukiwanie karmy. Niejasno kojarzyła jedzenie z bramą do swojej stajni, a zatem z drzwiami w ogóle. Dlatego postanowiła wejść w najbliższe otwarte.

Wewnątrz były wąskie spiralne schody, ale ona zagrodę miała też dość

wąską, a przyzwyczajona do uliczek w Al-Khali, nie przejmowała się schodami. Rozczarowanie przeżyła dopiero wtedy, gdy schody się skończyły i wciąż nie znalazła siana.

– No nie... – odezwał się ktoś za Colonem. – Znowu mamy osła w minarecie.

Rozległy się powszechne jęki.

– Co w tym złego? – zdziwił się Colon. – Co weszło na górę, musi zejść na dół.

– Nie wiesz? – zdziwił się któryś z jego towarzyszy przy posiłku. – Nie macie w Ur minaretów?

– Eee... – zająknął się Colon.

– Ale mamy mnóstwo osłów – wtrącił lord Vetinari.

Zabrzmiały chóralne śmiechy, w większej części z Colona.

– Patrz... – Jeden z mężczyzn wskazał mroczne wnętrze. – Widzisz?

– Bardzo wąskie spiralne schody – stwierdził Patrycjusz. – I...?

– I na górze nie ma miejsca, żeby się odwrócić, jasne? Pewnie, każdy dureń potrafi wprowadzić osła na szczyt minaretu. Ale próbowałeś kiedyś zmusić zwierzaka, żeby tyłem zszedł po wąskich schodach w dół po ciemku? To niemożliwe.

– Jest coś takiego w prowadzących do góry schodach – zauważył ktoś inny. – Przyciągają osły. One chyba myślą, że coś jest na szczycie.

– Ostatniego musieliśmy zepchnąć, nie? – rzucił jeden z obecnych strażników.

– Właśnie. Rozprysnął się – dodał jego towarzysz.

– Nikt nie będzie znikąd spychał Walerii – zastrzegła Beti. – Niech no

tylko któryś spróbuje takiego numeru, to bogowie świadkami, poczuje ten gorszy koniec... – Umilkła. Pod welonem pojawił się straszliwy grymas. – Znaczy, temu dam mocnego, wilgotnego całusa.

Kilku mężczyzn z tylnych szeregów odeszło pośpiesznie.

– Nie ma powodów, żeby tak się złościć – uspokajał ją strażnik.

– Nie żartuję! – Beti ruszyła w jego stronę.

Wystraszony strażnik odsunął się niespokojnie.

– Czy możecie coś z nią zrobić, panowie?

– My? Obawiam się, że nie – rzekł Vetinari. – Och jej... Znowu będzie jak wtedy w Djelibeybi, Al...

– O rety... – zgodził się Colon, lojalny w zastraszaniu. Gapie, którzy uważali, że stoją dostatecznie daleko od Beti, zaczęli się uśmiechać. To był prawdziwy uliczny teatr.

– Nie wiem, czy w ogóle ściągnęli tego człowieka z masztu – mówił Vetinari.

– Tak, większą jego część jakoś ściągnęli... – mruknął Colon.

– Wiecie co? Wiecie co? – zaproponował pośpiesznie strażnik. – A gdybyśmy obwiązali go liną...

– ...ją... – rzuciła groźnie Beti.

– Ją, no właśnie, a potem...

– Potrzebujesz na górze co najmniej trzech ludzi, a tam nie ma miejsca!

– Sir, mam pomysł! – szepnął drugi strażnik.

– Lepiej się pośpiesz – poradził Colon. – Bo kiedy Beti już zacznie, nie da się jej powstrzymać.

Strażnicy zaczęli szeptać między sobą.

– Będziemy mieli kłopoty, jeśli zrobimy coś takiego! Pamiętasz to wszystko, co nam mówili o wysiłku wojennym! Dlatego właśnie je skonfiskowali!

– Nikt nie zauważy, że przez pięć minut któregoś nie ma!

– Tak, ale chcesz potem sam powiedzieć księciu, że go zgubiliśmy?

– No nie. A wolisz się tłumaczyć przed nią?

Obaj spojrzeli na Beti.

– *No i przecież łatwo nimi sterować* – szepnął jeden z nich.

– Waleria? – spytał Colon.

– Jakiś problem? – rzuciła rozdrażniona Beti.

– Nie! Skąd! Świetne imię dla oślicy, No... Beti.

– Niech nikt nic nie robi! – rozkazał strażnik. – Wrócimy.

– O co im chodziło? – zapytał Colon.

– Pewnie poszli po dywan – wyjaśnił ktoś.

– To ładnie, ale nie rozumiem, jak to ma nam pomóc.

– Latający.

– Aha... – ucieszył się Colon. – Mają jeden taki na uniwersytecie.

– Ur ma uniwersytet?

– Ależ oczywiście – zapewnił Patrycjusz. – Tam Al się nauczył, jak wyglądają osły.

Po raz kolejny śmiech rozwiał wątpliwości. Colon uśmiechnął się niepewnie.

– Naprawdę dobrze mi idzie udawanie idioty, prawda? – szepnął. – Jakoś tak samo wychodzi.

– Doskonale – pochwalił go Vetinari.

Z góry znów dobiegł gniewny ryk.

– Kłopot polega na tym, że wszystkie trzymają pod kluczem ze względu na wysiłek wojenny – odezwał się jakiś człowiek w tłumie.

Kawałek cegły roztrzaskał się o ziemię koło nich.

– Ten zwierzak tak się tam rzuca, że sam pewnie spadnie.

– Może powinienem ją przekonać, żeby zeszła – zaproponował Patrycjusz.

– Niemożliwe, offendi. Nie wyminiesz jej na schodach, nie zdołasz jej odwrócić, a tyłem na pewno nie zejdziesz.

– Zbadam sytuację.

Wrócił na chwilę do tawerny, wyszedł i wszyscy zobaczyli, jak znika wewnątrz minaretu. Słyszeli, że wspina się po schodach.

– Powinno być nieźle – szepnął człowiek obok Colona.

Po chwili ryki ucichły.

– Nie odwróci się, rozumiecie. Jest za wąsko – oświadczył znawca osłów na wysokości. – Nie odwróci się i nie zejdziesz tyłem. Powszechnie znany fakt.

– Zawsze znajdzie się jakiś mądrała, prawda, Beti? – rzucił Colon.

– Pewnie. Zawsze.

W wieży panowała cisza. Przyciągała uwagę tłumu.

– Znaczy, gdyby posłać tam na schody trzech albo czterech ludzi, co jest niemożliwe, mogliby przesuwać jej kolejno po jednej nodze, o ile by im nie przeszkadzało, że będą kopani i gryzieni na śmierć...

Wrócili strażnicy. Jeden z nich niósł zwinięty dywan.

– Jesteśmy! Proszę zachować spokój i odejść od wieży! Zróbcie nam miejsce...

– Słyszę kopyta – powiedział ktoś.

– O tak. Całkiem jakby nasz przyjaciel w fezie sprowadzał osła po schodach.

– Chwileczkę! – zawołał Colon. – Ja też słyszę.

Wszyscy spojrzeli ku drzwiom. Po chwili stanął w nich Vetinari trzymający w ręku sznurek.

– No dobrze, ale to tylko sznurek – odezwał się głos za plecami Colona. – Pewnie stukał o siebie dwoma połówkami orzecha kokosowego.

– Chcesz powiedzieć, że znalazł je w minarecie?

– Pewnie miał ze sobą.

– Chcesz powiedzieć, że nosi ze sobą skorupę kokosa?

– Nie można obrócić osła w... No dobra, to sztuczna ośła głowa...

– Rusza uszami!

– Na sznurku, na sznurku... W porządku, to osioł, zgoda, ale nie ten sam osioł. To ten, którego miał schowanego w kieszeni... I nie musicie tak na mnie patrzeć! Widziałem, jak to robią z gołębiami...

Potem zamilkł nawet niedowiarek.

– Osioł, minaret – powiedział Vetinari. – Minaret, osioł.

– Ot tak? – zdumiał się strażnik. – Jak to zrobiłeś? To jakaś sztuczka, prawda?

– Oczywiście, że to sztuczka – przyznał Vetinari.

– Wiedziałem, że to tylko sztuczka!

– Zgadza się, to tylko sztuczka – potwierdził Vetinari.

– No więc... jak to zrobiłeś?

– Chcesz powiedzieć, że sami nie zauważyliście?

Tłum wyciągnął szyję.

– No... Miałeś nadmuchiwanego osła...

– Czy możesz podać choć jeden powód, bym wszędzie chodził z nadmuchiwanym osłem?

– No, mógłbyś...

– Taki, który skłonny byłbyś wyjaśnić swojej własnej ukochanej matce?

– Hm, jeśli tak stawiasz sprawę...

– To łatwe – stwierdził Al-jibla. – W minarecie jest ukryte pomieszczenie. Musi być.

– Nie, wszystko pokręciłeś, to tylko iluzja osła... Przyznaję, bardzo dobra iluzja.

Połowa gapiów zebrała się już dookoła oślicy, a druga połowa tłoczyła się przy wejściu do minaretu, szukając uchylnych ścianek...

– Myślę, Al i Beti, że teraz chyba sobie stąd pójdziemy – powiedział Vetinari, stając za ramieniem Colona. – O tam, w tę krótką alejkę. A kiedy

skręcimy za tamten róg, ruszymy biegiem.

– Dlaczego mamy biegać? – zdziwiła się Beti.

– Ponieważ właśnie zabrałem czarodziejski dywan.

Vimes był już zagubiony. Oczywiście, miał do dyspozycji słońce, ale zdradzało tylko kierunek. Czuł je na policzku. Wielbłąd kołysał się z boku na bok. Nie istniał sensowny sposób oceny odległości, chyba że poprzez hemoroidy.

Mam opaskę na oczach i jadę z tyłu na wielbłądzie, którego prowadzi D'reg, a wszyscy twierdzą, że D'regowie to najmniej godni zaufania ludzie na świecie. Jestem jednak prawie pewny, że nie planuje mnie zabić.

– No więc – powiedział, kołysząc się łagodnie na boki – równie dobrze możesz mi powiedzieć. Dlaczego 71-godzinny Ahmed?

– On zabił człowieka – odparł Jabbar.

– A D'regowie nie pochwalają takich drobiazgów?

– We własnym namiocie tego człowieka! Kiedy był jego gościem przez prawie czy dzień! Gdyby on poczekał godzinę...

– Ach, rozumiem. Rzeczywiście, fatalne maniery. Czy ten człowiek uczynił coś, by na to zasłużyć?

– Nic! Chociaż...

– Tak?

– Ten człowiek zabił El-Ysę.

Ton D'rega sugerował, że nie jest to istotna okoliczność łagodząca, jednak dla pełności obrazu należy o niej wspomnieć.

– Kim była El-Ysa?

– Wioską. On zatrzał studnię. Zdarzyła się dyskusja na tematy religijne. I tak, od jednego do drugiego... Ale mimo to, złamać tradycję gościnności...

– Tak, rozumiem, straszny postępek. Prawie... nieuprzejmy.

– Ta godzina była ważna. Pewnych rzeczy nie powinno się robić.

– W tym przynajmniej masz rację.

Po południu Jabbar pozwolił mu zdjąć opaskę. Z piasku sterczały rzeźbione wiatrem czarne skały. Vimes pomyślał, że to najbardziej ponure miejsce, jakie w życiu oglądał.

– Mówią, że kiedyś było tu zielono – powiedział Jabbar. – Dobrze nawodniona kraina.

– I co się stało?

– Wiatr się zmienił.

O zachodzie słońca osiągnęli *wadi* pomiędzy kolejnymi wygładzonymi przez wiatr skałami. Dopiero długie cienie, wyraźnie kreślące kontury płytkich zagłębień, na nowo nadały im dawne kształty.

– To budynki, prawda? – spytał Vimes.

– Było tu miasto. Dawno temu. Nie wiedziałeś?

– Czemu miałbym wiedzieć?

– Wasi ludzie je zbudowali. Nazywało się Tacticum, na pamiątkę waszego wojownika.

Vimes przyglądał się pokruszonym murom i powalonym kolumnom.

– Miał miasto nazwane swoim imieniem... – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Jabbar szturchnął go lekko.

– Ahmed patrzy na ciebie – oznajmił.

– Nigdzie go nie widzę.

– Oczywiście. Zsiądź teraz. I mam nadzieję, że spotkamy się znowu w tym, co uważasz za raj.

– Jasne, jasne...

Jabbar zawrócił wielbłąda. Odjechał o wiele szybciej, niż tu przybył. Vimes usiadł na kamieniu. Panowała cisza. Jedynymi dźwiękami był syk wiatru wśród skał i daleki krzyk jakiegoś ptaka. Miał wrażenie, że słyszy bicie własnego serca.

– Bingely... bingely... biip... – De-terminarz wydawał się zmartwiony i niepewny.

Vimes westchnął.

– Tak? Spotkanie z 71-godzinny Ahmedem, co?

– No... nie – odpowiedział demon. – No... Zauważono klatchiańską flotę... Eee...

– Statki pustyni, tak?

– Eee... biip... kod błędu 746, rozbieżna niestabilność temporalna...

Vimes potrząsnął De-terminarzem.

– Co się z tobą dzieje? Ciągłe podajesz mi spotkania kogoś innego, ty durne pudełko!

– Eee... Spotkania są wyznaczane dla komendanta Samuela Vimesa...

– To ja!

– Ale który z was? – spytał demon.

– Co?

– ...biip...

Nie chciał powiedzieć nic więcej. Vimes zastanowił się, czy go nie wyrzucić, ale gdyby Sybil to odkryła, byłoby jej przykro. Wcisnął Determinarz z powrotem do kieszeni i próbował skupić się na obserwacji pejzażu.

Jego siedzisko mogło być kiedyś fragmentem kolumny. Kawałek dalej zauważył inne jej części, a stos gruzu był chyba przewróconym murem. Podążył wzdłuż niego, aż uświadomił sobie, że spaceruje między budynkami – albo miejscami, gdzie kiedyś stały budynki. Kroki odbijały się echem wśród ruin. Tu leżał wrak jakichś schodów, tam sterczał kawałek filaru.

Jeden z nich był wyższy od pozostałych. Vimes podciągnął się i na płaskim szczycie znalazł parę wielkich stóp. Musiał tam stać posąg, a jeśli Vimes w ogóle znał się na posągach, to w jakiejś szlachetnej pozie. Teraz zniknął i pozostały tylko odłamane w kostkach stopy. Nie wyglądały szczególnie szlachetnie.

Na cokole – ponieważ ta jego strona była osłonięta przed wiatrem – zachowały się głęboko wyryte litery. W gasnącym świetle spróbował je odczytać:

AB HOC POSSUM VIDERE DOMUM TUUM

Zaraz... „domum tuum” to „twój dom”, prawda? A „videre” oznacza „widzę”...

– Co? – powiedział głośno. – „Widzę stąd twój dom”? A cóż to za szlachetna maksyma?

– Wydaje mi się, że miała to być przechwałka i groźba, sir Samuelu – wyjaśnił 71-godzinny Ahmed. – Zawsze uważałem, że to dość typowe dla Ankh-Morpork.

Vimes znieruchomiał. Głos rozlegał się tuż za nim.

I rzeczywiście był to głos Ahmeda. Brakowało w nim jednak tej sugestii żwiru i śliny wielbłąda, jakie prezentował w Ankh-Morpork. Teraz był to głos dżentelmena.

– Przez tutejsze echa – ciągnął Ahmed – mogę być niemal wszędzie. Nawet w tej chwili mogę trzymać wymierzoną w pana kuszę.

– Ale pan nie wystrzeli. Obaj możemy bardzo dużo stracić.

– Och, czyżby więc istniał honor wśród złodziei?

– Nie wiem – przyznał Vimes. Co tam... pora się przekonać, czy trafi w sedno, czy sam będzie trafiony. – A czy istnieje honor wśród policjantów?

Sierżant Colon wytrzeszczył oczy.

– Przenieść ciężar ciała na bok, sir? – upewnił się.

– Tak się steruje czarodziejskimi dywanami – wyjaśnił spokojnie Vetinari.

– Ale przypuśćmy, że przeniosę ten ciężar całkiem poza krawędź?

– Będziemy mieli więcej miejsca – stwierdziła nieczuła Beti. – No, dalej, sierżancie, przecież wie pan, jak się rozstawia ludzi po kątach.

– Nigdzie nie będę się rozstawiał – odparł stanowczo Colon. Leżał na dywanie wyciągnięty jak długi, mocno ściskając tkaninę obiema rękami. – To wbrew naturze. Tylko kawałek dywanu między mną a pewnym rozchłapnięciem.

Patrycjusz spojrział w dół.

– Nie lecimy nad wodą, sierżancie.

– Już ja wiem, co chciałem powiedzieć, sir!

– Czy możemy trochę zwolnić? – spytała Beti. – Ten wiatr narusza moją prywatność, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

Patrycjusz westchnął.

– I tak nie lecimy zbyt szybko – stwierdził. – Podejrzewam, że to bardzo stary dywan.

– Tutaj kawałek się wytarł – zauważyła Beti.

– Zamknij się! – rzucił Colon.

– Popatrz, można przebić palcem na wylot...

– Zamknij się.

– Zauważyłeś, że on się tak jakby huśta, kiedy ktoś się poruszy?

– Zamknij się!

– Ojej, patrzcie, te palmy w dole wyglądają na całkiem malutkie!

– Nobby, masz lęk wysokości – oświadczył Colon. – Wiem, że masz lęk wysokości.

– To stereotyp seksualny, ot co!

– Nie, wcale nie!

– Właśnie że tak! Na pewno liczysz, że zaraz zwichnę sobie nogę w kostce i będę dużo krzyczała! Moim obowiązkiem jest ci udowodnić, że kobieta może być nie gorsza od mężczyzny!

– W twoim przypadku praktycznie identyczna, Nobby. Za długo byłeś na słońcu i tyle. Nie jesteś kobietą!

Beti pociągnęła nosem.

– To akurat taka seksistowska uwaga, jakiej można się po tobie spodziewać.

– No ale nie jesteś!

– Chodzi o zasadę.

– Cóż, przynajmniej mamy transport – wtrącił Vetinari, a jego ton sugerował, że zabawa skończona. – Niestety, nie miałem czasu, by się dowiedzieć, gdzie przebywa armia.

– Aha! Tu mogę panu pomóc, sir! – Colon spróbował zasalutować, ale natychmiast znowu chwycił dywan. – Odkryłem to chytrym sposobem, sir!

– Doprawdy?

– Tajest! To miejsce nazywa się... En al Sams la Laisa, sir.

Przez chwilę dywan płynął naprzód w milczeniu.

– „Miejsce, gdzie Słońce nie Dochodzi”? – przetłumaczył Vetinari.

Znowu zapadła cisza. Colon starał się nie patrzeć na nikogo.

– A czy jest takie miejsce, które nazywa się Gebra? – zapytał nadąsany Nobby.

– Tak, Be... kapralu. Rzeczywiście jest.

– No to tam poszli. Oczywiście, macie na to tylko słowo kobiety.

– Dobra robota, kapralu. Kierujemy się na wybrzeże.

Patrycjusz odprężył się. W swym trudnym, zapracowanym życiu nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak Nobby i Colon. Gadali bez przerwy, a jednak było w nich coś niemal... uspokajającego.

Pilnie obserwował zamglony horyzont, gdy stary dywan wchodził w zakręt. Pod pachą ścisnął metalowy cylinder, który zrobił dla niego Leonard.

Drastyczne sytuacje wymagają drastycznych środków.

– Sir? – odezwał się Colon głosem stłumionym przez dywan.

– Słucham, sierżancie?

– Muszę to wiedzieć... W jaki sposób... no wie pan... sprowadził pan osła na dół?

– Perswazją, sierżancie.

– Co? Tylko pan mówił, sir?

– Tak, sierżancie. Perswazja. Oraz, przyznaję, zaostrzony kij.

– Aha! Wiedziałem!

– Cała sztuka przy sprowadzaniu osłów z minaretów – tłumaczył Patrycjusz, gdy w dole rozwijała się pustynia – zawsze polega na tym, by znaleźć tę część osła, która naprawdę bardzo chce zejść na dół.

Wiatr ucichł. Ptaki na skałach wyłączyły się na noc. Vimes słyszał jedynie piski małych stworzonek pustyni.

Potem zabrzmiał głos Ahmeda.

– Naprawdę mi pan zaimponował, sir Samuelu.

Vimes nabrał tchu.

– Wie pan, na początku udało się panu mnie nabrać. „Niech twe lędźwia będą pełne owocu”... To było niezłe. Rzeczywiście pomyślałem, że jest pan tylko...

Urwał, ale Ahmed podjął natychmiast:

– Jeszcze jednym poganiaczem wielbłądów z ręcznikiem na głowie? Ojoj... A do tej chwili tak dobrze pan sobie radził, sir Samuelu. Wywarł pan wrażenie na księciu.

– Proszę dać spokój. Brakowało jeszcze, żeby pan zaczął wygłaszać dwuznaczne uwagi o melonach. Niby co miałem sobie pomyśleć?

– Niech się pan nie tłumaczy, sir Samuelu. Uważam to za komplement. I może się pan odwrócić. Nie pomyślałbym nawet, żeby pana skrzywdzić, chyba że robi pan coś nierozsądnego.

Vimes odwrócił się. W półmroku ledwie dostrzegał czarną sylwetkę.

– Podziwiał pan okolicę – zauważył Ahmed. – Ludzie Tacticusa zbudowali to wszystko, kiedy próbował podbić Klatch. Według dzisiejszych standardów nie było to właściwie miasto, ma się rozumieć. Tak naprawdę chodziło o demonstrację. „Tu jesteśmy i tu zostaniemy”. A potem wiatr się zmienił.

– Zamordował pan Śnieżnego Stocka, prawda?

– Właściwy termin to „egzekucja”. Mogę panu pokazać zeznanie, które wcześniej podpisał.

– Z własnej i nieprzymuszonej woli?

– Mniej więcej.

– To znaczy?

– Powiedzmy, że omówiłem z nim alternatywy złożenia podpisu. Uprzejmie zostawiłem panu notes. W końcu zależało mi, by podtrzymać wasze zainteresowanie. I niech pan tak nie patrzy, sir Samuelu. Potrzebuje pana.

– Skąd może pan wiedzieć, jak patrzę?

– Mogę się domyślić. Zresztą Gildia Skrytobójców i tak miała na niego kontrakt. A szczęśliwym przypadkiem jestem członkiem tej gildii.

– Pan?! – Vimes chciał, by w tym słowie zabrzmiała ironia, ale zaraz się zastanowił: a właściwie dlaczego nie? Dzieciaki jeżdżą tysiące mil, żeby tylko uczyć się w szkole Gildii Skrytobójców...

– O tak. Najlepsze lata mojego życia, jak to mówią. Byłem w Domu Żmii. Górą szkoła! Górą szkoła! Górą nasza szkoła! – Westchnął jak księżę i splunął jak poganiacz wielbłądów. – Kiedy zamykam oczy, przypominam sobie smak budyniu, który nam podawali w poniedziałki. Bogowie, jakże żywe są wspomnienia... Pamiętam każdą wilgotną uliczkę. Czy pan Dibbler wciąż sprzedaje te swoje przerażające kielbaski w bułce przy ulicy Kopalni Melasy?

– Tak.

– Wciąż ten sam stary Dibbler, co?

– Wciąż te same kielbaski.

– Kto raz ich skosztował, nigdy nie zapomni.

– To prawda.

– Nie, proszę nie poruszać się zbyt gwałtownie, sir Samuelu. W przeciwnym razie obawiam się, że to ja panu będę gardło podrzynał. Pan mi nie ufa i ja nie ufam panu.

– Dlaczego pan mnie tu ściągnął?

– Ściągnął? Musiałem dokonać sabotażu na własnym statku, żeby pan mnie nie zgubił.

– Tak, ale... pan... wiedział, jak zareaguję. – Vimesowi zamarło serce. Przecież wszyscy wiedzieli, jak zareaguje...

– Tak. Może papierosa, sir Samuelu?

– Myślałem, że ssie pan goździki.

– W Ankh-Morpork, owszem. Gdziekolwiek trafisz, zachowuj się trochę cudzoziemsko, ponieważ wszyscy wiedzą, że cudzoziemcy są głupi. Poza tym te są całkiem niezłe.

– Świeżo z pustyni?

– Ha! Tak, wszyscy wiedzą również, że klatchiańskie papierosy są robione z wielbłądniego nawozu. – Zapłonęła zapalka, gdy Ahmed dla niego przypalał; Vimes przez chwilę widział haczykowaty nos. – To jedna z dziedzin, w której, co z żalem przyznaję, można znaleźć pewne argumenty na poparcie tych przesądów. Nie, te pochodzą aż z Sumtri. Wyspy, gdzie podobno kobiety nie mają dusz. Osobiście w to wątpię.

Vimes dostrzegł rękę trzymającą paczkę. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy zdoła ją pochwycić i...

– Jak z pańskim szczęściem? – spytał Ahmed.

– Chyba się już wyczerpuje.

– Tak... należy znać zakres swego szczęścia. Powiedzieć panu, skąd wiedziałem, że jest pan dobrym człowiekiem, sir Samuelu?

W blasku księżyca Vimes dostrzegł, jak Ahmed wyjmuje cygarniczkę, wsuwa do niej papierosa i zapala niemal zachłannie.

– Niech pan mówi.

– Po zamachu na życie księcia podejrzewałem wszystkich. Ale pan podejrzewał tylko swoich rodaków. Nie potrafił się pan zmusić do myśli, że Klatchianie mogli to zrobić. Ponieważ to postawiłoby pana w jednym szeregu z sierżantem Colonem i całą resztą tej brygady pod wezwaniem „Klatchiańskie pety są robione z wielbłądniego gówna”.

– Czyim jest pan policjantem?

– Pobieram pensję, tak to okreśłmy, jako *wali* księcia Cadrama.

– W takim razie ostatnio raczej nie jest z pana zadowolony. Miał pan przecież pilnować jego brata... – I ja też, myślał Vimes. Ale do demona z tym...

– Tak. I myśleliśmy w taki sam sposób, sir Samuelu. Pan uznał, że to pańscy rodacy, a ja – że moi. Różnica polega na tym, że ja miałem rację. Śmierć Khufuraha zaplanowano w Klatchu.

– Och, doprawdy? Tak właśnie miała myśleć straż...

– Nie, sir Samuelu. Ważne jest to, co ktoś chciał, żeby pan pomyślał...

– Naprawdę? I tutaj się pan pomylił. Cała ta zabawa ze szkłem i piaskiem na podłodze. Przejrzałem... to... od... razu... – Jego głos cichł z wolna.

Po chwili Ahmed odezwał się ze współczuciem:

– Tak, rzeczywiście.

– Niech to szlag!

– Och, w niektórych punktach miał pan rację. Osiemu początkowo zapłacono w dolarach. Dopiero później ktoś się włamał, przypilnował, żeby prawie całe szkło wyrzucić na zewnątrz, i zamienił pieniądze. A także rozsypał piasek. Ja również uznałem, co muszę przyznać, że ten piasek to trochę za wiele. Nikt nie byłby aż taki głupi. Ale chcieli się upewnić, że będzie to wyglądało jak spartaczona robota.

– Kto to był? – zapytał z naciskiem Vimes.

– Drobnny złodziejasek, Hob-Hob Jojojo. Nie wiedział nawet, po co to robi. Tyle że ktoś chciał mu zapłacić. Muszę tu pochwalić pańskie miasto, komendancie. Za odpowiednią sumę zawsze znajdzie pan człowieka, który zrobi wszystko, czego pan chce.

– Ktoś musiał mu zapłacić...

– Człowiek spotkany w pubie.

Vimes ponuro skinął głową. Zadziwiające, jak wielu ludzi skłonnych było robić interesy z kimś spotkanym w pubie.

– W to mogę uwierzyć – przyznał.

– Widzi pan, jeśli sam niezłomny komendant Vimes, znany nawet niektórym politykom Klatchu jako człowiek absolutnie uczciwy i skrupulatny, choć może nie nazbyt inteligentny... jeśli nawet on twierdzi, że zamachu dokonali jego rodacy... No cóż, świat patrzy. Świat szybko się dowiaduje. Rozpocząć wojnę z powodu kawałka skały? Wie pan, takie rzeczy niepokoją inne kraje. Wszystkie mają jakieś skały przy brzegu. Ale rozpocząć wojnę, gdyż jakiś cudzoziemski pies zamordował człowieka wysłanego z misją pokojową... to, jak sądzę, świat łatwo zrozumie.

– Nie nazbyt inteligentny? – powtórzył Vimes.

– Niech pan się nie załamuje, komendancie. Ta sprawa z pożarem ambasady... to była czysta brawura.

– To była zgroza!

– Granica jest wąska. To jedyna rzecz, której nie przewidziałem.

W rozkołysanym, rozklekotanym stole bilardowym Vimesowego umysłu czarna kula wpadła do otworu.

– To znaczy, że pan się spodziewał pożaru?

– Budynek powinien być prawie pusty...

Vimes ruszył z miejsca. Ahmed został uniesiony w górę, uderzył plecami o kolumnę, a Vimes obie dłonie zacisnął mu na gardle.

– Ta kobieta była tam uwięziona!

– To... konieczność! – wycharczał Ahmed. – Musiałem... jakoś... odwrócić... uwagę! Jego... życie... było... zagrożone, musiałem go wydostać! Nie... wiedziałem o... kobiecie, póki nie... było za późno! Daję... słowo...

Przez czerwoną zasłonę wściekłości Vimes zdał sobie sprawę z lekkiego ukłucia w okolicach żołądka. Spojrzał w dół, na nóż, który magicznym sposobem pojawił się w dłoni przeciwnika.

– Niech pan słucha! – syknął Ahmed. – Książę Cadram rozkazał zamordować swojego brata... Czy jest lepszy sposób, by zademonstrować... perfidię zjadaczy kielbasek? Zabicie wysłannika pokoju...

– Własnego brata? I ja mam w to uwierzyć?

– Rozkazy wysłano do... ambasady... szyfrowane...

– Do starego ambasadora? W to na pewno nie uwierzę!

Ahmed przez chwilę stał nieruchomo.

– Nie, rzeczywiście nie, prawda? – powiedział. – Ale niech pan będzie sprawiedliwy, sir Samuelu. Klatchianie też mają prawo być fałszywymi draniami. To fakt, ambasador jest tylko napuszonym idiotą. Ankh-Morpork nie ma na nich monopolu. Jednak jego zastępcą jako pierwszy czyta pocztę. To... młody człowiek, bardzo ambitny...

Vimes rozluźnił uścisk.

– On? Jak tylko go zobaczyłem, wydał mi się przebiegłym typem.

– Podejrzewam, że gdy tylko pan go zobaczył, wydał się panu Klatchianinem, ale rozumiem, co pan ma na myśli.

– I potrafi pan odczytać ten szyfr, prawda?

– Sir Samuelu, a czy pan nie czyta odwróconych dołem do góry dokumentów Vetinariego, kiedy stoi pan przy jego biurku? Poza tym jestem przecież policjantem księcia Cadrama...

– Więc on jest pańskim szefem, tak?

– A kto jest pańskim szefem, sir Samuelu? Jak już przyjdzie co do czego?

Obaj stali nieruchomi w zwarciu. Ahmed rzeźił lekko.

Vimes odstąpił.

– Te listy... Ma je pan?

– Oczywiście. – Ahmed roztarł szyję. – Z jego pieczęcią.

– Wielkie nieba!? Oryginały? Wydawałoby się, że będą zamknięte pod kluczem.

– Były. W ambasadzie. Ale gdy wybuchł pożar, potrzebowali wielu rąk, by przynieść te dokumenty w bezpieczne miejsce. To bardzo... użyteczny pożar.

– Wyrok śmierci na własnego brata... Trudno z czymś takim dyskutować w sądzie...

– Jakim sądzie? Król jest prawem. – Ahmed usiadł. – Nie jesteśmy tacy jak wy. Wy zabijacie królów.

– Właściwy termin to „egzekucja”. I zrobiliśmy to tylko raz, dawno temu. Ale czy po to mnie pan tu sprowadził? Po to całe przedstawienie? Mógł pan przyjść do mnie w Ankh-Morpork!

– Jest pan człowiekiem podejrzliwym, komendancie. Uwierzyłby mi pan? Poza tym musiałem wydostać księcia Khufuraha, zanim, jak by to... „umrze z odniesionych ran”.

– Gdzie jest teraz książę?

– Blisko. I bezpieczny. Mogę pana zapewnić, że bezpieczniejszy jest na pustyni, niż byłby gdziekolwiek w Ankh-Morpork.

– I zdrowy?

– Wraca do siebie. Opiekuje się nim pewna starsza dama, której ufam.

– Pańska matka?

– Bogowie, skądże! Moja matka jest D'regiem! Byłaby głęboko urażona, gdybym jej zaufała. Uznałaby, że źle mnie wychowała.

Tym razem wyraźnie zobaczył minę Vimesa.

– Uważa mnie pan za wykształconego barbarzyńcę?

– Powiedzmy, że ja dałbym Śnieżnemu Stockowi jakieś fory.

– Doprawdy? Proszę się rozejrzeć, sir Samuelu. Pański... teren to miasto, które w pół godziny może pan przejść pieszo. Mój to dwa miliony mil kwadratowych pustyni i gór. Moi towarzysze to miecz i wielbłąd, a zapewniam, że żaden z nich nie zyskał biegłości w sztuce konwersacji. Pewnie, miasta i miasteczka mają swoich strażników, swego rodzaju. To nie są wyrafinowani myśliciele. Ale moim zadaniem jest wyruszać na pustkowia, by ścigać bandytów i morderców, pięćset mil od kogokolwiek, kto stanąłby po mojej stronie. Dlatego muszę budzić strach, muszę zadawać pierwszy cios, bo nie będę już miał okazji, by zadać drugi. Myślę, że jestem człowiekiem w pewnym sensie uczciwym: umiem przeżyć. Przeżyłem siedem lat w ekskluzywnej szkole w Ankh-Morpork, traktowany protekcyjnie przez synów dżentelmenów. W porównaniu z tym życie wśród D'regów nie jest dla mnie straszne, zapewniam. Wymierzam sprawiedliwość szybko i bez wielkich kosztów.

– Słyszałem, skąd się wzięło pańskie imię...

Ahmed wzruszył ramionami.

– Tamten człowiek zatrzał wodę. Jedyne studnię w promieniu dwudziestu mil. Umarło pięciu mężczyzn, siedem kobiet, trzynaścioro dzieci i trzydzieści jeden wielbłądów. A muszę zaznaczyć, że były wśród nich bardzo cenne wielbłądy. Miałem zeznanie człowieka, który sprzedał mu truciznę, i wiarygodnego świadka, który tej brzemiennej w skutki nocy widział go przy studni. Kiedy uzyskałem jeszcze zeznanie jego służącego, po co miałem czekać choćby godzinę?

– Czasami mamy też procesy – zauważył z naciskiem Vimes.

– Tak. Wasz lord Vetinari decyduje. Ale pięćset mil od czegokolwiek, prawo to ja. – Ahmed machnął ręką. – Bez wątpienia człowiek ów powoływałby się na okoliczności łagodzące, tłumaczył, że miał ciężkie dzieciństwo albo że cierpi na psychozę natręctw zatrutowania studni. Ale ja też mam natręctwo ścinania głów tchórzliwym mordercom.

Vimes skapitulował. Ten człowiek miał trochę racji. I cały miecz.

– Różne metody dla różnych ludzi – stwierdził.

– Osobiście zauważyłem, że cięcie na wysokości ramion skutkuje praktycznie zawsze. Proszę się tak nie krzywić, to był żart. Wiedziałem, że książę planuje tę intrygę, i uznałem, że to nie jest w porządku. Gdyby zabił jakiegoś ankhmorporskiego lorda, to byłaby zwykła polityka. Ale coś takiego... Pomyślałem sobie: dlaczego ścigam złych ludzi po górach, skoro sam biorę udział w wielkiej zbrodni? Książę chce zjednoczyć cały Klatch. Wie pan, osobiście lubię te małe plemiona i kraiki, a nawet ich małe wojenki. Chociaż nie przeszkadzałoby mi, gdyby walczyły z Ankh-Morpork, bo mają ochotę albo z powodu waszych potwornych osobistych nawyków, albo waszej bezmyślnej arogancji... Jest mnóstwo powodów, żeby walczyć z Ankh-Morpork. Kłamstwo do nich nie należy.

– Rozumiem, o co chodzi – zgodził się Vimes.

– Ale co mogę zrobić sam? Aresztować swojego księcia? Jestem jego policjantem, tak jak pan jest Vetinariego.

– Nie. Jestem przedstawicielem prawa.

– Wiem tylko, że musi być jakiś policjant dla każdego, nawet dla królów.

Vimes w zadumie spoglądał na zalaną księżycowym blaskiem pustynię. Gdzieś stały wojska Ankh-Morpork, ile ich tam było. A gdzie indziej czekała armia Klatchu. I tysiące ludzi, którzy mogliby się nawet polubić, gdyby spotkali się towarzysko, teraz ruszą przeciwko sobie i zaczną zabijać. A po tym pierwszym ataku będą mieli dość usprawiedliwień, by robić to znowu i znowu...

Pamiętał, jeszcze w dzieciństwie słuchał, jak opowiadają o wojnie staruszkowie z jego ulicy. Za jego czasów wojny zdarzały się rzadko. Miastopanstwa z Równin Sto próbowały raczej doprowadzić się wzajemnie do bankructwa albo też Gildia Skrytobójców rozstrzygała spory na zasadzie „jeden na jednego”. Przez większość czasu ludzie zwyczajnie się sprzecali, a choć to bardzo irytujące, to przecież o wiele lepsze, niż mieć przebitą mieczem wątrobę.

To, co najlepiej zapamiętał, obok opisów kałuż wypełnionych krwią i latających w powietrzu kończyn, były słowa jednego ze starców: „A kiedy poczujesz, że noga ci w czymś ugrzęzła, lepiej nie sprawdzać, co to takiego, jeśli chcesz zatrzymać kolację”. Nigdy nie wytłumaczył, o co mu chodziło; inni staruszkowie chyba wiedzieli. Zresztą i tak nic nie mogło być gorsze od tych wyjaśnień, jakie Vimes sam sobie wymyślał. Dobrze pamiętał tych trzech starców; prawie cały dzień siedzieli w słońcu na ławeczce. Mieli do spółki pięć rąk, pięć oczu, cztery i pół nogi oraz dwie i trzy czwarte twarzy. A także siedemnaście uszu (Zwariowany Winston często wynosił swoją kolekcję, by pokazać ją grzecznemu chłopcu, który wyglądał na odpowiednio wystraszonego).

– On chciał doprowadzić do wojny...

Vimes musiał powiedzieć to głośno, inaczej nie potrafiłby umysłem ogarnąć tak obłąkanej idei. Człowiek, którego wszyscy uważali za uczciwego, szlachetnego i dobrego, chciał doprowadzić do wojny...

– Ależ oczywiście – potwierdził Ahmed. – Nic tak nie jednoczy ludzi jak porządna wojna.

Jak postępować z człowiekiem, który myśli w taki sposób? – pytał sam siebie Vimes. Ze zwykłym mordercą, oczywiście, ma się pełen zakres możliwości. Ze zwykłym mordercą by sobie poradził. Istnieją kryminaliści i istnieją policjanci, a jedni i drudzy działają jakby na huśtawce, która jakoś dziwnie się równoważy. Ale kiedy widzi się człowieka, który pewnego dnia usiadł i postanowił rozpocząć wojnę, to czym – w imię siedmiu kręgów piekła – można go zrównoważyć? Potrzebny byłby policjant wielkości kraju.

Trudno mieć pretensje do żołnierzy. Zaciągnęli się, żeby ktoś im

pokazywał właściwy kierunek.

Coś stuknęło o leżącą kolumnę. Vimes spojrzał i wyjął z kieszeni swoją pałkę. Błysnęła w świetle księżyca.

I co mu przyjdzie z czegoś takiego? Oznaczała tylko tyle, że Vimes ma prawo ścigać drobnych przestępców popełniających drobne wykroczenia. Nic nie mógł poradzić przeciwko zbrodniom tak ogromnym, że nie dało się ich nawet zobaczyć. Człowiek żył wewnątrz nich. Czyli... bezpieczniej już trzymać się drobnych przestępców, Samie Vimes.

– DOBRA, SYNKOWIE! WEPCHNIJMY ICH W GIOGRAFIE!

Jakieś postacie przeskakiwały nad resztkami kolumn.

Coś zachrząściło metalicznie – to Ahmed dobył miecza.

Vimes zobaczył zbliżającą się ku niemu halabardę – ankhmorporską halabardę! – i sterowanie ciałem przejęły reakcje uliczne. Nie tracił czasu, by zakpić z kogoś, kto używa takiego sprzętu na pieszego przeciwnika. Uchylił się przed ostrzem, chwycił za drzewce i pociągnął tak mocno, że właściciel halabardy potknął się i trafił prosto na sunący do góry but.

Potem Vimes odskoczył. Usiłował wypłatać swój miecz z fałd obcej szaty. Uchylił się przed wściekłym cięciem kolejnej mrocznej postaci i zdołał trafić łokciem w coś bolesnego.

Prostując się, spojrzał w twarz człowieka ze wzniesionym mieczem...

...usłyszał jedwabisty szelest...

...i człowiek upadł na plecy; jego głowa wyglądała na zaskoczoną, gdy odtoczyła się od ciała.

Vimes zdarł nakrycie z głowy.

– Jestem z Ankh-Morpork, durni kretyni!

Potężna sylwetka wyrosła nagle przed nim, z mieczami w obu rękach.

– UTNĘ CI TEGO TWOJEGO STUKACZA, BRUDNY... Och, to pan, sir Samuelu?

– Co? Willikins?

– W samej rzeczy, sir. – Kamerdyner wyprostował się.

– Willikins?

– Proszę wybaczyć na moment, sir PRZESTAĆ NATYCHMIAST, MATKOLUBNE SUKINSYNY nie zdawałem sobie sprawy z pańskiej obecności tutaj, sir.

– Ten tutaj się broni, sierżancie!

Ahmed stał oparty plecami o kolumnę. Jakiś człowiek leżał już u jego stóp. Trzej inni usiłowali się zbliżyć, jednocześnie unikając tej połyskującej bariery stali, jaką tworzył miecz.

– Ahmed! Oni są po naszej stronie! – huknął Vimes.

– Och, doprawdy? Bardzo przepraszam!

Ahmed opuścił miecz i wyjął z ust cygarniczkę. Skinął głową jednemu z atakujących go żołnierzy.

– Dzień dobry.

– Zara, też żeś z naszych?

– Nie, jestem...

– Jest ze mną – rzucił Vimes. – Skąd się tu wzięłeś, Willikins? Sierżant Willikins, jak widzę.

– Byliśmy na patrolu, sir, i zostaliśmy zaatakowani przez oddział klatchiańskich dżentelmenów. Wskutek wynikłych nieprzyjemności...

– Powinien pan go zobaczyć, sir. Normalnie odgryzł jednemu

skurwielowi nos... – wtrącił żołnierz.

– Prawdą jest, iż starałem się podtrzymać dobrą sławę Ankh-Morpork, sir. W każdym razie kiedy...

– A jeden gościu, sierżant, dźgnął go w samo...

– Bardzo proszę, szeregowy Bourke. Usiłuję poinformować sir Samuela o przebiegu wydarzeń – powiedział Willikins.

– Sierżant powinien dostać medal, sir!

– Ci nieliczni z nas, którzy przeżyli, próbowali wrócić do swoich, sir. Musieliśmy jednak ukrywać się przed innymi patrolami; rozważaliśmy właśnie przeczekanie do świtu w tej skalnej formacji, kiedy wysłedziliśmy pana oraz tego tu dżentelmena.

Ahmed patrzył na niego z rozdziawionymi ustami.

– Ilu ludzi liczył sobie ten klatchiański patrol, sierżancie? – zapytał.

– Dziewiętnastu, sir.

– Bardzo dokładny wynik, jak na tak słabe światło.

– Udało mi się policzyć ich potem.

– To znaczy, że wszyscy zginęli?

– Tak, sir – potwierdził spokojnie Willikins. – Jednakże i my straciliśmy pięciu ludzi. Nie licząc szeregowych Hobbleya i Webba, sir, którzy niestety odeszli w rezultacie obecnego pechowego nieporozumienia. Za pańskim pozwoleniem, sir, zaraz ich stąd usunę.

– Biedaczyska... – mruknął Vimes, świadom, że to nie wystarczy, ale nie wystarczy też nic innego.

– Wojenne szczęście, sir. Szeregowy Hobbley, Ginger dla przyjaciół, miał dziewiętnaście lat i mieszkał przy ulicy Storczyków, gdzie do niedawna robił

sznurowadła. – Willikins chwycił zabitego za ramiona i pociągnął. – Zalecał się do młodej damy imieniem Grace, której wizerunek uprzejmie zechciał mi pokazać zeszłej nocy. W służbie lady Venturi, jak zrozumiałem. Gdyby zechciał mi pan podać jego głowę, sir, dopilnuję reszty SMUDGER KTO CI POZWOLIŁ SIADAĆ WSTAWAJ ALE JUŻ WYCIĄGAJ ŁOPATĘ ZDEJMIJ HEŁM OKAŻ TROCHĘ SZACUNKU I BIERZ SIĘ DO KOPANIA!

Obłok dymu przepłynął koło ucha Vimesa.

– Wiem, co pan myśli – powiedział Ahmed. – Ale to jest wojna, sir Samuelu. Proszę się obudzić i powąchać krwi.

– Ale... przed chwilą jeszcze żyli...

– Ten pański przyjaciel wie, jak to działa. Pan nie.

– Jest kamerdynerem!

– I co? Na wojnie zabijasz albo giniesz. To obowiązuje również kamerdynerów. Nie jest pan urodzonym wojownikiem, sir Samuelu.

Vimes potrząsnął mu pałką przed nosem.

– Nie jestem urodzonym mordercą! Widzi pan, co tu jest napisane? Powinienem utrzymywać pokój i tyle! Jeśli w tym celu zabijam ludzi, to chyba czytałem niewłaściwą instrukcję!

Willikins pojawił się cicho i chwycił drugiego trupa.

– Nie było mi dane wiele się dowiedzieć o tym młodym człowieku – powiedział, wciągając go za skalę. – Nazywaliśmy go Pajakiem, sir. – Wyprostował się. – Grał na harmonijce, dość marnie, i tęsknił za domem. Czy napije się pan herbaty, sir? Szeregowy Smith zaraz przygotuje. Ehm...

Kamerdyner odchrząknął delikatnie.

– Słucham, Willikins?

– Waham się przed poruszaniem tego tematu, sir...

– Porusz, człowieku!

– Czy ma pan przy sobie coś takiego jak herbatnik, sir? Nie chciałbym podawać herbaty bez ciasteczek, ale nie jedliśmy nic od dwóch dni.

– Przecież byliście na patrolu!

– Zwiad w poszukiwaniu żywności, sir. – Willikins był wyraźnie zakłopotany.

Vimes nie wierzył własnym uszom.

– Chcesz powiedzieć, że Rust nie czekał nawet, żeby zabrać żywność?

– Ależ tak, sir. Okazało się wszakże...

– Wiedzieliśmy, że coś jest nie tak, kiedy zaczęły wybuchać beczki z baraniną – mruknął szeregowy Bourke. – A suchary też były dość ruchliwe. Wyszło na to, że przekłety Rust kupił takie rzeczy, co by ich nawet szmaciany łeb nie zeżarł...

– A my przecież jemy wszystko – dodał z powagą 71-godzinny Ahmed.

– SZEREGOWY BURKE JAK WAM NIE WSTYD GADAĆ TAKIE RZECZY O PRZEŁOŻONYCH MOŻECIE ZA TO STANĄĆ PRZED SĄDEM najmocniej przepraszam, sir, ale czujemy się nieco osłabieni.

– Za długie przerwy między nosami, co? – rzucił 71-godzinny Ahmed.

– Ahahaha, sir – odparł Willikins.

Vimes westchnął.

– Willikins, kiedy skończycie, ty i twoi ludzie pójdziecie ze mną.

– Bardzo dobrze, sir.

– I pan też – rzekł do Ahmeda. – Właśnie przyszło co do czego.

Gorący wiatr szarpał proporce. Słońce połyskiwało na grotach włóczy. Lord Rust popatrzył na swoją armię i stwierdził, że jest dobra. Ale mała.

Pochylił się do adiutanta.

– Nie zapominajmy jednak, że nawet generał Tacticus, kiedy zdobywał przełęcz Al-Ibi, walczył przeciwko dziesięciokrotnie większym siłom wroga.

– Rzeczywiście, sir. Chociaż, o ile pamiętam, jego ludzie dosiadali słoń, sir – odparł porucznik Hornett. – I byli dobrze zaopatrzeni – dodał znacząco.

– Możliwe, możliwe. Za to kawaleria lorda Pinwoe ruszyła kiedyś do szarży na całą potęgę armii pseudopolitańskiej, za co została upamiętniona w pieśniach i legendach.

– Wszyscy zginęli, sir!

– Owszem, zgadza się, ale i tak była to słynna szarża. Oczywiście każde dziecko zna również opowieść o zaledwie stu Efebianach, którzy pokonali całą armię Tsortu. Całkowite zwycięstwo, prawda? Prawda?

– Tak, sir – przyznał ponuro adiutant.

– Aha, czyli zgadza się pan?

– Tak jest, sir. Oczywiście niektórzy kronikarze uważają, że pomogło im trzęsienie ziemi.

– Musi pan w każdym razie przyznać, że siedmiu bohaterów z Hergenu pobiło lud Wielkostopych, choć tamci mieli przewagę stu do jednego.

– Tak, sir. To bajka dla dzieci, sir. Nic takiego naprawdę się nie wydarzyło.

– Chcesz powiedzieć, że moja niania kłamała, chłopcze?

– Nie, sir – zapewnił pospiesznie porucznik Hornett.

– A zatem zgodzisz się także z tym, że baron Mimbledrone samotnie pokonał wojska Krainy Puddingu Śliwkowego i zjadł tamtejsze sułtanki?

– Zazdroszczę mu, sir.

Porucznik raz jeszcze zbadał wzrokiem szeregi. Żołnierze byli bardzo głodni, choć Rust pewnie nazwałby ich drapieżnymi. Byłoby zresztą o wiele gorzej, gdyby nie szczęśliwy przypadek, który w drodze zesłał im deszcz gotowanych homarów.

– Czy nie wydaje się panu, sir, skoro mamy trochę czasu, że warto dopilnować pozycji naszych sił?

– Wydają mi się w świetnej dyspozycji, poruczniku. Mężni ludzie, nie mogą się doczekać bitwy.

– Tak, sir. Ale chodziło mi... raczej... o ich rozstawienie, sir.

– Nie ma co poprawiać, człowieku. Równiutkie szeregi. Mur stali, gotów do pchnięcia w czarne serce klatchiańskiego agresora!

– Tak, sir. Ale... choć zdaję sobie sprawę, jak nikła to szansa... może się zdarzyć, że podczas owego pchnięcia w serce klatchiańskiego agresora...

– Czarne serce – poprawił go Rust.

– ...czarne serce klatchiańskiego agresora, sir, ramiona klatchiańskiego agresora, te oddziały tam i tam, sir, ruszą ze skrzydeł i wezmą nas w klasyczne kleszcze.

– Napierający mur stali znakomicie się sprawdził w drugiej wojnie z Quirmem!

– Przegraliśmy ją, sir.

– Minimalnie!

– Ale jednak przegraliśmy, sir.

– Co pan robił w cywilu, poruczniku?

– Byłem mierniczym, sir, i umiem czytać po klatchiańsku. Dlatego mianował mnie pan oficerem.

– Czyli nie potrafi pan walczyć?

– Tylko liczyć, sir.

– Ba! Okaż nieco odwagi, młody człowieku! Chociaż obstawiam, że nie będzie ci potrzebna. Taki Rysiu Klatchysiu nie ma serca do walki. Kiedy tylko pokosztuje naszej zimnej stali, umknie natychmiast.

– Pilnie słucham pańskich opinii, sir – zapewnił adiutant, który ocenił szyki Klatchian i uformował własną opinię na ich temat.

Ta opinia brzmiała: główne siły wojsk klatchiańskich w ostatnich latach walczyły praktycznie ze wszystkimi. Co w niewyrafinowanym umyśle porucznika prowadziło do wniosku, że żołnierze, którzy przeżyli do dzisiaj, to tacy, którzy przywykli do zachowywania życia podczas bitew. Mieli także bardzo wiele doświadczenia w walkach z różnymi przeciwnikami. Ci głupi wyginęli.

Za to obecna armia Ankh-Morpork nigdy jeszcze nie stawiała wobec jakiegokolwiek nieprzyjaciela, choć codzienne doświadczenie życia w mieście też może się liczyć, zwłaszcza w gorszych dzielnicach. Porucznik wierzył także, za generałem Tacticusem, że odwaga, męstwo i niepokonany duch to wspaniałe zalety, jednak ustępują przed kombinacją odwagi, męstwa i niepokonanego ducha, połączonych, co ważne, z sześciokrotną przewagą liczebną.

W Ankh-Morpork wszystko wydawało się całkiem proste, myślał. Mieliśmy popłynąć do Klatchu i na herbatę dotrzeć do Al-Khali, by popijać sorbet z uległymi kobietami w Rhoxi. Klatchianie mieli tylko spojrzeć na nasze miecze i rzucić się do ucieczki.

No więc Klatchianie dobrze się im przyjrzeni dziś rano. Jak dotąd nie umknęli. Zdawało się za to, że często parskają z rozbawieniem.

Vimes przewrócił oczami. To działało... Ale jak działało?

Słyszał już wielu doskonałych mówców, lecz kapitan Marchewa do nich nie należał. Zacinał się, powtarzał, gubił wątek i ogólnie mówił bardzo chaotycznie.

A jednak...

A jednak...

Widział zapatrzone w Marchewę twarze. Byli tam D'regowie, kilku Klatchian, którzy postanowili zostać, i Willikins ze swoim przetrzebionym oddziałem. Wszyscy słuchali.

To było jak magia. Mówił im, że są porządnymi gośćmi, a oni wiedzieli, że nie są, ale mówił tak, że przez chwilę mu wierzyli. Tłumaczył, że są wartościowi i szlachetni, i nagle stawało się rzeczą nie do pomyślenia, by go zawiedli. To było jak zwierciadło mowy, odbijające wszystko, co człowiek chciałby usłyszeć. I Marchewa mówił szczerze.

Jednakże ludzie od czasu do czasu oglądali się na Vimesa i Ahmeda. Widział, że myślą, każdy po swojemu: „Jeśli oni w to wchodzi, na pewno wszystko jest w porządku”. Na tym właśnie, co uświadomił sobie z pewnym zażenowaniem, polega przewaga wojska. Ludzie zwracają się do innych ludzi po rozkazy.

– To jakaś sztuczka? – spytał Ahmed.

– Nie. On nie zna żadnych takich sztuczek – odpowiedziała mu Angua. – Naprawdę nie zna. Ojoj...

W szeregach wybuchła bójka.

Marchewa podszedł, schylił się i postawił na nogi szeregowego Bourke

oraz D'rega. Obu trzymał swymi wielkimi pięściami za kołnierze.

– Co się dzieje z wami dwoma?

– Nazwał mnie bratem wieprza, sir!

– Kłamca! To ty mnie nazwałeś brudnym szmatogłowym!

Marchewa pokręcił głową.

– A tak dobrze wam obu szło – powiedział ze smutkiem. – Naprawdę musieliście tak się zachować? Teraz bardzo proszę, Hashelu, i ciebie też, Vincent, żebyście podali sobie ręce. Jasne? I przeprosili się nawzajem. Wszyscy mamy za sobą ciężkie chwile, ale wiem, że w głębi serca jesteście porządnymi chłopakami...

Vimes usłyszał szept Ahmeda:

– No to teraz już koniec...

– ...więc jeśli podacie sobie ręce, nie będziemy już do tego wracać.

Vimes zerknął na Ahmeda. D'reg miał na twarzy dziwnie stężały uśmiech.

Dwaj walczący bardzo ostrożnie dotknęli się dłońmi, jakby w obawie, że przeskoczy między nimi iskra.

– A teraz, Vincent, przeproś pana Hashela...

Nastąpiło bardzo niechętnie:

– ...raszam.

– A za co przepraszasz? – zachęcił Marchewa.

– Przepraszam, że nazwałem go brudnym szmatogłowym.

– Bardzo dobrze. A teraz ty, Hashel, przeprosisz szeregowego Bourke.

D'reg przewracał oczami, jakby szukały drogi ucieczki, która pozwoliłaby wymknąć się również reszcie ciała. Wreszcie zrezygnował.

– ...aszam...

– Za co?

– ...że nazwałem go bratem wieprza...

Marchewa postawił obu na ziemi.

– Świetnie. Jestem pewien, że się zaprzyjaźnicie, jak tylko się lepiej poznacie...

– Nie widziałem tego przed chwilą, prawda? – upewnił się Ahmed. – Nie widziałem, jak przemawia tonem nauczycielki do Hashela, o którym przypadkiem wiem, że kiedyś tak mocno uderzył człowieka, aż nos tamtego skończył w uchu?

– Owszem, widział pan – zapewniła go Angua. – A teraz proszę ich obserwować.

Kiedy pozostali znowu patrzyli na Marchewę, byli walczący spojrzeli na siebie jak nieszczęśnicy, którzy obaj przeżyli chrzest ognistego zawstydenia.

Szeregowy Bourke dyskretnie poczęstował Hashela papierosem.

– To działa tylko wtedy, kiedy on jest w pobliżu – dodała Angua. – Ale działa.

I oby nadal działało, modlił się Vimes.

Marchewa podszedł do klęczącego wielbłąda i wspiął się na siodło.

– To przecież Wredny Szwagier Szakala! – powiedział Ahmed. – Wielbłąd Jabbara! Gryzie każdego, kto próbuje go dosiąść!

– Tak, ale to jest Marchewa.

– Gryzie nawet Jabbara!

– A zauważył pan, jak on potrafi dosiadać wielbłąda? – spytał Vimes. – Jak nosi burnus? On tu pasuje. Ten chłopak wychował się w krasnoludziej kopalni. Miesiąc zajęło mu poznanie mojego przekłętego miasta lepiej ode mnie!

Wielbłąd powstał. Teraz sztandar, pomyślał Vimes. Dajcie mu sztandar. Kiedy się rusza na wojnę, sztandar jest konieczny.

Jakby na rozkaz, funkcjonariusz Shoe wręczył kapitanowi lancę ze ściśle zwiniętą na drzewcu tkaniną. Był wyraźnie dumny z siebie. Uszył ten sztandar w wielkiej tajemnicy pół godziny temu. To jedna z zalet zombi w oddziale – zawsze jest ktoś, kto ma igłę z nitką.

Ale jeszcze go nie rozwijaj, instruował w myślach Vimes. Niech go jeszcze nie widzą. Wystarczy im świadomość, że maszerują pod sztandarem.

Marchewa machnął lancą.

– I obiecuję wam jedno! – zawołał. – Jeśli nam się uda, nikt nie będzie o tym pamiętał. Jeśli zawiedziemy, nigdy nie zapomną!

To chyba jeden z najgorszych okrzyków bojowych, uznał Vimes, od czasów słynnego „Dajmy wszyscy poderżnąć sobie gardła, chłopcy!” generała Pidleya. I po raz kolejny doszedł do wniosku, że gdzieś głęboko w kościach musi tu działać magia. Ludzie szli za Marchewą z ciekawości.

– No dobrze, chyba ma pan już armię – przyznał Ahmed. – Co teraz?

– Jestem policjantem. Pan również. Ma być popełniona zbrodnia. Wskakuj na siodło, Ahmedzie.

Ahmed skłonił się nisko.

– Jestem szczęśliwy, że będzie mną dowodził biały oficer, offendi.

– Nie chciałem przecież...

– Czy kierował pan kiedyś wielbłądem, sir Samuelu?

– Nie!

– Hm... – Ahmed uśmiechnął się lekko. – Trzeba go szturchnąć, żeby ruszył. A kiedy zechce się pan zatrzymać, należy uderzyć go kijem bardzo mocno i krzyknąć „Huthuthut!”.

– Wali się go kijem, żeby stanął?

– A jest inny sposób? – zdziwił się 71-godzinny Ahmed.

Jego wielbłąd przyjrzał się Vimesowi, po czym splunął mu w oko.

Książę Cadram i jego generałowie z siodeł obserwowali oddalone szyki nieprzyjaciela. Przed Gebrą zebrały się liczne klatchiańskie armie. W porównaniu z nimi regimenty Ankh-Morpork wyglądały jak grupa turystów, która spóźniła się na swój środek transportu.

– I to wszystko? – upewnił się książę.

– Tak, sire – potwierdził generał Ashal. – Ale widzisz, oni wierzą, że fortuna sprzyja odważnym.

– I to jest powód, by wysłać w pole taką godną pogardy małą armię?

– Oni uważają, sire, że odwrócimy się i uciekniemy, gdy tylko posmakujemy zimnej stali.

Książę spojrzał ku dalekim chorągwiom.

– Dlaczego?

– Trudno powiedzieć, sire. Wydaje się, że to dla nich element wiary.

– Dziwne. – Książę odwrócił się do swych gwardzistów. – Podajcie mi jakąś zimną stal.

Po krótkiej i pospiesznej dyskusji wręczono mu miecz – bardzo ostrożnie, rękojeścią do przodu. Książę przyjrzał mu się, a potem z demonstracyjną starannością polizał. Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

– Nie – stwierdził w końcu. – Nie; muszę powiedzieć, że w najmniejszym stopniu nie czuję się załęczony. Czy ta klinga jest dostatecznie zimna?

– Lord Rust prawdopodobnie użył metafory, sire.

– No tak. Należy do takich, co używają. Cóż, jedźmy zatem i spotkajmy się z nim. Musimy przecież być cywilizowani.

Popędził konia. Generałowie ruszyli za nim.

Po chwili książę nachylił się do Ashala.

– A dlaczego właściwie mamy z nim rozmawiać, zanim zacznie się bitwa?

– To... To gest dobrej woli, sire. Wojownicy powinni okazywać sobie wzajemnie szacunek.

– Przecież ten człowiek jest absolutnie niekompetentny!

– Istotnie, sire.

– I mamy za chwilę rzucić przeciwko sobie tysiące naszych rodaków, tak?

– Istotnie, sire.

– Więc co ten maniak chce zrobić? Powiedzieć mi, że nie ma pretensji?

– Ogólnie biorąc, sire... tak. Jak rozumiem, motto jego dawnej szkoły brzmiało: „Nie jest ważne, czy zwyciężyłeś, czy przegrałeś, ale że brałeś udział”.

Książę bezgłośnie poruszył wargami, powtarzając tę maksymę.

– I wiedząc o tym – rzekł w końcu – ludzie nadal słuchają jego rozkazów?

– Tak się wydaje, sire.

Książę Cadram pokręcił głową. Możemy się wiele nauczyć od Ankh-Morpork, mawiał jego ojciec. Czasami możemy się nauczyć, czego nie robić.

Dlatego przystąpił do nauki.

Najpierw się dowiedział, że Ankh-Morpork władało niegdyś sporą częścią Klatchu. Odwiedził ruiny jednej z ich kolonii i w ten sposób odkrył imię człowieka, który był dostatecznie zuchwały, by do tego doprowadzić. Poleciał agentom w Ankh-Morpork dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

Nazywał się generał Tacticus. Książę Cadram czytał dużo, pamiętał wszystko, a „taktyka” okazała się bardzo, bardzo użyteczna przy poszerzaniu jego imperium. Oczywiście, samo w sobie prowadziło to do pewnych trudności. Miał granicę, przez którą przechodzili bandyci. Wysyłał więc żołnierzy, by pozbyć się bandytów, ale by całkiem ich zdeptać, trzeba było podbić ich kraj – i wkrótce potem musiał rządzić kolejnym niespokojnym państwkiem wasalnym. Teraz ono miało granicę, przez którą napadali – to pewne jak wschód słońca – całkiem nowi zbójce. A więc nowi poddani – podatnicy – żądali ochrony przed braćmi-bandytami, zaniedbywali płacenie podatków i w dodatku dorabiali sobie na boku drobnymi napadami. Znowu więc trzeba było posyłać tam wojska, czy tego chciał, czy nie...

Westchnął. Dla poważnego budowniczego imperium nie istnieje coś takiego jak ostateczna granica. Istnieją tylko kolejne problemy. Gdyby tylko ludzie zechcieli to zrozumieć...

Nie istniało także coś takiego jak gra wojenna. Generał Tacticus wiedział o tym. Poznaj swojego przeciwnika, tak, szanuj jego zdolności, jeśli je ma, oczywiście. Ale nie udawaj, że po wszystkim pójdziecie razem na drinka i będziecie analizować bitwę szturm po szturmie.

– Może jest szalony, sire – ciągnął generał.

– To świetnie.

– Jednakże doniesiono mi, że niedawno wypowiedział się o Klatchianach

jako najlepszych żołnierzach świata, sire.

– Naprawdę?

– I dodał: „kiedy dowodzą nimi biali oficerowie”.

– Ach...

– Zaprośmy go na śniadanie, sire. Odmowa z jego strony byłaby wyjątkowo nieuprzejma.

– Cóż za znakomity pomysł. Czy mamy odpowiedni zapas baranich oczu?

– Pozwoliłem sobie nakazać kucharzom, by zaoszczędzili trochę na taką właśnie ewentualność, sire.

– Musimy dopilnować, by je dostał. Będzie przecież naszym honorowym gościem. Postarajmy się załatwić wszystko należycie. Proszę, Ashalu, spróbuj wyglądać, jakbyś nienawidził smaku zimnej stali.

Klatchianie rozstawili pawilon na piasku pomiędzy dwoma armiami. W miłym cieniu nakryto niski stół. Lord Rust i jego towarzysze już czekali, co zresztą czynili od ponad pół godziny.

Wstali i skłonili się niezręcznie, kiedy wszedł książę. Wokół pawilonu ankhmorporska i klatchiańska warta honorowa obserwowały się nawzajem podejrzliwie, a każdy z żołnierzy starał się zająć lepszą pozycję od pozostałych.

– *Proszę powiedzieć... czy któryś z was, dżentelmeni, mówi po klatchiańsku?* – odezwał się książę Cadram po zakończeniu długich prezentacji.

Rust zachował na twarzy wymuszony uśmiech.

– Hornett! – syknął.

– Nie jestem całkiem pewien, co powiedział, sir – rzekł zdenerwowany porucznik.

– Myślałem, że znacie klatchiański!

– Umiem czytać, sir. To nie to samo...

– Och, proszę się nie przejmować – uspokoił ich książę. – Jak to mawiamy w Klatchu, *i ten błazen dowodzi armią?*

Wokół pawilonu klatchiańscy generałowie nagle przybrali twarze pokerzystów.

– Hornett?

– Eee... Coś o... posiadaniu, kierowaniu... e...

Cadram uśmiechnął się do Rusta.

– Ten zwyczaj nie był mi znany – powiedział. – Czy często spotykacie się z wrogami przed bitwą?

– Jest to uważane za honorowe – wyjaśnił Rust. – Na przykład, o ile wiem, w nocy przed słynną bitwą pod Pseudopolis oficerowie obu walczących stron uczestniczyli w balu u lady Selachii.

Książę zerknął pytająco na generała Ashala, który skinął głową.

– Doprawdy? Naturalnie, wiele jeszcze musimy się nauczyć. Jak mówi poeta Mosheda: *Nie mogę uwierzyć, w to co mówi ten człowiek.*

– O tak – zgodził się Rust. – Klatchiański jest bardzo poetyckim językiem.

– Przepraszam bardzo, sir – odezwał się porucznik Hornett.

– O co chodzi, człowieku?

– Tam... no... coś się dzieje...

Chmura kurzu uniosła się w oddali. Coś zbliżało się szybko.

– Chwileczkę – rzucił generał Ashal.

Wyszedł do swojego wierzchowca i wrócił z ozdobną metalową rurą pokrytą zakreconym klatchiańskim pismem. Jeden koniec przysunął do oka, a drugi skierował w stronę chmury.

– Jeźdźcy – oznajmił. – Wielbłądy i konie.

– To aparat Robiący Rzeczy Większymi, prawda? – spytał Rust. – Słowo daję, jesteście nowocześni. Został wynaleziony ledwie w zeszłym roku.

– Nie kupiłem go, panie. Odziedziczyłem po dziadku... – Generał znów spojrzał przez rurę. – Powiedziałbym, że około czterdziestu ludzi.

– Och, och... – mruknął książę Cadram. – Czyżby posiłki, lordzie?

– Mają... jeździec na czele trzyma... flagę, jak sędzę, wciąż jeszcze zwiniętą...

– Z pewnością nie, sire! – zapewnił Rust.

Stojący za nim lord Selachii tylko przewrócił oczami.

– Aha, teraz ją rozwija... To... to biała flaga, sire!

– Ktoś chciałby się poddać?

Generał opuścił swoją rurę.

– Nie wygląda... Ja nie... Wydaje się, że bardzo im się do tego spieszy, sire.

– Wyślij oddział, żeby ich zatrzymał – polecił książę.

– My także wyślemy – wtrącił pośpiesznie Rust i skinął na Hornetta.

– No, no, wspólna operacja – uśmiechnął się Cadram.

Kilka sekund później dwie grupy oderwały się od obu armii i ruszyły kursem pościgowym.

Wszyscy dostrzegli błyski w zbliżającej się chmurze. Jeźdźcy dobyli broni.

– Walka pod flagą kapitulacji? – zdumiał się Rust. – To... niemoralne!

– Z pewnością to nowość – zgodził się książę.

Trzy grupy spotkałyby się zapewne, gdyby nie fakt, że nawet ekspertowi trudno ocenić, jaką odległość pokona biegnący wielbłąd. W chwili gdy obaj dowódcy zdali sobie sprawę, że powinni zacząć skręcać, powinni już skręcić.

– Wydaje się, że pańscy ludzie źle ocenili sytuację – zauważył lord Rust.

– Wiedziałem, że należało ich oddać pod dowództwo białych oficerów – westchnął książę. – Ale... Och, mam wrażenie, że pańscy ludzie też nie mieli szczęścia...

Urwał. Nastąpiło niejakie zamieszanie. Oba oddziały rozpoznania otrzymały swoje rozkazy, ale nikt im nie powiedział, co mają robić, jeśli wpadną na oddział rozpoznania przeciwnika. Złożony przecież z ludzi, z którymi mieli walczyć, a wszyscy wiedzieli, że to brudne szmaciane łby albo perfidni i zdradzieccy kielbaskożerni szaleńcy. I znajdowali się na polu bitwy. W dodatku wszyscy byli trochę przestraszeni, a zatem bardzo spięci. I uzbrojeni.

Sam Vimes słyszał za sobą krzyki, ale w tym momencie miał inne sprawy na głowie. Nie da się jechać na wielbłądzie, nie koncentrując się przy tym na własnych nerkach i wątrobie, w nadziei że nie zostaną wytrzęsione z ciała. Był pewien, że nogi zwierzaka nie poruszają się właściwie. Nic, co biegnie na normalnych nogach, nie może przecież tak rzucać. Horyzont szarpał się w przód i w tył, w górę i w dół.

Jak to mówił Ahmed?

Vimes uderzył mocno kijem.

– Huthuthut! – wrzasnął.

Wielbłąd przyspieszył. Szarpnięcia zlały się w jedno, tak że ciało Vimesa

nie było już potrząsane, ale znalazło się w stanie wstrząsu permanentnego.

Znowu uderzył zwierzaka i spróbował krzyknąć „Huthuthut!”, chociaż w efekcie uzyskał raczej „Hngngngn!”. W każdym razie wielbłąd znalazł gdzieś u siebie jeszcze dodatkowe kolana.

Z tyłu rozbrzmiewały kolejne okrzyki. Vimes odwrócił głowę, ile tylko się ośmielił, i zobaczył, jak kilku towarzyszących mu D’regów zostaje w tyle. Zdawało mu się, że słyszy wołanie Marchewy, ale nie był pewien, gdyż wszystko zagłuszał jego własny wrzask.

– Stój, ty draniu!!!

Pawilon zbliżał się szybko. Vimes znowu uderzył zwierzę kijem i szarpnął wodze.

Wyraźnie wyczuwając specjalnymi wielbłądzimi zmysłami, że nadeszła najbardziej krępująca chwila, by się zatrzymać, wielbłąd się zatrzymał. Vimes zjechał do przodu, objął go rękami za szyję, owiniętą chyba starymi słomiankami, po czym na wpół spadł, na wpół zeskoczył na piasek. Wokół hamowały z tupotem inne wielbłądy.

– Dobrze się pan czuje, sir? – Marchewa podtrzymał go za ramię. – To było zadziwiające! Naprawdę zaimponował pan D’regom, krzycząc tak wyzywająco! I wciąż poganiał pan wielbłąda do szybszego biegu, choć już pędził galopem!

– Gngn?

Strażnicy wokół namiotu wahali się zaskoczeni – ale to nie mogło trwać długo.

Wiatr strzelił białą flagą na lancy Marchewy.

– Sir, to na pewno w porządku, prawda? Bo biała flaga zwykle...

– Możemy przecież pokazać, o co walczymy, nie?

– Chyba tak, sir.

D'regowie otoczyli pawilon. Powietrze wypełniło się kurzem i okrzykami.

– Co się tam dzieło za nami?

– Drobną awanturą, sir. Nasi... – Marchewa zająknął się i poprawił szybko: – To znaczy żołnierze Ankh-Morpork i Klatchianie zaczęli walczyć, sir. A D'regowie walczą z jednymi i drugimi.

– Jak to? Zanim oficjalnie rozpoczęto bitwę? Nie zdyskwalifikują ich za to?

Vimes znów przyjrzał się strażnikom, po czym wskazał sztandar.

– Wiecie, co oznacza ta flaga? – zapytał. – No więc chcę...

– Czy to pan Vimes? – zdumiał się jeden z Morporczyków. – A to kapitan Marchewa, prawda?

– O, dzień dobry, panie Smallplank – powiedział Marchewa. – Dobrze pana tu karmią, co?

– Tajest, sir!

Vimes przewrócił oczami. Znowu ten Marchewa... Zna wszystkich. A ten człowiek tytułuje go „sir”...

– Chcemy tylko przejść – rzekł Marchewa. – Nie zajmiemy wiele czasu.

– Ale, sir, te szma... – Smallplank zawahał się. Pewne słowa nie padają tak łatwo, gdy opisywane przez nie obiekty stoją bardzo blisko i wyglądają na bardzo dużych i uzbrojonych.

– Ci Klatchianie też tu stoją na warcie...

Obok ucha Vimesa przepełnęła strużka błękitnego dymu.

– Dzień dobry panom – odezwał się 71-godzinny Ahmed. W obu rękach trzymał po d'regowskiej kuszy. – Zauważyliście pewnie, że stojący za mną żołnierze także są dobrze uzbrojeni? Świetnie. Nazywam się 71-godzinny

Ahmed. Strzelę do tego, który jako ostatni rzuci broń. Macie na to moje słowo.

Morporczycy byli wyraźnie zdziwieni. Klatchianie zaczęli szeptać nerwowo między sobą.

– Rzućcie, chłopcy – powiedział Vimes.

Morporczycy pospiesznie odrzucili miecze. Zaraz potem Klatchianie poszli za ich przykładem.

– Remis między dżentelmenem po lewej stronie i tym wysokim zezowatym – oznajmił 71-godzinny Ahmed i uniósł kusze.

– Zaraz... – zaprotestował Vimes. – Nie można tak...

Brzęknęły cięciwy. Obaj mężczyźni upadli z krzykiem.

– Jednakże – rzekł Ahmed, oddając kusze stojącemu za nim D'regowi, który natychmiast wręczył mu następną, załadowaną – z szacunku dla wrażliwości obecnego tu komendanta Vimesa, ograniczę się do jednego trafienia w udo i jednego w stopę. Przybywamy w końcu z misją pokojową.

Zwrócił się do Vimesa.

– Przepraszam, sir Samuelu, ale ważne jest, by w kontaktach ze mną ludzie wiedzieli, na czym stoją.

– Ci dwaj już nie stoją...

– Wyliżą się.

Vimes zbliżył się do Ahmeda.

– „Huthuthut”? – syknął. – Mówił pan, że to znaczy...

– Pomyślałem, że jadąc na czele, da pan wszystkim dobry przykład – szepnął *wali*. – D'regowie zawsze chętnie pójdą za kimś, kto spieszy się do bitwy.

Lord Rust wyszedł na słońce i zmierzył Vimesa gniewnym wzrokiem.

– Vimes? Co pan wyprawia, do demonów?

– Nie przysmykam oka, wasza lordowska mość.

Przecisnął się obok niego i wkroczył pod dach pawilonu. Był tam książę Cadram – wciąż siedział. I było wielu uzbrojonych ludzi. Ci, co zauważył niemal odruchowo, nie wyglądali na zwykłych żołnierzy. Wyglądali raczej na twardych i lojalnych gwardzistów.

– A więc – rzekł książę – przybywacie tu z bronią, pod flagą pokoju?

– Czy książę Cadram? – spytał Vimes.

– I ty też, Ahmedzie? – spytał książę, nie zwracając uwagi na komendanta.

Ahmed skinął głową, ale milczał.

Och, byle nie teraz, pomyślał Vimes. Twardy jak rzemień i zjadliwy jak osa, ale właśnie znalazł się w obecności swego władcy...

– Jest pan aresztowany – powiedział.

Książę wydał cichy głos, coś pomiędzy chrząknięciem a śmiechem.

– Co takiego?!

– Aresztuję pana pod zarzutem spisku zmierzającego do zamordowania swojego brata. Mogą też pojawić się inne zarzuty.

Książę zasłonił dłońmi twarz, po czym opuścił je ku brodzie, gestem człowieka zmęczonego, który stara się jakoś opanować w trudnej sytuacji.

– Panie... – zaczął.

– Sir Samuel Vimes, Straż Miejska Ankh-Morpork – przedstawił się Vimes.

– Panie Samuelu, wystarczy mi skinąć ręką, a ci stojący za mną ludzie porąbią pana na...

– Zabiję pierwszego, który się ruszy – ostrzegł Ahmed.

– A wtedy drugi, który się ruszy, zabije ciebie, ty zdrajco! – krzyknął książę.

– Będą musieli się ruszać bardzo szybko – stwierdził Marchewa, dobywając miecza.

– Są ochotnicy na trzeciego? – zapytał Vimes. – Ktoś się zgłosi?

Generał Ashal bardzo powoli uniósł dłoń w górę. Gwardziści odprężyli się lekko.

– Cóż to było za... kłamstwo, które wygłosił pan o morderstwie? – zapytał.

– Czyś ty zwariował, Ashalu?! – zawołał książę.

– Ależ sire, zanim zacznę nie wierzyć w te oszczercze pomówienia, muszę najpierw poznać ich treść.

– Vimes, ty naprawdę oszalałeś – oburzył się Rust. – Nie możesz aresztować dowódcy armii!

– Prawdę mówiąc, panie Vimes, sędzę, że możemy – oświadczył Marchewa. – A także armię. To znaczy, nie widzę powodów, które by to uniemożliwiały. Możemy ich oskarżyć o zachowanie zmierzające do zakłócenia spokoju, sir. Przecież na tym właśnie polega wojna.

Na twarzy Vimesa pojawił się maniackalny uśmiech.

– To mi się podoba.

– Ale uczciwie mówiąc, nasza... to znaczy armia Ankh-Morpork... także...

– Więc lepiej ich też aresztujcie. Aresztujcie wszystkich. Spisek

zmierzający do zakłócenia porządku publicznego... – Zaczął odliczać na palcach. – Posiadanie narzędzi przestępstwa, utrudnianie ruchu, groźby karalne, włóczęgostwo złośliwe, włóczęgostwo zbiorowe, ha, wyprawy w celu popełnienia przestępstwa, świadome stawianie oporu i noszenie ukrytej broni.

– Nie wydaje mi się, żeby... – zaczął Marchewa.

– Ja jej nie widzę – zapewnił Vimes.

– Vimes, rozkazuję ci, żebyś natychmiast odzyskał zmysły! – ryknął lord Rust. – Za długo siedziałeś na słońcu?

– A, to doliczymy jego lordowskiej mości jako obraźliwe zachowanie.

Księżę wciąż przypatrywał się Vimesowi.

– Poważnie sądzi pan, że może aresztować armię? A może wydaje się panu, że dysponuje większą armią?

– Nie jest mi potrzebna – odparł Vimes. – Siła przyłożona we właściwym punkcie, jak powiada Tacticus. A to właśnie ten punkt, na samym czubku kuszy Ahmeda. Nie przestraszyłoby to D'rega, ale pan... pan na pewno nie myśli tak jak oni. Proszę polecić swoim żołnierzom, by złożyli broń. Chcę, żeby taki rozkaz padł natychmiast.

– Nawet Ahmed nie zastrzelił z zimną krwią swojego księcia – rzekł dumnie Cadram.

Vimes porwał kuszę.

– Nie prosiłbym go o to! – Wymierzył. – Proszę wydać rozkaz!

Księżę patrzył nieruchomo.

– Liczę do trzech...

Generał Ashal pochylił się i szepnął coś Cadramowi do ucha. Księżę zeszytniał nagle i raz jeszcze spojrzął na komendanta.

– Zgadza się – potwierdził Vimes. – To rodzinne.

– To by było morderstwo!

– Doprawdy? Podczas wojny? Jestem z Ankh-Morpork. Czy nie znaleźliśmy się ostatnio w stanie wojny z wami? A skoro tak, to nie może być morderstwo. Gdzieś to jest zapisane.

Generał pochylił się znowu i zaczął szeptać.

– Jeden – powiedział Vimes.

Nastąpiła nerwowa dyskusja.

– Dwa.

– Mójksiążęzyczysobieymprzekazał... – zaczął generał.

– Dobrze, możesz zwolnić.

– Jeśli ma to pana uszczęśliwić, to dobrze, wyślę taki rozkaz. Proszę wypuścić gońców.

Vimes skinął głową i opuścił kuszę. Książę poruszył się niespokojnie.

– Armia Ankh-Morpork także ma złożyć broń – rzekł Vimes.

– Ależ Vimes, przecież jesteś po naszej stronie... – zaczął Rust.

– Niech to wszystkie demony porwą, mam zamiar kogoś dziś zastrzelić i to możesz być ty, Rust!

– Sir... – Porucznik Hornett pociągnął dowódcę za rękaw. – Czy mogę prosić na słówko?

Vimes słyszał, jak szepczą do siebie, po czym młody człowiek wyszedł.

– No dobrze, wszyscy jesteśmy rozbrojeni – stwierdził Rust. – Jesteśmy „aresztowani”. Co teraz, komendancie?

– Powinienem im przeczytać ich prawa, sir – zauważył Marchewa.

– O czym ty mówisz?

– Tym ludziom na zewnątrz.

– Aha. No tak. Rzeczywiście. No to bierz się do roboty.

O bogowie, zaaresztowałem całe pole bitwy, myślał Vimes. A tego przecież robić nie wolno.

Ale ja to zrobiłem. A w Yardzie mamy tylko sześć cel. I w jednej trzymamy węgiel.

Nie można tego robić.

Czy to ta armia zaatakowała pani kraj, proszę pani? Nie, panie oficerze, tamci byli wyżsi...

A może tak: Nie jestem pewna, niech trochę pomaszerują tam i z powrotem...

Z zewnątrz dobiegał nieco stłumiony głos Marchewy.

– Czy wszyscy mnie słyszą? Panowie w tylnych szeregach? Kto mnie nie słyszy, niech podniesie... Dobrze; czy ktoś ma megafon? Jakiś karton, który mógłbym zrolować? W takim razie będę krzyczał...

– Co teraz? – spytał książę.

– Zabieram pana do Ankh-Morpork...

– Nie wydaje mi się. To byłby akt wojny.

– Kpiny sobie urządzasz z całej sprawy, Vimes! – zawołał lord Rust.

– Czyli coś jednak robię właściwie.

Vimes skinął na Ahmeda.

– Tam odpowiesz za popełnione tutaj przestępstwa, sire – zwrócił się do księcia.

– Przed jakim sądem? – spytał chłodno Cadram.

Ahmed pochylił się.

– Jaki był pański plan, od tej chwili poczynając? – spytał szeptem.

– Nigdy nie myślałem, że uda nam się dotrzeć tak daleko.

– Aha. Cóż... To było bardzo interesujące, sir Samuelu.

Księżę Cadram uśmiechnął się do Vimesa.

– Może, kiedy rozważa pan swoje następne posunięcie, zechce pan napić się kawy? – Wskazał ozdobny srebrny dzbanek na stole.

– Mamy dowód – oznajmił Vimes.

Jednak czuł już, jak świat rozpada się pod nim. Kiedy pali się za sobą mosty, najważniejsze jest, by nie stać na nich, rzucając zapalnik.

– Doprawdy? Fascynujące. A komu przedstawi pan ten dowód, sir Samuelu?

– Musimy znaleźć sąd.

– Intrygujące. Może sąd w Ankh-Morpork? Czy sąd tutaj?

– Ktoś mi mówił, że świat patrzy...

Nastało milczenie. Słyszeć było tylko dobiegające z zewnątrz krzyki Marchewy i od czasu do czasu brzęczenie muchy.

– ...bingely-bingely biip... – Głos De-terminarza utracił swe zwykłe ożywienie; wydawał się teraz senny i trochę oszołomiony.

Wszyscy odwrócili głowy.

– ...Siódma... Zorganizować obronę przy Bramie Rzecznej... Siódma dwadzieścia pięć... Bezpośrednia walka przy ulicy Zapiekanki Brzoskwiniowej... Siódma czterdzieści osiem, osiem, osiem... Zmobilizować ocalałych na placu Sator... Zadania na dzisiaj: Buduj, buduj, buduj barykady...

Vimes wyczuł za sobą delikatny ruch, a potem lekki nacisk. Ahmed stanął z nim plecy w plecy.

– O czym ta rzecz mówi?

– Nie mam pojęcia. Ale brzmi jak z innego świata, prawda?

Czuł, jak wydarzenia mkną ku dalekiej ścianie. Pot ściekał mu na oczy. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz porządnie się wyspał. W nogach go kłuło. Ręce bolały od ciężkiej kuszy.

– ...bingely... Ósma zero dwa: Śmierć kapral Tyłeczkeczek... Ósma zero trzy... Śmierć sierżanta Detrytusa... Ósma zero trzytrzytrzy i siedem sekund, sekund... Śmierć funkcjonariusza Wizytuja... Ósma zero trzy i dziesięćdziesięć sekund... Śmierć, śmierć, śmierć...

– Podobno w Ankh-Morpork jeden z pańskich przodków zabił króla – powiedział książę. – I sam także marnie skończył.

Vimes nie słuchał.

– ...Śmierć funkcjonariusza Dorfla... Ósma zero trzy i czternaścienascienascie sekund...

Postać na tronie zdawała się przesłaniać cały świat.

– ...Śmierć kapitana Marchewy Żelaznywładssona... biip...

A Vimes myślał: Niewiele brakowało, bym nie popłynął; o mało co nie zostałem w Ankh-Morpork.

Zawsze się zastanawiał, co czuł Kamienna Gęba owego mroźnego poranka, kiedy ujął topór, nie mając prawnego błogosławieństwa, ponieważ

król nie uznałby sądu, nawet gdyby udało się znaleźć sędziów... Owego mroźnego poranka, kiedy szykował się do przecięcia tego, co uważali za ogniwo między ludźmi a bóstwem...

– ...biip... Zadania na dzisiajajajaj: Zginać...

Uczucie popłynęło mu w żyłach niby świeża i ciepła krew. Uczucie, które przychodzi, kiedy prawo wyczerpie swoje możliwości, a człowiek patrzy na drwiącą twarz po drugiej stronie i wie, że nie potrafi żyć dalej, jeśli nie przekroczy granicy, nie zrobi tej jednej czystej rzeczy...

Na zewnątrz rozległy się krzyki. Vimes zamrugął, strzepując z rzęs krople potu.

– Ach... komendant Vimes – odezwał się jakiś głos sprzed granicy.

Znużone oczy spoglądały wzdłuż bełtu.

– Tak?

Jakaś ręka przesunęła się szybko i wyjęła bełt z rowka. Vimes mrugnął; palec odruchowo pociągnął za spust. Brzęknęła cięciwa. A wyraz twarzy księcia Cadrama, wiedział o tym, jeszcze długo będzie go rozgrzewał w zimne noce... o ile kiedykolwiek znowu doświadczy zimnych nocy.

Słyszał, jak wszyscy giną. Ale przecież nie byli martwi. A jednak to przekłete pudełko mówiło tak... precyzyjnie...

Lord Vetinari teatralnym gestem upuścił bełt kuszy, jak dama z towarzystwa, która musiała chwycić coś lepszego.

– Dobra robota, Vimes. Rozumiem, że wprowadziłeś osła na szczyt minaretu. Witam panów. – Uśmiechnął się wesoło do zebranych. – Widzę, że nie przybywam za późno.

– Vetinari? – zdziwił się Rust, jakby zbudzony ze snu. – Co ty tu robisz? To przecież pole bitwy...

– Nie jestem przekonany. – Patrycjusz rzucił mu szybki, bardzo osobisty

uśmieszek. – Na zewnątrz jest bardzo wielu ludzi, którzy siedzą na piasku. Wielu z nich urządziło sobie coś, co w języku wojskowym nazywa się chyba biwakiem. A kapitan Marchewa organizuje mecz piłkarski.

– Co? – Vimes opuścił kuszę.

Świat stał się na powrót realny. Jeśli Marchewa robi coś tak bzdurnego, to wszystko znów jest normalne.

– Jak dotąd bardzo wiele fauli, niestety. Ale nie nazwałbym tego polem bitwy.

– Kto prowadzi?

– Ankh-Morpork, jak się zdaje. O dwa kopnięcia w łydkę i złamany nos.

Po raz pierwszy od wieków Vimes poczuł, jak wzbiera w nim patriotyzm. Wszystko inne w życiu tkwiło w wychodku, ale jeśli idzie o szturchańce i kopniaki, wiedział, po której stronie stoi.

– Poza tym – ciągnął Vetinari – spora liczba osób jest formalnie aresztowana. Wyraźnie więc stan wojny przestał w praktyce obowiązywać. Mamy jedynie stan meczu. A zatem wydaje mi się, że... jak to określić... wracam. Proszę wybaczyć, sire, to zajmie tylko chwilę.

Podniósł metalowy cylinder i zaczął odkręcać wieko. Z jakiegoś powodu Vimes uznał, że warto odsunąć się na parę kroków.

– Co to takiego?

– Pomyślałem, że może się okazać niezbędny – mówił Vetinari. – Wymagał pewnych przygotowań, ale z pewnością poskutkuje. Mam nadzieję, że będzie czytelny. Bardzo się staraliśmy chronić go przed wilgocią.

Na ziemię wypadł gruby rulon papieru.

– Komendancie, czy nie ma pan czegoś, czym powinien się pan zająć? – dodał Patrycjusz. – Na przykład referowaniem?

Vimes podniósł papiery i przeczytał kilka linijek.

– Zważywszy, że... dotychczas... i tak dalej, i tak dalej... miasto Ankh-Morpork... kapituluje?!

– Co?! – zawołali chórem Rust i księżę Cadram.

– Tak, kapituluje – potwierdził z satysfakcją Vetinari. – Kawałek papieru i po sprawie. Sądzę, że wszystko jest jak należy.

– Nie możesz... – zaczął Rust.

– Nie może pan... – powiedział księżę.

– Bezwarunkowo? – zapytał ostro generał Ashal.

– Tak, sądzą, że tak – odparł Vetinari. – Rezygnujemy na korzyść Klatchu z wszelkich pretensji do Leshpu, wycofujemy wojska z Klatchu i naszych obywateli z wyspy, a co do reparacji... Powiedzmy, ćwierć miliona dolarów? Plus rozmaite korzystne ustalenia handlowe, klauzula najwyższego uprzywilejowania i tak dalej, i tym podobne. Wszystko tu jest. Proszę się nie krępować i przeczytać. Nie ma pośpiechu.

Ponad głową księcia wręczył dokument generałowi, który zaczął przerzucać strony.

– Przecież nie mamy... – zaczął Vimes.

A może jednak zginąłem, pomyślał. Może jestem już po drugiej stronie... Albo ktoś bardzo mocno uderzył mnie w głowę i to wszystko jest tylko jakimś mirażem...

– Sfałszowany! – oświadczył księżę. – To jakaś sztuczka!

– Ależ sire, ten człowiek z całą pewnością wygląda na lorda Vetinariego, a tutaj mamy chyba oficjalną pieczęć Ankh-Morpork – stwierdził generał. – „Zważywszy... na mocy którego... nie naruszając... ratyfikacja w ciągu czterech dni... wzajemna wymiana...”. Tak, muszę przyznać, że wygląda to na prawdziwy traktat.

– Nie uznaję go!

– Rozumiem, sire. Choć wydaje się, że obejmuje wszystkie kwestie, o których w swym zesłotygodniowym przemówieniu...

– Ja go na pewno nie uznaję! – krzyknął Rust. Pomachał palcem przed nosem Vetinariego. – Wypędzą cię za to z miasta!

Przecież nie mamy takich pieniędzy, powtórzył Vimes, tym razem do siebie. Jesteśmy bogatym miastem, ale nie mamy żadnej gotówki. Bogactwem Ankh-Morpork są jego mieszkańcy, jak się nam ciągle powtarza. A tego nie da się wyrwać nawet obcęgami.

Poczuł, że wiatr się zmienia.

Vetinari go obserwował.

W generale Ashalu było coś takiego... jakby zachłanność...

– Zgadza się z Rustem – powiedział Vimes. – Dobrze imię Ankh-Morpork zostaje rzucone w błoto.

Ku własnemu delikatnemu zdziwieniu, udało mu się powiedzieć to bez uśmiechu.

– Nic nie tracimy, sire – przekonywał generał Ashal. – Wycofają się z Klatchu i Leshpu...

– Prędej mnie demony porwą! – wrzasnął Rust.

– Ma rację! Wszyscy mają się dowiedzieć, że nas pobili? – dodał Vimes. – Przechytrzyli?

Spojrzał na księcia, którego wzrok przesunął się po obecnych, a od czasu do czasu patrzył w pustkę, jakby oglądał jakąś wewnętrzną wizję.

– Ćwierć miliona to za mało – powiedział w końcu.

Patrycjusz wzruszył ramionami.

– Możemy to przedyskutować.

– Wiele muszę zakupić.

– Obiektów o naturze ostrej i metalicznej, jak przypuszczam. Oczywiście, skoro mówimy raczej o towarach niż pieniądzach, otwiera się margines elastyczności...

I teraz jeszcze go uzbroimy, pomyślał Vimes.

– W ciągu tygodnia będziesz musiał uciekać z miasta! – darł się Rust.

Vimes miał wrażenie, że generał uśmiechnął się przelotnie. Ankh-Morpork bez Vetinariego... rządzone przez ludzi pokroju Rusta... Jego przyszłość rysowała się w jasnych barwach.

– Kapitulacja musi być jednak ratyfikowana i formalnie podpisana – rzekł Ashal.

– Czy mógłbym zasugerować, by stało się to w Ankh-Morpork? – wtrącił Patrycjusz.

– Nie. To oczywiście musi być terytorium neutralne – odparł generał.

– Ale gdzie między Klatchem i Ankh-Morpork coś takiego istnieje?

– Przypuszczam... że mógłby być Leshp.

– Znakomity pomysł – pochwalił Vetinari. – Sam bym na to nie wpadł.

– Ta wyspa i tak jest nasza! – warknął książę.

– Będzie, sire. Będzie – uspokoił go generał. – Obejmiemy ją w posiadanie całkowicie legalnie. Na oczach świata.

– I to wszystko? Co z moim aresztowanym? – zirytował się Vimes. – Nie mam zamiaru...

– To są sprawy wagi państwowej – powiedział Vetinari. – Należy

uwzględnić kwestie... dyplomatyczne. Obawiam się, że uporządkowanie stosunków międzynarodowych nie może być uzależnione od pańskich opinii na temat czynów jednego człowieka.

Kolejny raz Vimes miał uczucie, że słowa, które słyszy, nie są tymi, które zostały wypowiedziane.

– Nie będę... – zaczął.

– Chodzi o większe sprawy.

– Ale...

– Mimo to spisał się pan znakomicie.

– Są wielkie zbrodnie i drobne przestępstwa, o to chodzi?

– Dlaczego nie skorzysta pan z zasłużonego wypoczynku, sir Samuelu? – Vetinari wykrzywił usta w swoim szybkim jak błyskawica uśmiechu. – Jest pan... człowiekiem czynu. Pańska domena to miecze, pościgi i fakty. Teraz, niestety, nadszedł czas dla tych, których domeną są słowa, nieufność i opinie. Dla pana wojna się skończyła. Proszę korzystać ze słońca. Wierzę, że wkrótce ruszymy do domu. Chciałbym, żeby pan został, lordzie Rust...

Vimes zrozumiał, że został odsunięty. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z namiotu.

Ahmed podążył za nim.

– To był pański władca, tak?

– Nie! To tylko człowiek, który płaci mi pensję!

– Czasami trudno dostrzec różnicę – powiedział Ahmed ze współczuciem.

Vimes usiadł na piasku. Nie był pewien, w jaki sposób udawało mu się do tej chwili utrzymać na nogach. Pojawiła się teraz jakaś przyszłość. Nie miał pojęcia, jaka będzie – ale była. A nie istniała jeszcze pięć minut temu. Teraz miał ochotę mówić. Nie musiał wtedy myśleć o apelu poległych De-

terminarza. Brzmiał przecież tak... precyzyjnie...

– Co się z panem stanie? – zapytał, by wypchnąć tę myśl z głowy. – To znaczy, kiedy to wszystko już się skończy. Pański szef nie będzie zadowolony.

– Och, pochłonie mnie pustynia.

– Pośle za panem ludzi. Wygląda na takiego.

– Pochłonie ich pustynia.

– Bez przeżuwania?

– Może mi pan wierzyć.

– Nie powinno tak być! – zawołał Vimes w kierunku nieba. – Wie pan, czasem mi się śni, że możemy karać za wielkie zbrodnie, możemy ustanawiać prawa dla państw, nie tylko dla zwykłych ludzi, a tacy jak on wtedy...

Ahmed postawił go na nogach i klepnął w ramię.

– Wiem, jak to jest – powiedział. – Ja także śnię.

– Tak?

– Tak. Zwykle o rybach.

Usłyszeli ryk tłumu.

– Ktoś popełnił przekonujący faul, sądząc po reakcji – mruknął Vimes.

Brnąc w piasku, weszli na szczyt wydmy i patrzyli. Ktoś wyrwał się z chaosu; bijąc i kopiąc, biegł zygzakiem w stronę bramki Klatchu.

– Czy ten człowiek jest pańskim kamerdynerem? – spytał Ahmed.

– Tak.

– Któryś z żołnierzy mówił, że odgryzł człowiekowi nos.

Vimes wzruszył ramionami.

– Patrzy na mnie bardzo znacząco, jeśli zapomnę użyć szczypczyków do cukru. To wiem na pewno.

Postać w bieli przeszła z godnością przez prawdziwy wir grających. Dmuchała w gwizdek.

– A ten człowiek, jak sędzę, jest pańskim królem.

– Nie.

– Naprawdę? To ja jestem królową Punjitrum z Sumtri.

– Marchewa jest gliną, tak jak ja.

– Ktoś taki może poprowadzić garstkę załamanych ludzi do podboju państwa.

– Świetnie. Byle po służbie.

– I on także przyjmuje od pana rozkazy? Jest pan niezwykle człowiekiem, sir Samuelu. Ale nie wydaje mi się, żeby zabił pan księcia.

– Nie. Ale pan by mnie zabił, gdybym to zrobił.

– O tak. Jawne morderstwo, przy świadkach... Jestem w końcu gliną.

Dotarli do wielbłądów. Jeden z nich popatrzył, jak Ahmed szykuje się do drogi, zrezygnował z oplucia go i splunął za to w Vimesa. Bardzo precyzyjnie.

Ahmed spojrzał na piłkarzy.

– W Klatchistanie nomadzi uprawiają bardzo podobną grę – powiedział. – Ale konno. Celem jest przeniesienie obiektu wokół bramki.

– Obiektu?

– Chyba najlepiej myśleć o tym po prostu jak o obiekcie, sir Samuelu. A teraz, jak sądzę, ruszę w tamtym kierunku. W górach są złodzieje. I czyste powietrze. Jak pan wie, zawsze jest dość pracy dla policjantów.

– Myślał pan kiedyś o powrocie do Ankh-Morpork?

– Chciałby mnie pan tam zobaczyć, sir Samuelu?

– To otwarte miasto. Ale proszę pamiętać, żeby po przyjeździe odwiedzić Pseudopolis Yard.

– Ach, żebyśmy powspominali stare czasy...

– Nie. Żeby zdał pan do depozytu miecz. Dostanie pan pokwitowanie i może pan go odebrać przed wyjazdem.

– Trudno mnie będzie przekonać, sir Samuelu.

– Och, myślę, że poproszę tylko raz.

Ahmed roześmiał się, skinął Vimesowi głową i odjechał.

Przez kilka minut był ciemnym kształtem u podstawy kolumny kurzu, potem ruchomą kropką w drgającym od upału powietrzu... a potem pochłonęła go pustynia.

Dzień mijał. Do pawilonu wzywano rozmaitych klatchiańskich urzędników oraz niektórych przedstawicieli Ankh-Morpork. Kilka razy Vimes przeszedł w pobliżu i słyszał podniesione głosy.

Tymczasem armie się okopywały. Ktoś postawił zaimprovizowany drogowskaz ze strzałkami wskazującymi domy żołnierzy. Ponieważ wszystkie znajdowały się w Ankh-Morpork, strzałki wskazywały ten sam kierunek.

Większą część straży znalazł w osłoniętym przed wiatrem zakątku, gdzie pomarszczona klatchiańska kobieta szykowała na małym ognisku dość skomplikowane danie. Wszyscy wyglądali na całkiem żywych, ze zwykłym drobnym znakiem zapytania w przypadku Rega Shoe.

– Gdzie bywaliście, sierżancie Colon? – zapytał Vimes.

– Zostałem zaprzysiężony do zachowania tajemnicy, sir. Przez jego lordowską mość.

– Dobrze. – Vimes nie nalegał. Wyciśnięcie informacji od Colona przypominało wyciskanie wody z gąbki. Mogło poczekać. – A Nobby?

– Jestem, sir! – Pomarszczona kobieta zasalutowała, aż brzęknęły bransolety.

– To ty?

– Tajest, sir! Wykonuję brudną robotę, jaka jest rolą życiową kobiety, mimo faktu, że obecni są tu młodszy ode mnie stażem strażnicy, sir!

– Nie przesadzaj, Nobby – wtrącił Colon. – Cudo nie umie gotować, nie możemy pozwolić Regowi, bo różne kawałki wpadają mu do garnka, a Angua...

– ...nie zajmuje się kuchnią – dokończyła Angua.

Leżała z zamkniętymi oczami, oparta o skałę. Tą skałą był Detrytus.

– Zresztą sam się zająłeś gotowaniem, jakbyś się spodziewał, że będziesz musiał – podsumował Colon.

– Kebabu, sir? – zaproponował Nobby. – Mamy dużo.

– Widzę, że zdobyłeś gdzieś sporo żywności – zauważył Vimes.

– Klatchiański kwatermistrz. – Nobby uśmiechnął się pod welonem. – Użyłem na nim swojego seksualnego czar.

Kebab Vimesa znieruchomiał w drodze do ust, kapiąc mu tłuszczem na nogi. Angua gwałtownie otworzyła oczy i ze zgrozą popatrzyła na niebo.

– Powiedziałem, że zdejmę suknię i zacznę krzyczeć, sir, jeśli nie da mi czegoś do żarcia.

– Mnie by to przeraziło na śmierć – przyznał Vimes.

Zauważył, że Angua znów zaczęła oddychać.

– Tak. Myślę, że jakbym tak dobrze rozegrał swoje karty, mógłbym zostać jedną z tych fatalnych femów. Wystarczy mi mrugnąć na mężczyznę, a przebiegnie całą milę. Coś takiego może się przydać.

– Mówiłem mu, że może się z powrotem przebrać w mundur, ale powiedział, że tak mu wygodniej – szepnął komendantowi Colon. – Prawdę mówiąc, zaczynam się trochę martwić.

Nie poradzę sobie z tym, pomyślał Vimes. Nie ma tego w regulaminie.

– Eee... jak by to wytłumaczyć... – zaczął.

– Nie życzę sobie żadnych tam i-synu-akcji – zaznaczył Nobby. – Czasem dobrze jest przejść milę w cudzych butach. O to mi tylko chodzi.

– No, dopóki to tylko bu...

– Uzyskałem połączenie z łagodniejszą stroną mojej osoby, jasne? Poznałem punkt widzenia innego człowieka, nawet jeśli to kobieta.

Przyjrzał się ich twarzom i zamachał rękami.

– Dobrze już, dobrze. Włożę swój mundur, jak tylko posprzątam w obozie. Zadowoleni?

– Coś tu ładnie pachnie!

Podbiegł Marchewa, kozłując piłką. Był nagi do pasa, gwizdek podskakiwał mu na piersi.

– Ogłosiłem przerwę – wyjaśnił, siadając. – I posłałem paru chłopców do Gebry po cztery tysiące pomarańczy. Niedługo połączone orkiestry regimentów Ankh-Morpork zaprezentują musztrę paradną, grając przy tym najlepsze wojskowe przeboje.

– Czy kiedyś ćwiczili musztrę paradną? – zainteresowała się Angua.

– Chyba nie.

– Więc powinno być ciekawie.

– Marchewa – odezwał się Vimes. – Nie chcę pchać nosa w twoje sprawy, ale gdzie na środku pustyni znalazłeś piłkę?

A głos w głębi jego umysłu powtarzał: Słyszałeś, że on zginął; słyszałeś, że wszyscy zginęli... gdzie indziej.

– Och, ostatnio noszę ją wypompowaną w swoim bagażu, sir. Taka piłka bardzo pomaga w utrzymaniu spokoju. Dobrze się pan czuje, sir?

– Co? A tak. Tylko trochę... zmęczony. No więc kto wygrywa? – Vimes poklepał się po kieszeniach i znalazł ostatnie cygaro.

– Ogólnie mówiąc, jest remis, sir. Ale musiałem zdjąć z boiska czterystu siedemdziesięciu trzech graczy, sir. Klatch mocno wyprzedza nas w faulach, co stwierdzam z przykrością.

– Sport jako substytut wojny, tak?

Vimes pogrzebał w popiołach ogniska Nobby'ego i znalazł... Cóż, lepiej chyba myśleć o tym jak o „pustynnym węglu”. Marchewa spojrzał na niego z powagą.

– Tak, sir. Nikt nie używa broni. I zauważył pan, że klatchiańska armia robi się coraz mniejsza? Niektórzy wodzowie z dalekich części imperium zabierają stąd swoich ludzi. Mówią, że nie warto zostawać, skoro wojny i tak nie będzie. Oni chyba w ogóle nie chcieli tu przychodzić. I nie sędzę, żeby łatwo dali się namówić do powrotu.

Za nimi rozległy się krzyki – to obradujący wychodzili z namiotu. Kłócili się. Był wśród nich lord Rust. Rozejrzał się, mówiąc coś do swych towarzyszy. Po chwili zauważył Vimesa i wściekły popędził ku niemu.

– Vimes!

Vimes uniósł głowę, z dłonią w połowie drogi do cygara.

– Wygralibyśmy, wiesz przecież! – warknął Rust. – Wygralibyśmy! Ale zostaliśmy zdradzeni tuż przed zwycięstwem!

Vimes ani drgnął.

– I to jest twoja wina, Vimes! W całym Klatchu będą się z nas naśmiewać! Wiesz, jak bardzo u tych ludzi ważne jest zachowanie twarzy, a my naszą straciliśmy! Vetinari jest skończony! I ty też! Tak samo jak ta twoja głupia, skundlona i tchórzliwa straż. I co na to powiesz, Vimes? No co?

Strażnicy siedzieli nieruchomo jak posągi, czekając, aż Vimes się odezwie. Albo choćby poruszy.

– No co? Vimes? – Rust pociągnął nosem. – Co to za zapach?

Vimes wolno przeniósł wzrok na swoje palce. Unosił się z nich dym; słychać było ciche skwierczenie.

Wstał i podstawiał dłoń pod sam nos Rusta.

– Weź to – powiedział.

– To... to jakaś sztuczka...

– Weź to – powtórzył Vimes.

Jak zahipnotyzowany, Rust polizał palce i ostrożnie chwycił grudkę żaru.

– To nie parzy...

– Owszem, parzy.

– Wcale... argh! – Rust odskoczył, upuścił żar i zaczął ssać pokryte bąblami palce.

– Cała sztuka to nie zwracać uwagi, że boli – rzekł Vimes. – A teraz odejdz.

– Nie przetrwasz długo – odgrażał się Rust. – Poczekaj tylko, aż wrócimy do miasta. Poczekaj!

Odszedł gniewnie, podtrzymując bolącą dłoń.

Vimes znowu usiadł przy ogniu.

– Gdzie on teraz jest? – zapytał po chwili.

– Wrócił do żołnierzy, sir. Wydaje się, że nakazuje im wracać do domu.

– Może nas zobaczyć?

– Nie.

– Na pewno?

– Za dużo ludzi po drodze, sir.

– Jesteście całkiem pewni?

– Chyba że potrafi patrzeć przez wielbłądy, sir.

– Dobrze. – Vimes wetknął sobie palce do ust. Pot ściekał mu po twarzy.

– Szlag, szlag, szlag! Czy ktoś ma trochę zimnej wody?

Kapitan Jenkins zdołał na nowo zwodować swój statek. Wymagało to długiego kopania, starannego wykorzystania drewnianych belek oraz pomocy klatchiańskiego kapitana, który nie pozwolił, by patriotyzm przeszkodził mu w zyskach.

Teraz razem z załogą odpoczywali na brzegu. Nagle nad nimi zagrzmiął powitalny okrzyk.

Kapitan zmrużył oczy, patrząc pod słońce.

– To... to przecież nie może być Vimes, prawda?

Załoga wytrzeszczyła oczy.

– Wszyscy na pokład, natychmiast!

Jakaś postać ruszyła w dół po zboczu wydmy. Poruszała się szybko, o wiele szybciej, niż mógłby biec człowiek po sypkim piasku. W dodatku zygzakowała. Kiedy znalazła się bliżej, okazała się człowiekiem stojącym na tarczy.

Tarcza wyhamowała o kilka stóp przed zdumionym Jenkinsem.

– To dobrze, że pan na nas zaczekał, kapitanie – powiedział Marchewa. – Wielkie dzięki. Pozostali będą tu za chwilę.

Jenkins spojrzał na grzbiet wydmy. Stały na nim inne, ciemniejsze sylwetki.

– To D’regowie! – krzyknął.

– Tak. Wspaniali ludzie. Poznał ich pan kiedyś?

Jenkins popatrzył na Marchewę.

– Wygraliście? – zapytał.

– O tak. W karnych.

Błękitnozielony blask sączył się przez maleńkie okienka Okrętu.

Vetinari manewrował dźwigniami sterującymi, póki nie był pewien, że

zmierzają w stronę odpowiedniego statku.

– Co to za zapach czuję, sierżancie Colon? – zapytał.

– To Bet... To Nobby, sir – zapewnił Colon, pilnie kręcąc pedałami.

– Kapralu Nobbs?

Nobby prawie się zarumienił.

– Kupiłem butelkę aromatu, sir. Dla mojej młodej pani.

Vetinari zakaszłał.

– Co dokładnie ma pan na myśli, mówiąc o pańskiej „młodej pani”?

– No, kiedy już sobie ją znajdę.

– Aha. – Nawet Patrycjusz powiedział to z ulgą.

– Z powodu, że teraz się tego spodziewam, bo w pełni odkryłem własną naturę seksualną i jestem całkiem ze sobą pogodzony.

– Czuje się pan pogodzony ze sobą, kapralu?

– Tajest, sir – odpowiedział zadowolony Nobby.

– A kiedy znajdzie pan już tę szczęśliwą damę, podaruje pan jej butelkę...

– To się nazywa Noce Kasbah, sir.

– Naturalnie. Bardzo... kwiatowe, prawda?

– Tak, sir. To z powodu jaśminu i rzadkich ungulantów, sir.

– A jednak równocześnie dziwnie przenikliwe.

Nobby wyszczerzył zęby.

– Prawdziwa okazja za tę cenę, sir. Mała kropla dociera daleko.

– Niedostatecznie daleko, być może?

Ale Nobby był odporny na ironię.

– Kupiłem je w tym samym sklepie, gdzie sierżant dostał garb, sir.

– Ach... tak.

Wewnątrz Okrętu nie było wiele miejsca, a większość zajmowały pamiątki sierżanta Colona. Uzyskał zgodę na krótką wyprawę na zakupy, aby „przynieść do domu coś dla żony, sir, inaczej nigdy nie skończy gadać”.

– Na pewno pani Colon spodoba się wypchany garb wielbłąda, sierżancie? – spytał z powątpiewaniem Vetinari.

– Tak, sir. Może na nim stawiać różne drobiazgi.

– I zestaw mosiężnych stoliczków?

– Do stawiania na nich różnych drobiazgów, sir.

– A ten... – Coś zabrzęczało głośno. – Ten komplet dzwonków dla kóz, ozdobny dzbanek do kawy i ta... ta dziwna szklana rurka z pasmami różnokolorowego piasku wewnątrz... Do czego służą?

– To obiekty konwersacyjne, sir.

– To znaczy, że ludzie zobaczą je i powiedzą coś w rodzaju: „Do czego one służą”?

Sierżant Colon wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

– Widzi pan, sir? Już teraz o nich rozmawiamy.

– Zadziwiające.

Colon chrząknął znacząco i ruchem głowy wskazał przygarbionego Leonarda, który siedział na dziobie, podpierając głowę rękami.

– Jakiś małomówny jest ostatnio, sir – szepnął. – Ani słowem się nie odezwie.

– Ma wiele spraw na głowie – wyjaśnił Patrycjusz.

Strażnicy przez chwilę pedałowali w milczeniu, ale ciasnota wnętrza Okrętu zachęcała do poufałości, która nigdy nie miałaby miejsca na lądzie.

– Przykro słyszeć, że mają pana zwolnić, sir – rzekł Colon.

– Doprawdy – odpowiedział Vetinari.

– Na pewno dostałby pan mój głos, gdybyśmy mieli wybory.

– Doskonale.

– Myślę, że ludzie chcą, żeby mocny rząd przykręcał im śrubę, sir.

– Dobrze.

– Pana poprzednik, lord Snapcase... ten to był psychiczny. Ale, jak zawsze powtarzam, z lordem Vetinarim człowiek wie, na czym stoi.

– Świetnie.

– Oczywiście może mu się nie podobać to, na czym stoi...

Vetinari uniósł głowę. Znaleźli się już pod statkiem i wydawało się, że płynie we właściwym kierunku. Sterował Okrętem, aż usłyszał głuchy stuk kadłuba o kadłub. Wtedy kilka razy zakręcił wiertłem.

– A mają mnie zwolnić, sierżancie? – zapytał, wracając na miejsce.

– No, tego... słyszałem, jak ludzie Rusta mówią, że jeśli pan rety... roty...

– Ratyfikuje...

– Właśnie, jeśli pan ratyfikuje w przyszłym tygodniu naszą kapitulację, skazą pana na wygnanie, sir.

– Tydzień to w polityce bardzo długi czas, sierżancie.

Wargi Colona rozciągnęły się w czymś, co uważał za porozumiewawczy uśmieszek. Stuknął się w bok nosa.

– Ach, polityka. Mógł pan uprzedzić.

– Pewno. Wtedy śmialiby się na drugą nogę, co? – mruknął Nobby.

– Ma pan jakiś tajny plan, mogę się założyć – oświadczył Colon. – Wie pan, gdzie jest kurczak, nie ma co.

– Widzę, że nie da się oszukać takich wytrawnych obserwatorów tego karnawału, jakim jest życie – rzekł lord Vetinari. – Tak, w samej rzeczy, jest coś, co zamierzam zrobić.

Poprawił się na pufie z garbu wielbłąda, który w rzeczywistości pachniał kozą i z którego już zaczynał się sypać piasek.

– Zamierzam nie robić nic. Obudźcie mnie, gdyby zdarzyło się coś interesującego.

Zdarzały się rzeczy żeglarskiej natury. Wiatr zmieniał się tak szybko, że wiatrowskaz można by wykorzystać do mielenia mąki. Raz spadł deszcz anchois.

Komendant Vimes usiłował zasnąć. Jenkins pokazał mu hamak i Vimes zrozumiał nagle, że to jeszcze jedno baranie oko. Nikt przecież nie mógłby spać w czymś takim. Marynarze prawdopodobnie trzymali hamaki na pokaz, a prawdziwe łóżka mieli gdzieś pochowane.

Spróbował ułożyć się wygodnie w ładowni i drzemał, gdy inni rozmawiali w kacie. Starali się bardzo grzecznie nie wchodzić mu w drogę.

– ...dowska mość nie oddałby przecież tego wszystkiego, nie? O co walczyliśmy?

– Trudno mu będzie po czymś takim utrzymać tę pracę, to pewne. Dobrze imię Ankh-Morpork legło w błocie, tak jak mówił pan Vimes.

– W Ankh-Morpork błoto jest w górze. – To Angua.

– Ale z drugiej strony, wszyscy jeszcze dychają. – A to Detrytus.

– Witalistyczna wypowiedź...

– Przepraszam, Reg. Czego się tak drapiesz?

– Chyba złapałem paskudną zagraniczną chorobę.

– Słucham? – Znowu Angua. – Czym może się zarazić zombi?

– Nie chcę o tym mówić...

– Rozmawiasz z kimś, kto zna wszystkie marki proszku na pchły, jakie sprzedają w Ankh-Morpork, Reg.

– No, jeśli koniecznie musisz wiedzieć... Myszy, panienko. To okropne. Dbam o czystość, ale zawsze jakoś znajdą drogę...

– Wszystkiego próbowałeś?

– Oprócz tchórze.

– Jeśli jego lordowska mość odejdzie, kto przejmie rządy? – To mówiła Cudo. – Lord Rust?

– Wytrzyma z pięć minut.

– Może gildie się zbiorą i...

– Zaczną walczyć jak...

– ...tchórze – powtórzył Reg. – Lekarstwo gorsze od choroby.

– Pocieszcie się, przecież nadal będzie straż. – To powiedział Marchewa.

– Tak, ale pan Vimes wyleci, z powodu polityki.

Vimes postanowił nie otwierać oczu.

Kiedy statek wreszcie zacumował, na nabrzeżu czekała milcząca grupa. Obserwowali, jak Vimes i jego ludzie schodzą po trapie. Rozległy się jedno czy dwa chrząknięcia, po czym ktoś zawołał:

– Niech pan powie, że to nieprawda, panie Vimes!

Na końcu trapu funkcjonariusz Dorfl zasalutował sztywno.

– Statek Lorda Rusta Dopłynął Dziś Rano, Sir – oznajmił golem.

– Ktoś widział Vetinariego?

– Nie, Sir.

– Boi się pokazać twarz! – krzyknął ktoś.

– Lord Rust Powiedział, Że Ma Pan Wykonać Swój Obowiązek, Niech Pana Demon – rzekł Dorfl. Golemy charakteryzowały się pewną dosłownością wypowiedzi.

Wręczył Vimesowi arkusz papieru. Komendant przeczytał kilka linii.

– Co to takiego? „Narada kryzysowa”? A to? Zdrada stanu? Oskarżenie Vetinariego? Tego nie zrobię!

– Czy mogę spojrzeć, sir? – spytał Marchewa.

To Angua zauważyła falę, gdy inni patrzyli na nakaz. Nawet w ludzkiej formie uszy wilkołaka są dość czułe.

Przeszła na nabrzeże i spojrzała w dół rzeki.

Korytem Ankh sunęła ściana białej wody wysokości kilku stóp. Statki

kołysały się i huśtały, kiedy przepływała pod nimi.

Przeszła obok, chlapiąc o brzeg. Statek Jenkinsa zatańczył na wodzie; gdzieś na pokładzie brzęknęły rozbijane naczynia.

A potem stała się linią piany zmierzającą do następnego mostu. Przez chwilę powietrze pachniało nie zwykłą dla Ankh *eau de latrine*, ale morskim wiatrem i solą...

Jenkins wyszedł z kabiny i wyjrzał za burzę.

– Co to było? Przyływ się zaczyna? – zapytała Angua.

– Nie, dotarliśmy tu z przyływem – odparł Jenkins. – Nie mam pojęcia. Pewnie znowu któryś z tych fenomenów.

Angua wróciła do grupy. Vimes był już czerwony na twarzy.

– Został podpisany przez znaczną liczbę najważniejszych gildii, sir – tłumaczył Marchewa. – Właściwie wszystkie, oprócz żebraków i szwaczek.

– Naprawdę? No to ja je olewam! Kim niby są, żeby dawać mi takie rozkazy?

Angua zauważyła wyraz cierpienia, jaki przemknął po twarzy Marchewy.

– Ehm... Ktoś musi wydawać nam rozkazy, sir. Nie powinniśmy sami ich wymyślać. To jest... no, jakby najważniejsze.

– Tak... ale... nie tacy...

– I wydaje mi się, że reprezentują wolę ludu...

– Ta banda? Nie opowiadaj bzdur! Gdyby doszło do bitwy, tamci by nas wyrznęli do nogi! A wtedy bylibyśmy w tej samej sytuacji co...

– Nakaz wygląda na zgodny z prawem, sir.

– To... śmieszne!

– Przecież nie chodzi o to, że go oskarżamy, sir. Musimy tylko dopilnować, żeby pojawił się w Sali Szczurów. Proszę posłuchać, sir, ma pan za sobą bardzo trudny okres...

– Ale... aresztować Vetinarię? Nie mogę...

Vimes zamilkł, gdyż jego uszy właśnie nadrobiły dystans. I ponieważ o to właśnie chodziło, prawda? Jeśli można aresztować każdego, właśnie to należy robić. Nie da się odwrócić plecami, mówiąc: „Ale nie jego”. Ahmed by się śmiał. Kamienna Gęba przewróciłby się we wszystkich pięciu swoich grobach.

– Mogę, prawda? – mruknął zasmucony. – Dobrze, niech będzie. Dorfl, roześlij rysopis...

– To Nie Będzie Konieczne, Sir.

Ludzi rozstąpili się na boki. Vetinari szedł po nabrzeżu, razem z Nobbym i Colonem. A w każdym razie, jeśli to nie był sierżant Colon, to na pewno bardzo dziwnie zdeformowany wielbłąd.

– Myślę, że usłyszałem dostatecznie wiele, komendancie – rzekł Vetinari.
– Proszę wypełnić swój obowiązek.

– Musi pan tylko stawić się w pałacu, sir. Chodźmy...

– Nie zakuje mnie pan?

Vimes otworzył usta ze zdumienia.

– A dlaczego miałbym?

– Zdrada stanu to prawie najcięższa zbrodnia, sir Samuelu. Chyba powinienem wręcz żądać kajdanów.

– Dobrze, skoro pan nalega. – Vimes skinął na Dorfla. – Skujcie go.

– Nie macie przypadkiem porządných łańcuchów? – spytał Vetinari, gdy Dorfl wyjął parę kajdanek. – Możemy przecież załatwić to, jak należy.

– Nie. Nie mamy łańcuchów.

– Chciałem tylko pomóc, sir Samuelu. Idziemy zatem?

Zebrani gapie nie szydzili z więźnia. Było to niemal przerażające. Po prostu czekali, jak publiczność, która chce się dowiedzieć, na czym polega sztuczka. Rozstąpili się znowu, gdy Patrycjusz ruszył w kierunku centrum miasta.

Zatrzymał się jeszcze raz.

– Było jeszcze coś... a tak. Czy nie powinienem być zawleczony na miejsce na wózku?

– Tylko w drodze na egzekucję, sir – wyjaśnił uprzejmie Marchewa. – Tradycja nakazuje, by zdrajców wlec w wózku na szafot. Potem jest pan powieszony, włączony końmi i poćwiartowany. – Zrobił zakłopotaną minę. – Wiem, na czym wszystko polega, ale nie mam pojęcia, dlaczego trzeba to robić na szafie, sir.

– Nie zna się pan na meblarstwie, kapitanie? – spytał niewinnie Vetinari.

– Nie zna się – rzucił gniewnie Vimes.

– A czy w ogóle macie jakiś wózek?

– Nie! – Vimes zaczynał się irytować.

– Doprawdy? Cóż, o ile pamiętam, na Stromej jest sklep z meblami. To tak na wszelki wypadek, sir Samuelu.

Jakaś postać szła wolno po zdeptanym piasku niedaleko Gebry. Zatrzymała się, gdy cichy głosik na poziomie gruntu odezwał się z nadzieją:

– Bingely-bingely biip?

JAKĄ RZECZĄ JESTEŚ?

– Jestem De-terminarzem Mk II, posiadającym wiele użytecznych, trudnych do wykorzystania możliwości, Tu-Wstaw-Swoje-Imię.

NA PRZYKŁAD?

Nawet maleńki umysł De-terminarza poczuł lekki niepokój. Głos, z którym rozmawiał, nie brzmiał należycie.

– Wiem, która jest godzina wszędzie – spróbował.

JA TEŻ.

– Eee... umiem prowadzić dokładną listę kontaktów...

De-terminarz wyczuł poruszenie sugerujące, że nowy właściciel dosiadł konia.

NAPRAWDĘ? MAM BARDZO WIELE KONTAKTÓW.

– No więc właśnie – rzekł demon, usiłując podtrzymać opadający gwałtownie entuzjizm. – Zapamiętuję je, a kiedy znów chcesz się z kimś skontaktować...

TO ZWYKLE NIE JEST KONIECZNE. W WIĘKSZOŚCI POZOSTAJĄ JUŻ SKONTAKTOWANI.

– No... a czy masz wiele spotkań?

Zadudniły kopyta, a potem jedynym dźwiękiem był już tylko świst wiatru.

WIĘCEJ, NIŻ MOŻESZ SOBIE WYOBRAZIĆ. NIE... MYŚLĘ, ŻE TWOJE TALENTY GDZIE INDZIEJ ZNAJDĄ LEPSZE ZASTOSOWANIE...

Głośniejsze zaświszczał wiatr, a potem plusnęło.

Sala Szczurów była pełna. Przywódcy gildii mieli prawo tu zasiadać, ale

zjawiało się też mnóstwo innych osób, które uznały, że także chcą zobaczyć te wydarzenia. Przybyło nawet kilku starszych magów. Każdy chciał móc kiedyś powiedzieć wnukom: „Byłem przy tym”^{*}.

– Jestem przekonany, że powinienem mieć więcej łańcuchów – stwierdził Vetinari, kiedy zatrzymali się w progu i spojrzeli na zebrane tłumy.

– Czy pan traktuje to poważnie, sir? – spytał Vimes.

– Wręcz niezwykle poważnie, komendancie, zapewniam pana. Ale jeśli jakimś zbiegiem okoliczności przeżyję, upoważniam pana do zakupu łańcuchów i oków. Musimy dopilnować, by takie sprawy załatwiane były we właściwy sposób.

– Będę je trzymał w gotowości, obiecuję.

– To dobrze.

Patrycjusz skinął głową lordowi Rustowi, siedzącemu między panem Slantem i lordem Downeyem.

– Dzień dobry. Czy możemy załatwić to szybko? Czekają nas pracowite dni.

– Jak widzę, panie, postanowiłeś nadal czynić z Ankh-Morpork pośmiewisko – zaczął Rust. Zerknął szybko na Vimesa, po czym wymazał go ze swojego wszechświata. – To nie jest oficjalny proces, lordzie Vetinari. To tylko przesłuchanie wstępne, służące ustaleniu zarzutów. Pan Slant poinformował mnie, że minie wiele tygodni, zanim będziemy mogli rozpocząć proces właściwy.

– Kosztownych tygodni, nie wątpię. Czy moglibyśmy przejść do rzeczy?

– Pan Slant odczyta zarzuty. Ale krótko mówiąc, jak doskonale zdajesz sobie sprawę, Havelock, jesteś oskarżony o zdradę stanu. Skapitulowałeś haniebnie...

– ...wcale nie...

– ...i bezprawnie zrezygnowałeś z praw do suwerenności nad krainą znaną jako Leshp...

– ...ale nie ma takiego miejsca...

Rust przerwał na moment.

– Czy jest pan zdrow na umyśle, lordzie?

– Warunki kapitulacji miały być ratyfikowane na wyspie Leshp, lordzie Rust. Takie miejsce nie istnieje.

– Człowieku, przecież po drodze tutaj mijaliśmy tę wyspę!

– A czy ostatnio ktoś sprawdzał?

Angua stuknęła Vimesa w ramię.

– Dziwna fala przeszła w górę Ankh zaraz po tym, jak przybiliśmy, sir...

Nastąpiła nerwowa dyskusja wśród magów. Po chwili wstał nadrektor Ridcully.

– Wydaje się, że istotnie wystąpił pewien problem, wasze lordowskie moście. Dziekan twierdzi, że naprawdę jej tam nie ma.

– To przecież wyspa, człowieku! Sugerujesz, że ktoś ją ukradł? Jesteś pewien, że w ogóle masz pojęcie, gdzie jest?

– Wiemy, gdzie jest, i jej tam nie ma. Jest tylko mnóstwo wodorostów i śmiecia – oświadczył lodowatym tonem dziekan. Wstał, trzymając w dłoni niewielką kryształową kulę. – Oglądaliśmy ją często wieczorami. Z powodu walk, rozumieją panowie. Oczywiście z tej odległości obraz jest dość marny...

Rust patrzył na niego nieruchomo, ale dziekan był zbyt wielki, by wykreślić go ze sceny.

– Przecież cała wyspa nie może tak po prostu zniknąć...

– W teorii wyspy nie mogą się także tak po prostu pojawiać, drogi panie, a ta się pojawiła.

– Może znowu zatoneła – zgadywał Marchewa.

Rust spojrzał wściekle na Vetinarięgo.

– Wiedziałaś o tym? – zapytał groźnie.

– Skąd mógłbym wiedzieć o takim zjawisku?

Vimes obserwował twarze wokół sali.

– Na pewno coś o tym wiesz! – rzekł Rust.

Zerknął na pana Slanta, który nerwowo kartkował gruby tom.

– Wiem tylko tyle, lordzie, że w politycznie trudnej dla siebie sytuacji książę Cadram zrezygnował z ogromnej przewagi militarnej w zamian za wyspę, która najwyraźniej zatoneła pod falami morza – oświadczył lord Vetinari. – Klatchianie są dumnymi ludźmi. Ciekawe, co sobie pomyślą.

Vimes przypomniał sobie generała Ashala stojącego obok tronu księcia Cadrama. Klatchianie lubią przywódców odnoszących sukcesy. Ciekawe, co się dzieje z tymi, którzy przegrywają. Bo spójrzmy, co my robimy, gdy tylko nam się wydaje... Ktoś szturchnął go dyskretnie.

– To my, sir – szepnął Nobby. – Mówią, że szaf akurat nie ma, tylko komody, ale na żadnej nie zmieści się koń, żeby go włóczyć. Może dałoby się to załatwić na takim wielkim łożu, tylko sierżant uważa, że by wyglądało trochę śmiesznie.

Vimes wyszedł, wlokąc Nobby'ego za sobą. Przycisnął kaprała do ściany.

– Gdzie byliście z Vetinarim, kapralu? I pamiętajcie, że umiem poznać, kiedy kłamiecie. Poruszacie wtedy ustami.

– My... my... my... odbyliśmy tylko krótką morską podróż, sir. Kazał nie mówić, że byliśmy pod wyspą, sir.

– Czyli... pod Leshpem?

– Nie, sir! Wcale tam nie wpłynęliśmy! Zresztą to strasznie cuchnąca dziura! W całej jaskini śmierdziało zepsutymi jajkami, a wielka była jak miasto, może mi pan wierzyć, sir!

– To pewno jesteście zadowoleni, że tam nie popłynęliście.

Nobby odetchnął z ulgą.

– Szczera prawda, sir!

Vimes pociągnął nosem.

– Czy używasz jakiegoś płynu po go... to znaczy płynu zamiast golenia, Nobby?

– Nie, sir.

– Coś tu pachnie sfermentowanymi kwiatami.

– A, to taka pamiątka, którą kupiłem w zagranicznych stronach, sir. Długo się trzyma, tak jakby, sir.

Vimes wzruszył ramionami i wrócił do Sali Szczurów.

– ...i bardzo stanowczo zaprzeczam, bym prowadził negocjacje z jego wysokością, zdając sobie sprawę z faktu... O, sir Samuel. Klucze do kajdanek poproszę.

– Wiedziałeś! Wiedziałeś przez cały czas! – wrzasnął Rust.

– Czy lord Vetinari jest o coś oskarżony? – spytał Vimes.

Pan Slant przekopywał się przez kolejny tom. Wydawał się dość podenerwowany jak na zombi. Jego szarzielona skóra była wyraźnie bardziej zielona.

– Nie w ścisłym sensie... – wymamrotał.

– Ale będzie! – oświadczył lord Rust.

– No więc kiedy już zdecydujecie, o co konkretnie, koniecznie dajcie mi znać, a ja go za to aresztuję – powiedział Vimes, rozpinając kajdanki.

Usłyszał głośnie i radosne okrzyki zza okna. W Ankh-Morpork nic długo nie pozostawało tajemnicą. Tej przeklętej wyspy już nie ma. I jakoś wszystko obróciło się na dobre.

Napotkał wzrok Patrycjusza.

– Miał pan szczęście, co?

– Och, zawsze gdzieś jest kurczak, sir Samuelu. Trzeba tylko dobrze poszukać.

Dzień okazał się niemal tak męczący jak wojna. Z Klatchu przyleciał co najmniej jeden dywan, a między pałacem a ambasadą płynął nieprzerwany strumień wiadomości. Ludzie wciąż czekali wokół pałacu. Coś się działo, a nawet jeśli nie wiedzieli, co takiego, nie zamierzali tego przegapić. Skoro miała stawać się historia, chcieli ją widzieć.

Vimes wrócił do domu. Ku jego zaskoczeniu drzwi otworzył Willikins. Miał podwinięte rękawy i nosił długi zielony fartuch.

– Ty? Jak, u demona, udało ci się tak szybko wrócić? Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny...

– W ogólnym zamieszaniu zaokrętowałem się na statek lorda Rusta, sir. Nie chciałem, żeby wszystko tu popadło w ruinę i zaniedbanie. Szczerze mówiąc, jestem zdegustowany stanem sreber. Ogrodnik nie ma chyba zupełnie pojęcia, jak wykonywać swoją pracę. Pozwoli pan, że z góry przeproszę za szokujący wygląd sztućców, sir.

– Jeszcze parę dni temu odgryzałeś ludziom nosy!

– Nie powinien pan wierzyć szeregowemu Bourke, sir – zapewnił

kamerdyner, przepuszczając Vimesa do środka. – To był tylko jeden nos.

– A teraz spieszyłeś się z powrotem, żeby polerować srebra?

– Nie należy pozwalać na obniżenie standardów, sir. – Willikins zatrzymał się nagle. – Sir?

– Tak?

– Wygraliśmy?

Vimes przyjrzał się okrągłej, niedużej twarzy.

– No... nie przegraliśmy, Willikins.

– Nie mogliśmy pozwolić, by obcy despota wyciągał rękę po Ankh-Morpork, prawda, sir? – Kamerdynerowi głos drżał odrobinę.

– Chyba nie...

– Więc postępowaliśmy słusznie?

– Chyba tak...

– Ogrodnik mówił, że lord Vetinari wyciął Klatchianom niezły numer, sir...

– Dlaczego by nie? Ze wszystkimi innymi mu się udawało.

– Bardzo mnie to cieszy, sir. Lady Sybil przebywa w Lekko Różowym Saloniku, sir.

Kiedy wszedł Vimes, z wysiłkiem robiła coś na drutach, ale wstała zaraz i ucałowała go.

– Słyszałam wieści – powiedziała. – Brawo.

Zbadała go wzrokiem od stóp do głów. O ile mogła to stwierdzić, wrócił w całości.

– Nie jestem pewien, czy zwyciężyliśmy...

– To, że wróciłeś żywy, Sam, liczy się jako zwycięstwo. Oczywiście, nie powiedziałabym tego przy lady Selachii. – Sybil machnęła robótką. – Zorganizowała komitet mający robić na drutach skarpety dla naszych dzielnych chłopców na froncie, a tu się okazuje, żeście wrócili. Nie zdążyłam się nawet nauczyć, jak robić piętę. Przypuszczam, że bardzo się zirytuje.

– Sybil, jak długie według ciebie mam nogi?

– Hm... – Obejrzała skarpetę. – A może przyda ci się szalik?

Pocałował ją jeszcze raz.

– Mam zamiar wziąć kąpiel, a potem coś zjem – oświadczył.

Woda była ledwie letnia. Vimes miał niejasne wrażenie, że Sybil uważa, iż gorące kąpiele w czasie wojny świadczą o braku poświęcenia.

Leżał w wannie, z nosem tuż nad powierzchnią wody, kiedy usłyszał – obok tego szczególnego dźwięku „gloingloing”, który powstaje, kiedy ma się uszy pod wodą – także jakąś rozmowę. Potem otworzyły się drzwi.

– Przyszedł Fred – powiedziała Sybil. – Vetinari cię wzywa.

– Już? Przecież nawet nie zaczęliśmy kolacji!

– Idę z tobą, Sam. Nie może bez przerwy cię wyciągać o każdej porze.

Sam Vimes usiłował wyglądać tak poważnie, jak to tylko możliwe dla mężczyzny trzymającego gąbkę.

– Sybil, jestem komendantem Straży Miejskiej, a on jest władcą tego miasta. Nie pójdziesz chyba do niego jak do nauczyciela na skargę, że słabo mi idzie z geografii...

– Powiedziałam, że idę z tobą, Sam.

Okręt zjechał po szynach i zniknął pod wodą. Na powierzchnię wypłynął strumień baniek.

Leonard westchnął. Bardzo starannie powstrzymał się od umieszczenia korka w otworze. Prądy mogły ponieść Okręt dokądkolwiek. Miał nadzieję, że potoczy się do najgłębszej otchłani w oceanie, a może nawet poza Krawędź.

Szedł niezauważony wśród tłumów, aż dotarł do pałacu. Z łatwością pokonał ukryty korytarz, odruchowo unikając pułapek, ponieważ sam je zaprojektował.

Dotarł do swego przestronnego pokoju. Kiedy był już w środku, zamknął za sobą drzwi na klucz, a klucz wysunął przez szczelinę pod nimi. Potem odetchnął.

Więc taki jest ten świat? Najwyraźniej całkiem szalony i pełen szaleńców. Od tej chwili zachowa najwyższą ostrożność. Okazuje się, że niektórzy próbują przerobić na broń absolutnie wszystko.

Zaparzył sobie herbatę. Dość długo to trwało, gdyż musiał opracować lepszy typ łyżeczki i nieduży aparat poprawiający cyrkulację wrzącej wody.

Potem usiadł w swoim specjalnym fotelu i pociągnął dźwignię. Opadły przeciwwagi. Gdzieś tam z jednego zbiornika do drugiego chlusnęła woda. Elementy fotela zaskrzypiały i ustawiły się w wygodnych pozycjach.

Leonard patrzył smętnie przez okno. Kilka morskich ptaków krążyło leniwie w błękitnym kwadracie, prawie nie poruszając skrzydłami...

Po chwili, przy stygnącej herbacie, Leonard zaczął rysować.

– Lady Sybil? To prawdziwa niespodzianka – powitał ich Vetinari. – Dobry wieczór, sir Samuelu. Niech mi będzie wolno zauważyć, że nosi pan bardzo ładny szalik. I kapitan Marchewa. Proszę, siadajcie. Mamy wiele spraw do omówienia.

Usiedli.

– Przede wszystkim – zaczął Vetinari – przygotowałem proklamację dla miejskich heroldów. Wieści są dobre.

– Wojna się oficjalnie skończyła, prawda? – upewnił się Marchewa.

– Wojny, kapitanie, nigdy nie było. Zaszło... nieporozumienie.

– Nie było? – zaprotestował Vimes. – Zginęli ludzie!

– Istotnie – przyznał Vetinari. – A to sugeruje, nieprawdaż, że powinniśmy starać się jak najlepiej rozumieć siebie nawzajem.

– Co z księciem?

– Jestem przekonany, Vimes, że można z nim robić interesy.

– Nie wydaje mi się!

– Księżę Khufurah? Sądziłem, że go pan polubił.

– Co? A co się stało z tym drugim?

– Jak rozumiem, na dłuższy czas wyjechał z miasta – wyjaśnił Patrycjusz.
– W niejakim pośpiechu.

– Chodzi o taki wyjazd, gdzie człowiek się nie zatrzymuje, nawet by spakować bagaż?

– To właśnie ten rodzaj wyjazdu, istotnie. Jak się zdaje, zirytował wielu ludzi.

– Wiemy, w jakie okolice się udał?

– Do Klatchistanu, jak słyszałem... Przepraszam, czyżbym powiedział coś śmiesznego?

– Ależ nie. Skąd. Pewna myśl wpadła mi tylko do głowy, to wszystko.

Patrycjusz wyprostował się.

– I znowu pokój okrywa wszystko kojącym pledem.

– Chociaż nie wydaje mi się, żeby Klatchianie byli szczególnie zadowoleni.

– Naturą ludu jest, by sprzeciwiać się swoim przywódcom, kiedy przestaje im sprzyjać szczęście – stwierdził Vetinari, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Och, bez wątplenia pojawią się kłopoty. Będziemy musieli je... przedyskutować. Książę Khufurah jest uprzejmym człowiekiem. Całkiem podobnym do swoich przodków. Butelka wina, chleb i tym podobne, a przynajmniej szerszy wybór tych podobnych, i przestanie się zbytnio interesować polityką.

– Oni są równie sprytni jak my – zauważył Vimes.

– W takim razie musimy się utrzymać przed nimi – odparł Vetinari.

– Coś w rodzaju wyścigu mózgów.

– Lepszy od wyścigu zbrojeń. I tańszy. – Patrycjusz przerzucił jakieś papiery. – O czym to ja... A tak. Sprawa ruchu ulicznego.

– Ruchu? – Umysł Vimesa próbował zawrócić w miejscu.

– Tak. Nasze starożytne ulice stają się ostatnio bardzo zatłoczone. Słyszałem, że pewien woźnica przy Królewskiej Drodze osiedlił się i założył rodzinę, stojąc w korku. A obowiązek utrzymywania przejezdnych ulic należy do najstarszych powierzonych straży.

– Możliwe, sir, ale ostatnio...

– Dlatego ustanowi pan wydział, który zajmie się regulowaniem tych kwestii. Rozwiązywaniem problemów, jak skradzione wozy i tak dalej. Utrzymywaniem przepustowości głównych skrzyżowań. Może też wymierzaniem kar pieniężnych dla woźniców, którzy parkują za długo i utrudniają ruch. I tak dalej. Sierżant Colon i kapral Nobbs będą, jak sądzę, idealnie się nadawać do tej pracy, która, jak podejrzewam, z łatwością może

się okazać samofinansująca. Jaka jest pańska opinia?

Szansa, by się „samofinansować” i żeby przy tym do nich nie strzelali, pomyślał Vimes. Uznają, że umarli i trafili do nieba.

– Czy to ma być dla nich nagroda za coś?

– Powiedzmy tyle, Vimes... kiedy się stwierdza, że ma się kwadratowy kołek, zaczyna się szukać kwadratowego otworu.

– Myślę, że to dobry pomysł, sir. Oczywiście oznacza, że będę musiał kogoś awansować...

– Jestem pewien, że mogę panu zostawić takie szczegóły. Niewielka premia dla nich obu także byłaby na miejscu. Powiedzmy, dziesięć dolarów. Aha, jest jeszcze coś, Vimes. I bardzo się cieszę, że lady Sybil jest z nami i może tego wysłuchać. Chciałbym zmienić tytuł związany z pańskim stanowiskiem.

– Tak?

– „Komendant” to długie słowo. Przypomniano mi jednak, że słowem, które oryginalnie oznaczało komendanta, było „Dux”.

– Dux Vimes? – upewnił się Vimes.

Usłyszał, jak Sybil gwałtownie wciąga powietrze.

Uświadomił sobie pełną wyczekiwania ciszę, jaka nagle zapadła – taką, jaka występuje pomiędzy zapaleniem lontu a wybuchem. Kilka razy powtórzył w myślach to słowo.

– Diuk? – powiedział. – O nie... Sybil, czy możesz poczekać na zewnątrz?

– Dlaczego, Sam?

– Chcę przedyskutować to z jego lordowską mością w sposób bardzo osobisty.

– Znaczy: zrobić awanturę?

– Przedyskutować.

Lady Sybil westchnęła.

– Dobrze. Będzie, jak chcesz, Sam. Wiesz o tym.

– Są pewne... kwestie z tym związane – oświadczył Vetinari, kiedy drzwi się zamknęły.

– Nie!

– Może powinien je pan poznać.

– Nie. Już kiedyś mnie pan tak załatwił! Nowa straż jest zorganizowana, osiągnęliśmy prawie właściwą liczbę, na funduszu wdów i sierot mamy tyle pieniędzy, że ludzie ustawiają się w kolejkach do patroli w niebezpiecznych dzielnicach, a na komendzie wisi prawie nowa tarcza do strzałek! Nie ma pan czym mnie przekupić, żebym się zgodził! Niczego nam nie potrzeba!

– Zawsze uważałem, że Kamienna Gęba Vimes jest człowiekiem niesprawiedliwie oczernianym.

– I nie przyjmę... Co? – Vimes wyhamował w gniewie.

– Ja też tak uważam – wtrącił lojalnie Marchewa.

Vetinari wstał, podszedł do okna, założył ręce z tyłu i spojrzał na Broadway.

– Przyszło mi do głowy, że być może nadszedł czas na... ponowne rozważenie pewnych dawnych osądów.

Znaczenie tych słów spadło na Vimesa niczym lodowata mgła.

– Proponuje pan zmianę historii? – zapytał. – O to chodzi? Spisanie na nowo...

– Ależ mój drogi Vimes, historia zmienia się bez przerwy. Wciąż jest na nowo egzaminowana i przewartościowywana. Inaczej historycy nie mieliby nic do roboty. A nie możemy przecież pozwolić, żeby ludzie z ich typem umysłów mieli za dużo wolnego czasu. Wiem, że przewodniczący Gildii Historyków całkowicie się ze mną zgadza, iż kluczowa rola pańskiego przodka w historii naszego miasta dojrzała do ponownej... analizy.

– Omówiliście to już, tak?

– Jeszcze nie.

Vimes kilka razy otworzył i zamknął usta. Patrycjusz wrócił do biurka i podniósł kartkę papieru.

– Oczywiście pewne inne detale także wymagają rozwiązania...

– Takie jak? – wychrypiał Vimes.

– Herb Vimesów zostanie przywrócony, naturalnie. To konieczność. Wiem, że lady Sybil była niezwykle wręcz zagniewana, gdy dowiedziała się, że nie ma pan prawa do herbu. Oraz korona, jak sądzę, z gałkami na...

– Może pan sobie wziąć tę koronę razem z gałkami i...

– ...którą, mam nadzieję, będzie pan nosił przy oficjalnych okazjach, takich na przykład jak odsłonięcie posągu, który od dawna przynosił miastu hańbę swą nieobecnością.

Przynajmniej raz Vimes wyprzedził nieco tok rozmowy.

– Znowu Kamienna Gęba? – zapytał. – To część układu, tak? Pomnik Kamiennej Gęby?

– Brawo – pochwalił go Vetinari. – Nie pański, co oczywiste. Wystawienie pomnika komuś, kto starał się nie dopuścić do wojny, nie jest zbyt, hm... pomnikowe. Naturalnie, gdyby przez arogancką niedbałość wyróżnął pan pięć setek własnych ludzi, już teraz topilibyśmy brąz. Nie, myślałem o pierwszym Vimesie, który próbował stworzyć przyszłość, a stworzył jedynie historię. Sądziłem, że może gdzieś przy Zapiekan

Brzoskwiniowej...

Obserwowali się nawzajem jak koty... jak pokerzyści.

– U szczytu Broad-Wayu – rzekł chrapliwie Vimes. – Przed bramą pałacu.

Patrycjusz spojrzał na okno.

– Zgoda. Chętnie będę na niego patrzył.

– I blisko muru. Osłonięty od wiatru.

– Oczywiście.

Przez moment Vimes wyglądał na skonsternowanego.

– Straciliśmy ludzi...

– Siedemnastu, poległych w takich czy innych potyczkach – uściślił lord Vetinari.

– Chcę...

– Zostaną przyjęte odpowiednie zobowiązania finansowe dla zabezpieczenia wdów i osób bliskich.

Vimes skapitulował.

– Gratuluję, sir! – powiedział Marchewa.

Nowy diuk poskrobał się po brodzie.

– Ale to znaczy, że będę mężem diuszesy – stwierdził. – To takie wielkie, poważne słowo: diuszesa. Sybil nigdy nie interesowały takie rzeczy.

– Podziwiam pańską znajomość psychiki kobiet – rzekł Vetinari. – Przed chwilą widziałem jej twarz. Nie wątpię, że kiedy znowu spotka się na herbatce z przyjaciółkami, do których grona, o ile pamiętam, zaliczają się diuszesa Quirmu, bo tak brzmi jej oficjalny tytuł, a także lady Selachii,

pozostanie całkowicie niewzruszona i ani odrobinę dumna. Absolutnie.

Vimes zawahał się. Sybil była kobietą zadziwiająco zrównoważoną, oczywiście, a takie sprawy... Zostawiła to jego decyzji, prawda? Przecież to jasne, że nie... To jasne, że... nie puszyłyby się, po prostu czułaby się bardzo zadowolona, wiedząc, że one wiedzą, że ona wie, że one wiedzą...

– No dobrze – ustąpił. – Ale... myślałem, że tylko król może kogoś mianować diukiem. To nie to co zwykła szlachta czy baronowie. Z nimi chodzi tylko o politykę. Ale ktoś taki jak diuk wymaga...

Spojrzał na Vetinariego. A potem na Marchewę. Vetinari mówił, że mu... przypomniano...

– Jestem pewien, że jeśli kiedyś pojawi się król w Ankh-Morpork, zechce ratyfikować moją decyzję – oświadczył gładko Vetinari. – A jeśli nigdy się nie pojawi, to praktycznie nie widzę problemu.

– Zostałem kupiony i sprzedany, co? – Vimes pokręcił głową. – Kupiony i sprzedany...

– Wcale nie – zapewnił Vetinari.

– Tak. Jak my wszyscy. Nawet Rust. I wszyscy ci biedni dranie, którzy wyruszyli, żeby dać się zarżnąć. Nie jesteśmy elementami większego obrazu, prawda? Nas się tylko kupuje i sprzedaje.

Vetinari stanął nagle przed Vimesem. Przewrócone krzesło uderzyło o podłogę za biurkiem.

– Doprawdy? Żołnierze odmaszerowali, Vimes. I żołnierze przyszli z powrotem. Jakże wspaniałe byłyby bitwy, których nie musieli staczać! – Zastanowił się chwilę, po czym wzruszył ramionami. – I mówisz, że kupieni i sprzedani? Możliwe. Myślę jednak, że nie wydani bez pożytku.

Patrycjusz rzucił jeden z tych krótkich, przelotnych uśmieszków, jak zawsze, kiedy chciał powiedzieć coś, co wcale nie jest śmieszne, a jednak go rozbawiło.

– *Veni, vici... Vetinari.*

Wodorosty dryfowały bez celu w morskich prądach. Poza unoszącymi się na wodzie kawałkami drewna nie pozostało już nic, co by świadczyło, że kiedykolwiek był tu Leshp.

Krążyły mewy. Ale ich krzyki praktycznie zagłuszała kłótnia tocząca się tuż nad powierzchnią wody.

– To wyłącznie nasze drewno, ty zaspany przyjacielu psa!

– Ach tak? Naprawdę? Na waszej stronie wyspy, co? Nie wydaje mi się!

– Wypłynęło!

– A niby skąd wiesz, że jakiegoś drewna fale nie wyrzuciły na naszą stronę? A poza tym nadal mamy beczkę wody, ty wielbłądzi oddechu!

– Dobrze! Podzielimy się! Możecie dostać połowę tratwy!

– Aha! Aha! Teraz chcesz negocjować, co, kiedy mamy cię na beczce?

– Czy możemy zwyczajnie się zgodzić, tato? Mam już dość taplania się w wodzie.

– I musicie odrobić swoją część przy wiosłach!

– Jasne.

Ptaki szybowały i skręcały jak białe zygzaki na tle czystego, błękitnego nieba.

– Do Ankh-Morpork!

– Do Klatchu!

W dole, gdzie zatopiona góra Leshpu osiadała głębiej na morskim dnie,

ciekawe mątwy znowu pływały po ciekawych ulicach dawnego miasta. Nie miały pojęcia, dlaczego w gigantycznych odstępach czasu znikało na niebie. Nigdy jednak nie oddalało się na długo. To po prostu jedna z tych rzeczy... Te rzeczy zdarzały się, a czasem się nie zdarzały. Ciekawe mątwy zakładały, że wcześniej czy później wszystko się jakoś ułoży.

Niedaleko przepłynął rekin. Gdyby ktoś zaryzykował i przyłożył ucho do jego boku, usłyszałby:

– Bingely-bingely biip! Piętnasta zero zero... Jeść, zgłodnieć, pływać. Zadania na dzisiaj: Pływać, zgłodnieć, jeść. Piętnasta zero pięć: Szaleńcze obżarstwo...

Nie był to specjalnie interesujący rozkład dnia, ale za to bardzo łatwo się go organizowało.

Inaczej niż zwykle, sierżant Colon wpisał się na listę patroli. Przyjemnie było wyjść na chłodne powietrze. Poza tym z jakiegoś powodu rozeszły się wieści, że straż była zaangażowana w to, co w nieokreślony sposób wydawało się zwycięstwem. To oznaczało, że mundur strażnika prawdopodobnie wystarczy, by dostać darmowy kufelek przy tylnym wejściu do tego czy innego pubu.

Patrolował z kapralem Nobbsem. Maszerowali pewnym krokiem ludzi, którzy bywali daleko i widzieli wiele.

Instynkt prawdziwych glin doprowadził ich do Posiłków Pospolitych. Pan Goriff mył okna. Przerwał pracę, kiedy ich zauważył, i zniknął wewnątrz.

– To ma być wdzięczność? – mruknął Colon.

Goriff pojawił się znowu, niosąc dwie wielkie paczki.

– Moja żona przygotowała to specjalnie dla was – wyjaśnił. – Mówi, że wiedziała, że przyjdziecie.

Colon odwinął woskowany papier.

– A niech mnie – powiedział.

– Specjalne ankhmorporskie curry – oświadczył pan Goriff. – Zawiera żółte curry w proszku, duże kawałki brukwi, zielony groszek i nasiąknięte rodzynki...

– ...wielkie jak jajka – dokończył Nobby.

– Bardzo dziękujemy – rzekł Colon. – Jak tam pański chłopak, panie Goriff?

– Mówi, że daliście mu przykład i kiedy dorośnie, też wstąpi do straży.

– Świetnie – ucieszył się Colon. – Pan Vimes będzie zadowolony. Niech pan mu to powie...

– W Al-Khali – dokończył Goriff. – Został z moim bratem.

– Aha. No to w porządku. Ehm... w każdym razie dzięki za curry.

– Jaki rodzaj przykładu on miał na myśli? – zastanawiał się Nobby, kiedy odeszli kawałek.

– Taki dobry rodzaj, ma się rozumieć – odparł Colon, przeżuając łagodnie przyprawioną brukiew.

– Jasne, zgadza się.

Jedząc wolno i jeszcze wolniej idąc, skręcili w stronę portu.

– Chciałem napisać list do Bany – wyznał po chwili Nobby.

– Tak, ale... ona myślała, że jesteś kobietą, Nobby.

– Właśnie. Czyli zobaczyła tak jakby moje wewnętrzne ja, odarte z... – Wargi kaprała poruszały się w skupieniu. – Odarte z tego powierzchniowego czegoś. Tak mówiła Angua. W każdym razie pomyślałem sobie, że ten jej chłopak teraz wróci, więc może będę szlachetny i zrezygnuję.

– Bo on może się okazać takim wielkim i nerwowym facetem, co?

– Nawet mi to nie przyszło do głowy, sierżancie.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– O wiele, wiele lepsze jest to, co robię teraz, niż co robiłem kiedykolwiek wcześniej – stwierdził Nobby.

– Fakt – przyznał sierżant Colon. I po chwili milczenia dodał: – Oczywiście to wcale nietrudne.

– Wciąż mam tę chustkę, którą mi dała. O tutaj.

– Bardzo ładnie, Nobby.

– Prawdziwy klatchiański jedwab, jak nic.

– Tak, bardzo ładnie wygląda, Nobby.

– Nigdy jej nie wypiorę, sierżancie.

– Ckliwy z ciebie gość, Nobby.

Patrzył, jak kapral Nobbs wyciera nos.

– Ale... chyba przestaniesz jej używać, Nobby?

– Jeszcze się zgina, sierżancie. Widzi pan? – Nobby zademonstrował.

– No tak, rzeczywiście. Głupio spytałem.

Nad nimi, skrzypiąc, zaczęły się obracać kurki na dachach.

– O wiele lepiej rozumiem teraz kobiety, po tym wszystkim – oświadczył Nobby.

Sierżant, człowiek od dawna żonaty, milczał.

– Dziś po południu widziałem się z Verity Pushpram – ciągnął kapral. – Powiedziałem: Może poszlibyśmy gdzieś razem wieczorem i wcale mi nie przeszkadza ten zez, a mam kosztowne egzotyczne perfumy, które całkiem zamaskują twój zapach. A ona powiedziała: Wynocha, i rzuciła we mnie węgorzem.

– Nie za dobrze...

– Ależ dobrze, sierzancie, bo kiedyś klęła na mój widok. I mam tego węgorza, całkiem niezłe jedzenie, więc myślę sobie, że to bardzo pozytywny krok.

– Możliwe. Możliwe. Tylko lepiej podaruj komuś szybko te perfumy, bo nawet ludzie z drugiej strony ulicy zaczynają się skarżyć.

Ich stopy, sunące niczym pszczoły do kwiatu, znalazły drogę na nabrzeże. Spojrzeli na głowę Klatchianina na kiju.

– Jest drewniana – powiedział Colon.

Nobby milczał.

– I to, no wiesz, nasze tradycyjne dziedzictwo i w ogóle – ciągnął Colon, ale z wahaniem, jakby nie wierzył własnym słowom.

Nobby znowu wytarł nos – działanie, które ze wszystkimi swymi arpedżiami i fanfarami trwało dłuższą chwilę.

Sierżant zrezygnował. Niektóre rzeczy nie były już takie jak kiedyś.

– Nigdy właściwie nie lubiłem tu przychodzić. Chodźmy lepiej pod Kiść Winogron, co?

Nobby skinął głową.

– Zresztą tutejsze piwo to zwykłe siki – dodał Colon.

Lady Sybil podsunęła mężowi chusteczkę.

– Pośliń – rozkazała.

Po czym starannie starła plamkę brudu z jego policzka.

– Dobrze. Wyglądasz bardzo...

– ...diukalnie – dokończył ponuro Vimes. – Wydawało mi się, że już to raz załatwiłem.

– Nie dokończyli Convivium po całym tym zamieszaniu. – Lady Sybil zdjęła mu z kaftana mikroskopijną nitkę. – A musi się odbyć.

– Miałem nadzieję, że jako diuk nie będę musiał wkładać tego durnego kostiumu...

– Przecież mówiłam ci, kochanie, że możesz włożyć oficjalne książęce regalia.

– Tak, widziałem je. Białe jedwabne pończochy to nie mój styl.

– No, z twoimi łydkami świetnie byś wyglądał.

– Raczej zostanę przy kostiumie komendanta – powiedział nerwowo Vimes.

Nadrektor Ridcully podszedł szybko.

– Jesteśmy już prawie gotowi, lordzie Vi...

– Proszę mnie nazywać sir Samuelem – poprosił Vimes. – Tyle jeszcze mogę wytrzymać.

– No więc znaleźliśmy kwestora na strychu i myślę, że możemy zaczynać. Jeśli zajmie pan swoje miejsce...

Vimes przeszedł na czoło procesji. Czuł na sobie spojrzenia obecnych, słyszał szepty. Ciekawe, czy można zostać usuniętym z tej arystokracji?

Będzie musiał poszukać czegoś na ten temat. Jednak kiedy pomyśleć, co lordowie w przeszłości wyczyniali, musiałyby to być coś naprawdę, ale to naprawdę okropnego.

Mimo wszystko szkice pomnika wyglądały całkiem nieźle. Widział też, co pojawi się w historycznych księgach. Tworzenie historii okazało się całkiem łatwe. Stanowiło ją to, co zostało zapisane. I tyle.

– No to świetnie – huknął Ridcully, przekrzykując gwar. – A teraz, jeśli ustawimy się sprawnie i pójdziemy za lor... kom... sir Samuelem, powinniśmy wrócić na obiad nie później niż o wpół do drugiej. Chór gotowy? Nikt nikomu nie przydeptuje szaty? No to jazda!

Vimes zaczął obowiązkowo wolnym krokiem. Słyszał, jak rusza za nim procesja. Z pewnością wystąpiły problemy, jak zawsze przy takich uroczystych okazjach, w których muszą brać udział starzy i głusi oraz młodzi i głupi. Prawdopodobnie już teraz kilka osób maszerowało w przeciwnym kierunku.

Kiedy wyszedł na plac Sator, usłyszał gwizdy, tupania i pomruki „So to jes so myśliss?”, które są tradycyjną reakcją tłumu na takie parady. Ale tu i tam zabrzmiały też oklaski.

Starął się nie patrzeć na boki.

Jedwabne pończochy. Z podwiązkami! Nie, to wykluczone. Wiele mógł zrobić dla Sybil, ale jeśli podwiązki w ogóle miały miejsce w ich związku, to nie on będzie je nosił. W dodatku wszyscy powtarzali, że powinien mieć purpurowy płaszcz obszyty futrem werminii. No więc o tym też mogą zapomnieć.

W desperacji przesiedział godzinę w bibliotece. Odkrył, że całe to gadanie o złotych gałkach i jedwabnych pończochach to zwykły gaz bagieny. Tradycja? On im pokaże tradycję. Oryginalni diukowie nosili, o ile zdołał to sprawdzić, porządne i praktyczne kolczugi poplamione krwią, w miarę możliwości cudzą...

W tłumie rozległ się krzyk.

– Ukradł moją torebkę! I nawet nie pokazał odznaki Gildii Złodziei!

Procesja wyhamowała ciężko, gdy Vimes śledził wzrokiem człowieka biegnącego przez plac Sator.

– Zatrzymaj się natychmiast, Sidneyu Pickens! – wrzasnął i skoczył za nim.

Oczywiście bardzo niewielu ludzi naprawdę wie, jak powinna działać Tradycja. W samej jej naturze było coś tajemniczego i zabawnego zarazem – kiedyś istniała przyczyna, by we Wtorek Duchowego Ciasta nosić bukietik pierwsosnków, ale teraz człowiek to robił, bo... bo Tak Się Robi. Poza tym inteligencja stworzenia znanego jako Grupa jest równa pierwiastkowi kwadratowemu z liczby jej członków.

Vimes biegł, więc chór uniwersytecki pospieszył za nim. Ludzie idący za chórem zauważyli rosnący dystans i zareagowali na instynkt zmniejszenia go. A potem wszyscy po prostu biegli, ponieważ biegli wszyscy inni.

Rozlegały się jęki tych, których serce, płuca lub nogi nie wytrzymywały takiego wysiłku, oraz ryk nadrektora Ridcully'ego, który usiłował stanowczo powstrzymać to gorączkowe stampede, a teraz jego głowę raz po raz wdeptywano w bruk.

Natomiast uczeń złodziejski Sidney Pickens biegł, ponieważ obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak pędzi na niego cała śmietanka towarzyska Ankh-Morpork. A taki widok ma straszny wpływ na umysł dorastającego chłopca.

Sam Vimes biegł. Zdarł z siebie płaszcz, odrzucił gdzieś hełm z pióropuszem i biegł, i biegł...

Później nadejdą kłopoty. Zaczną się pytania. Ale to później. Na razie był tylko pościg, wspaniale nieskomplikowany i cudownie czysty, obiecujący nie mieć końca, pod jasnym niebem w świecie nieskażonym... tylko pościg.

* Dłonie trzymane są pod kątem prostym i raczej klepią o siebie niż uderzają, podczas gdy klepiący patrzy znacząco na publiczność, jakby chciał

powiedzieć: „Będziemy tu mieli brawa albo cała szkoła zostaje po lekcjach”.

* Kobiety zawsze to robią.

* Możliwości, że są całkiem niewinne, nie uważał za wartą rozważenia.

* Termin wymyślony przez maga Dagupiora Buta**, który odkrył, że poprzez system kar i nagród potrafi tak wytresować psa, by na dźwięk dzwonka natychmiast zjadał bezę z kremem truskawkowym.

** Jego rodzice, którzy byli prostymi wieśniakami, chcieli mieć dziewczynkę. Zamierzali nazwać ją Dagmara.

* Cywilne ubrania okazały się problemem. Obaj przez całe życie nosili mundury. Jedyny garnitur sierżanta Colona był kupiony dla kogoś lżejszego o trzydzieści funtów i młodszego o dziesięć lat, więc teraz guziki trzeszczały od naprężeń. Wyobrażeniem Nobby’ego o cywilnym ubraniu okazał się zdobiony wstążkami i dzwoneczkami kostium, który nosił jako poważny członek Ankhmorporskiego Zespołu Pieśni i Tańca Ludowego. Małe dzieci biegły za nimi po ulicy, żeby zobaczyć, gdzie odbędzie się przedstawienie.

* Funkcjonariusz Wizytuj Niewiernych z Wyjaśniającymi Broszurami był dobrym gliną, jak zawsze powtarzał Vimes, a to u niego najwyższa forma pochwały. Pochodził z Omni i przejawiał typowe dla swych rodaków, obsesyjne niemal zainteresowanie religią ewangeliczną. Prawie całe swoje zarobki wydawał na broszury; miał nawet własną małą prasę drukarską. Wyniki jej działania były wręczane każdemu, kto okazał zaniepokojenie, a także tym, którzy okazali jego brak. Vimes mawiał, że nawet Detrytus nie potrafi rozproszyć tłumu szybciej niż Wizytuj. W dni wolne funkcjonariusz Wizytuj widywany był, jak krążył po ulicach ze swoim kolegą, Powal Niedowiarka Chytrymi Argumentami. Dotąd nie nawrócili nikogo. Vimes uważał, że Wizytuj prawdopodobnie jest w głębi duszy miłym człowiekiem, jednak nie mógł się zdobyć na wysiłek, by się o tym przekonać.

* A zatem był bezpieczny od oficjalnych włamań. Ankh-Morpork miało bardzo specyficzny stosunek do idei ubezpieczeń. Kiedy eliminowano pośredników, nie była to tylko metafora.

* Stara tradycja, ceniona wśród pewnego typu wojskowych myślicieli, głosi, że najważniejsze są wielkie straty. Jeżeli ponosi je strona przeciwna, jest to dodatkowa premia.

* Jedna z uniwersalnych zasad szczęśliwego życia brzmi: Zawsze bądź ostrożny wobec dowolnego pomocnego urządzenia, które waży mniej niż instrukcja jego obsługi.

* Choć to dziwne, wymyślanie dobrych nazw było jedyną dziedziną, w której geniusz Leonarda z Quirnu zawodził.

* Z wyjątkiem szczególnego przypadku Krzywego Sidneya, który otrzymywał z miejskiej kasy dwa dolary dziennie za noszenie worka na głowie. Nie chodzi o to, że miał jakoś spektakularnie zniekształconą twarz; po prostu każdego, kto go zobaczył, przez resztę dnia dręczyło irytujące uczucie, że chodzi głową w dół.

* Znowu Krzywy Sidney.

* Żonglerzy potwierdzą, że żonglowanie takimi samymi przedmiotami zawsze jest łatwiejsze od mieszania kształtów i rozmiarów. Sprawdza się to nawet w przypadku pił motorowych, chociaż oczywiście gdy żongler nie złapie pierwszej piły, jego kłopoty dopiero się zaczynają. Za chwilę pojawiają się kolejne.

* Wygląd kaprała Nobbsa można opisać następująco. Jedno z pomniejszych praw uniwersum narracyjnego stwierdza, że dowolny mężczyzna o typowych rysach twarzy, który z jakiejś przyczyny musi przebrać się za kobietę, staje się najwyraźniej bardzo atrakcyjny dla innych, poza tym całkowicie normalnych mężczyzn, co prowadzi - jak twierdzą starożytne teksty - do prześmiesznych rezultatów. Ale w tym wypadku prawa walczyły z faktem kaprała Nobby'ego Nobbsa, i skapitulowały.

* Oraz pan Harris z Klubu Błękitnego Kota. Jego przystąpienie wywołało burzliwe dyskusje w Gildii, która na pierwszy rzut oka potrafiła rozpoznać konkurencję. Jednak pani Palm odrzuciła protesty, uznając - jak wyjaśniła - że akty niezgodne z naturą są przecież jedynymi zgodnymi z naturą.

* Zwykle obawiają się, że to z nich żartują.

* Chociaż oczywiście magom nie wypada tak mówić, ponieważ w ogóle nie powinni mieć wnuków.